

MOJRA

WILCZYCA I CÓRKA ZIEMI

HENRI LOEVENBURCK

PRZEKŁAD ELIZA KASPRZAK-KOZIKOWSKA

ROZDZIAŁ 1

DŁOŃ NA WRZOSOWISKU

Pamięć ludzka nie zna wspomnień Ziemi. Wydaje nam się, że wiemy wszystko o świecie i jego historii. Istniały jednak zapomniane epoki pełne czarów i cudów, które zniknęły bezpowrotnie.

Pamiętają o nich tylko drzewa, niebo i wiatr. Lecz jeśli w letni wieczór położysz się wśród traw i z otwartym sercem wsłuchasz w ich szepty, być może usłyszysz tę historię z odległych czasów, z krainy zwanej Gaelią: opowieść o białej wilczycy i dziewczynce, na którą wołano Alea.

Było to w epoce, którą zwano Trzecią Erą. Pewnego wieczoru w hrabstwie Sarre, na wydmie

w samym środku piaszczystego wrzosowiska, płakało dziecko.

W gasnącym blasku zachodzącego słońca jak okiem sięgnąć nie widać było żywej duszy, po za

tą dziewczynką w łachmanach, skuloną w miejscu, gdzie kończył się ślad jej stóp. Na wydmie hulał

suchy i ciepły wiatr, który porywał amarantowe gałązki wrzosów i podnosił chmury białego piasku.

Zmierzch wypełniał się powoli zapachem dymu z rozpalonego w odległych domostwach ognia.

Alea siedziała zagubiona pośrodku pustkowia, wystawiona na kapryśne podmuchy.

Mierzwione przez wiatr kosmyki czarnych włosów smagały jej policzki. Spod potarganej czupryny

błyskały chwilami ciemnobłękitne oczy. Dziewczynka kryła twarz w ramionach. Pod łopoczącą

chłostaną przez wiatr koszulą rysowała się filigranowa dziecięta sylwetka.

Alea zanurzyła ręce w piasku, podniosła dwie garście i pozwoliła mu powoli przesypać się

przez palce. Ziarenka, niczym w klepsydrze, przepływały jedno po drugim. Podmuchy wiatru tłumiły

wszelkie odgłosy życia i czas zdawał się biec w zwolnionym tempie. Wznosząca się na południu jedna

z gór pasma Gor-Draka była tak stara, że u jej podnóża lata zdawały się sekundami. Była tak wysoka,

że ludzie wyglądali przy niej jak pyłki kurzu, które mogły zostać porwane nawet przez lekki wiosenny

wietrzyk, jak drobinki życia, targane przez ślepe siły w szalonej grze przeznaczenia – Mojry.

Alea zastanawiała się, czy Mojra jej nie opuściła, tym razem na zawsze. Jakaż się czuła samotna!

Podniosła wreszcie głowę, by wystawić swą trzynastoletnią twarz na podmuch wiatru. Twarz

szczupłą, smutną, surową i delikatną zarazem. Ciemne sługi, ślady po wyschniętych już łzach, znaczyły

jej policzki. Była inna i powtarzano jej to tysiące razy. Wyglądem nie przypominała mieszkańców

hrabstwa Sarre. Od ludzi z wioski różniło ją wszystko: smukła sylwetka, smągła cera, skośne oczy i

czarne, niesforne, długie, proste włosy.

Ziarenka piasku obsypywały jej włosy i drobne ciało niczym złoty deszcz. Opuściła ręce i

zaczęła rozgrzebywać ziemię, by uciszyć swój gniew, zapomnieć o łzach i cierpieniu, które rozrywało

jej wnętrzości. Nigdy jeszcze nie czuła podobnego bólu. Tak jakby ktoś pięściami okładał jej brzuch.

Nie rozumiała, co się dzieje. Jak zawsze, gdy była smutna, tak i teraz przyszła się wypłakać na

wrzosowisku, pragnęła być blisko Ziemi, sama wobec natury, która zdawała się jej słuchać.

To nie był zwykły dzień, zrozumiała to już z samego rana. Mieszkańcy miasteczka znowu ją

wygnali i było to jeden raz za dużo. A ból, który przeszywał jej biodra i podbrzusze, dodatkowo

pogarszał sprawę. Alea nie wiedziała jeszcze, że wkrótce przeżyje bajeczną przygodę, tak bajeczną, że

godną opowiedzenia całe wieki później, na kartach tej książki.

O nagle jej dłoń natrafiła na coś zagrzebanego w piasku.

*

Legenda głosi, że nieco wcześniej, w samym środku wiosny, podobna samotność stała się

udziałem wilczycy. Dawni bojarze nazywali ją Imala, co w naszym języku oznacza Biała, a wołano na

nią tak z powodu jej umaszczenia, które w przeciwieństwie do koloru sierści wszystkich innych

wilkołaków było śnieżnobiałe.

Tego wieczoru poszła do wodopoju u podnóża góry, by po powrocie położyć się w swojej

noże, gdzie wkrótce miała wydać na świat potomstwo. Samce, gdy tylko zauważyły dziwne

zachowanie samic, które skomląc, kręciły się w koło w poszukiwaniu wygodnego legowiska, poszerzyły jamę wykopaną pod osłoną pochylonej skały wysoko na zboczu góry. Jama była wspaniała: za dnia wystawiona na promienie słońca, ale osłonięta od wiatru, położona zaledwie kilka kroków od jeziora, w którym pływały wielkie ryby, lecz wystarczająco wysoko, by można było w porę odeprzeć atak innych drapieżników. Już od dłuższego czasu sfora pozostawała w tym samym miejscu: w tamtym okresie ziemia była żyzna i lasy obfitowały w zwierzynę, więc pożywienia nigdy nie brakowało. Było wystarczająco dużo saren i jeleni, by wilki nie musiały migrować każdej zimy. Imala ostrożnie schodziła ze zbocza. Wysunęła głowę do przodu, nadstawiła uszu, gotowa w każdej chwili uskoczyć. Z ciężkim, nabrzmałym brzuchem czuła się słaba, a inne drapieżniki rzadko wahały się przed zaatakowaniem ciężarnej samicy. Deszcze ustały ponad tydzień temu i rzadka dotąd roślinność zaczęła się w końcu zielenić. Jezioro porastały nowe delikatne kępy trawy. Dzięki temu miejsce było widoczne z daleka, zieleń była tam bardziej intensywna i wydzielala mocniejszy, przesycony świeżością zapach. Imala bez trudu znalazła to, czego szukała. Piła bardzo długo, co chwila podnosząc psyk, by rozejrzeć się dookoła, po czym jeszcze przez zachodem słońca wróciła do swego legowiska. Sierść z brzucha, którą traciła od kilku dni, tworzyła na Ziemi wygodne puchowe posłanie i wilczyca z ulgą położyła się na tym miękkim dywanie z na wpół zamkniętymi oczami. Była bardzo zmęczona i niewiele widziała, jednak samce wołały się zajmować Aheną, samicą dominującą, która też była w ciąży, i pozostawiły Imalę samą sobie. Imala była inna niż reszta wilczyc. Żadna z nich nie odważyłaby się połączyć z samcem, jeśli wataha miała już dominującą parę. Było to sprzeczne z zasadami sfory. Wilczyce dobrowolnie podporządkowywały się samicy dominującej i same ograniczały swój popęd. Imala postąpiła inaczej. Była odważna i zuchwała, nie miała żadnych wątpliwości, że jeśli nie uda się jej zastąpić samicę dominującą, opuści watahę. Imala nie mogła już być uległa. Natura przeznaczyła ją do czego innego. Wilczyca musiała wydać na świat potomstwo.

Stado nigdy nie chciało jej do końca zaakceptować, być może z powodu jej białej sierści, ale także dumy, jaką zdawała się z tego powodu odczuwać. Postanowiła więc sama zająć się narodzinami swych szczeniąt, mając tylko nadzieję, że Taimo, ich ojciec, porzuci w końcu Ahenę, aby pomóc jej wykarmić małe.

Zima minęła, wilkom udało się przeżyć, i to w dużej liczbie, i Imala wiedziała, że jej miot to dla klanu za wiele. Jednak mimo to była dumna i żaden członek stada nie był w stanie jej przestraszyć. Była najsilniejsza wśród młodych wilczyc i przez dwie poprzednie zimy próbowała w okresie rui zająć miejsce samicy dominującej. Jednak Ahena była wciąż nie do pokonania i przegrana Imala połączyła się w ukryciu z Taimo, jednym z młodych wilków. Tego samego dnia stała się rywalką Aheny, która korzystała z każdej nadarzającej się okazji, by przypomnieć jej o swej wyższości groźnym warczeniem lub agresywnymi zaczepkami.

Wszystko wskazywało na to, że jedność klanu jest zagrożona. Stadu groził rozłam. Takie było prawo natury – walczyć albo zginąć. Imala instynktownie rozumiała, że jeśli zbyt długo zostanie w tej sforcie, Ahena w końcu ją zaatakuje i z pewnością zabije. Należało więc odejść, zabierając ze sobą co najmniej jednego wilka. Ale nie od razu. Najpierw pokaże, że jest wilczycą i może wydać na świat potomstwo.

Kiedy Imala ułożyła się wygodnie na swym nowym pościu, a słońce skryło się całkowicie za ogromną skałą górującą nad wilczą jamą, jako pierwsza zaczęła wyć. Wilki z innych odległych sfor odpowiedziały dużo wcześniej niż jej własna wataha.

*

Zaskoczona Alea nagle przestała kopać. Co też mogło się znajdować pod tą warstwą piachu w samym środku wrzosowiska? Było coś dziwnego w przedmiocie, którego dotknęły jej palce. Czy było to coś cennego? Może jakieś ukryte pieniądze? Alea była sierotą i jej dzieciństwo upłynęło na pogoni za szczęściem, którego nigdy nie udało jej się schwytać. W końcu nauczyła się niczego nie oczekiwać od losu i nie wierzyć w dobroć innych

ludzi. Wydawało się, że Mojra uwzięła się na to biedne dziecko, by sprawdzić jego wytrzymałość.

Dziewczynka nauczyła się żyć samotnie w poczuciu ciągłego zagrożenia i bezbronności. Odkąd sięgała pamięcią, zawsze musiała walczyć o przetrwanie, patrząc z daleka, jak inne dzieci w jej wieku śmieją się i bawią bez troski. A w Saratei, jak w całym hrabstwie Sarre, nie lubiano brudnych nędzarek jej pokroju.

Miasto nie znało litości dla dzieci ulicy, oferując jako schronienie tylko kamienne mosty, pod którymi Alea kładła się na gołej ziemi, czekając na sen i wpatrując się o odblaski wilgotnego bruku nabrzeży. Włóczęstwo było zakazane w Saratei, gdzie pracy było w bród dla każdego, tak przynajmniej utrzymywali starcy, kupcy i lokalne matrony, które zasłaniały oczy swoim małym podopiecznym, gdy obok przechodziła Alea, z rękami w kieszeniach, rozczochranymi włosami, z pewnością szykującą jakąś niegodziwość. Wszyscy skarżyli się na włóczęstwo porzuconych dzieci, ale tylko nieliczni byli skłonni dać Alei jakąś pracę. Ona zresztą i tak nie miała najmniejszej ochoty pracować. Nauczyła się nikomu niczego nie zazdrościć, bo w głębi serca wiedziała, że jest wyjątkowa.

A ponieważ czuła się szczęśliwa wyłącznie na łonie natury – wieczorami, gdy uciekała z miasta – uznała, że jest córką Ziemi, a jej jedynymi towarzyszami są wiatr, piasek, drzewa, niebo i zwierzęta.

Córka Ziemi, taki przybrała przydomek i tak kazała na siebie wołać dzieciakom z miasteczka.

Nikt nie znał Saratei tak dobrze jak ona: jej wąskich uliczek, starych studni, zagajników, zapomnianych stodół i spichlerzy, nikt nie potrafił się tak dobrze skryć w ciemnych zaułkach miasteczka, nikt nie potrafił tak szybko uciekać i zniknąć w labiryncie mrocznych uliczek. Nawet łobuzy z ulicy, którym często stawiała czoło. Nauczyła się, jak przetrwać mimo swej samotności, i tylko to się liczyło. Potrafiła się bić, często musiała to robić, przy spotkaniu z innymi bezdomnymi włóczęgami w jej wieku. Potrafiła szybko biegać, spać pod gołym niebem i nauczyła się zadowalać tym, co przynosił każdy dzień. Oczywiście bywało, że znajdowała przyjaciół, kilku życzliwych

mieszczan, którzy od czasu do czasu nieco jej pomagali, ale nigdy nie trwało to długo, a już z pewnością nie było w stanie przetrwać nawiedzających miasto plag i klęsk głodu wpędzających mieszkańców w skrajną nędzę. Alea musiała radzić sobie sama. Większość czasu spędzała po zachodniej stronie miasteczka, w pobliżu rynku, gdzie ludzie byli zbyt zajęci swoimi sprawami, by zwracać na nią uwagę. Czasem jakiś kupiec dał jej kilka monet w zamian za pomoc w rozładowaniu towaru lub rozstawieniu straganu. Przez kilka dni miała za co kupić jedzenie, ale monety szybko zniknęły i musiała szukać nowego sposobu na przeżycie. Wybierała się wtedy daleko za miasto i zbierała wszystko, co później mogła sprzedać: jagody, grzyby, zioła czy świeże ususzone kwiaty z łąk hrabstwa Sarre, które potrafiła układać w przepiękne bukiety. Niektórzy mieszkańcy wioski kupowali jej różne produkty, a oberżysta z Gąski na Ruszcie płacił jej nawet więcej, niż chciała. Życie zaczynało się od nowa i Alea z dumną miną kupowała sobie jedzenie. Zupełnie inaczej było zimą. Dziewczynka wbrew swoim zwyczajom musiała kraść, a czasem przyłączała się do grupy wędrowcy zatrzymujących się na chwilę w miasteczku, którzy zgadzali się jej pomóc. Później ruszali w dalszą drogę i znów zostawała całkiem sama. Zawsze była sama. Znała tylko tę samotność na ulicach miasta. W każdym razie nie miała żadnych innych wspomnień. Skąd się tu wzięła? Zajęci sobą mieszczanie na pewno jej tego nie powiedzą. Czy miała rodziców? A jeśli nie, to kto ją tu zostawił i ile miała wtedy lat? Wolą o tym wszystkim nie myśleć. Wolą zapomnieć. Lecz dzisiaj wszystkie te pytania powróciły ze zdwojoną siłą. Tak jakby łyzy i dziwny ból brzucha nagle przywołały je z niepamięci, a jakiś głos w jej głowie powtarzał: „Uciekaj stąd, zmień swoje życie!”.

Jeśli więc w ziemi krył się skarb, Alea obiecała sobie, że powróci do Saratei ostatni raz, po to, by zemścić się na tych, którzy pozbywali się jej, tak jak usuwa się szkodnika. W końcu zasiądzie przy stole bogaczy z wioski. A później uda się do Providence, największego miasta w całym królestwie, i zostanie powszechnie szanowaną damą.

Przede wszystkim jednam zemści się na Almarze, tłustym rzeźniku z Saratei, który złapał ją dzisiaj, gdy usiłowała zwinąć dwa kawałeczki mięsa. Zaczaił się na nią, schowany za sąsiednim straganem, i skoczył, gdy próbowała uciec z kawałkami wołowiny za pazuchą. Biedna Alea nie miała szans w starciu z tuszą przekupnia, padła więc oszołomiona na ziemię przy salwach śmiechu i okrzykach zachwyconej widowiskiem gawiedzi. Rzeźnik odebrał swoje kawałki mięsa, co pozostali kramarze obserwowali z dużym rozbawieniem.

- Wynoś się z miasta, bo następnym razem zawołam żołnierzy!

Kiedy próbowała się podnieść, ktoś rzucił w nią jabłkiem. Owoc trafił ją w plecy i Alea krzyknęła z bólu. Wtedy przekupnie podchwycili pomysł i zaczęli rzucać w nią bez litości wszystkim, co wpadło im w ręce. Uciekała pod gradem kamieni. Biegła aż do bram miasta i nie zatrzymała się, póki nie dotarła daleko na wrzosowisko, gdzie siedziała teraz z policzkami mokrymi od łez.

Normalnie szybko zapomniałabym o podobnym zdarzeniu, przełknęłaby łyzy i pewnie nie uciekałaby z miasteczka, mimo grózb. Nie pierwszy raz dała się złapać kramarzowi i nie pierwszy raz urządzono sobie rozgrywkę, upokarzając ją publicznie. Okrucieństwo mieszkańców Saratei nie było jej niespodzianką, dlatego dawno temu Alea zamknęła się w swojej skorupie. Jednak tego dnia skorupa pękła. Alea nie wiedziała dlaczego, ale czuła się inaczej niż zwykle i wołała uciec na wrzosowisko, by znaleźć tu spokój i samotność. Czuła się słaba, bezbronna, a przede wszystkim bardzo zmęczona. Nie miała zupełnie siły walczyć, jakby po trzynastu latach tolerowania tej sytuacji doszła do granic wytrzymałości, jakby nagle pękła ostatnia cienka nić, która łączyła ją z tym cygańskim życiem, i pozostawiła całkowicie bezsilną. Miała już dość swego losu.

Alea westchnęła i zabrała się do odkopywania tajemniczego przedmiotu, który znalazła w piasku.

*

W tamtych czasach noce były zupełnie inne. Gdybyście mogli położyć się na szczycie tego

wzgórza, usłyszeliście wszystko to, co dziś już nie istnieje lub zostało zgłuszone przez hałas czyniony przez ludzi. Usłyszeliście szum wiatru w liściach i gałęziach, by po chwili nagle ucichnąć.

Usłyszeliście odgłosy drzew i ich mieszkańców, ptaków i gryzoni, które zdawały się nigdy nie usypiać. Usłyszeliście szemranie ukrywających się przed ludzkim wzrokiem chochlików, które od zmierzchu do świtu szeptały wśród drzew niczym tajni spiskowcy. Był to urzekający koncert, kołysanka rozbrzmiewająca w samym sercu lasu.

Imała zwinięta w kłębek na swym posłaniu obudziła się nagle, czy to za sprawą samców, które, korzystając z panujących ciemności, wybierały się właśnie na polowanie, czy też przez małe wilczki poruszające się w jej brzuchu, jakby już chciały wydostać się na zewnątrz.

Taimo, nim wyruszył na łowy, zbliżył się do niej powoli i musnął ją delikatnie łapą. Pokazał jej po prostu, że czuje jej lęk i zmęczenie i że przyniesie jej coś do jedzenia. Jednak Imała pod wpływem budzącego się w niej instynktu macierzyńskiego warknęła tylko ostrzegawczo i patrzyła, jak Taimo odchodzi ze zwieszonym łbem. Nigdy wcześniej nie rodziła, ale przeczuwała, że sprawi jej to ogromny ból i że będzie potrzebowała wiele siły i cierpliwości, aby zapewnić potomstwu przetrwanie. Być może przypomniawszy sobie własną matkę i dzięki temu wiedziała, co robić. Powinna teraz spać.

Późną nocą uspokoiło ją w końcu dobiegające z daleka wycie młodej wilczycy i pozwoliła się ukołysać w tej harmonijnej pieśni. Przeciągły ton sięga granic wysokości, na moment zastygał na najwyższej nucie, po czym opadał i zanikał, by po chwili znów rozbrzmieć. Już kiedyś słyszała to wycie.

I choć nigdy nie spotkała śpiewającej w ten sposób wilczycy, czuła, że jest jej ona w jakiś dziwny sposób bliska.

W tej samej chwili w głębi lasu Taimo i pozostałe samce skradały się do zabłąkanego jelenia.

Taimo, na czele zasadzki, czołgał się ostrożnie, zastygając co chwila, by dostosować swój rytm do naturalnych odgłosów lasu. Po pysku ściekała mu piana. Podniecenie i głód ścisnęły mu brzuch. Inne wilki w ciszy rozejrzały się na lewo i prawo, by otoczyć ofiarę, lecz nim zdążyły zamknąć krąg, jeleni

znieruchomiał, podnosząc głowę. Usłyszał jakiś dźwięk, który nie należał do zwykłego lasu. Zaczął gwałtownie wciągać w nozdrza powietrze. Nim wilki zdążyły zareagować, wyczuł niebezpieczeństwo i błyskawicznie podskoczył, by uciec i zniknąć w ciemnościach. Rozpoczęła się obława. Wilki rzuciły się pędem za swą ofiarą. Choć nie tak sprytnie i być może nie tak szybkie, były jednak liczniejsze i prowadził je głód. Siła watahy tkwiła w jej uporze i cierpliwości. Pogoń przyspieszyła, jednak las stawiał liczne przeszkody zarówno przed łowcami, jak i ich zdobyczą: kamienie, kładące się nisko gałęzie, skarpy i rowy. Szybko pojawiło się zmęczenie. Wkrótce jeleni poczuł oddech zbliżających się prześladowców i odwrócił się gwałtownie u podnóża wysokiej skały, by stawić czoła niebezpieczeństwu. Wilki zatrzymały się natychmiast i uformowały półkole. Zamiast od razu skoczyć na ofiarę, czekały w bezruchu, niektóre położyły się na ziemi, nie spuszczając zwierzyny z oczu. Jeleń pochylił rogi ku ziemi i wydał z siebie głuchy ryk, aby przestraszyć atakujących. Ale wilki ani drgnęły. Cierpliwie obserwowały tupiącego jelenia, czekając, aż jego uwaga osłabnie, by w końcu się na niego rzucić. Jeleń pochylił się i stał z wyprostowanymi tylnymi nogami, trzymając swe potężne rogi na wprost wilków, gotowy do obrony. Ponieważ drapieżniki pozostawały nieruchome, podniósł w końcu głowę i zaczął przesuwając się w bok, szukając wylomu w lini wroga. Taimo wykorzystał tę chwilę. Skoczył na jelenia z szeroko otwartym pyskiem, wyszczerzonymi zębami i najeżoną sierścią. Jeleń natychmiast zareagował, godząc napastnika rogami. Pysk Taimo nadział się na jedno z rozgałęzień poroża i wilk osunął się na ziemię, cały w strugach krwi. Kiedy pozostałe wilki rozpoczęły atak, jeleni odwrócił się, stanął dęba i gwałtownie natarł kopytami próbującego się podnieść z największym trudem Taimo. Młody wilk dostał cios w głowę i padł martwy. Lecz jeleni nie mógł się prześwistać tak licznym napierającym zewsząd drapieżnikom. Ostatnimi siłami kopał i bódł, gdy jeden z młodych wilków skoczył mu do gardła i nie puścił już swojej ofiary. Wraz z upływem krwi gasły siły zranionego jelenia i wkrótce wstrząsały nim już tylko ostatnie

podrygi uchodzącego życia. Wilki powlokły umierające zwierzę za sobą, pozostawiając trupa Taimo w kałuży krwi.

Następnego ranka Imalę obudził hałas powracających z polowania sfory oraz silnych

zapachów świeżego mięsa. Samce wciągnęły jelenia do jamy i cały klan dzielił się zdobyczą z dzikim

apetytem. Imala przeciągnęła się, wstała i rozejrzała się po jamie. Szybko postrzegła, że nigdzie nie

ma Taimo. Podeszła do wilków pożerających jelenia i widząc krwawe plamy na ich sierści i rogach

ofiary, zrozumiała, że polowanie było brutalne i że z całą pewnością Taimo nie przeżył. Zaskomlała

zaniepokojona, a spojrzenie Ehan, samca dominującego, który na chwilę oderwał się od posiłku,

potwierdziło jej podejrzenia.

Nie było już Taimo, Zabił go jeleni.

*

Alea krzyknęła przerażona.

Pod piachem ukazała się ręka.

Dziewczynka odskoczyła do tyłu i wciąż krzycząc, cofnęła się jeszcze kilka metrów.

Zaskoczenie spowodowało, że zapomniała nawet o skurczach w brzuchu. Kiedy już się zatrzymała,

uznawszy widocznie, że jest dostatecznie daleko, dotarło do niej, co naprawdę odkryła. A miała

nadzieję, że to skarb! Tymczasem był to po prostu trup, zapewne przysypany podczas burzy

piaskowej.

Alea zastanawiała się, co powinna zrobić. Pobiec do Saratei i powiedzieć żołnierzom, że na

wrzosowisku leżą zakopane zwłoki? Przysypać trupa kilkoma garściami piasku i o wszystkim

zapomnieć? Czy jeśli się przyzna, że znalazła te zwłoki, nie ściągnie na siebie jakichś problemów?

Słońce niemal całkowicie skryło się za linią Lasu Sarlia, który czernił się na horyzoncie. Cienie

drzew wydłużały się i wolno wkraczały na wrzosowisko. Daleko na południu czerwone światła i

dymy Saratei stawały się ledwie widoczne. Wkrótce miała zapaść noc.

Nagle uderzyła ją myśl. A jeśli był bogaty? Jeśli trup miał na sobie klejnoty albo przytroczoną

do paska ciężką sakiewkę? W pierwszej chwili pomyślała, że nigdy nie miałyby odwagi, by go

całkowicie odkopać, a już na pewno nie byłaby w stanie go przeszukać. Oczywiście nie pierwszy raz w życiu widziała trupa, pewnej zimowej nocy była nawet świadkiem, jak na ulicy umiera dziecko w jej wieku, ale w tym zakopanym w piachu ciele było coś dziwnego, coś, co ją przerażało. Ta ręka wyglądała jak ostrzeżenie. Choć z pewnością należała do starca, była twarda i prosta, a jednocześnie miała w sobie coś błagalnego. Zdawała się wysuwać w stronę Alei, by jej pogrozić. Ostatecznie teraz, kiedy nieznajomy już nie żyje, jego bogactwa na wiele mu się nie przydadzą... Ale czy nie będzie to igranie z Mojżą? Czy nie wyrządzi zniewagi opatrności, próbując zmienić bieg rzeczy i kradnąc przeznaczenie kogoś innego? Chyba że Mojra celowo położyła tego trupa na jej drodze... Jaka jednak była szansa, że Alea zacznie przypadkiem rozkopywać ziemię i wrzosowisko we właściwym miejscu i we właściwym czasie? Dziewczynka wytarła buzię rękawem koszuli, jakby chciała dodać sobie odwagi, i na czworakach zbliżyła się powoli w stronę wystającej z piachu ręki. Wtedy zauważyła na jednym z palców pierścień ozdobiony drogocennym, mieniącym się głęboką czerwienią kamieniem. Nie знаła nazwy tego kamienia, lecz z pewnością był to klejnot o nieocenionej wartości. Pierścień zadawał się połyskiwać, by potwierdzić jej przypuszczenia i zachęcić do odkopywania całego ciała. Pomyślała, że jeśli uda się jej po niego sięgnąć, z pewnością odważy się też zrobić następny krok. Jednak myśl o dotknięciu zwłok, które leżały tu być może od wielu dni, napawała ją prawdziwą odrazą. Rozejrzała się dookoła, by się upewnić, że nikogo nie widzi. Oczywiście równina była zupełnie pusta. Alea wyciągnęła rękę w stronę klejnotu, z wahaniem otwierała i zaciskała pięść, a w końcu przygryzła wargi i dotknęła pierścienia. W pierwszej chwili zaskoczyło ją, że dłoń, która wystawała z piasku, nie była taka zimna, jak się spodziewała: mówiło się zawsze, że umarli są lodowato zimni, ten tutaj musiał zostać ogrzany przez słońce i piasek. Wstrzymała oddech i zaczęła ściągać pięść, jednak obręczka z trudem przesuwiała się po suchym palcu. Skóra marszczyła się i pierścień wciąż pozostawał na swoim miejscu.

Alea pociągnęła mocniej. Zadrzała.

Pierścień w końcu zszedł z palca. W tej samej chwili słoń nieboszczyka zacisnęła się na ręce

Alei.

Dziewczyna krzyknęła. Uścisk nie zelżał, palce były mocno zaciśnięte, sprawiało to jej ból.

Zdawało się, że ręka chce pociągnąć Aleę do ziemi, za karę wciągnąć ją w paszczę pustyni. Nagle

poczuła, że całe jej ramię przeszywa dziwny dreszcz, pochodzący jakby od zakopanego ciała, lecz był

to najpewniej jej własny strach. Czyste przerażenie. Odskoczyła jak najdalej, podniosła się i niewiele

myśląc, pognęła w stronę Saratei, z otwartymi ze zdumienia oczami i gardłem rozpalonym od

nieustającego krzyku, zastawiając za sobą uniesioną pięść na tle horyzontu.

*

Wieczorem urodziły się wilczki.

Imala wydała na świat pięć szczeniąt, które długo skomlały, aż uspokoił je wreszcie dotyk

języka matki. Przypomniały pięć kulek ciemnoszarej sierści o rudawych refleksach, miały zamknięte

oczy i prawie całkiem płaskie pyszczki. W miejscu ich uszu ich łebki zdobiły dwa małe trójkąci.

Chude łapki trzęsły się delikatnie i niezdarne maluchy grzęzły w miękkim podłożu legowiska,

daremnie starając się utrzymać równowagę.

Imala była wyczerpana i zaniepokojona. Starła się ufać własnemu instynktowi, ale szczenięta

w równym stopniu przerażały, co wzruszały. Wilczyca przede wszystkim czuła się samotna. Śmierć

Taimo oznaczała, że będzie musiała sama zajmować się potomstwem.

Obserwowała piątkę swoich

dzieci, by lepiej je poznać. Były między nimi subtelne różnice w zapachu, umaszczeniu, kształcie uszu

lub po prostu wielkości i Imala bardzo szybko nauczyła się je rozróżniać. Jeden wilczek był wyraźnie

wiekszy od pozostałych. Wydawał się ten najodważniejszy. Inny, najchudszy, zdawał się bardzo

delikatny i oddychał z trudem. Każdy był dla niej wyjątkowy. Pięć małych, obiecujących wilczków.

Kilka kroków dalej Ahena także powiła szczeniaki, ale Imala niewiele mogła dostrzec zza sfory

otaczającej dominującą samicę. Zazdrościła Ahenie, lecz zajęła się wtulonymi w swój brzuch małymi.

Wygłodzona, zaczęła się żywić własnym łozyskiem, od czasu do czasu liżąc swoje nowo narodzone dzieci, które nie odnalazły jeszcze drogi do jej sutków. Zastanawiała się, który samiec opuści w końcu Ahenę, by przynieść jej trochę świeżego mięsa, i warknęła w kierunku watahy. Kilka wilków odwróciło głowy i patrzyło na nią przez krótką chwilę, ale żaden nie podszedł. Żaden nie odważyłby się sprzeciwić Ahenie, okazując zbyt duże zainteresowanie jej rywalce, która w dodatku miała czelność urodzić małe w chwili, gdy klan nie potrzebował nowych członków. Imala próbowała ułożyć się wygodnie. Końcem pyska z przysunęła się do siebie szczenięta, a następnie położyła głowę na posłaniu, szukając zasłużonego odpoczynku. Obudziła się, gdy poczuła, że małe zaczęły wreszcie ssać. Trzy z nich, w tym oczywiście ten największy, odnalazły wreszcie drogę do sutków i pożywiały się ochoczo. Wilczyca westchnęła głęboko, co wyrażało zarówno zmęczenie, jak i ulgę. Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, zauważyła, że większość stada udała się na polowanie i że w jaskini została tylko Ahena i jej małe. Mogła się w końcu przyjrzeć potomstwu samicy dominującej. Wilczki były liczniejsze i większe niż jej własne. Ahena spojrzała na nią, poruszyła głowę i podniosła uszy. Imala nie odpowiedziała. Była zbyt zmęczona i już tysiąc razy okazywała swą uległość. Nie rozumiała, dlaczego Ahena tak zawzięcie okazuje jej wyższość. Może zazdrościła jej niezwyklego umaszczenia? A może zawsze się tak zachowywała? Nie można uciec przed prawami natury i tymi ustalonymi przez watahę. Promienie słońca niknęły ze spletanymi gałęziami dębów porastających szczyt wzgórza. Wiosenne odgłosy delikatnie kołysały wilczycę i jej szczenięta, uspokojone odległym stukaniem dzięciołów i trzepotem skrzydeł pary gołębi. Imala znów zapadła w sen, kiedy do jaskini wszedł wielki wilk. Widocznie wybrał się na samotne polowanie, bo wrócił, trzymając w zębach zająca przed sobą, położył się i otwarł o niego, aby przeszedł jego zapachem. Chciał jasno pokazać, do kogo należy zdobycz. Ahena rzuciła mu tylko pogardliwe spojrzenie i odwróciła się do małych. Wilk podniósł się i zaczął siekaczami rozszarpywać skórę zająca, przytrzymując go pazurami.

Warcząc, rozdzierał zdobycz, aż skóra ustąpiła. Jadł przez chwilę, rzucając spojrzenia to na jedną, to na drugą wilczycę z małymi, potem zupełnie niespodziewanie zaniósł resztę swojej zdobyczy Imali i usiadł obok niej, jakby chciał ją zmusić do jedzenia. Wilczyca zawahała się. Ahena zaczęła warczeć, ale nie mogła teraz stanąć do walki, nie było też Ehano, który mógłby przywrócić porządek. Lhor podszedł jeszcze bliżej i przysunął rozszarpanego zająca, tak że Imala nie mogła odmówić. Złapała zdobycz i pożarła ją łapczywie. Chwilę później Lhor odwrócił się i zniknął w lesie.

ROZDZIAŁ 2

NOWY DOM

Wielki Druid Aldero stał przed tajemniczym pałacem Shankha, wyczerpany, lecz szczęśliwy, że znalazł w końcu to sekretne miejsce, którego szukał już prawie rok. Był starym człowiekiem miał jednak zapał i determinację młodzieńca. W końcu będzie mógł wypełnić swą misję i zyskać tak długo wyczekiwaną nagrodę, być może ostatnią. Aldero był sam, u kresu sił, ale niemal wyczuwał energię innych druidów, który z pewnością myśleli o nim gdzieś na drugim końcu świata. Potrzebował tego.

Fasada zniszczonej przez czas budowli koloru wypłowiałej ochry, wycięta z jednego bloku, odcinała się od skały, jakby się narodziła, wychodząc z wnętrza góry. Pałac wyrzeźbiony w samym środku ściany żółtego kamienia stanowił cudowny i niepokojący widok. Jaka magia sprawiła, że podobna konstrukcja uszła czujności ludzi? Któż mógł wznieść to dzieło sztuki, jeśli nie starożytny lud, którego wiedza i tajemnice zostały dawno zapomniane? Pionowe linie łączyły się z łukami sklepień i okien z posagową elegancją. Piękno wykute w kamieniu, nieśmiertelne.

Słońce zatrzymało się nad brama świątyni. Wszystko tu zdawało się spokojne, ciche i zimne, nienaruszone i nieskazitelne, niemal martwe a jednak Aldero wiedział, że jego wróg tam jest, ukryty w samym sercu pałacu. Czuł jego obecność, jego ślady w odbłasku kamieni, we wszechogarniającym bezruchu. Jego przeciwnik już tu na niego czeka, gotowy, by zabić. Było już jednak za późno, by się wycofać. Walka była nieuchronna. Jakby jej zapowiedź wykuto wielkimi literami w ciemnej arkadzie na wejściu do pałacu Shankha.

Aldero pochylił ukryta pod kasztanowym kapturem pomarszczoną twarz z długą brodą i wolno położył na ziemi miecz. Wiedział, że nie będzie mu już potrzebny. Z tym wrogiem nie walczyło się metalowym ostrzem. Odłożył podróżną sakwę i rozpiął pas.

Zrobił kilka kroków i zatrzymał się, podniósł ręce do nieba, jakby czynił to po raz ostatni. Poczul przenikającą go energię, biegnącą przez wszystkie żyły, wyostrając świadomość każdego mięśnia, by dać mu całkowitą kontrolę nad ciałem i żywiołami. Dał się unieść własnej mocy, tej wewnętrznej sile, którą uczyli się władać ludzie z jego kasty, a którą zwano Saimanem.

Kiedy przekroczył próg wielkiej bramy, przejął go chłód. Cień przecinał przestrzeń niczym ciemna granica między światem zewnętrznym a lodowatym powietrzem pałacu. Atmosfera była przesiąknięta złem. Złem, które zatrzymywało Aldero z każdym krokiem. Jakby czyjś wzrok śledził go z każdego mrocznego kąta i podążał za nim w ciszy. Wkrótce jego oczy przyzwyczyły się do ciemności i zaczął rozróżniać kształty dookoła. Znajdował się w szerokim holu, do którego schodziły dwie pary bliźniaczych schodów, a ściany niknęły w górze w naprzemiennej grze cieni i światła. Nieliczne

promienie słońca przecinały przestrzeń. Miejscami w świetle unosiły się chmury kurzu tańcząc w wielobarwnym słonecznym widmie. Było to piękne i przerażające zarazem, jakby bezcześciło starożytny grobowiec. Lecz Aldero wiedział, że to nie pora, by zachwycać się pięknym otoczenia. Musiał myśleć wyłącznie o jednym. O walce. Przeżyć albo zginąć. Saiman powoli rozgrzewał jego ciało i ożywiał zmysły. Światła i dzięki wokół niego wyostrzały się a świadomość unosiła się i badała każdy zakątek pomieszczenia, szukając ścieżki, odgłosu bicia serca. W holu nie było nic poza gładkimi kamieniami wysokich ścian. Zamknął oczy i od razu wiedział, że powinien wspiąć się do góry. Aldero opuścił obszerną komnatę i prowadzony przez Saimana po cichu wszedł na schody po lewej stronie. Kiedy był już u szczytu schodów, za jego plecami zogłuszającym hukiem opadła ukryta ściana, uniemożliwiając jakakolwiek ucieczkę. Kiedy otworzył oczy, w jego głosie wciąż jeszcze rozbrzmiewał hałas. Czuł jakby przeznaczenie powoli się za nim zamykało. Nie miał już wyboru. Spróbował opanować nerwy i w końcu zobaczył przed sobą pomieszczenie które widział we śnie. Wzdłuż ścian obszernej, długiej, prostokątnej komnaty ciągnęły się kolumny ozdobione obscenicznymi freskami, sufit zaś był zbyt wysoko, by go dostrzec. Z oddali dochodziło echo nieludzkich krzyków. W głębi jarzyło się intensywne czerwone światło, tworząc na ziemi płomienny krąg odbijający się krwawym blaskiem na ścianach. Przez środek biegła kładka, pod którą płynęła rzeka gotującej się lepkiej czarno-czerwonej lawy z rozbryzgującymi się błyszczącymi bąblami. A na końcu stał tron. Wysoki i wąski, wyglądał jak wyrzeźbiony z ludzkich kości. Na tronie w półmroku rysował się sylwetka niczym posąg z czarnej skały. Maolmordha. Władca Gorgunów, Pan Herlingów, Strażnik Mrocznego Płomienia. Ten, którego druidzi nazywali Renegatem. Był tu. Cierpliwie czekał na Aldero, z rękami spokojnie ułożonymi na oparciu. W jego spojrzeniu iskrzyła się śmierć wszystkich dotychczasowych ofiar i przyszłych wrogów. Nie poruszał się, ale w tym bezruchu była siła. Powolna, destrukcyjna moc, której nic nie mogło powstrzymać. Nie było już niczego ludzkiego w tej milczącej postaci, ani w jej oczach, ani w groźnym uśmiechu, który rysował się na ukrytej w półmroku twarzy. Aldero szedł po wąskiej kładce, starając się nie stracić kontaktu ze swoją mocą, mimo lęku, który obezwładniał go z każdą sekundą coraz bardziej. Jego przeciwnik znajdował się przed nim. Starcie było teraz jedynym wyjściem. Ich spotkanie mogła zakończyć tylko śmierć. A wróg zdawał się znać z góry wynik tej walki.

-Jeden z was w końcu mnie znalazł...

w głosie Maolmordhy brzmiała nienawiść do druidów. Nienawiść wyostrzona przez upływający czas. Nieodwracalna. Zbrodnicza. Skutek nigdy nie gojącej się rany, która uczyniła z niego potwora.

-Przyszedłem cię zabić- odpowiedział po prostu Aldero, próbując znaleźć w sobie pewność godną kasty, do której należał. Jednak choć tak biegły w magicznej sztuce druidów, nie był w stanie pokonać lęku, który przejmował go na myśl o starciu z ich największym wrogiem. Maolmordha wybuchnął śmiechem. Gwałtownie wstał, unosząc ręce na głowę. Jego umięśniona sylwetka, połączenie czarnego metalu i żywego ciała, ukazała się w szkarłatnym blasku otaczającym królewski tron. Pochylił głowę, pokazując nabrzmiałe żyły

rysujące się na ogolonej czaszce. Jego oczy nagle zapłonęły, a postać zdawała się powiększać w miarę jak jego śmiech wypełniał pomieszczenie. Nagle śmiech przeszedł w krzyk wściekłości. Temperatura sali gwałtownie wzrosła. Bulgocząca lawa wezbrała, a ziemia zaczęła drżeć.

Aldero skoncentrował swą energię na otaczającej go przestrzeni, aby ochronić się przed nadchodzącym atakiem. Ogień Saimana zaczął tańczyć wokół jego ciała. W jednej chwili głos ucichł bez echa. Maolmordha rzucił się jak drapieżnik na swoją ofiarę. Aldero uchylił się w ostatnim momencie, o mało nie wpadając do wrzącej lawy. Odzyskał równowagę i przygotował się na kolejny atak. Nie mógł jednak poprzestać wyłącznie na obronie, musiał przejść do ofensywy. Postanowił, że pozwoli by także jego ciało napękało się płonąca energia, nim poszuka sposobu na atak z zaskoczenia. Krzyknął przeciągle, aby skoncentrować Saimana w swoich żyłach, lecz nim jego mięśnie się rozgrzały, Maolmordha przypuścił kolejny atak. Jego ciało zdawało się w jednej chwili rozpląwać i zapalać żywym ogniem. Zaskoczony Aldero skoncentrował się i Maolmordha wykorzystał moment, by się na niego rzucić. Przemienił się w ognistą kulę, przecięła powietrze i eksplodował tuż przed Aldero. Druid w ostatniej chwili skoncentrował swą energię i zdołał się obronić. Skurczone ciało Maolmordhy przybrało znów ludzką postać, rozciągając się zwinnie, a płomienie wciąż jeszcze przebiegały przez jego naprężone mięśnie. Aldero w szale wściekłości próbował uderzyć go pięściami kręcąc się niczym świder, ale przeciwnik uchylił się przed tym atakiem z nadludzka szybkością. Maolmordha znów wybuchnął śmiechem, krążąc wolno wokół Aldero i obrzucając go wzrokiem pełnym pogardy i nienawiści. Nagle twarz Maolmordhy zastygła w niepokojącym grymasie. Chwilę później jego ciało zaczęło się mnożyć i teraz Aldero nie stawał już czoła jednemu przeciwnikowi, lecz czterem. Ciosy padały ze wszystkich stron, jeszcze szybsze niż przy pierwszym natarciu. Maolmordha zanurzył swe płonące ręce w energii, która otaczała i chroniła Aldero, i druid tym razem nie był w stanie odpowiedzieć na niespodziewany szturm. Ogniste ciosy ugodziły go w lewy bok i brzuch. Upadł na kolana, krzycząc z bólu, i w jednej chwili stracił kontrolę nad Saimanem. Zaskoczony i bezbronny Aldero nie stawał już żadnego oporu. Skulony z bólu, który palił mu brzuch, był teraz słaby i uległy. Maolmordha przybrał znów ludzką postać i pochylił się na swym przeciwnikiem:

-Podaj mi imię Samildancha – rozkazał grobowym głosem. Aldero nie mógł się już bronić. Polecenie jegowroga nie było zwykłym rozkazem, lecz zaklęciem. Zaczął mówić prawie bezwiednie.

-Samildanach nazywa się Ilvain Iburan – wyjąkał, a z jego ust wypłynęły strużki krwi. – Ilvain Iburan. Lecz pozostali zabiją cię nim go zobaczysz. Maolmordha... możesz mnie zabić, ale moi towarzysze wiedzą już, gdzie jesteś. Maolmordha znowu wybuchnął śmiechem.

-Bardzo się cieszę, że tu przybyłeś, by do mnie dołączyć, Aldero...

Druid wolno podniósł głowę i patrzył na swego kata w osłupieniu.

-Dołączyć do ciebie?

Maolmordha zamknął oczy. Chwilę później jego ręka zwęziła się i zmieniła w długie, błyszczące, metalowe ostrze, które spuścił jednym ruchem na ciało

Aldero, przecinając je od barku aż po brzuch. Kiedy opadł już unoszący się dookoła dym, Maolmordha pochylił się z uśmiechem na ustach i chwycił dłoń swego umierającego wroga, który leżał w kałuży krwi i wnętrznościach na kamiennej posadzce.

-Żegnaj, biedny głupcze – wyszeptał, a potem wrócił na swój tron, myśląc już o innych martwych. W drugim końcu komnaty ciałem Aldero wstrząsały ostatnie dreszcze.

*

Miasto prawie całkiem pograżyło się już w ciemnościach, kiedy Alea ostatkiem sił dopadła do wielkiej bramy. Osunęła się na kolana, jedną ręką oparła na ziemi, a drugą trzymała się za brzuch, aby złagodzić ból, który teraz zmienił się w mdłości. Co się dzieje? Dlaczego czuje takie skurcze w brzuchu? Ogarniała ją coraz większa panika i w końcu nie była w stanie zatrzymać mdłości. Ze łzami w oczach zaczęła wymiotować na ziemię, o mało nie tracąc równowagi. Nim podniosła głowę, by zaczerpnąć powietrza kilkakrotnie splunęła. W oddali słychać było śmiechy hulaków zbierających się przed gospodami i skrzypienie zamykanych okiennic. Saratea, jak wszystkie miasteczka hrabstwa Sarre, z wolna przygotowywała się do dnu pod dobrymi skrzydłami Mojry. Dziewczynka nie ruszała się przez długą chwilę, próbując odzyskać oddech i dojść do siebie. Wzdychając, podniosła się i ruszyła dalej. Zastanawiała się, czy będzie jeszcze w stanie mówić, tak bardzo paliło ją gardło. Zanurzyła rękę w kieszeni, by ponownie się upewnić, że pierścień jest na miejscu. Sprawdzała to już co najmniej z dziesięć razy. Nie wolno było go zgubić, bo przecież mógł jej posłużyć jako dowód. Kiedy poczuła przyjemny chłód wiatru na karku, zdecydowała się w końcu wejść do miasta i odszukać kapitana Fahrio, dowódcę straży by opowiedzieć mu swą historię. Alea wiedziała, że jak co wieczór kiedy miasto pograżało się w mroku znajdzie kapitana na placu przed oberżą Gaska na Ruszcie, gdzie gromadzili się już gracze w *fidchell*¹

Biegła główną ulicą Saratei, pamiętając by trzymać się pobocza i nie wpaść w płynące środkiem drogi nieczystości. Jednak tego wieczora miasteczko pachniało bardzo ładnie. Co chwila do jej nozdrzy dochodził zapach pieczystego, który mieszał się z wonią żywicy z drewna na opał i ognisk palących się w kominkach. Kiedy światło księżyca z wolna zastępowało blask słońca ulicę rozświetlały błękitno-czerwone refleksy, a w otwartych widać było wysokie żółte płomienie ognia ze skwierczących palenisk. Alea zobaczyła w oddali główny plac miasta a po chwili dostrzegła także kapitana Fahrio wśród ludzi zgromadzonych przed oberżą. Nosił skórzaną zbroję żołnierzy Sarre ozdobioną symbolem jaskółki – herbem hrabstwa. Pod prawą pachą trzymał swój hełm z przyłbicą, a w lewej dłoni skórzane rękawice. Kapitan zwykł przychodzić w to miejsce o tej porze, by porozmawiać z mieszkańcami zanurzyć się w atmosferze gadulstwa próżniactw, a wśród plotek wynajdować wszelkie informacje użyteczne dla bezpieczeństwa Saratei... O mieszkańcach Sarre mówiono zresztą że są najbardziej gadatliwi w całym królestwie Gaelli.

¹ Celtycka gra planszowa przypominająca szachy (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza)
<http://chomikuj.pl/Manija.B>

-Zdaje się, że król będzie się żenił – ogłosił poufnym tonem przekupień z silnym akcentem wieśniaków z Sarre.

-Lepiej by się zajął tymi chrześcijanami z Harcourt – rzucił inny. – Ci nawiedzeni podobno wysyłają swoich Rycerzy Płomienia aż do nas, tylko patrzeć jak przyjdą do naszych miast i zaczną nawracać nas siłą... ja tam sądzę że trzeba powiesić hrabiego Al.'Roega, zając Harcourt i pozbyć się chrześcijan. Wszyscy się z nim zgodzili, z wyjątkiem Fahrio, którego stopień wojskowy i pozycja zobowiązywały do prezentowania wiecznie zasepionej miny.

-Kuzyn mi opowiadał – podjął przekupień – że Rycerze Płomienia wycieli w pień całą wioskę, bo jej mieszkańcy nie chcieli przyjąć tego ich przekłętego biskupa.

-Thomasa Aeditusa.

-Jeśli ten kretyn Eoghan nic z tym nie zrobi chrześcijanie wszystkich nas wybiją.

-Nie mówcie tak o Najjaśniejszym Panu! – wtrącił się Fahrio.

Plotkarze zamilkli na chwilę. Obecność kapitana zmuszała ich jednak do pilnowania zbyt ostrych języków.

-Czy to prawda, że będzie się żenił? – zapytał ktoś w końcu.

-Tak to prawda – odpowiedział Fahrio poważnym tonem.

-Z panną z Galacji?

-Słyszałem, że z młodą damą pochodzącą z naszego hrabstwa...

-Z dziewczyną z Sarre? – zdziwili się mieszkańcy.

Zamiast odpowiedzieć kapitan zmarszczył brwi wpatrując się w drugi koniec ulicy.

-Co to za dziecko tam biegnie? – zapytał zgromadzonych, którzy patrzyli teraz w tym samym kierunku.

Alea dotarła wreszcie zdyszana na plac.

-Kapitanie! Kapitanie! – krzyczała zanim dobiegła zgięta wpół do grupki ludzi przed oberżą.

Kapitan Fahrio podszedł do dziewczynki.

-No proszę na Mojrzę! Czy to nie mała Alea? Powiedz mi moje dziecko podobno znowu dzisiaj narozrabiałaś...

-Proszę mnie posłuchać kapitanie odkryłam coś niezwykłego na południe od miasta na samym środku wrzosowiska...Musicie to zobaczyć.

Pozostali zebrani podeszli bliżej zaciekawieni otaczając dziewczynkę. Alea spostrzegła rzeźnika Almara, swojego zaprzysięgłego wroga z rękami splecionymi na opasłym brzuchu. Jego koszula była poplamiona zwierzęcą krwią.

-Co ty opowiadasz? – przerwał jej kapitan z błyskiem w oku i uśmiechem na ustach.

-Znalazłam ciało zagrzebane w psiaku na wrzosowiskach kapitanie. Starego człowieka. Był zakopany w ziemi wystawała tylko ręka. Rzeźnik Almar wybuchnął śmiechem poklepując się po brzuchu.

-Ta to jest niezła! Ta mała złodziejka jest gotowa opowiadać najgorsze banialuki byle tylko zwrócić na siebie uwagę – kpił, rozśmieszając pozostałych zgromadzonych.

-Wcale nie! Przysięgam, że to prawda. Patrzcie – wykrzyknęła Alea, wyciągając pierścień z kieszeni – miał na palcu ten pierścień!

-Ach! Tak właśnie myślałem – podjął Almar zanim kapitan zdążył zareagować – Znowu kogoś okradłaś i wymyślasz te bajki, żeby uszło ci płazem tak? Możliwe, że to ty zabiłaś tego starca!

-Zamknij się! – wrzasnęła dziewczynka w przypiływie dzikiej wściekłości. Jej okrzyk przeciął powietrze niczym błyskawica, był tak potężny, że przeraził ją samą. W tej samej chwili Almar został rzucony na ziemię dwa metry do tyłu, jakby otrzymał silnego kopniaka.

Na oczach zdziwionych mieszkańców, oglądających całą scenę z otwartymi ustami rzeźnik upadł na tłuste pośladki. Na widok ogłupiałej miny Almara wszyscy wybuchnęli śmiechem. Tylko Alei nie było do śmiechu. Jej ciałem wstrząsnął silny spazm, taki sam jak poczuła gdy dłoń nieboszczyka na wrzosowisku zacisnęła się na jej ręce. Co się z nią działo? Całkowicie zdezorientowana zaczęła coś bełkotać.

W końcu kapitan wydobył ją z odrętwienia. Miał z małą do czynienia już kilka razy i wiedział że nie było to złe dziecko.

-No dobrze. Posłuchaj Aleo pójdę tam jutro rano. Ale ty źle wyglądasz... Bardzo źle. Czy masz czym opłacić nocleg w oberży?

-Tak – skłamała Alea.

-Obiecuję ci, że wszystko sprawdzę, ale pod jednym warunkiem. Pójdiesz spać do oberży i przyrzekniesz, że będziesz choć raz siedzieć przez chwilę spokojnie. Zrozumiano?

Alea kiwnęła głową. Zastanawiał się jak zapłaci za nocleg jeśli Fahrio odprowadzi ją do oberży by się upewnić że nie będzie spała na ulicy. Nie miała ani grosza. Gdyby posiadała jakiegokolwiek pieniądze, nigdy nie próbowałaby okraść Almara.

-A co do ciebie, Almarze – dodał kapitan – lepiej nie pij tyle wieczorami, nie trzymasz się już na nogach grubasie.

Plotkarze rozeszli się ze śmiechem, a oszołomiony Almar odszedł bez słowa, odwracając się czasem by rzucić Alei pełne niepokoju ukradkowe spojrzenie. W jednej chwili plac opustoszał. Alea próbowała dojść do siebie, ale widząc, że kapitan jej pilnuje, skierowała się do Gąski na Ruszcie.

*

Przez osiem długich tygodni Imala pozostawała w legowisku i karmiła młode. Musiała jednak zostawić je kilka razy, by zdobyć pożywienie, ponieważ sfera nie raczyła się już z nią niczym podzielić. Odbijało się to na rozwoju jej dzieci. Choć były w tym samym wieku, co potomstwo Aheny, zdawały się chudsze i słabsze. Imala była wygłodzona i wyczerpana. Karmienie małych stało się bolesne i bardzo straciła na wadze. Spod jej wyleniałej skóry wystawały kości.

Kiedy pierwszy raz zostawiła małe same na dłużej niż jedną noc były jeszcze bardzo niezdarne i cherlawe. Wróciła z sarną, którą obroniła przed resztą stada i położyła przy swoim legowisku, zaczęła zjadać zdobycz i dała małym przeżute kawałki mięsa. Z pewnością dzięki temu pozostały przy życiu, bo traciły już siły

głodując od ponad tygodnia. Pewnego ranka, kiedy na szkielecie sarny nie zostało już nic do jedzenia Imala znów ruszyła na polowanie zupełnie sama w głąb puszczy. Wilczki, które nie mogły już wysiedzieć w legowisku, gdy zewsząd słyszały wołanie natury skorzystały z nieobecności matki by odkrywać najbliższe okolice jaskini. Tam spotkały małe Aheny, rozbiegane i pełne życia, które bawiły się w trawie goniąc się gryząc i walcząc. Dzieci Aheny bardzo się ucieszyły na widok nowych towarzyszy do zabawy. Podbiegły do nich trącając noskami by je zachęcić. Wilczki Imali dały się wciągnąć w zabawę jednak osłabione z niedożywienia były zbyt łatwym do pokonania przeciwnikiem, ledwie mogły się bronić i po tej zbyt brutalnej zabawie były bardzo wyczerpane. Kiedy małe Aheny się zmęczyły, pobiegły w stronę legowiska swojej matki, a wilczki Imali chwiejnym krokiem podążyły za nimi. Zasnęły razem i zbudziło je dopiero walczenie samicy dominującej, najwyraźniej zdziwionej na widok dzieci Imali śpiących obok jej potomstwa. Ahena wpadła w dziką wściekłość i rzuciła się na intruzów.

Pierwszemu szczeniakowi wgryzła się w gardło i jednym gwałtownym szarpnięciem skręciła kark. Zginął nie wydawszy nawet najmniejszego jęku. Widok krwi jeszcze bardziej rozjuszył wilczycę, która rzuciła się na cztery pozostałe wilczki. Warcząc wyrzuciła jednego po drugim z jaskini. Cztery wątłe szczeniaki leżały wkrótce w kałuży krwi, rozszarpane przez Ahenę. Kiedy upewniła się, że żaden z nich już się nie rusza, wróciła na swoje legowisko, na którym czekały jej własne młode drżące z przerażenia. Położyła się wydając przeciągłe westchnienie.

Wieczorem, kiedy Imala wróciła z nieudanego polowania znalazła czworo swoich dzieci martwych i piąte, które leżeć na boku ledwie oddychało. Przerażona zaczęła turlać ciała swoich wilczków nosem, jakby w ten sposób chciała przywrócić im życie. Wkrótce jednak pogodziła się z rzeczywistością zostawiła ciała martwych dzieci u wejścia do jaskini i delikatnie przeniosła ocalałego szczeniaka na legowisko. Długo lizała ostatniego wilczka który wydawała słabe jęki przerywane nieregularnym oddechem. Jego szara sierść na szyi i wzdłuż boków posklejana była krwią.

Kiedy pozostałe wilki powróciły do jaskini poczuły zapach martwych szceniąt. Imala podniosła się z nastroszoną sierścią, warcząc i szczerząc kły. Wyglądała tak groźnie, że wilki odsuwały się z podkulonymi ogonami i nie śmiały dotknąć zakrwawionych szczeniaków. Imala położyła się przy swoim ostatnim małym i wydając ciężkie westchnienie, delikatnie ułożyła głowę przy umęczonym poranionym ciałku.

Następnego ranka cztery ciała zniknęły. Imala nie próbowała dociec gdzie, wołała poświecić się wilczkowi, który u jej boku skomlał z bólu. Nie miał już mleka, by go nakarmić ani kawałka mięsa by się posilić. Musiała znów wyruszyć na polowanie ale nie chciała zostawiać wilczka bo bała się że gdy wróci będzie już martwy. Wzięła go w zęby najdelikatniej jak umiała i wolno wyszła z jaskini, zastawiając za sobą całkowicie obojętną sfore. Nie zwalniając, przeszła obok małych Aheny bawiących się u wejścia do jaskini i z podkulonym, ogonem zagłębiła się w las. W tej chwili wiedziała, że nigdy już ni wróci do tego stada.

Długo szła przez dębowy las. Ciepły letni dzień, kolory lasu i radosny śpiew ptaków nie mogły jednak poprawić jej nastroju. Imala była wyczerpana, niespokojna i zrozpaczona.

Wilczek już dawno nie żył, kiedy poczuła ze się nie porusza, a jego małe ciało stało się zimne. Wciąż jednak szła, trzymając swe ostatnie martwe dziecko w zębach i zatrzymała się dopiero o zmierzchu, by złożyć nieruchome ciało pod wystającym korzeniem wielkiego dębu.

Usiadła i długo wyła, na próżno czekając na pocieszającą odpowiedź innych wilków, po czym oddaliła się szybkim i pewnym krokiem w noc, by uciec jak najdalej od rozdzierających wspomnień. W ten sposób jak głosi legenda, Imala została samotną wilczycą.

*

-Ile mi dacie za ten pierścień?

Kerry, brzuchaty właściciel oberży Gąska na Ruszcie przyglądał się dziewczynce nieufnie, nim zdecydował się obejrzeć klejnot. W oberży zebrał się już spory tłum. Było wielu mieszczan zmęczonych po całym dniu ciężkiej pracy a także żołnierzy w żółtych mundurach hrabstwa Sarre oraz trupa wędrownych aktorów, których wóz Alea widziała już na rynku miasteczka. W gwarze ledwie było słychać trzask drew w kominku, wokół którego gromadzili się gracze w *fidchell* kiedy przy stolikach na zewnątrz nie było już miejsca. Dziewczynka nie czuła się zbyt swobodnie pośród tych wszystkich dorosłych, ale gniewu kapitana Fahrio lepiej było unikać. Poza tym wystrój oberży miał w sobie coś uspokajającego. Kilka wiszących na kamiennych ścianach lampionów z kolorowymi szybkami oświetlało pomieszczenie raz czerwonymi, raz zielonymi refleksami. Ławki i krzesła wyściełane grubą tkaniną w kolorze ochry zapraszały do odpoczynku i odprężenia, a w powietrzu unosił się smakowity zapach pieczonego w kuchni mięsiwa. Alea nigdy wcześniej nie wchodziła do oberży, ale zawsze wyobrażała sobie, że jej gospodarze prowadzą wygodne życie. Było tam wystarczająco ciemno by czuć się bezpiecznie i nie rzucać się w oczy, a zarazem wystarczająco jasno, by atmosfera emanowała przyjemnym ciepłem.

-Komu go ukradłaś? – zapytał oberżysta, odsuwając dłoń Alei zaciskającą pierścień.

-Wcale go nie ukradłam! To wszystko, co zostało mi po mojej matce, a nie mam czym zapłacić za nocleg w waszej oberży...

Alea kłamała tak nieudolnie, z uśmiechem w kącikach ust, że oberżysta zastanawiał się czy nie robi tego specjalnie, aby go rozczulić. Zresztą, jeśli rzeczywiście tak było, to właśnie zaczynało to działać.

-Nie wierze w ani jedno twoje słowo i nie ma mowy, bym kupił od ciebie ten skradziony pierścionek, ale jeśli chcesz, możesz zostać tu dzisiaj na noc, pod warunkiem, że pomożesz mojej żonie w kuchni. Dostaniesz też dobry posiłek, a wierz mi moja żona jest najlepszą kucharką w całej Saratei.

Położył rękę na ciężkich dębowych drzwiach i pochylił głowę w kierunku dziewczynki.

-Zgadzasz się? – zapytał.

Alea udała, że się waha.

-No dobrze zgoda – powiedziała w końcu.

Oberżysta się uśmiechnął. Zawsze rozczulała go ta mała biegająca po ulicach Saratei. Kiedy tylko mógł, pomagał jej kupując wszystko co miała do sprzedania, nawet jeśli wcale tego nie potrzebował. Kilka razy proponował jej pracę, ale wyglądało na to, że dziewczynka nie potrafi usiedzieć w miejscu.

-Doskonale. Masz na imię Alea, tak?

Mała przytaknęła. Oberżysta uśmiechnął się do niej uprzejmie, po czym odwrócił się w stronę kuchni, by przywołać żonę.

-Tara! Chodź no tu zobacz, kogo też Mojra nam dzisiaj przyniosła! Przygotuj proszę kąpiel i pokój dla tej paniąki, a ona pomoże ci za to w kuchni.

W drzwiach pojawiła się kobieta. Była niska i gruba a jej pulchną twarz zdobił szeroki uśmiech. Alea uznał, że dokładnie pasuje do jej wyobrażenia prawdziwej oberżystki z Sarre i że jest niezwykle sympatyczna.

-Chodź ze mną moja mała. Masz szczęście mamy dziś wolny pokój.

Niecałą godzinę później Tara przygotowała pokój dla Alei i nalała jej wielką balię ciepłej wody. Dziewczynka zapomniała o mdłościach i bólu brzucha wyciągnęła się wygodnie w kąpeli, wzdychając z wielką ulgą. Od bardzo dawna nie czuła się tak dobrze. Goraca woda była niczym pieśczęta dla jej skóry i Alea poddała się temu cudownemu nowemu uczuciu komfortu i zadowolenia. Po kilku chwilach wyjęła z kieszeni leżącego obok balii ubrania pierścień i przyglądała mu się długo. Klejnot był wspaniały i Alea cieszyła się, że mogła go zatrzymać. Podniosła pierścień, by promienie światła przeszły przez czerwony drogocenny kamień, i wtedy odkryła symbole wygrawerowane po wewnętrznej stronie obrączki. Zbliżyła pierścień do oczu i zdołała zobaczyć, co dokładnie było tam narysowane: dwie dłonie osłaniające koronę i serce.

Rysunek był misterny i bardzo piękny. Alea uśmiechnęła się do siebie. Nie wiedziała, co oznaczają te symbole, ale była pewna, że ich istnienie jeszcze bardziej zwiększa wartość pierścienia.

Kiedy w końcu poczuła się gotowa, ubrała się i zeszła do kuchni gdzie zastała Tarę. Oberżystka nie należała do osób cichych i milczących. Nie przestawała mówić do dziewczynki jednocześnie przygotowując dania, z których słynęła oberża Gąska na Ruszcie: podawaną jako przystawkę szynkę pieczoną w miodzie i pokrojoną w drobną kostkę, perliczkę faszerowaną białymi rodzynkami w sosie z gotowanego wina, prosiaka pieczonego na ruszcie i serwowanego z karmelizowanymi gotowanymi jabłkami oraz specjalność Tary – płonący udziec dzika w czosnku, podlewany okowitą, podawany z faszerowanymi pomidorami i wielkimi pieczonymi cebulami. Kuchnia była niemal tak duża jak główna izba, przy ścianach wisiała imponująca liczba garnków i kuchennych przyrządów, niektórych tak dziwnych, że Alea nie potrafiła ani ich nazwać, ani zgadnąć do czego służą.

-Mogłabyś zostać z nami, gdybyś tylko chciała, moja mała. Zresztą już dawno powinnaś do nas przyjść zamiast błąkać się po ulicach.

Alea milczała. Intrygowała ją dobroć oberżystki, ale nie traciła swej wrodzonej nieufności. Choć oberżysta oferował jej już kiedyś pracę, pierwszy raz tak

poważnie proponowano jej zatrudnienie i wydawało jej się to równie niepokojące, co wspaniałe... Nie wiedziała, co powiedzieć. W podobnych okolicznościach czuła się zawsze niezwykle samotna i bezbronna. Nie nauczono jej rozmawiać z dorosłymi ani tym bardziej przyjmować bezinteresowną szczodrość. Nagle Alea poczuła się niewiarygodnie biedna i nieszczęśliwa, zupełnie niezdolna, by zareagować. Nigdy tak bardzo nie żałowała tego, że jest sierotą jak w tej chwili. Z trudem powstrzymywała łzy wstydu, które napływały jej do oczu.

-Potrafisz gotować? – zapytała Tara po kilku chwilach milczenia, wycierając ręce w fartuch. Alea wahala się przez chwilę, ale zrozumiała, że nie może zachowywać się jak niemowa przez cały wieczór.

-Niespecjalnie – odpowiedziała wreszcie.

-A co potrafisz robić? – zapytała bez złośliwości oberżystka.

-mogę robic wszystko, jeśli tylko wytłumaczy mi pani jak – pochwaliła się dziewczynka, odzyskując nieco pewności siebie.

Tara uśmiechnęła się, wzięła dłoń alei w swoją i nasypała nią odrobinę soli. Bardzo to zdziwiło dziewczynkę, więc po chwili wahania zapytała:

-Dlaczego pani to zrobiła?

Oberżystka zdawała się zaskoczona, że Alea nie zna znaczenia tego gestu. Alea jednak od zawsze żyła na ulicy i nie mogła znać wszystkich tradycji hrabstwa Sarre.

-Aby zjednać ci przychylność Mojry, moje dziecko. Nie trzeba wymagać zbyt wiele od Mojry, bo jest zmienna, kapryśna i łatwo się irytuje, ale od czasu do czasu można ją prosić o drobną przysługę, prawda? Chciałaby, aby w końcu zaopiekowała się tobą. Chciałabym żebyś u nas pracowała.

I w ten sposób jeszcze tego wieczora Alea obsługiwała gości oberży w godzinie, o której wszystkie porządne dziewczynki w jej wieku kładą się grzecznie spać. Raz czy dwa pomyliła dania serwowane klientom, poparzyła sobie palce gorącym talerzem, stłukła kubek, ale ogólni rzecz biorąc, wykazała się zadziwiającym hartem ducha, który zjednał uśmiech oberżystów i ich gości. Ci, którzy ja rozpoznawali, dziwili się, wiedząc jak pracuje. Jednych to cieszyło, inni zakładali się, że nie wytrzyma nawet dwóch dni.

Późnym wieczorem, kiedy zmęczenie już dawało się jej we znaki, Alea zauważyła kobietę niezwyklej urody, która weszła do oberż z harfą pod pachą. Klienci zamilkli na chwilę, a kiedy powrócili do rozmowy, czynili to ze zdwojoną wesołością, jakby wejście tej kobiety ich wszystkich oczarowało. Nieznajoma była ubrana inaczej niż kobiety z Saratei i poruszała się z niezwykle śmiałością i wdziękiem. Nosila stanik z wysokim kołnierzem i bufiastymi rękawami, w kolorze błękitu, który dodawał jej postaci szlacheckiej godności. Było to błękit bardów, kolor dla nich zastrzeżony, dzięki czemu Alea nie miała żadnego problemu, by zgadnąć jaką profesją para się nowo przybyła. Kobieta bard! Niewiarygodne! Na jej staniku wyszyta była wdzięczna sylwetka jednorożca, jej herb. Zamiast spódnicy nosila długie, lekkie czarne spodnie, które przywierały do jej skóry, podkreślając zarys jej długich nóg. Jej rude włosy spływały na plecy kaskadą powabnych loków.

-Dobry wieczór Faith – powiedział oberżysta, odkładając ścierkę na kontuar, aby powitać kobietę z otwartymi ramionami. – Tak dawno się nie widzieliśmy! Gdzie się podziewałaś?

Alea była zaskoczona, że dama w stroju barda zna oberżystów. Kobieta uściskała Kerre'go, a następnie wyciągnęła rękę do Tary, która pojawiła się za kontuarem.

-Witajcie przyjaciele. Podróżowałam po hrabstwie Harcourt, mając nadzieję, że moje pieśni i nowiny ukoją serca jego mieszkańców, ale nie łatwo tam żyć, jeśli odrzuca się wiarę w tego ich Chrystusa. Tak więc jestem z powrotem, z kilkoma nowymi pieśniami dla mieszkańców Sarre.

-Zostaniesz u nas dziś wieczorem, prawda? – zapytała Tara, przygotowując stolik nowoprzybyłej.

-Oczywiście, jeśli poczęstujecie mnie kawałkiem waszej słynnej perliczki.

Tara odpowiedziała jej mrugnięciem oka, a następnie podeszła do Alei. Mała zdała sobie wówczas sprawę, że od chwili wejścia tej kobiety do oberży stoi nieruchoma z rozdziawioną buzią, podziwiając jej piękną twarz i intensywnie błyszczące oczy.

-Myślę, że wystarczająco się już dzisiaj napracowałaś, Aleo. Czas, byś trochę odpoczęła. Chodź, usiądź tutaj, przy kontuarze, przyniosę ci coś do jedzenia i będziesz mogła posłuchać Faith. Jest najlepszym bardem w całym hrabstwie, wierz mi. Żaden inny nie zna tak wciągających historii i tak pięknych pieśni. Co byś zjadła?

-Pierwszy raz w życiu widzę, kobietę barda! – wyznała dziewczynka, zamiast odpowiedzieć.

-No tak rozumiem twoje podniecenie! Bardowie to ludzie naprawdę niezwykli. Wiesz, poznają nauczanie druidów, następnie muszą przemierzać ziemię, by rozpowszechnić swoje pieśni i historie, a także po to, by przekazać wiadomości z miasteczka do miasteczka. Faith często tu bywa.

-Druida też nigdy nie widziałam...

-Druidzi są bardzo zajęci ostatnimi czasy. Dawniej częściej się ich widywało, ale odkąd stosunki z hrabstwem Harcourt stały się napięte, mają ważniejsze sprawy na głowie. A teraz usiądź i posłuchaj Faith.

Alea nie dała się długo prosić i usiadła za stołem, nie spuszczając kobiety z oczu. Kobieta bard! To coś zupełnie nowego! Jakaż była piękna, jaka szczupła! To była najbardziej elegancka osoba, jaką Alea widziała w życiu. Dziewczynka przyłapała się na marzeniu, że kiedy dorośnie, będzie miała taką samą sylwetkę, tę samą szlachetność, a może także ten sam zawód. Bardowie zwiedzają tyle obcych krain, muszą mieć tyle przygód! Kobieta bard wywołała w Alei wielką fascynację i zdała sobie sprawę, kiedy skrzyżowały się ich spojrzenia.

Faith posłała dziewczynce ciepły uśmiech.

Alea była tak urzeczona, że zupełnie zapomniała o swych przykrych przygodach, o okrucieństwie rzeźnika Almara, panicznej ucieczce na wrzosowisko, gorzkich łzach, trupie zakopanym w pisaku nawet o wspaniałym pierścieniu spoczywającym na dnie jej kieszeni. Nie myślała już o tym wszystkim. Pozwoliła się ukołysać i poddała się magii tego miejsca, zapachom pieczenia, drgającym czerwono-zielonym refleksom lampionów, dobroci

gospodarzy, a przede wszystkim czarowi tej tajemniczej kobiety, która przed nią stała. Alea pochłaniała smakowitą szynkę, którą podała jej Tara i entuzjastycznie przyklasnęła, gdy Faith przysiadła na brzegu stołu z harfą w rękach, przygotowując się do pierwszej pieśni.

-Oto pieśń, którą śpiewają elfy w Lesie Borceliańskim. Przełożyłam ją na nasz język, ale nie zmieniłam melodii, dzięki czemu zobaczycie, jak elfy znają się na muzyce...

-Ale elfy nie istnieją! – wykrzyknęła Alea kilka stolików dalej i od razu pożałowała swoich słów, bo wszystkie spojrzenia skierowały się na nią.

Twarz poczerwieniała jej aż po cebulki włosów. Uśmiechnęła się z zażenowaniem, a jej niebieskie oczy błyszczały wstydem. Była tak oczarowana pieśniarką, że niemal zapomniała o obecności innych ludzi w obozisku. Tak bardzo chciała z nią porozmawiać, że nie mogła powstrzymać słów, które przebiegły jej przez głowę.

Na szczęście kobieta uśmiechnęła się do niej. Powoli położyła harfę na brzegu stołu i zaległa zupełna cisza, zaczęła opowiadać historię, nie spuszczać wzroku z dziewczynki, a samo brzmienie jej głosu było jak najpiękniejsza poezja.

ROZDZIAŁ 3

DRUID

A oto historia Faith:

-Dawno, dawno temu mieszkał na tej ziemi stary król o imieniu Toland, który był dobry i sprawiedliwy. Kazała om wznieść sobie wspaniałą siedzibę – zamek tak bogaty, że dziś żaden władca nie byłby stanie takiego zbudować – w mieście Providence, które wówczas nie nazywało się Providence. Lecz Amelson.

Królestwo Tolanda rozciągało się od Zatoki Ebonu aż po północne krańce Gaelii. Jego poddani żyli spokojnie z połowu ryb, polowania, hodowli zwierząt lub uprawy ziemi. Było to jeszcze przed przybyciem Galatyjczyków, a nawet długo przed wzniesieniem na północy cudownego pałacu Sai-Mina.

W tamtych czasach tę przebogatą ziemię zamieszkiwali ludzie, krasnoludy, chochliki, wilki i inne stworzenia, niektóre dziś już zapomniane, a wszyscy żyli w zgodzie i doskonałej harmonii. Kraina ta była niczym wielka wioska, w której wszyscy się znają i kochają. Nie było wojen, a ludzie znali tylko ziemię, drzewa, kwiaty, ptaki, morze, ryby i słońce...

Lecz gdy król coraz bardziej się starzał, jego syn Ersen począł się niecierpliwić. Ersen był młodzieńcem równie ambitnym, co egoistycznym i pragnął tylko jednego: zając miejsce ojca i rządzić królestwem wedle własnej woli. Królowa zmarła kilka lat wcześniej a król zajęty sprawami państwa nie zadbał o właściwe wychowanie syna. Żałował tego przez całe życie jak żałują wszyscy nieobecni ojcowie. Jednak biedny Toland, który był dobry i sprawiedliwy, starał się zapewnić edukację królewiczowi. Wzniósł więc dla niego wspaniałe miasto na wyspie Mont-Tombe, które nazywano Mur Ollavan, to znaczy miasto mędrców. Toland sprowadził tam bowiem największych uczonych. Było to w czasach, gdy wiedzę przekazywano za pomocą ksiąg, przed przybyciem druidów. Tak, później druidzi przekonali nas o wyższości słowa mówionego na pisanym. Bowiem prawdziwą mądrość usta przekazują uszom niczym cenny sekret. Lecz mogę wam także powiedzieć, że to właśnie na ruinach miasta Mur Ollavan Thomas Aeditus zbudował uniwersytet na Mont-Tombe, ponieważ wierzył on w słowo pisane. I muszę wyznać, choć nie darzę tego Aeditusa wielkim szacunkiem, że jego biblioteka jest najbogatsza w całej Gaelii. Odwiedziłam wszystkie wielkie miasta tego świata widziałam Farfanaro, Tarneę, Providence i Rię, widziałam też wielkie miasta za południowymi morzami, ale nigdzie nie spotkałam biblioteki wspanialszej od tej na Mont-Tombe. Kopiści pracują tam dniami i nocami, przepisując najcenniejsze księgi na wyprawionej skórze baraniej. Znajduje się tam jedyny egzemplarz Księgi Inwazji, a także wielkie mapy świata narysowane przez marynarzy z Bizanii. Jedno życie nie wystarczy by przeczytać wszystkie znajdujące się tam księgi.

Po kilki latach spędzonych na naukach w Mur Ollavan książę Ersen zdobył doskonale wykształcenie. Och, oczywiście sporo brakowało mu do erudycji

druidów, ale znał świetnie geografie, historię i starożytną filozofię. A choć nie było wówczas wojen, młody książę nalegał, by nauczono go zasad walki i strategii militarnej. Nie mógł znieść bierności swojego ojca i pragnął ciągnąc zyski ze wszystkich podległych koronie ziem. Wiedza w służbie władzy to często nie najlepsze połączenie, jeśli zabraknie dobroci.

Zanim jeszcze został królem, młody Ersen postanowił przejechać cały kraj, by zapewnić sobie władzę nad poddanymi ojca, ustanowić nowe podatki i sprawdzić, czy wszyscy przestrzegają królewskiego prawa, tak jak on to prawo rozumiał. Przemierzał królestwo konno wzdłuż i wszerz na czele trzystuosobowej armii, pomimo protestów ojca. Tam, gdzie Toland potrafił wzbudzić miłość i szacunek swoich poddanych, młody książę szybko zostawał znienawidzony za swe okrucieństwo i egoizm. Jednakże był on wybitnym dowódcą, zręcznym manipulatorem biegłym w retoryce i z łatwością przekonywał żołnierzy o słuszności swej misji. Zaledwie po kilku tygodniach podróży trzystu żołnierzy towarzyszący Ersenowi zamieniło się w dzikich brutalni, tępych i przerażająco posłusznych.

Skargi poddanych szybko dotarły do zamku króla w Amelson i biedny Toland popadł w głęboką rozpacz. Był już stary i wiedział, że kiedy umrze, zostawi swych poddanych na łasce i niełasce syna, który w niczym nie był do niego podobny, którego okrucieństwo wciąż wzrastało i na którego nie miał już żadnego wpływu. Toland zapytał więc swych doradców, co powinien uczynić, ale wszyscy widzieli tylko jedno wyjście: pozbyć się niegodnego syna. Toland nie potrafił się na to zdobyć i jeszcze bardziej powiększyło to jego rozpacz. Pewnego dnia, kiedy król trapiiony przez boleść i niepokój już bliski śmierci, do zamku przybył dziwny posłaniec ubrany w czarną szatę, z głową ukrytą pod obszernym kapturem, i poprosił króla o audiencję. Królewscy doradcy, zważywszy na okoliczności nie chcieli się na to zgodzić, jednak przybysz tak nalegał, że udało mu się w końcu ich przekonać i poprowadzono go do łoża umierającego. Być może użył on magii.

Był wysoki, szczupły i poruszał się z gracją. Coś w jego postawie wzbudzało szacunek. Zachowywał się jak król.

„Panie – przemówił, zdejmując kaptur i ukazując swe delikatne rysy, wydłużone uszy i dziwny kolor skóry, której powierzchnia przypominała drewno – jestem Oberon, król elfów i przybyłem z Lasu Borceliańskiego, by zaoferować ci naszą pomoc”.

„Inny król w moim królestwie?” – wyjąkał Toland, zanosząc się kaszlem. Elf wyjął z kieszeni ususzony kwiat, który zachował swą intensywną, różową barwę.

„Co roku Drzewo Życia w naszym lesie rodzi kwiat, który my elfy nazywamy Muskarią”

„Co to jest Drzewo Życia i kto mieszka w moim lesie?” – zapytał król.

Lecz elf nie odpowiedział, tylko kontynuował swą historię, spokojnym i cichym głosem, jakby mówił do dziecka:

„Kto zje ten kwiat, młodziej o rok. To dar od Drzewa Życia. I jak mówi legenda, jeśli człowiek co roku zje nową Muskarię, będzie nieśmiertelny.

Toland zmarszczył brwi, rzucając niespokojne spojrzenie swym doradcą stojącym za plecami elfa, ale ci zdawali się bardziej zainteresowani kwiatem niż umierającym królem.

„Spożyj ten kwiat, panie, a co roku elfy oferują ci kolejny, dzięki temu będziesz żył wiecznie i twój syn nigdy nie wstąpi na tron.”

Dwaj monarchowie, ludzki i elficki, rozmawiali aż do zmierzchu, a kiedy słońce schowało się zupełnie za różowymi szczytami gór Gor-Draaka, król Toland przyjął dar elfów.

I tak każdego roku król młodniał o rok. Bardzo szybko odzyskał swą dawną sprawność i energię. Książę Ersen zrozumiał, że skradziono mu jego przeznaczenie, wpadł w szał zaatakował ojca ze swą liczącą pięciuset ludzi armią. Lecz wojska króla były silniejsze i Ersen zginął na polu walki, na oczach swego rozpaczającego ojca, który jak wiecie był dobry i sprawiedliwy.

W następnym roku król przestał jeść Muskarię ofiarowaną przez elfy. Miał już wtedy drugiego syna z drugą żoną, a kiedy dziecię to osiągnęło wiek, w którym mogło przejąć rządy, Toland kazał mu przyrzec, że dochowa przymierza z elfami. Następnej zimy zmarł. Jego syn był także królem dobrym i sprawiedliwym – dotrzymał obietnicy, jaką Toland złożył elfom i czynią to po nim wszyscy królowie aż do dziś.

-A co to za obietnica? – zapytała Alea, kiedy Faith zamknęła oczy jakby czekała na to pytanie.

-Że Las Borceliański i jego sekrety będą na zawsze chronione przez monarchę. To właśnie dlatego wiemy o elfach tak mało, że niektóre małe dziewczynki wątpią nawet w ich istnienie.

Wszyscy goście oberży nagrodzili występ gromkimi oklaskami, niektórzy ze śmiechem. Faith puściła oko do Alei, po czym wzięła do rąk harfę, by w końcu zaśpiewać swą pieśń.

*Jeden. Nie ma pieśni dla liczby jeden.
Bo tylko jedna rzecz jest jedyna,
Nie ma nic przed nią ani po niej: to Śmierć.*

*Dwa woły zaprzęgnięte do wozu
Ciagną aktorów po gościńcu
Aż do śmierci, cóż za smutek!*

*Trzy części świata,
Trzy początki i trzy końce,
Trzy królestwa dla Samildanacha.*

*Cztery kamienie do zaostrzenia,
Aby naostrzyć miecz odważnych
Na czterech krańcach Gaelii.*

Pięć er w dziejach świata,

*Dla bogów, zwierząt i ludzi,
Pięć er, później początek*

*Sześć roślin leczniczych
A w małym kociolku
Krasnolud warzy napój.*

*Siedem planet pośród nas
Siedem strun na harfie barda
Które stroją się z harmonią świata.*

*Osiem dmących wiatrów
Znad ośmiu mórz świata
Nad górą wojny.*

*Dziewięć tańczących chochlików
Dziewięciu polujących Herilimów
Dziewięć cyfr streszcza świat.*

*Dziesięć statków wroga
Które widziano na południu,
Biada nam!*

*Jedenastu zbrojnych mnichów
Ze złamanymi mieczami
W zakrwawionych szatach.*

*Dwanaście miesięcy w roku
Dwunastu Wielkich Druidów
Aby wszystko zakończyć*

*

Późną nocą, kiedy ostatni klient wyszedł z oberży, Alea podziękowała swym gospodarzom i wyczerpana poszła do pokoju, który dla niej przygotowali. Znów bolał ją brzuch i pragnęła choć trochę odpocząć.

Mimo, że ogarniała ją senność nie mogła zasnąć tak była podekscytowana wszystkim, co wydarzyło się tego dnia. Zastanawiała się co wyniknie z jej spotkanie z oberżystami. Ani przez chwilę nie wierzyła, że mogłaby zostać tutaj na dłużej. Z nikim zbyt długo się nie przyjaźniła. Z wyjątkiem Aminy... wspomnienie przyjaciółki powróciło do niej nagle jak błyskawica rozdzierająca nocne niebo.

Amina Salia, córka kowala, ofiarowała Alei przyjaźń, jakiej nie dał jej nikt inny. Kiedy były małe, co wieczór spotykały się w tajemnicy. Wymyślały zabawy, obdarowywały się prezentami, zwierzały się sobie i wysłuchiwały nawzajem swoich opowieści z wielkim zainteresowaniem. Amina opowiadała o pracy

swojego ojca, Alea o życiu ulicy, a potem razem oddawały się marzeniom o odległych krainach i innym świecie, który na nie czeka, z dala od głupich reguł rządzących tą miejsciną zamieszkaną przez ograniczonych i tępych prostaków. Biegły więc wspinać się na dachy, by z góry obserwować głupich dorosłych i drwić sobie z ich niedorzecznych zajęć.

Dla Alei była to prawdziwa rewolucja. Po raz pierwszy ktoś patrzył na nią z podziwem. Po raz pierwszy ktoś jej słuchał, ale przede wszystkim ją rozumiał i dzięki temu czuła się całkowicie odmieniona, tak jakby fakt, że nie była już taka samotna, wyrwał ją z okresu dzieciństwa i przeniósł w ten cudowny czas, kiedy człowiek próbuje zaufać samemu sobie i kiedy nawet klęski nie przygniatają, lecz uczą życia. Dziewczynki doskonale się rozumiały, bo tak samo odczuwały i podobnie reagowały w tych samych chwilach a zamiast słów wystarczyło im jedno spojrzenie. Wyobrażały sobie, że codziennie będą mogły opowiadać sobie nowe historie, odkrywać nowe zabawy, przeżywać nowe przygody. Myślały, że te radosne chwile będą trwały wiecznie i przyrzekły sobie, że nic i nikt nie zdoła rozdzielić córki kowala i Córki Ziemi, że ich przyjaźń nigdy się nie skończy... Któż nie składał kiedyś takich obietnic?

Jednak pewnego dnia Amina nie przysłała na ich wieczorne spotkanie. Nazajutrz powiedziała Alei, że jej ojciec zmarł, a ciotka zabiera ją daleko stąd do Providence, stolicy Gaelii.

Alea nie zobaczyła już więcej Aminy i znów pograżyła się w milczącej samotności, na którą skazano ją od urodzenia. Z rezygnacją pogodziła się z jedynym losem, jaki Mojra raczyła jej ofiarować: życiem porzuconej i zapomnianej sieroty.

Dziewczynka westchnęła. Obraz Aminy powoli rozplątywał się w jej myślach i w końcu zapadła w sen.

Jednak w środku nocy ze snu wyrwał ją przeszywający ból. Brzuch bolał ją coraz bardziej, a kiedy się podniosła, poczuła ciepłą wilgoć między nogami. Wystraszona podeszła do okna, w którym odbijało się słabe światło księżyca. Była pełnia. Alea pochyliła się by przyjrzeć się wewnętrznej stronie swoich ud i spostrzegła ślady krwi. Krzyknęła przerażona i chowając głowę w ramionach, osunęła się plecami po ścianie, bliska omdlenia, z policzkami mokrymi od łez. Intensywny ból przeszywał jej głowę i brzuch. Miała wrażenie, że jej czaszka zaraz eksploduje. Co się z nią dzieje? Pomyślała, że umiera, że wkrótce wykrwawi się na śmierć. Była przekonana, że Mojra karze ją za kradzież. Później pomyślała, że może Almar przeklął ją i rzucił urok.

Nagle ogarnęło ją trudne do zniesienia uczucie, że jest brudna, skalana. Krew w tym miejscu, gdzie nie powinno jej być przepełniła ją odrazą. Pomyślała, że jest świadectwem jej wszystkich win i grzechów, i że musi się jej natychmiast pozbyć, jeśli chce uzyskać przebaczenie Mojry. Przerażona pobiegła do stojącej przy łóżku kadzi z wodą i wskoczyła do niej, by się obmyć. W tej samej chwili wpadła do pokoju Tara, zaalarmowana krzykiem dziewczynki.

-Co się stało? – zapytała, widząc szlochającą Aleę, nagą w bali z wodą. Patrząc na oberżystkę wielkimi błękitnymi oczami pełnymi łez zrozpaczona i przestraszona dziewczynka powiedziała tylko wskazując na podbrzusze:

-Krew...

gruba gospodyni uniosła brwi, po czym wybuchła pełnym ulgi śmiechem. Alea była tak zaskoczona, że natychmiast przestała zanosić się szlochom, trochę obrażona. Chwyciła ręcznik, który podała jej kobieta. Oberżystka uśmiechnęła się uspokajająco i poprosiła, by Alea usiadła przy niej na łóżku.

Przez następne pół godziny Alea słuchała Tary. Oberżystka wyjaśniła jej, że przydarza się to wszystkim dziewczynkom, kiedy stają się kobietami, że może być z tego dumna i nie ma żadnych powodów do niepokoju.

-Natura jest taka sama jak ty, Aleo. Wpisujesz się w wielki cykl natury. Istnieją pory roku, życie, śmierć słońce i cykle księżyca. A przez te krwawienia kobieta wchodzi w to wszystko, rozumiesz? To naturalne.

Tak naprawdę Alea nie rozumiała, ale po raz pierwszy w życiu odnalazła matczyne ciepło, akurat kiedy powiedziano jej, że nie jest już dzieckiem. Gdy poczuła się już zupełnie spokojna, zasnęła na kolanach wzruszonej oberżystki. Następnego ranka Alea dostała najlepsze śniadanie w życiu. Długo dziękowała swym gospodarzom. Nigdy jeszcze nie była w tak dobrym humorze i nie czuła się taka odmieniona. Teraz była już pewna, że to właśnie Mojra zaprowadziła ją wczoraj na wrzosowisko i pozwolił odkryć zakopane ciało. Wiedziała, że było to pierwsze z serii zaskakujących wydarzeń, które skierują jej życie na zupełnie nowe tory. Nie była już dzieckiem.

Następnego dnia w oberży zjawił się kapitan Fahrio aby zadać jej kilka pytań. Nie znalazł na wrzosowisku żadnego ciała i zastanawiał się co się naprawdę stało. Mała wolała skłamać żeby dano jej święty spokój powiedziała więc, że wymyśliła to wszystko, by zwrócić na siebie uwagę, a na wrzosowisku znalazła tylko pierścień, nic więcej. Kapitan zmarszczył brwi i kazał oberżystom pilnować dziewczynki, aż sprawa nie zostanie wyjaśniona.

W ten sposób Alea spędziła kilka tygodni w oberży Kerry'ego i Tary, pomagając im najlepiej jak potrafiła, i poznając sekrety nowego zawodu. Zaprzyjaźniła się ze stałymi klientami, przyzwyczała się nawet do nieprzyzwoitych żartów pijaczków i płakała w tę noc, kiedy Faith, kobieta bard, opuszczała Sarateę, by udać się do innego miasta.

Co wieczór po wyjściu ostatniego klienta myła podłogę w oberży, dokładała drewna do kominka i szła się położyć, zawsze przedtem dziękując uśmiechającym się do niej ciepło oberżystom. Przed snem wyjmowała z kieszeni pierścień i podziwiała go w blasku świecy, ciesząc się swoim jedynym skarbem. Próbowwała odgadnąć, co znaczą wygrawerowane wewnątrz symbole. Dwie dłonie otaczające koronę i serce. Wydawał się jej, że serce symbolizuje miłość a korona królestwo... Ale wszystko razem? Wsuwała pierścień na palec i zasypiała, wyobrażając sobie, że ten pierścień już zawsze przynosił będzie jej szczęście. Bo teraz było już pewne: Mojra dała jej nowe życie.

Z każdym dniem Alea coraz bardziej przywiązywała się do swoich gospodarzy. Traktowali ją jak córkę, słuchali jej rozmawiali z nią, uczyli wszystkich rzeczy, których pozbawiło ją dzieciństwo spędzone na ulicy, zaczęli dawać jej trochę pieniędzy jako wynagrodzenie za pracę. Przez pierwsze tygodnie Alea myślała, że to jakiś sen.

Jednak po pewnym czasie ze zdziwieniem zauważyła, że tęskni za dawną wolnością. Choć oberżyści traktowali ją jak własne dziecko, czasami nie mogła

odgonić od siebie myśli, że nie jest na swoim miejscu. Klienci potrzebowali czasu by ją zaakceptować i w oczach niektórych wciąż widziała nienawiść. Co więcej, trudno jej było nagiąć się do rytmu życia oberżystów, ale także do ich sposobu myślenia, tradycji, przyzwyczajzeń. W ich egzystencji było coś smutnego: zupełny brak zaskoczenia. Pewnego wieczoru bawiąc się swoim pierścieniem alea zaczęła się zastanawiać, czy życie jakie jej zaoferowano, na pewno było przeznaczone dla niej.

Oczywiście w oberży czuła się szczęśliwa, ale gdzieś w głębi duszy jej głos podpowiadał jej, że powinna odejść. Czuła potrzebę samotności, pełnej wolności, a także niebezpieczeństwo. Brakowało jej cygańskiego życia, ulicy, strachu, ukrywania się. Nie tak bardzo by porzucić to nowe, lepsze życie, ale wystarczająco, by ulatniać się wieczorami na kilka godzin i szukać dawnych emocji. Więc od czasu do czasu zaczęła znikać z domu. Kerry i Tara nie wypominali jej tego. Z pewnością rozumieli, że mała potrzebuje nieco swobody. Uśmiechali się tylko kiedy wracała, aby dać jej do zrozumienia, że zawsze czekają na nią z otwartymi ramionami i że wiedzą, iż potrzebuje nieco czasu, by zaakceptować swoje nowe życie. Kerry i Tara nie mieli dzieci, choć bardzo tego pragnęli. Nie wiedzieli, czy słusznie postępują, ale byliby skłonni oddać wszystko, by uczynić Aleę szczęśliwą. Nic nie cieszyło ich tak bardzo jak iskierki szczęścia w jej wielkich błękitnych oczach.

-Mała musi czuć się wolna – tłumaczył żonie poczciwy oberżysta, kiedy słyszeli, że wraca w środku nocy. – i tak jestem zaskoczony, że tak szybko przyzwyczaiła się do tego nowego życia. Fahrio też nie może się nadziwić!

-wiem, ale boję się, że pewnego dnia nie wróci – wyznała Tara. – A jeśli ktoś ją napadnie?

-Do tej pory doskonale radziła sobie sama. Daj spokój, boisz się po prostu, że nie zechce z nami zostać...

-A ty nie?

Oberżysta nie odpowiedział. Oczywiście, że się bał i jego żona o tym wiedziała. Nigdy nie był tak szczęśliwa jak teraz, kiedy dziewczynka mieszkała z nimi. Alea zmieniła wiele w ich życiu. Przez samą swą obecność rozbudziła na nowo miłość, jaką darzyli się on i Tara. Wiedział jednak, że mała nie może zostać z nimi na zawsze.

*

Pewnego dnia tuż przed porą wieczery, idąc wolno ulicą, Alea podsłuchiwała rozmowę dwóch mieszczan. Siedząc na murku fontanny, rozmawiali o Jego Wysokości Królu Gaelii.

Eoghan Mor nie należał do najbardziej poważanych władców spośród wszystkich królów rządzących dotąd wyspą. Nie był co prawda zły ale mówiono, że łatwo można go zastraszyć i zmanipulować. Nie potrafił na przykład stawić czoła druidom i zbyt szybko wycofał się z walki z chrześcijanami z Harcourt. W sumie Eoghan z trudem utrzymywał swoje panowanie nad pięcioma hrabstwami Gaelii. Jednak wieści ze stolicy niezwykle ucieszyły mieszkańców Sarre,

najbiedniejszego hrabstwa wyspy: Najjaśniejszy Pan zamierzał poślubić tutejszą pannę, w dodatku pochodzącą z Saratei!

Alea cichutko podeszła nieco bliżej, by lepiej słyszeć.

-Jak zwie się ta panna? - Dopytywał najstarszy.

-Amina. Amina Salia, córka kowala pamiętasz ją?

Alea podskoczyła na dźwięk imienia przyjaciółki z dzieciństwa. Przez kilka chwil nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Amina miała wyjść za króla? Niemożliwe?

-Ale ona nie ma jeszcze piętnastu lat! – wykrzyknął starzec.

-Właśnie skończyła – odpowiedział inny –Po śmierci ojca wyjechała do swojej ciotki w Providence. Tam pobierała nauki w jednego druida i okazała się piekielnie uzdolniona, że zeszłego roku uzyskała tytuł uzdrowicielki! Na Mojrę jest tak młoda, że zrobiło się o niej głośno w całej stolicy, gdzie uznano ją za cudowne dziecko! Dziewczynka w Saratei, zdajesz sobie sprawę?

I tak właśnie zauważył ją Najjaśniejszy Pan...

-Myślę, że będzie o nas pamiętać, jak zostanie królową? Może król zajmie się w końcu hrabstwem Sarre.

-Mam nadzieję – westchnął młody mieszczanin.

Alea nie wierzyła własnym uszom. Patrzyła na piękny pierścień na swoim palcu i uśmiechnęła się do siebie. Tak jej życie wciąż się zmienia. Pragnęła teraz tylko jednego: pobiec w te pędy do Gąski na Ruszcie i opowiedzieć o wszystkim Tarze i Kerry'emu. Odwróciła się i pognęła z bijącym sercem na drugi koniec Saratei. Kilku przechodniów roześmiało się na jej widok. Już od dawna nie widziano Alei pędzącej na przełaj przez miasteczko.

Wpadła bez tchu do oberży i przeciskając się między klientami pobiegła do kuchni, w której znalazła parę oberżystów. Popatrzyli na siebie dziwnym wzrokiem, zastanawiając się co też mogło się stać ich podopiecznej.

Alea opowiedział dosyć niedokładnie całą historię, bezskutecznie próbując złapać oddech między jednym zdaniem a drugim, ale była tak podekscytowana, że połykała co drugie słowo. Kiedy wytłumaczyła, kim była Amina i ile dla niej znaczy, wykrzyknęła:

-Muszę wyruszyć do Providence!

Tara rzuciła mężowi zaniepokojone spojrzenie. Czytała w jego myślach.

-Aleo – zaczął Kerry, podsuwając dziewczynce krzesło, aby usiadła – uspokój się trochę.. Rozumiem, że jesteś podekscytowana, ale zbyt się rozpędziłaś! Czy jesteś pewna, że Amina cię w ogóle rozpozna?

Alea zdawała się zaskoczona. Spodziewała się innej reakcji po swych gospodarzach. Nie rozumiała, jak oberżysta może wątpić w to, czy Amina ją rozpozna, domyślała się więc, że naprawdę niepokoiło go coś innego. - Oczywiście, że mnie rozpozna! – odpowiedziała marszcząc brwi.

Kerry odwrócił się do żony, szukając pomocy w jej spojrzeniu, ale Tara czuła się równie niezręcznie jak on. Zacisnął więc wargi, popatrzył znów na Aleę i uśmiechnął się z zażenowaniem.

-A co potem? – zapytał z zatroskaną miną. – ma na pewno ważniejsze rzeczy do roboty przy przygotowywaniach do ślubu niż zajmowanie się przyjaciółką z

dzieciństwa, której nie widziała od lat... Aleo ja myślę, że to nienajlepszy pomysł zjawiać się ot tak...

tym razem Alea zrozumiała, że Kerry nie ma śmiałości, by powiedzieć jej wprost, iż nie zgadza się na jej podróż.

-Jestem pewna, że ucieszy się na mój widok. Ja w każdym razie bardzo się ucieszę! Taro ja chcę tam jechać!

-Providence jest bardzo daleko stąd, Aleo to miasto nie leży nawet w naszym hrabstwie! Nie stać cię na taka podróż, trzeba by kupić konia, opłacać oberże po drodze... a tam na miejscu i tak królewska straż nie wpuści cię do pałacu! Naprawdę Aleo to niemożliwe!

-Dotrę tam bez problemu! Zawsze radziłam sobie sama. Nie muszę kupować konia ani płacić za noclegi w oberżach. Dlaczego chcesz mnie powstrzymać?

Tara odwróciła się, udając, że zajmuje się czymś w kuchni. Pierwszy raz kłócili się z dziewczynką i oberżystka nie wiedziała, jak się zachować. W końcu, choć bardzo się do niej przywiązali, to nie była ich córka: tak naprawdę nie mieli na nią żadnej władzy. A jednak, taj samo jak mąż była przekonana, że powinni powstrzymać Aleę przed popełnieniem takiego głupstwa. Miał nadzieję, że dziewczynka w końcu to zrozumie. Tymczasem Kerry zaczął tracić cierpliwość. On także nie śmiał zbyt mocno naciskać na to dziecko, które znał tak naprawdę dopiero kilka tygodni, ale upór dziewczynki zaczynał być niepoważny. I nie mógłby patrzeć, jak wyrusza do Providence, po tym jak w końcu zaczęła prowadzić normalne życie.

-Posłuchaj maleńka, zapewniam cię, że to zły pomysł. Rozumiem, że chciałabyś wyjechać, ale musisz wiedzieć, że w życiu nie zawsze robimy to, na co mamy ochotę...A to nie jest odpowiednia chwila, byś podróżowała sama. Jesteś za młoda, właśnie zaczęłaś zarabiać na siebie.. Wrócimy do tego kiedy twoja przyjaciółka będzie już mężatką. Może sama przyjedzie do Saratei spotkać się z mieszkańcami, a wtedy z pewnością cię odnajdzie. Ale na razie musisz poczekać. Musisz być cierpliwa. Rozumiesz?

-Rozumiem, że nie chcecie bym jechała i tyle! – wykrzyknęła Alea próbując powstrzymać łzy.

Wstała gwałtownie i wybiegła do głównej izby, by zebrać zamówienia klientów, którzy zaczynali się już niecierpliwić. Zaciśnęła zęby, żeby nie płakać i przez cały wieczór unikała zaniepokojonych spojrzeń Kerry'ego i Tary. Nawet klienci zauważyli jej smutek. Pierwszy raz nie śmiała się z wygłupów żartownisiów i nie odpowiadała każdemu dobrym słowem.

Nocą, kiedy znalazła się sama w ciemnościach swojego pokoju, pozwoliła popłynąć łzom, które wstrzymywała przez cały wieczór. Próbowwała zrozumieć zachowanie Kerry'ego i Tary, ale nie potrafiła. Dlaczego oni, którzy dotąd byli dla niej tak dobrzy, zabronili jej zrobić coś co uczyni ją jeszcze szczęśliwszą?

Czy nie zależy im na jej szczęściu? Pomyślała, że tak naprawdę są egoistami i chcą ją po prostu zatrzymać przy sobie, bo dla nich pracuje. Nie kochają jej, chcą tylko by dalej pomagała w oberżach. Kolejny raz przekonała się, że nie należy wierzyć w ludzką dobroć. Szczodrość nigdy nie jest bezinteresowna! Ale nic z tego! Chce pojechać do Providence, żeby odnaleźć Aminę i oberżystki nie mogą jej powstrzymać. W końcu nie są jej rodzicami.

Długo nie mogła zasnąć. Próbowwała przekonać sama siebie, że ma racje, chcąc wyjechać, ale trudno jej było uwierzyć w egoizm Kerry'ego i Tary. Może jednak byli szczerzy? Może po prostu bali się o nią? Skąd ma to wiedzieć? W końcu zaczęła mieć do siebie żal, że tak ich potraktowała, choć oni zrobili dla niej tyle dobrego. Lecz tak bardzo chciała odnaleźć Aminę!

Przewracała się na łóżku i zasnęła dopiero nad ranem.

Nazajutrz długo leżała w pościeli, nim odważyła się zejść na dół. Nie bardzo wiedziała, czy jest zła na oberżystów, czy przyznaje im rację. Była pewna tylko jednego, chce znowu zobaczyć Aminę.

Kiedy w końcu zeszła, Tata przywitała ją uśmiechem i bez słowa mocno przytuliła. Podniosło to dziewczynkę na duchu, odpowiedziała więc uśmiechem i zasiadła do śniadania. Próbowowała zapomnieć o wczorajszej sprzeczce, delektując się grzankami, które Tara szczerze posmarowała masłem.

W tej samej chwili do oberży wszedł starzec, podpierając się długą laską z białego dębu.

Był wysoki, chudy i niepokojący, jego spojrzenie skrywał cień wysokiego kaptura, a sylwetkę otulał biały płaszcz z wyszytym na środku symbolem Mojry: smukłym czerwonym smokiem otoczonym wymyślnym ornamentem, którego zwykle malowano na drzwiach w czasie święta miesiąca Samonios i letniego przesilenia.

Alea przestała jeść i znieruchomiała, patrzyła na starca, aż usiadł przy innym stole. Była niespokojna i podekscytowana jednocześnie. Czy to możliwe? Druid w Saratei?

Nie mogła oderwać od niego wzroku, tak bardzo ją intrygował. Co on robił w tej oberży? Czy to dobry, czy zły znak? Alea zastanawiała się czy nie powinna wyjść. Tara krzątała się w kuchni, więc dziewczynka będzie sama w izbie z druidem. Nie wiedziała, co zrobić. W każdym razie na pewno nie odważy się przyjąć od niego zamówienia.

Nagle druid odwrócił się do niej, nie zdejmując kaptura.

-Witaj Aleo – powiedział głębokim, poważnym głosem.

Dziewczynka podskoczyła i wbiła wzrok w swój talerz, udając, że nic nie słyszała.

Alea wolno podniosła głowę i spojrzała na druida, ale wciąż nie mogła dostrzec jego twarzy ukrytej w cieniu kaptura. Nie wiedziała, gdzie zatrzymać wzrok.

-Kim... kim jesteście? – wyjąkała, patrząc znowu w swój talerz. – Skąd znacie moje imię?

W tej chwili do izby weszła Tara. Alea odetchnęła z ulgą. Oberżystka z pewnością będzie wiedziała, co robić.

Tara zatrzymała się gwałtownie na środku izby. Zdawała się niezwykle zaskoczona obecnością starca. Spojrzała na dziewczynkę, uśmiechnęła się po czym podeszła do druida, wyciągając z szacunkiem rękę na przywitanie.

-Dzień dobry – wymamrotała- witaj druidzie, ja.. ja nie spodziewałam się...Już tak dawno was nie było...

-Ponad dziesięć lat, rzeczywiście. Dlatego jestem zaskoczony, że pani mnie pamięta.

-Kogoś takiego łatwo się nie zapomina – odpowiedziała oberżystka z uśmiechem zawstydzenia.- Alea zapytała, czego sobie życzycie?

Starzec się uśmiechnął. Jego powolne gesty wcale nie uspokajały Alei.

-Nie myślę, że się mnie boi. Prawda Aleo?

Dziewczynka nie odpowiedziała, spojrzała na oberżystkę marszcząc brwi.

-Nie masz się czego bać Aleo – powiedziała Tara, dając znak by spokojnie jadła śniadanie.

Alea próbowała się uspokoić i powróciła do jedzenia, rzucając ukradkowe spojrzenia na starca, który zdjął wreszcie swój kaptur. Był całkiem siwy i trudno było ocenić jego wiek. Jedno było pewne: był bardzo stary, ale zachował młodsze, pełne żaru spojrzenie. Krótka ostrzyżona szaro-biała broda podkreślała jego wystający podbródek, a najbardziej przerażające było jego wysokie czoło, jakby skrywało mnóstwo przedziwnych myśli, których dziewczynka nie chciała sobie nawet wyobrazić. Ufała jednak uspokajającym słowom Tary i pomyślała, że ma szczęście zobaczyć prawdziwego druida w tak małym miasteczku.

-Mojra jest nam zdecydowanie przychylna ostatnimi czasy – podjęła Tara, uśmiechając się do starca. – Nasza najdroższa Faith Dana, harfistka, też zjawiła się u nas kilka tygodni temu, choć widzieliśmy jej od lat! Czym mogę wam służyć Felimie?

„więc nazywa się Felim – pomyślała dziewczynka. – nic mi to nie mówi, a on zna moje imię?”

-Zjadłbym tylko trochę bulionu jeśli można.

Oberżystka skinęła głową i wyszła do kuchni.

-Urosłaś Aleo, prawie cię nie poznałem, wchodząc tutaj – podjął druid, wstając z miejsca i przysiadając się do stolika Alei. Dziewczynka nie ruszyła się. „Mówi jakby mnie znał – pomyślała – ja jednak nie mam wrażenia, bym kiedykolwiek go poznała...Może widział mnie, kiedy byłam całkiem małą?”

-Kapitan Fahrio mówił mi o tobie. Twierdzi, że opowiadasz bajki i ukradłaś pierścień jakiemuś podróżnemu lub nawet komuś z miasteczka.

Alea otworzyła usta ze zdziwienia i opuściła bezradnie ręce na stół. A więc o to chodzi... druid przyszedł tu, by ją osądzić. Słyszała kiedyś, że w wielkich miastach to właśnie druidzi osądzali innych przestępców. Czy to możliwe, że przyszedł z tak daleka tylko po to, żeby ją znaleźć? Zaczęła drżeć.

-Ja jednak jestem pewien, że mówiłaś prawdę. Chcesz mi opowiedzieć, co się stało?

Alea siedziała jak sparaliżowana. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czy zastawił na nią pułapkę? Czy powinna skłamać dla własnego bezpieczeństwa? Druid patrzył na nią przez dłuższą chwilę bez słowa, czekając z pewnością, aż się wytłumaczy, po czym rzekł spokojnym tonem:

-Ten pierścień na twoim palcu należał do człowieka, którego znalazłaś prawda?

Alea ukryła rękę pod stołem i od razu pożałowała swojego gestu. Ogarnęło ją straszne poczucie winy. Myślała, że ta sprawa nie będzie miała dalszego ciągu. Fahrio nic już o tym nie wspominał, a Kerry i Tara nie zadawli żadnych pytań o pierścień.

-Wydaje mi się, że rozpoznaje ten pierścień, Aleo – ciągnął druid. – ale jeśli to rzeczywiście pierścień, który znam, wiem kim był człowiek, którego znalazłaś na wrzosowisku.

W tej chwili do stolika podeszła Tara z gorącym bulionem, który podała starcowi. Felim wziął miskę i podziękował skinieniem głowy. Jadł w ciszy, a gdy skończył zapytał po prostu:

-A możesz mi chociaż powiedzieć jak przewróciłaś wtedy tego grubego Almara? Zrobiłaś to umyślnie?

Tym razem Alea naprawdę zaczęła się bać. Prawie zapomniała o tym incydencie, a na wspomnienie niezwyklej siły, która przeniknęła ją od stóp do głów tamtego dnia, poczuła wielki niepokój.

-Ja.. ja nie pamiętam – skłamała łamiącym się głosem.

Felim zaczynał tracić cierpliwość. Westchnął i oparł się obiema rękami na swojej dębowej lasce.

-Ale muszę koniecznie zobaczyć ten pierścień. To dla mnie bardzo ważne.

Dziewczynka cofnęła się gwałtownie i przerażona krzyknęła:

-Nie ma mowy! Zostawcie mnie w spokoju!

Do izby natychmiast wbiegli Kerry i Tara, zaskoczeni krzykiem dziewczynki.

-Co się stało zapytała Tara.

-On chce mi ukraść pierścień! – wykrzyknęła Alea bez zastanowienia.

Druid wolno położył prawą dłoń na stole.

-Aleo nie bądź śmieszna. Nie chcę ci ukraść tego pierścienia, chcę go tylko obejrzeć. Tara podeszła do dziewczynki, uśmiechając się niepewnie, widać było, że nie chce się sprzeciwiać starcowi.

-Aleo, jeśli druid mówi ci, że chce tylko zobaczyć pierścionek, to mówi prawdę. Możesz mu go pokazać. Trzeba być posłusznym druidom.

Dziewczynka gwałtownie podniosła się z miejsca.

-Nie – wykrzyknęła. Drżała na całym ciele. W tej chwili była przekonana, że druid chce ją ukarać. W panice uznała, że najlepiej będzie uciekać. W głowie kłębiły jej się tysiące myśli. Musiała się zdecydować. Pomyślała, że teraz ma nowy powód, by odnaleźć Aminę: ona na pewno może ją chronić. Popatrzyła na oberżystów pełnymi łez oczami, chciała przytulić ich na pożegnanie, ale druid właśnie wstawał z miejsca. Pobiegła, więc w stronę drzwi, wywracając po drodze ławkę, i uciekła z oberży, nie odwracając się za siebie. Biegła na południe, ocierając rękawem łzy płynące po policzkach. Miała do siebie żal, że w taki sposób zostawiła Kerry'ego i Tarę, zwłaszcza po wczorajszej kłótni, ale jakiś wewnętrzny głos kazał jej uciekać i w głębi serca wiedziała, że właśnie to powinna zrobić.

Obiecała sobie, że pewnego dnia wróci, by podziękować oberżystom za ich dobroć.

Przyspieszyła jeszcze bardziej, prawie zamykając oczy. Nie chciała napotkać spojrzeń mieszkańców miasteczka zdziwionych na widok dziewczynki pędzącej, jakby goniła ją sfora wilków.

Kiedy dotarła do bram miasteczka, zatrzymała się by złapać oddech. Przed nią rozciągała się droga prowadząca do Providence. Teraz musiała dokonać wyboru: zostać tu i stawić czoła pytaniom druida albo wbrew radom oberżystów

wyruszyć w tę długą drogę i odnaleźć Aminę. Wzięła głęboki oddech, ostatni raz popatrzyła na miasteczko i zaczęła biec. Tego z pewnością chciała Mojra. Ożywiona nadzieją na odnalezienie Aminy Alea zniknęła wkrótce na wrzosowisku, za wielką bramą Saratei.

DUDZIARZ

Alea padła na świeżą, usiana stokrotkami trawę i wyciągnawszy się na plecach, czekała spokojnie, aż jej oddech się wyrówna. Nagle wybuchła śmiechem. Śmiechem, który ja zaskoczył, ale którego nie mogła opanować. Druid tak bardzo ja wystraszył, a teraz nagle opadła z niej całe napięcie, nigdy w życiu nie czuła się taka wolna jak w tej chwili. Tak daleko od miasta. Tym razem była pewna, że opuściła je na dobre, i poza wysiłkiem to właśnie powodowało przyśpieszone bicie jej serca. Zapomniała już o swym strachu i łzach, teraz przepełniała ja niecierpliwość.

Przez dłuższy czas leżała w trawie, uśmiechając się do słońca, i śledziła wzrokiem dużą czarna muchę, która brzęcząc, krążyła wokół niej. Podłożyła ręce pod kark i uniosła lekko głowę, by móc podziwiać krajobraz. Na zachodzie dostrzegła postrzępione kontury lasu, co obudziło w niej miłe wspomnienia o Faith i jej licznych pieśniach o legendarnych stworzeniach-elfach. Jednak starała się wyprzeć ją z pamięci, myśląc z zalem, że pewnie nigdy już jej nie zobaczy. Znowu przebiegła wzrokiem horyzont. Dużo dalej, na południe rozciągał się łańcuch górski Gor-Draka, którego szczyty tonęły w oceanie chmur.

Teraz była zdecydowana wyruszyć do Providence, gdzie-tego była pewna-odnajdzie Aminę. Podniosła się z trawy i ruszyła na południe, grzęznąć w białym piasku okalającym wrzosowisko.

Szła wiele godzin, zanim głód nie dał o sobie znać. Znowu musiała sama zatroszczyć się o jedzenie i nocleg.

Wtedy stała się świadkiem dziwnej sceny. Wrzosowisko w tym miejscu tworzyło dolinę pomiędzy dwoma wzniesieniami, a ogromne skały ciągnęły się wzdłuż piaszczystej drogi. Idealne miejsce na zasadzkę. I rzeczywiście, kilka metrów dalej, na samym środku drogi, dwóch trzymających kije rozbójników pochylała się nad niską postacią. Zbyt niska jak na dorosłego i zbyt krepą jak na dziecko. Z pewnością był to krasnolud. Alea pojęła, że potrzebuje pomocy. Napastnicy grozili mu kijami, podczas gdy on najwyraźniej nie miał żadnej broni. Podniosła z ziemi kilka kamieni, które schowała do kieszeni, i szybkim krokiem zbliżyła się do trójki nieznajomych.

-Nie oddam wam pieniędzy!- krzyknął krasnolud.

Alea podeszła bliżej i dojrzała, dziwne ubrania rozbójników. Białe łachmany i tatuaże na czołach dawały do zrozumienia, że to banici.

Alea widziała banitów tylko raz w Saratei. Wtedy czuła litość dla tych wyrzutków, do których nikt nie mógł się odzywać. Banicja ogłoszona przez druidów, hrabiów Wielkiego Króla była ostatnim etapem przed karą śmierci we wszystkich hrabstwach Galeii. Alea zwłaszcza się zastanawiała, co było gorsze. Banici nie mieli żadnych praw. Nie można się było do nich odzywać, nie można im było udzielić jałmużny ani okazać litości, czy sympatii. Nie mieli prawa pojawić się w żadnym miejscu publicznym, czy to w oberży, czy targu. Zresztą i tak nie mieli pieniędzy. Często gromadzili się na obrzeżach lasów, gdzie dzielili

się tym, co zdołali upolować lub złowić, ale gdy tylko grupa stawała się zbyt liczna, wysyłano żołnierzy by ich rozdzielili. Zwykle banici umierali nie wzbudzając niczyjej litości.

Kiedy kilka lat wcześniej widziała wychudzonych banitów w mieście, stwierdziła, że w porównaniu z nimi i tak ma szczęście i że sprawiedliwość nie zawsze jest sprawiedliwa.

W tej chwili jednak przejmowała się nie ich losem, lecz losem krasnoluda. Jeden z banitów zbliżył się, podnosząc kij wysoko nad głowę, ale zanim zdążył uderzyć, Alea z całej siły rzuciła kamieniem w jego kierunku. Miała nikłe szanse, by trafić z takiej odległości, ale lata ćwiczeń w rzucaniu kamieniami w Saratei sprawiły, że stała się wyjątkowo zręczna w celowaniu zarówno do ptaków, jak i w okna mieszkańców, którzy dali się jej we znaki.

Kamień uderzył dokładnie w to miejsce, w które mierzyła. Banita otrzymał cios prosto w kark i upadła na ziemię całkowicie ogłuszony. Krasnolud, widząc nadciągającą z odsieczą Aleę, skorzystał z zaskoczenia drugiego napastnika i wymierzył mu solidny cios pięścią prosto w żołądek. Mężczyzna zgiał się wpół, wyjąc z bólu. Alea nie traciła czasu i podczas gdy rozbójnicy podnosili się z niedowierzaniem, miotła w ich stronę kamień za kamieniem, wznosząc okrzyk, którego używała jako mała dziewczynka, by przestraszyć chłopaków z miasta:
-Jestem Córką Ziemi!, Jestem Córką Ziemi!

Napastnicy, nie czekając na dalsze ciosy, czmychnęli w kierunku wrzosowiska przy akompaniamencie szyderczego rechotu pękatego krasnoluda.

Alea rzuciła ostatnim kamieniem w stronę oddalających się tchórzy i z nieskrywaną dumą zbliżyła się do krasnoluda, wyciągając rękę na powitanie.

-Jestem Alea- powiedziała z uśmiechem.

-I jesteś cholernie dobra kobietą, o, tak!- odpowiedział krasnolud nie przestając się śmiać.-Ja nazywam się Mjolln Abbac.

-Jak?

-Mjolln!

-Dziwne imię- powiedziała dziewczyna, trochę urażona tym, że krasnolud nazwał ją dobrą kobietą.

-Nie dla krasnoluda! Hem. Dziwne dla kobiety miotaczka kamieni, to na pewno. Twoi często nazywają mnie dudziarzem z powodu mojego instrumentu- wskazał na dudy przewieszane przez plecy.- W każdym razie wielkie dzięki za pomoc. Przeraziłaś tych dwóch idiotów. Hem, hem. Nie żebym nie umiał poradzić sobie bez ciebie, ho, ho, ho! Ale przynajmniej się pośmiałem.

-Dało się zauważyć- powiedziała ironicznie.

-Na Mojre- odparł krasnolud- wasz król powinien zrobić w końcu coś z tymi banitami. O, tak! Ci biedacy stają się coraz bardziej agresywni. Hem. Delikatnie mówiąc. A gdzie to idziesz całkiem sama, miotaczko kamieni?

-Do Providence- odparła Alea, mierząc swego rozmówcę wzrokiem.

Cóż za dziwna postać! Widziała już jednego czy dwóch krasnoludów w oberżach Saratei, ale rozmawiała z nim po raz pierwszy. Stwierdziła, że jest raczej sympatyczny mimo swego chrapliwego głosu i dziwnego sposobu wyrażania się. Od stóp do głów ubrany był w skórę, nosił dwa grube pasy, bukłak na ramieniu i śmieszny kapelusz ozdobiony długim białym gęsim

piórem. Zza pleców wystawały mu drewniane piszczałki instrumentu, który wydał kilka dźwięków, gdy Mjolln się poruszył. Był niższy od Alei, ale o wiele szerszy, a jego ruda broda sięgała połowy torsu.

-Aha! Ja wybieram się na północ, do Blemur, gdzie miło się żyje, ale chciałbym ci jakoś podziękować. Hem. Co mógłbym ci zaoferować oprócz swojej wdzięczności?

Alea zawahała się. Nie chciała sprawiać kłopotu, ale głód coraz bardziej dawał się jej we znaki.

-Cóż- powiedziała w końcu- nie mam nic do jedzenia, a zaczynam być głodna...

-Rozumiem. Mniem, mniem, mniem. Jedzenie to coś, co umiem robić najlepiej, oczywiście po grze na dudach. Jestem królem żarłoków. Jeżeli zgodzisz się mówić mi po imieniu mimo mojego wieku, zaproszę cię na dobry posiłek do oberży, którą minąłem na południu. Hem. Będzie okazja lepiej się poznać, trochę pośpiewać, policzyć chmury i ponabijać się z ich kształtów.

-Ale miałeś iść na północ...

-Północ czy południe, to zależy w którą stronę odwrócisz głowę. Wydaje mi się nawet, że im bardziej idziesz na północ, tym większe szanse, że wylądujesz na południu! Hem. Ha, ha, ha! To cudowne, nieprawdaż? Słowo krasnoluda, jeżeli znajdę tego, kto wymyślił południe, dam mu ja północ! No, moja miotaczko kamieni, mnie się nie śpieszy. A nie każdego dnia spotyka się awanturniczki twojego pokroju. Potem pójdę w swoją stronę.

Awanturniczka! Nazwał ją awanturniczką! Alea była zachwycona. Pochlebiali jej to. Do tej pory traktowano ją jako złodziejkę lub nędzarkę. Bardzo się jej podobało, że bierze ją za awanturniczkę. Sądziła, że tylko dorosłych się tak nazywa. Uniosła czoło, a jej twarz zdawała się jaśnieć w blasku wielkich niebieskich oczu.

-Zatem chodźmy, nie traćmy czasu- oświadczył krasnolud, gdy zobaczył zbierające się w oddali szare skłębione chmury. I wyruszyli ramie w ramie niczym dwoje starych przyjaciół. Krasnolud był przyjazny i lubił się śmiać, co od początku wzbudziło zaufanie dziewczynki. Ich charaktery wybitnie się zgadzały. Mjolln był zabawny, gadatliwy i bardzo ciekawski. Nie przestawał zarzucać dziewczynki pytaniami, komentując obszernie każdą jej odpowiedź.

-Skąd idziesz?

-Z Saratei.

-W Saratei nic się nie klei. Ha, ha! Nic się nie klei.... Stamtąd pochodzisz? Hem. Nie dziwię się zatem, że ją opuściłaś.

-Dlaczego?

-Bo tam nic się nie dzieje. W Saratei brak nadziei. Ha, ha! Nieprawdaż? Inaczej byś jej przecież nie opuściła.

-Polowano na mnie...

-Jak na dziczyznę? Ha, ha! A czy oprócz tego wyrwali ci piórka?

Alea pomyślała, że poczucie humoru jej towarzysza jest co najmniej dziwne, ale kontynuowali rozmowę, śmiejąc się i zapominając o wszystkim: o różnicy wieku, banitach, marszu, nawet o tym co przyniesie jutro...

Mjolln powiedział, że wraca ze Starego Portu, gdzie mógł odsprzedać towary pozostałe po likwidacji swojego sklepiku. Jego życie wydawało się dość skomplikowane i Alea szybko

odkryła, że w swoim życiu wykonywał nieprawdopodobnie wiele różnych zawodów. Jak wszystkie inne krasnoludy, na początku trudnił się kowalstwem, w Pelpi, miasteczku położonym na południowy zachód od Farfanoro, gdzie spędził dzieciństwo. Ten zawód wykonywał najdłużej, poznał wszystkie jego tajniki i powiedział, że wykuł miecz dla bratanka hrabiego Bizanii. Lecz śmierć żony Mjollna sprawiła, że postanowił opuścić miasteczko i wyruszył, by poznać północną część kraju. Powiedział sobie wtedy, że dopóki będzie poznawał północ, dopóki nie osiągnie wzrostu człowieka- to znaczy przez całe swoje życie. Najpierw dołączył do trupy aktorów, bardzo gościnnych wędrowców, u których boku poznał teatr i nauczył się radzić sobie samemu w kontaktach z naturą. Wędrowną trupą nigdy nie zostawała dłużej niż przez noc w miastach, w których pokazywała przedstawienia. Życie aktorów toczyło się na drogach i bezdrożach, w ich kolorowych wozach. Nazywano ich czasem dziećmi Mojry, gdyż poświęcali jej własne życie, słuchając jej znaków i składając swój los w ręce bogini. Nigdy nie robili żadnych planów, nie przewidywali przyszłości, nie zastanawiali się co przyniesie jutro. Pozwalali, by prowadziła ich Mojra i żyli z dnia na dzień. To dzięki nim Mjolln przestał odczuwać strach przed śmiercią. Nauczyli go oczywiście wielu innych rzeczy, które okazały się przydatne później, jak na przykład nazwy kwiatów, drzew, roślin jadalnych i trujących grzybów. Pozostał z aktorami całe dwa lata, a opuścił ich pewnego dnia, gdy mijali Providence.

Krasnolud błądziła kilka dni po ogromnym mieście, ucząc się nie gubić w labiryncie ulic i uliczek, następnie znalazł pracę w charakterze czeladnika u mistrza lakiernika mebli. Poznał technikę nakładania werniksu za pomocą tamponu, by nadać drewnu dyskretny połysk, nie naruszając jego naturalnej faktury, nauczył się samemu wytwarzać werniks i lak z żywicy drzew, nauczył się mieszać kolory, by nadać meblom odpowiednią barwę, a przede wszystkim nauczył się kochać drewno-on, który do tej pory znał jedynie żelazo. Drewno to materiał tak szlachetny, że z pewnością długo po jego śmierci zostanie w użyciu. Było plastyczne, zmieniało się, i często nocą miał wrażenie, że do niego przemawia. Mjolln mógł całymi wieczorami przeciągać dłonią po meblach zgromadzonych w warsztacie rzemieślnika, gładząc drewno niczym kobieca skórę. Mógł przeciągać palcami po jeszcze świeżym werniksie nie naruszając jego powierzchni, tak był delikatny. Uwielbiał zapach lakieru, który unosił się w warsztacie i którym nasiąkały jego palce po skończonej robocie. Tak bardzo odpowiadał mu ten zawód, że został w mieście prawie trzy lata, do czasu, gdy jego chlebodawca zdecydował się zamknąć zakład i spędzić resztę swoich dnia w Starym Porcie, jak to miało w zwyczaju wielu rzemieślników w Providance. Kiedy Mjolln ponownie wyruszył w drogę, jego ręce aż do samych paznokci nosiły ślady wykonywanego zawodu, które obnosił z dumą.

Następne lato było najtrudniejsze i zarazem najważniejsze w jego życiu. Odbył samotną podróż do Gor-Draka, które postanowił zdobyć. Powiedział sobie, że jeśli on mniejszy niż jakikolwiek człowiek na świecie, będzie w stanie zdobyć największą górę świata, to nie ma rzeczy niemożliwych- nawet tego by osiągnąć ludzkie rozmiary. Zaczął spinacze południową ścianą Gor-Draka. Początkowo napotykał na swej drodze samotnych pasterzy pasących stada baranów. Spał pod gołym niebem, kołysany szumem wiatru. Każdego ranka wyruszał z radością w sercu i maszerował aż do wieczora, pokonując kręte szlaki górskie. Później nie spotykał już żywej duszy, nie licząc kilki kozłów górskich i susłów, które odprowadzały go wzrokiem. Zbocze stawało się coraz bardziej strome, a kamieniste podłoże coraz bardziej śliskie. Słońce świeciło tak mocno, że o mało nie postradał zmysłów. Lecz najtrudniejszą rzeczą było zdobycie czegoś do

jedzenia. Im wyżej się wspinał, tym trudniej było znaleźć ryby i rośliny. Kiedy już myślał, że przyjdzie mu umrzeć z głodu, szczęśliwym trafem natknął się na stary drewniany szałas, w którym ktoś – bez wątpienia pasterze – zostawili zakonserwowane w soli podstawowe produkty. Było tego niewiele, ale wystarczyło, by Mjolln odzyskał siły i nabrał chęci do dalszej drogi. Następnego dnia wyruszył z powrotem na szlak.

Z każdym dniem kolejne części ciała dawały o sobie znać. Spierzchnięte usta piekły niemiłosiernie. Przekrwione oczy łzawiły. Dłonie pokryły się ranami. Plecy były sztywne i obolałe. Stopy pokryte pęcherzami krwawiły i puchły. Każdy krok powodował ból. Jednak mimo upływu czasu Mjolln, przepełniony poczuciem dumy, uparcie kontynuował marsz. Kiedy wreszcie osiągnął przełęcz pod szczytem Gor-Draka, był cieniem samego siebie.

Szaleństwem byłoby wspinać się jeszcze wyżej. Ściana była pionowa, a krasnolud zbyt wyczerpany. Lecz osiągnął cel – przeszedł na drugą stronę góry. Leżał skulony na ziemi, wstrząsany szlochem, w którym mieszały się radość i ból.

Został tam przez wiele dni, powoli odzyskując siły. Z załomu pod szczytem Gor-Draka spoglądał na leżące u stóp miasto Atarmaja i dalej na południe, na Las Borceliański. Kiedy wieczorem na zachodzie słońce kryło się za horyzontem, morze przybierało barwę głębokiego fioletu. Był to najwspanialszy widok, z jakim Mjolln kiedykolwiek się zetknął. Nieliczne rośliny, które znajdował w okolicy, wystarczały mu do życia, gdyż bardziej sycił się pięknem gór i zapierającym dech krajobrazem. Spędzał czas oczarowany urodą świata aż do chwili, gdy zrozumiał znaczenie swojej podróży.

Już nie chciał być duży jak człowiek.

Następnego dnia z sercem przepełnionym radością Mjolln zaczął drogę powrotną, która wiodła drugą stroną góry.

Kilka tygodni później osiadł w małym miasteczku Blemur, gdzie miał się rozmaitych zajęć – był krawcem, kucharzem, szewcem, koniuszym – aż otworzył niewielki sklepik, w którym można było znaleźć wszystko. Prowadził ten interes sumiennie i szybko się okazało, że jest najbardziej uprzejmym sprzedawcą co potrafili docenić wszyscy mieszkańcy miasteczka, ponieważ wiedzieli, że u Mjollna dostaną to, czego potrzebują. A jeśli nawet nie było akurat potrzebnego artykułu, mieli pewność, że nim minie miesiąc, będzie można się po niego zgłosić.

Upłynęło dziesięć lat, krasnolud nauczył się gry na dudach od pewnego barda i któregoś dnia zdecydował się wrócić na szlak. Był zmęczony stagnacją, brakowało mu podróży. Potrzebował nowego wyzwania i wpadł na kolejny pomysł. Jeszcze bardziej szalony niż zdobycie szczytu Gor-Draka. Teraz, gdy już nauczył się grać na dudach, postanowił, że zostanie pierwszym krasnoludem bardem. Sprzedał swój sklepik i wyruszył do Starego Portu, by pozbyć się kilku ostatnich artykułów, których nikt w Belmur nie chciał kupić.

-Zatem - wyjaśnił krasnolud – wracam do Starego Portu i szukam jakiegoś druida, który zechce zrobić ze mnie barda. Widzisz jak wiele można osiągnąć zaczynając od kowalstwa?

-Znałam jednego kowala – powiedziała Alea – czy raczej jego córkę.

-A ja nie mam córki! Tralala. Miałem żonę. To było dawno temu, ale to zupełnie inna historia. Hem.

-Opowiedź! – poprosiła dziewczynka, dostrzegając majacząca w oddali oberżę, do której zmierzali.

-Jeszcze? Hem. Dobrze opowiem. Kiedy byłem prawie w twoim wieku, no może trochę starszy, tak ze dwa razy, a może raczej trzy, już nie wiem, zakochałem się w swojej przyjaciółce z dzieciństwa. Miała na imię Zaina, hem, piękna Zaina. Razem dorastaliśmy na uliczkach Pelpi...Ach tak Zaina... Zaina była żywa radosna i złośliwa, a ja tak jak mój ojciec, byłem raczej niezręczny, powolny, zamyślony...czemu się śmiejesz? Tak, jestem zamyślony, miotaczko kamieni. To Zaina nauczyła mnie śmiać się ze wszystkiego, a ja w zamian za to zaszczyłem w niej miłość do gwiazd. Lubisz gwiazdy? Hem. Zauważ, jak chowają się w ciągu dnia, a pojawiają się nocą, by nieść ulgę cierpiącym na bezsenność i ulicznym latarnikom. Tego wieczoru nazwę jedną z gwiazd imieniem Alea, na pamiątkę naszego spotkania miotaczko kamieni. W każdym razie pewnego dnia, chociaż zawsze byliśmy przyjaciółmi, zdałem sobie sprawę, że może się kochamy. Hem. A następnego dnia poprosiłem ją o rękę. Na początku myślała, że jestem szalony, ale tak nie było, o nie. Wiele lat później okazało się, że miałem rację: byliśmy w sobie zakochani. W końcu zgodziła się zostać moją żoną, a mieszkańcy miasteczka oferowali nam nowy dom.

-Dali wam dom? – zdziwiła się Alea.

-Taki jest u nas zwyczaj. Hem. Kiedy para bierze ślub, zbierają się mieszkańcy miasta, by wybudować dom. Trwa to dwa tygodnie, a po ukończeniu pracy para jest oficjalnie mężem i żoną. Nasza ceremonia zaślubin to dwutygodniowy plac budowy! Hem. Chcieliśmy założyć rodzinę, to oczywiste. Bardzo kochałem Zainę i chciałem, by została matką moich dzieci. Byłem szczęśliwy ponad krasnoludzkie pojęcie! Ha, ha, ha! Ze słowami można zrobić wszystko. Nie ma nic zabawniejszego od słów i ...Co? Aha! Zaina. Nie mogłem sobie wymarzyć nikogo lepszego. Zresztą...Krótko mówiąc, hem, chcieliśmy mieć dzieci. Przygotowaliśmy nawet pokoiki dziecięce. Zaina cały rok poświęciła na dekorowanie...a potem pewnego wieczoru, w Pelpi zjawily się gorguny.

-Gorguny?

-Nigdy o nich nie słyszałaś?

-Słyszałam oczywiście, ale sądziłam, że to bajki, którymi straszą dzieci...Gorguny naprawdę istnieją?

-tak, gorguny istnieją, a co gorsza nienawidzą krasnoludów. Hem, zresztą z wzajemnością, trzeba przyznać.

-A jak wyglądają takie gorguny? – zapytała Alea, wytrzeszczając oczy. Po opowieściach Faith na temat elfów teraz jakiś krasnolud mówi o gorgunach! Wszystkie te legendarne istoty wydawały jej się niegdyś tak tajemnicze, że nawet w tej chwili ledwo mogła uwierzyć w ich istnienie. Była zachwycona tą myślą.

-Gorguny? Są wstrętne! Nie ma nic wstrętniejszego. Nasi banicy w kraju gorgunów zajęliby pierwsze miejsce w konkursie piękności. Ble! Są całkiem powykrzywiane, zupełnie jakby ich kości miały się lada chwila przebić przez zieloną skórę. Tak, hem. Mają zieloną skórę, niczym wstrętne ropuchy i małe

czerwone oczy. Są porośnięte sierścią, ale przede wszystkim są bardzo agresywne. Bach, bach! Nienawidzę ich. Słyszycie mnie gorguny? Nienawidzę was! Wracając do tematu: przybyły by złupić miasteczko i zanim zdołaliśmy odeprzeć atak tych odrażających potworów, zdążyły już zabić więcej niż połowę mieszkańców Pelpi. Kiedy wróciłem do domu, znalazłem na podłodze ciało swojej żony. O, Zaina! Gorguny ją zabiły. Odebrały mi sens życia. Piękne...Jak mi jej brak. Pozostałem jej wierny i to dlatego nie mam dzieci, Teraz już rozumiesz?

-Smutna ta twoja historia...

-och! Moje wędrówki i Gor-Draka trochę ukoili ten ból. Hem. A ty? Jaka jest twoja historia?

-Pff! Nie ma co opowiadać. Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że dopiero co się urodziłam.

Krasnolud spojrział na nią zdziwiony. Alea opowiadała mu trochę o swoim życiu na ulicach Saratej, o córce kowala, o opasłym rzeźniku i dowódcy żołnierzy, o nieboszczyku zakopanym w piasku, a nawet pokazała mu pierścień, tłumacząc, że zamierza go sprzedać w Providence.

Chmury coraz bardziej skłębione, wolno przesuwały się po niebie. Duszne powietrze było wyraźnym sygnałem nadciągającej burzy. Lecz oni nie zwracali uwagi na zmieniającą się pogodę. Alea cieszyła się rozmową z krasnoludem, odnajdując w niej ten sam poziom zaufania, którego doświadczył onegdaj w obecności Aminy. Kiedy wreszcie dotarli do oberży, ucieszyła ich myśl o oczekującym tam posiłku. Byli głodni jak wilki.

*

-Słucham, mój panie.

-Chcę, żebyś przywiózł mi tego, którego zwą Ilvainem.

Maolmordha pozostawał na tronie w pałacu Shankha, odkąd zabił Aldero. Komnatę spowijały zimnie i złowrogie ciemności. Atmosfera tego miejsca przepełniona była energią jego pana. Po prawej stronie tronu leżały dwa ciała. Dwóch niewolników zabitych zapewne dla kaprysu i przyjemności. W powietrzu unosił się mdlący zapach krwi i wilgotnych skał. Przytroczona do tronu łańcuchami obejmującymi kostki i nadgarstki leżała na brzuchu naga młoda dziewczyna. Jej ciało broczące krwią pokrywały makabryczne ślady głębokich ugryzień. Słysząc było jej stłumione jęki. Ściany zdawały się żyć i poruszać za sprawą odrażającej cieczy, która spływała z nich kroplami niczym lava. Sala tronowa pozostawała całkowicie w mocy mrocznej duszy Maolmordhy, zimniej niczym śmierć równie pustej, tajemniczej i przerażającej.

Kolos w czarnej zbroi klęczał przed Maolmordhą i nie śmiał podnieść głowy, bojąc się ujrzeć twarz swego pana. Maolmordha może nie przywiązywał do tego zbyt wiele wagi, ale on wołał nie ryzykować. Zbyt wiele przed nim straciło życie, wystawiając tolerancję pana na próbę.

Ayn'Sulthor był księciem Herilimów, Rzucającym Cień, godnym spadkobiercą starożytnej linii pożeraczy dusz. Maolmordha uczynił zeń swą prawą rękę, by zapewnić sobie wierność wszystkich Herilimów, strategicznych sojuszników.

Ayn'Sulthor był gigantem o nadludzkiej sile i rozmiarach. Miał dwa metry i piętnaście centymetrów wzrostu, a jego mięśnie zdawały się być wykute w skale. Jego czarna zbroja przydawała strasznego wyrazu i tak ponurej twarzy, a spod hełmu błyszcząły budzące grozę mroczne oczy niczym dwie bezdenne studnie. To stad wzięło się jego imię: Ayn'Sulthor, Czarnooki.

Przed obliczem Maolmordhy by jednak nikim. Jedynie posłuszny sługą porażonym mocą swojego pana. Maolmordha w ciągu kilku ostatnich dni dał dwa razy dowód swojej mocy, kiedy dla własnych celów zgromadził u siebie niewielką armię gorgunów. Gorguny były głupie, Maolmordha zabił wiele z nich dla przykładu. Płomienie i błyskawice, które wystrzeliły z jego dłoni, na długo zapewnili mu status pana gorgunów i Herilimów, którzy zgromadzili się wokół niego.

Sulthor zawahał się, zanim otworzył usta. Aby nie ulec pokusie i nie podnieść oczu, utkwił wzrok w posadzce i wyobraził sobie twarz swego pana nabrzmiałą krwią, z pulsującymi żyłami, w których krąży energia zła gotowa w każdej chwili eksplodować z niszczycielską siłą, a pośrodku twarzy jego puste oczy niczym nieprzeniknione okna, z trudem ukrywające wrzenie magicznej furii.

-Jak go rozpoznam panie? – zapytał Ayn'Sulthor, nie podnosząc wzroku, z dłonia spoczywająca na głowicy miecza.

-To Samildanach. Zdradzi go jego własna moc i nie będziesz miał trudności, by go odnaleźć, książę Herilimów. Ale nie walcz z nim. Zmuś go do przybycia tutaj. Przyrowadź mi tego Ilviana. Jeśli nie będzie innego wyjścia jak walka, zabij go i przywieź do mnie spowitego tym całunem. Tym sposobem jego moc nie ujdzie z martwego ciała.

-Będzie według waszego życzenia, panie.

-Tym lepiej książę Herilimów, tym lepiej.

Sulthor powstał, odwrócił się i opuścił salę tronową, nie patrząc na Maolmordhe. Usłyszał jedynie krzyk przykutej do tronu młodej niewolnicy, której jego pan właśnie podcinał gardło.

*

Imala udawała się na południe i wkrótce wkroczyła do gęstszego lasu, w którym dominowały dęby, sosny i brzozy. Stąpała ostrożnie, zanurzając łapy w wysokiej trawie i upewniając się z każdym krokiem, czy ktoś jej nie śledzi, bo okolica była jej zupełnie obca. Las pachniał przyjaźnie mieszanka łyka i żywicy, wilgotną trawą i ziemią. Delikatny wietrzyk uderzył ją w nozdrza i zmuszał do zmrużenia oczu. Imala gubiła się w zapachach niesionych przez wiatr z różnych stron. Jej łapy były mokre od obfitej rosy. Czowała się dobrze.

Nie jadła od wczoraj i miała nadzieję, że znajdzie jakąś zwierzynę w trawach tutejszego lasu. Co ciekawe nie odczuwała już bólu z powodu straty małych, mimo że nosiła w pamięci nienawiść do Aheny. Teraz doznawała nowych emocji związanych z przygodą i nieznanym. Oblizowała się i zagłębiła w las przepełniony świergotem ptaków i poranną wrzawą.

Po godzinie poszukiwań natknęła się wreszcie na zbląkanego warchlaka.

Kwiczał bez przerwy, przywołując zaginioną matkę, ale to nie powstrzymało

wilczycy, której jedyną motywacją był głód. Stała w bezruchu, obserwując przez chwilę swą ofiarę, potem rozciągnęła się na ziemi. Trzymając ogon na wysokości tułowia i stulając uszy, sunęła wolno w stronę młodego dzika, już dość tłustego, a jeszcze niezręcznego. Idealny cel.

Kiedy Imala była już zaledwie kilka metrów od warchlaka ten nagle się poderwał. Musiał ją usłyszeć lub wyczuć jej zapach. Wilczyca nie traciła czasu: skoczyła w stronę zdobyczy z szeroko otwartą paszczą. Warchlak usiłował się bronić, ale szczęki wilczycy zacisnęły się na jego szerokiej szyi. Młode zwierze upadło pod wpływem szoku, a Imala nie puszczała zdobyczy i potrząsała gwałtownie głową, by zagryźć upolowane zwierze. Ścisnęła warchlaka dopóty, dopóki nie wydał ostatniego tchnienia. Czowała krew spływającą z jej pyska i to jeszcze bardziej ją podniecało.

Wstrząsany konwulsyjnymi drgawkami dzik w końcu stracił życie w uścisku wilczych kłów. Imala trzymała zdobyczy w pysku kilka chwil, a potem zaciągnęła je dalej, by zaspokoić głód w cieniu starego dębu. Pół godziny później już spała, najedzona do syta.

Kiedy się obudziła, zdumiona odskoczyła do tyłu i położyła się na ziemi, wyszczerzając kły: nie usłyszała kiedy nadszedł dwunożny, który teraz siedział naprzeciwko niej.

Tak wilki nazywały ludzi i te stworzenia, które potrafiły stać na dwóch nogach. Dwunożni. Ten podszedł do niej kiedy spała i usiadł tylko po to, by patrzeć na nią pogrążoną we śnie. Nigdy nie widziała dwunożnego z tak niewielkiej odległości, to było przerażające. Jednak nie wyglądało na to, by chciał jej zrobić coś złego. Jego zapach nie miała sobie niebezpieczeństwa ani agresji, a jego spokojne i powolne ruchy były pewne. Imala rozciągnięta na ziemi, podnosiła od czasu do czasu głowę. By lepiej przyjrzeć się dwunożnemu, który się nie ruszał i cały czas ją obserwował. Zauważyła, że jest wysoki, szczupły i zupełnie inny od obrazu jaki sobie wytworzyła, patrząc z oddali na dwunożnych. Przed wszystkim dziwił ją kolor jego skóry, kształt uszu i delikatność rysów twarzy. Zaintrygowana, postanowiła jeszcze nie uciekać, mimo że dyktował jej to instynkt.

W tej samej chwili dwunożny przemówił do niej delikatnym i melodyjnym głosem:

-Hath ne frian, imala cloth.

Brzmienie jego głosu uspokoiło wilczycę, która wyprostowała się i odeszła na bok. Dwunożny podniósł się wolno i oddalił bezszelestnie.

Wilczyca zatrzymała się i zobaczyła jeszcze, jak znika pomiędzy drzewami, a promienie słoneczne przedzierają się przez gałęzie niczym świetlisty deszcz. Imala obwąchała trawę w miejscu, gdzie siedział dwunożny, zapamiętując na zawsze zapach tego dziwnego stworzenia, cofnęła się i szybko podjęła ślad nieznanego, machając ogonem.

*

Niewielka oberża znajdowała się tuż przy drodze. Wrzosowisko tworzyło w tym miejscu przyjemną kotlinę, a wokół budynku rosło kilka drzew. Do oberży przylegało kilka budynków gospodarczych, spichlerz, obora, tłoczarnia. Miejsce

to stanowiło dla podróżnych etap nie do pominięcia. Nikt nie pozostał obojętny na kuszące zapachy dolatujące z umyślnie otwartego kuchennego okna.

Budynek był niski, ale szeroki, wzniesiony z kamienia i pokryty strzechą. Alea i Mjolln weszli do środka. Z zewnątrz dochodziły pierwsze pomruki naciągającej burzy.

Obszerna główna izba w niczym nie przypominała ten z Gąski na Ruszcie. Tutaj ściany były brudne, nieliczne meble poniszczone, a stoły porozstawiane w nieładzie. Gwar rozmów był ogłuszający, jednak oberża pogrążona była w przyjaznej atmosferze. Atmosferze podróży, zasłużonego odpoczynku, rozluźnienia przed dalszym marszem. Daleko jej było do domowego charakteru oberży w Saratei. Tutaj nikt się nie przejmował manierami, jedzono w pośpiechu. Dwie wesołe posługaczki krążyły nieustannie między stołami i Alea stwierdziła, że nie zdołałaby dotrzymać im kroku. Rytm ich pracy całkowicie się różnił od spokojnego rytmu, który znała z Saratei. Z rękami pełnymi talerzy, glinianych kubków i dzbanów zdawały się uwijać w sobie tylko znanym tańcu. Nadejście burzy zgromadziło więcej klientów niż zazwyczaj. Dym unoszący się z fajek i para z nad talerzy tworzył gęsty zaduch, który wraz z panującym tu gwarem szybko stawał się nieznośny. Niebo za oknami stało się całkowicie czarne. Pierwsza błyskawica przecięła niebo.

W oberży nie było ani jednego wolnego miejsca. Alea i Mjolln krążyli po sali od stołu o stół, gdy nagle tuż za nimi ktoś krzyknął:

-Panienko, panie możecie usiąść przy naszym stole. Tam gdzie jest miejsce dla trojga, znajdzie się i dla pięciorga.

Trzech młodych ludzi w dziwacznych czarnych płaskich kapeluszach uśmiechało się przyjaźnie. Alea zdziwiona ich wyglądem zwróciła pytający wzrok w stronę krasnoluda.

-To studenci z Mont-Tombe, Aleo. Noszą śmieszne uniformy, co?

Krasnolud i dziewczynka nie dali się długo prosić, całkowicie ignorując fakt, że żacy z Mont-Tombe nie są zbyt mile widziani w okolicy, i usiedli naprzeciwko siebie obok młodych ludzi.

-Witam, jestem Daragh, a to Garret i Pearse.

Z powodu hałasu w karczmie i odgłosów burzy trzeba było krzyczeć, by pozostali mogli cokolwiek usłyszeć.

-Witamy – powiedział krasnolud, a Alea uśmiechnęła się nieśmiało.

Trzech żaków raczyło się wieprzowym udźcem. Na widok jego pięknie przyrumienionej skórki ciekła ślinka. Kucharka nacięła skórę, delikatnie przyprószyła tłuszcz cukrem, lekko przesmażyła i namoczyła w sosie własnym, by nadać udźcowi przepiękny złoty kolor. Wspaniały kawałek mięsa spoczywał na talerzu w towarzystwie rozmaitych zblanszowanych warzyw, polanych roztopionym masłem. Mjolln zatarł ręce i oblizwał się łakomie niczym szczeniak. Kiedy posługaczka pojawiła się w zasięgu wzroku, przywołał ją i zamówił to samo danie. Ta skinęła głową z uśmiechem i zniknęła w czeluściach kuchennych.

-Zdążacie na południe czy na północ? – zapytał ten, który przedstawił się jako Daragh.

-Ja idę na południe do Providence – powiedziała dumna Alea, której możliwość pobytu w stolicy wydawała się przywilejem.

-Ja również – powiedział Mjolln ku zdziwieniu dziewczynki. W czasie wspólnej podróży Mjolln powziął decyzję, że potowarzyszy swojej nowej przyjaciółce w drodze. Uważał, że Alea jest rozczulająca i nie chciał się z nią szybko rozstawać. W końcu w Blemur nikt na niego nie czekał, nie miał się do kogo spieszyć. Trzeba przyznać, że pochlebiał mu jej serdeczny śmiech, którym wybuchała po każdym z jego dowcipów. Zapalali do siebie przyjaźnią równie silnie jak szybko. Był to jeden z tych magicznych momentów, kiedy spotkanie kogoś nowego otwiera przed nimi zupełnie nową perspektywę i zmienia palny na przyszłość.

-Towarzysze Alei w drodze do Providence – ciągnął krasnolud, uśmiechając się szeroko, jakby powiedział właśnie jakiś dowcip. – A wy?

-My również zdążamy na południe, ale do Zatoki Ebonu, gdzie zakończymy swoje fakultety.

Studenci uniwersytetu Mont-Tombe na zakończenie nauki muszą spędzić cały rok, podróżując w niewielkich grupkach i starając się spełnić przydzielone im zadanie. Najczęściej chodziło o dostarczenie do biblioteki uniwersyteckiej dokładnych informacji, by uzupełnić jakieś uczone dzieło, i to w każdej dziedzinie. Jedni mieli dostarczać informacji o takim czy innym zawodzie, inni geografii danego regionu, jeszcze inni na temat historii czy polityki... Dla biskupa Aeditusa i jeszcze Kościoła nie było rzeczy nieciekawych, a owe podróże zwane fakultetami przynosiły jeszcze dodatkową korzyść: pozwalały sławić zalety chrześcijaństwa i jego wizję świata. Chrześcijanie bowiem nie postrzegali rzeczy w ten sposób co mieszkańcy Gaelii. Nawet jeśli nie śmiali mówić tego głośno i wyraźnie, ich filozofia podważała ideę istnienia Mojry. Mnisi z uniwersytetu próbowali więc małymi kroczkami propagować swą teorię wśród zwykłych ludzi, wierząc, że pewnego dnia przyjdzie czas na potwierdzenie ich przekonań. Na razie chodziło jednak o to, by zebrać jak największą liczbę studentów, a ci, którzy wyruszyli, by ukończyć fakultety, często werbowali nowych uczniów.

-A co będzie przedmiotem waszych badań w Zatoce Ebonu? – zapytała Alea, która nawet nie była pewna, co to jest ta cała zatoka.

-Oczywiście słynni szczudlarze – odpowiedział Pearse tonem, w którym Alea usłyszała nutę lekceważenia.

-Ach tak? A któż to? – naciskała, unosząc brwi.

-To mieszkańcy Ebonu – odparł młody student, jakby recytował wyuczoną lekcję – miasta na balach usytuowanych w zatoce o tej samej nazwie., w której woda cofa się raz na dzień. Mieszkańcy wychodzą wtedy ze swych domów, przemieszczają się na wielkich szczudłach, brodząc w mule, i mogą w ten sposób spokojnie odławiać ryby. To dlatego nazywa się ich szczudlarzami. Jest to bardzo osobliwy zwyczaj, o którym nie mamy zbyt wiele informacji. To właśnie będzie przedmiotem naszych studiów.

-Pasjonujące – powiedział Mjolln, ale jego wzrok skupił się na dymiącym wieprzowym udźcu, który właśnie z niebywałą zręcznością podała mu posługaczka.

Alea była zafascynowana tą historią, a zwłaszcza uniwersytetem Mont-Tombe. Zatem istniało miejsce, w którym zgromadzono całą wiedzę o świecie i w którym o wszystkim pisano! Miejsce, w którym można było odkryć wszystkie miasta świata, wszystkie zawody, historie, po prostu czytając księgi i słuchając wykładów. Ach, gdyby tylko umiała czytać, poszłaby do Mont-Tombe się uczyć! Miał gdzieś wszystko to co mówiono o chrześcijanach, było tyle spraw, których nie знаła, tyle nazw, historii, tylu ludzi i rozmaitych cudownych idei, których istnienia dotąd nie podejrzewała... Od wczoraj wydawało jej się, że musi nauczyć się wszystkiego, że nic nie wie o życiu i świecie, że do tej pory cały jej świat wyznaczały mury Saratei i że każdy dzień niesie nowe niespodzianki. Pomyślała, że nie ma nic lepszego od wiedzy, że to z pewnością bogactwo cenniejsze niż złoto i że jest ono wreszcie dostępne.

-A czy są dziewczęta na waszym uniwersytecie? – zapytała po dłuższej chwili. Trzech żaków spojrzęło na siebie z zażenowaniem. Nie spodziewali się pytania tego typu i najwyraźniej był to delikatny temat.

-Nie – odpowiedział Darragh. – To jest zakazane dla dziewcząt.

-Ach! – Alea była rozczarowana. – Szkoda.

-Ale dziewczęta mogą przychodzić do biblioteki i czytać wszystkie znajdujące się tam księgi, oczywiście pod warunkiem, że zapłacą roczny abonament...

Mnisi nie są jak druidzi! Zezwalają czytać, pisać i każdy może się uczyć.

Wiedza u nas, chrześcijan, nie jest przywilejem elit.

Lecz Alea już nie słuchała. Ogłuszona hałasem burzy, która szalała za oknem, dała się ponieść myślom. Zdecydowanie wolałaby być chłopcem. Świat jest źle urządzony. Nie ma na nim sprawiedliwości.

Trzeba było bogato się urodzić, by w wieku trzynastu lat szlifować bruków w Saratei. Nie urodzić się dziewczynką, by móc studiować na Mont-Tombe, poznawać świat i tajemnice. Jaka w tym wszystkim jest logika? Na ulicach miasta w niczym nie ustępowała chłopcom, ani siłą, ani sprytem. Zatem dlaczego?

Kilka tygodni wcześniej Tara pogratulowała jej stania się kobietą. Mogła sobie być kobietą, co z tego, skoro nie była wolna? Na tyle wolna, by móc się uczyć, jak ci trzej imbecyle, którzy wyruszyli studiować obyczaje szcudlarzy z Zatoki Ebonu. Nie, doprawdy, nie ma sprawiedliwości na tym świecie. „Żeby tak można było to zmienić!”, pomyślała Alea. Ale czy tego chciał Mojra? Czy powinna po prostu podążać jej ścieżkami? Alea powiedziała sobie, że z pewnością jest tu po to, by działać, zmieniać świat i to właśnie zamierzała robić bez względu na swój młody wiek i płeć! W głębi duszy obiecała sobie, że pewnego dnia zrobi wszystko, by zmienić to idiotyczne prawo i będzie pierwszą dziewczynką, która wstąpi w szeregi studentów z Mont-Tombe! Uśmiechnęła się na myśl, ile obietnic sobie dziś złożyła, i stwierdziła, że w pierwszym rzędzie zadowolili się dotarciem do Providence.

Mjolln zdążył już zjeść prawie połowę udźca, kiedy zdecydowała się spróbować. Mięso było rozkosznie miękkie, a delikatna skóra chrupiąca. Zaczęła pałaszować z apetytem, a kiedy na półmisku nie zostało już nic, Mjolln hojnie zapłacił oberżystce i oczekiwali końca burzy, popijając gorące mleko z miodem. Studenci nie odzywali się już ani słowem, jak gdyby pytanie Alei

głęboko ich dotknęło. Wkrótce wstali od stołu i żegnając się grzecznie krasnoluda i dziewczynkę, poszli sobie na południe do swoich tajemniczych szudlarzy.

-Hem. Niezbyt lubię tych chrześcijan – powiedział nagle Mjolln, który od chwili rozpoczęcia posiłku nie odezwał się ani słowem. – poza tym nigdy nie poznałem córki kowala.

Alea spojrzała na niego unosząc brwi i zastanawiając się co też chciał powiedzieć. A kiedy zrozumiała, posłała mu szeroki uśmiech.

Kiedy wreszcie burza ustąpiła, wyruszyli dalej, nasyceni i pogrążeni w entuzjastycznej rozmowie, pewny, krokiem stąpając po mokrej trawie.

Po godzinie marszu dobry humor ich opuścił.

*

Sulthor, Rzucający Cień, omiatał z wolna swym czarnym spojrzeniem wrzosowisko. Biały piasek i żwir błyszczały w słońcu niczym gigantyczna szklana plaża. Podłoże było tak gorące, że powietrze zdawało się drgać nad całym wrzosowiskiem, deformując linię horyzontu. Żaden człowiek nie wytrzymałby tego upału, ale Ayn'Sultho otoczony gorącym pustynnym powietrzem nie odczuwał niczego w swej stalowej zbroi. Nie obawiał się ani chłodu a ni gorąca.

Przemierzył całe hrabstwo Sarre, przeczesując niczym tropiciel każdą piędź ziemi, każdą uliczkę w każdym mieście, każdą polanę, każdą ścieżkę.

Wyczuwał dusze mieszkańców, których mijał, prześwietlał ich myśli w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, która zbliżyłaby go do ofiary. Ludzie uciekali z drogi przerażeni olbrzymem na czarnym wierzchołku, czując czasem przebiegającą ich mroźną falą, kiedy księżę Herilimów czytał w ich duszach.

Wiele razy zatrzymywał się, by się posilić. Jednak Sulthor nie jadł w oberżach ani nawet w szałasach. Nie, pożeracz dusz jadł z czaszek swych ofiar. Żywił się ich myślami, ich pamięcią, ich umysłem i ich strachem, pozostawiając ich głupie ciała w niemym i ślepym bezwładzie przez kilka minut, zanim padły bez życia niczym gęś, której odcięto głowę. Wybierał ofiarę, oceniał jej dusze, pobudzał jej emocje, a potem chwycił ramionami i kiedy jej przerażenie stawało się dla niej nie do zniesienia i nadawało pożywieniu ten gorzki smak, który tak go podniecał, pozwalał się ponieść energii wydzieranej z ciała ofiary. By pochłaniać dusze swych ofiar, używał Ahrimana, siły Herilimów.

Nie było przed nim ucieczki. Sulthor, kiedy, już upatrzył zdobycz, zawsze ją zabijał. Nie wypuszczał z rąk, a im bardziej się opierała, z tym większą rozkoszą ją pochłaniał. W księciu Herilimów nie było już żadnej ludzkiej cechy – ani spojrzenia, ani słowa, ani najmniejszego gestu. Stał się maszyną do zabijania na rozkaz Maolmordhy, a w jego żyłach płynęła czarna trucizna.

W końcu po wielu dniach wjechał do hrabstwa Sarre i gdy na zachodzie ujrzał czubki dębów i grabów Lasu Sarlia, poczuł impuls. Słaby, ale wyraźny sygnał, który nakazał mu się zatrzymać. Nie było żadnych wątpliwości. Nie mógł się

mylić. To był on, Ilvain Iburan, Samildanach. Człowiek, na którego poszukiwanie wysłał go Maolmordha.

Rzucający Cię zeskoczył konia i wolną zaczął iść, usiłując nie stracić ważnego śladu swej zdobyczy. Nie mógł zdać się jednak na wzrok i mimo że nie przestawał się wpatrywać w horyzont, przede wszystkim ufał wrażeniu, które czuł w głębi siebie. Tak Ilvain był gdzieś tutaj, lecz Sulthor musiał zadać sobie wiele trudu, by odszukać jego ślad. Najpierw sądził, że Ilvain był jeszcze daleko, ale potem zrozumiał, że to nieprawda – to jego sygnał, ale jego siła witalna była słaba. Jakby...jakby Samildanach umierał! Książę Herilimów przyspieszył kroku, pozwalając się prowadzić dziwnemu palącemu impulsowi, który stawał się coraz bardziej obecny, prawie bolesny. Dwie przeciwstawne siły próbowały się odnaleźć, lecz ścierały się ze sobą na zbyt ciasnym terytorium. To stawało się nie do zniesienia. Saiman przeciwko Ahrimanowi. Moc druidów i Samildanacha przeciwko mocy Herilimów. Dwie przeciwstawne siły, dwie przeciwne energie, które nie mogą koegzystować. Płaski horyzont białego wrzosowiska gubił się na północy i nie stanowił dla jeźdźca żadnej przeszkody w poszukiwaniach. Nagle Sulthor poczuł gwałtowny wstrząs w głębi duszy i już wiedział, że Samildanach znajduje się tuż przed nim.

*

Kiedy Alea i Mjolln wędrowali drogą otoczona piaszczystymi pagórkami porośniętymi przez karłowate sosny, zostali otoczeni przez ośmiu banitów uzbrojonych w miecze i grube kije.

-To oni! Nie miejcie litości! – wrzasnął jeden z wyrzutków, wymachując mieczem.

Alea i Mjolln rozpoznali w nim jednego z dwóch banitów, których zmusili rankiem do ucieczki i zrozumieli, co się stało. Dwóch tchórzy wezwało posiłki i wróciło, czekając na okazję do rewanżu.

Zaczęła się walka. Mjolln robił co w jego mocy, by ochronić swą małą przyjaciółkę i dzielnie odpierał ciosy. Banici mieli jednak przewagę liczebną. Mimo tatuażu na czołach, który zabraniał im jakichkolwiek kontaktów z mieszkańcami Gaelii, najwyraźniej byli zdecydowanie znów wejść w konflikt z prawem. Wkrótce Mjolln otrzymał potężny cios kijem w ramię, tak silny, że upadł, wrzeszcząc z bólu. Alea odwróciła się, by pomóc mu wstać, ale zatrzymało ją ostrze miecza., które musnęło jej nos. Uchylając się straciła równowagę i upadła na plecy obok krasnoluda. Natychmiast spadł na nich grad ciosów i kopniaków w brzuch, tak, że nie mogli się bronić.

-Uciekaj! – krzyknął Mjolln do dziewczynki. Lecz Alea nie miała żadnej drogi ucieczki i przywarła do krasnoluda.

Chwilę później ujrzała, jak jeden z banitów unosi miecz, by z nim skończyć. W jego oczach dostrzegła nienawiść. Nienawiść i zemstę, jak gdyby banita chciał, by to oni zapłacili za jego izolację i wszelkie cierpienie.

Alea już uznała się za martwą. W oczach swego oprawcy dostrzegła nawet błysk wahania. Ostrze zaczęło opadać. Dziewczyna wrzasnęła z całej siły, jakby krzyk mógł zatrzymać miecz. Lecz nic nie wskazywało na to, że banita się zawaha.

Ostrze miecza lśniło w słońcu, rzucając błysk, który oslepiało. Chwilę później poczuła gwałtowny wstrząs i pomyślała, że to koniec.

Jednakże, gdy otworzyła oczy, zobaczyła że wokół nic się nie zmieniło, tyle tylko, że banita już nad nią nie stał. Podniosła się i ujrzała go kilka metrów dalej. Jego ciało spoczywało obok drzewa i płonęło, leżał tam zakrwawiony, wstrząsany przedśmiertelnymi drgawkami.

I nagle czas się zatrzymał.

Na chwilę, na krotką chwilę.

Alea przetarła oczy i ujrzała dziwny spektakl, niczym sen rozgrywający się za chwiejną zasłoną, która ją otaczała, zacierając dźwięki i kolory. Banici w zwolnionym tempie padali na ziemię spaleni świetlną kulą, która krążył od jednego do drugiego, pozostawiając po sobie białe ślady. Było to przerażające i magiczne zarazem. Kula ognia eksplodowała w ciele człowieka rozrzucając dookoła fragmenty zwęglonego ciała oraz połamanych kości, by następnie zrekonstruować się nad dymiącymi jeszcze zwłokami i niczym strzała pomknąć w kierunku następnej ofiary. Banici nie mieli nawet czasu, by cokolwiek zrozumieć, śmierć dopadała szybko jednego po drugim. Kula ognia zakończyła swą niszczycielską misję pod drzewem, gdzie w końcu zgasła.

Kiedy Alea mogła się wreszcie podnieść, w panice gotowa do ucieczki, ujrzała za drzewem człowieka, o którego rozbiła się ognista kula. Był wysoki, szczupły i odziany w biały płaszcz. Po jego łysej czaszce poznała, że był to Felim, tajemniczy druid. Z jego palców unosiły się płomyki. Towarzyszył temu syczący, ostry dźwięk.

-To... To wy zrobiliście to wszystko? – zapytała przerażona.

Felim uśmiechnął się w odpowiedzi i podszedł do Mjollna leżącego w trawie.

Krasnolud wydał się zaskoczony.

-Druid! Jesteście druidem, prawda? – wymamrotał z wysiłkiem, trzymając się za ramię .

-Moje imię to Felim, panie. A dokładniej: Caron Cathfad, syn Katubatuisa, a Felim jest moim druidzkim imieniem. Pozwólcie, że obejrzę waszą ranę.

Ramię krasnoluda było wybite ze stawu. Stary człowiek położył na nim rękę i Alei wydało się, że pod pięścią druida zobaczyła czerwone światło. Krasnolud podskoczył i chwilę potem stał z rozdziawionymi ustami.

-Uleczony! Jestem uleczony! Ha, to cud! Naprawdę jesteście druidem! Alea! Druid, zdajesz sobie sprawę?

Dziewczynka nie wydawała się tak zachwycona jak krasnolud. W głębi suszy nie wiedziała, czy może zaufać druidowi. Niektórzy mieszkańcy Saratei mówili czasem, że druidzi to starzy szaleńcy, którzy spiskując z królem i którzy prowadzą niebezpieczną grę z magią i Mojra... nic uspokajającego w każdym razie.

-Śledziliście mnie? – zapytała Alea, spoglądając na trupy banitów leżące wkoło niej.

-Tak. I sadzę, że dobrze zrobiłem, bo nie wygląda na to, że ci banici zostawiliby was przy życiu. A teraz zbliż się, zajmę się twoimi skaleczeniami.

-Czuję się dobrze – sprzeciwiła się, robiąc krok w tył.

Mjolln był zaskoczony i rzucił w jej stronę niespokojne spojrzenie.

-Aleo, moja miotaczko kamieni, Aleo... Hej, byłem dla ciebie znacznie miłszy, gdy pośpieszyłaś mi z pomocą, hem! Mogłabyś być bardziej uprzejma dla Felima. Nie obraza się druida, co to, to nie!

-Mjolln ja znam tego Felima i nie ufam mu – przerwała Alea szeptem.

Mjolln oparł dłonie na biodrach, marszcząc brwi, opuścił podbródek i podrapał się po kędzierzawej brodzie. Dziewczyna westchnęła, wznosząc oczy ku niebu.

-Nie zamierzam mu ufać tylko dlatego, że przybył nam pomóc! – zaprotestowała.

-Pomóc? – oburzył się druid. – wydaje mi się, że nie chodziło o zwykłą pomoc, kiedy tu dotarłem,, ocalić o tak to lepsze słowo – poprawił z uśmiechem.

Alea z trudem ukryła zakłopotanie. Dobrze wiedziała, dlaczego druid się tu znalazł. Z tego samego powodu uciekła z Saratei dziś rano.

-Nie oddam wam pierścienia dlatego, że mnie uratowaliście – powiedziała w końcu, chowając ręce za plecami.

-Wcale cię o to nie prosiłem. – powiedział starzec – ale zgodzisz się chociaż, bym ci towarzyszył do Providence, żeby wytłumaczyć, dlaczego za tobą szedłem?

Alea spojrzała na krasnoluda, który zaczynał się niecierpliwić. Była zmieszana. Felim był taki tajemniczy. Najpierw zabił wszystkich banitów za pomocą magii i to w krótszym czasie, nie potrzeba na wymówienie tego słowa, a potem uleczył jej przyjaciela. Z drugiej strony jednak wszystko wskazywało na to, że był tu po to. By ją osądzić. Może nawet uważał, że to ona zabiła tego człowieka, zanim zabrała mu pierścień.

-Gdybym chciał zrobić ci coś złego, Aleo, czy nie sądzisz, że mógłbym zabić cię już tysiąc razy? A gdybym chciał zabrać ci pierścień, czy nie sądzisz, że mógłbym to zrobić, zanim nawet dowiedziałbyś się o moim istnieniu?

Alea musiała przyznać mu słuszność. Ciekawość zaczynała brać górę...

-Zgoda Felimie. Możecie mi dotrzymać towarzystwa – ustąpiła.

-Nam dotrzymać towarzystw! – krzyknął krasnolud, zdejmując z pleców dudy –

Nie co dzień rozmawia się z druidem i ja was tak nie zostawię! O nie. Nie ma mowy. Ramię w górę, ramię w dół i bez litości dla złodziei. Oto pieśń dnia!

Szybko wyruszyli w drogę, by niezwłocznie opuścić miejsce, w którym zostali zaatakowani. Druid szedł na przedzie zdecydowany krokiem. Sprawiał wrażenie, jakby to on wybierał drogę i prowadził pozostałą dwójkę. W jego krokach siła mieszała się z gracją i nic nie mogło tego zakłócić.

-Jakim sposobem wysłaliście tę ognistą kulę? – zapytała Alea nie patrząc na druida.

„W końcu zdecydowała się ze mną porozmawiać – pomyślał starzec – Zatem ta jej ciekawość pozwoli mi się do niej zbliżyć. Muszę z tego skorzystać”.

-Jestem druidem, Aleo, zasiadam w Radzie Wielkich Druidów. Całe moje życie poświęciłem na poznanie podobnych sekretów.

-Nazywacie to sekretem?

-Tak. Tak samo jak sekretem jest imię człowieka, którego znalazłaś zakopanego w piasku, tak jak nazywam sekretem twoje narodziny, jak również powód twojej ucieczki...

-Znacie te wszystkie sekrety? – obruszyła się Alea – Chyba, że mówicie to wszystko, by przyciągnąć moją uwagę? Nie jestem taka głupia!

„Najwyraźniej. Nigdy nie spotkałem się z taką wola i tak byстрыm umysłem u dziecka. Gdyby tylko mi zaufała...”

-A jak myślisz w jaki sposób cię odnalazłem? Przez przypadek?

-Skoro wiecie wszystko, zatem wytłumaczcie moje narodziny i powód mojego odejścia z miasta!

„Gdybym był tego pewien, sądzę, że napawałoby mnie to strachem jeszcze bardziej niż ciebie...”

-Twoja historia zapisana jest w sercu Mojry. Wystarczy wiedzieć, jak czytać z tej księgi. Ja wiem na przykład, że jesteś Córką Ziemi... Czy to nic ci nie mówi?

-Wszyscy druidzi mówią w ten sposób? Zagadkami? – zapytała Alea ironicznie. Lecz w głębi duszy zastanawiała się, skąd druid zna jej przydomek. Usłyszał go w Saratei?

-Zagadki oznaczają dobre pytania. A pytania często uczą na więcej niż zwykłe odpowiedzi. Wystarczy umieć słuchać.

Druid zatrzymał się nagle i odwrócił do współtowarzyszy podróży.

-Umiesz słuchać Aleo? – zapytał, pochylając się w jej stronę.

Alea wzruszyła ramionami. Starzec sprawiał, że nie czuła się swobodnie. Mjolln postanowił się wtrącić, bo cisza stała się kłopotliwa.

-Ech dobrze. Żeby sprawdzić czy umiesz słuchać, zagram ci na dudach, chcesz?

-Jak najbardziej – powiedziała, a druid podjął marsz z uśmiechem na ustach.

I tym sposobem owa dziwna kompania ruszyła w kierunku Providence w takt radosnych melodii dudziarza Mjollna Abbaca.

PIERWSZE UDERZENIE

Kiedy słońce schowało się za horyzontem, trojka podróżnych znalazła cichy zaułek kilka metrów od drogi i zdecydowała o postoju. Mjolln przygotował ognisko, Alea zaś pousuwała kamienie i konary, które zalegały na ziemi, by ich obozowisko było bardziej komfortowe.

Coż to był za dzień! Tyle rzeczy wydarzyło się od rana! Pomimo ataku banitów Alea nie straciła nic ze swej ekscytacji spowodowanej opuszczeniem Saratei. Nie wiedziała jeszcze co przyniesie przyszłość, ale zaczynała nabierać pewności siebie. Obecność Mjollna działała odprężająco, a Felim nie napawał dziewczynki takim lękiem, odkąd zaczęła za nim rozmawiać. Oczywiście w dalszym ciągu nie do końca mu ufała, ale pogodziła się z myślą, że nie chce jej wyrządzić krzywdy. Przynajmniej nie bezpośrednio.

Druida zdawała się rozsadzać energia. Z pewnością był bardzo stary, ale maszerował bez wysiłku, a żywe ruchy kłóciły się ze zmarszczkami, jakie pokrywały jego twarz. Wydawało się, że należy do innego świata.

Po drodze nie podejmowali więcej tematu pierścienia ani ciała zagrzebanego w piasku, ale temat ten pozostawał obecny w ich myślach. Po prostu odłożyli go na inny czas. Woleli raczej pogłębić znajomość. Dotyczyło to przede wszystkim Mjollna, który opowiadał coraz to nowe historie. Trzeba przyznać, że był nadzwyczajnym gawędziarzem. Jak większość wytrawnych gawędziarzy często gubił się w meandrach swych zawiłych historii.

Kiedy Mjolln rozpalił ognisko, wszyscy usiedli na starym zwalonym pniu i tym razem Felim zaczął rozmowę. Zmierzch zapadł już na dobre, a w migotliwym świetle płomieni twarz druida wyglądała przerażając.

-Aleo, człowiek, którego znalazłaś wtedy na wrzosowisku nazywał się Ilvain Iburan. Jestem tego prawie pewien, ale tylko ty możesz to potwierdzić.

Krasnolud i dziewczynka posłali starcowi pytające spojrzenie.

-Był to niezwykle ważny człowiek w planach Mojry – powiedział.

-To znaczy? – zapytała zaintrygowana Alea.

-Był... Samildanachem.

Alea spojrzała na Mjollna kątem oka. Krasnolud siedział z rozdziawionymi ustami.

-Inaczej mówiąc – kontynuował Felim – posiadał on unikalną i... bardzo ważną moc. Moc, która nie powinna była go opuścić.

-A jeśli to był on i jeśli umarł? – zapytała Alea.

-Widzisz... jeśli umarł, to oznacza, że prawdopodobnie ktoś przejął jego moc, a o mnie bardzo niepokoi.

-Dlaczego?

-Ponieważ to ogromna moc, którą powinien dziedziczyć jedynie druid.

-Znaliście go? – indagowała Alea.

-Tak, oczywiście. Nie widziałem jednak Ilvaina od bardzo długiego czasu, a klejnot, który znalazłaś, niezwykle przypomina jego pierścień. Jeśli tylko pozwoliłabyś mi go dokładnie obejrzeć, mógłbym się upewnić, że to ten. Byłbym wtedy pewien, że to właśnie Ilvaina znalazłaś na wrzosowisku.

-Jak go rozpoznacie? – zapytała Alea, wciąż nieufna.
-Wewnątrz wygrawerowany jest symbol Samildanacha.
-Jak wygląda? – zaniepokoiła się Alea, odkręcając pierścień na palcu.
-Dwie dłonie przykrywające serce i koronę – wyjaśnił Felim.
Alea zagryzał wargi. Właśnie taki wzór znajdował się wewnątrz pierścienia.
Zawahała się jeszcze chwilę, a potem bez słowa wyciągnęła pierścień w stronę starca. Ten wziął go, uśmiechając się do dziewczynki i zaczął oglądać z uwaga.
-Tak jak się obawiałem. Proszę – powiedział oddając klejnot. – Pilnuj go dobrze ma wielką wartość. Nie jestem pewien, czy powinnaś go mieć, jednak to wszystko wydaje się dość dziwne...
potem powiedział po prostu:
-Zatem Ilvain nie żyje.
Alea spostrzegła, że jego oczy napełniły się łzami. Zawstydzona włożyła pierścień z powrotem na palec, a potem w milczeniu wstała, by dołożyć drewna do ogniska. Siedzieli tak bez słowa do chwili, gdy Mjolln zdecydował się przerwać ciszę.
-rzadko widuje się druidów w małych miasteczkach, hem... Co was sprowadziło do Saratei?
-Mój dobry krasnoludzie, jesteś dość ciekawski i zdaje się, że sporo wiesz na temat druidów. Musisz zatem wiedzieć, że mamy swe ukryte powody.
Krasnolud wyduł usta.
-A kto decyduje o tych ukrytych powodach? – naciskała Alea. – Wasza słynna Rada?
-Wyjaśnię ci to później, a teraz chciałbym się udać na spoczynek. Dobrze?
-Nie! Dlaczego unikacie odpowiedzi?
-Aleo, Ilvain nie żyje, a był to ważny człowiek. Bardzo ważny. Poprzez medytacje powinienem poprowadzić jego duszę do królestwa umarłych. Musisz zostawić mnie samego. Następne dni dadzą nam niejedną okazję do rozmowy. Powinnaś się przespać, Aleo, za tobą ciężki dzień.
Dziewczynka wzruszyła ramionami i położyła się obok ogniska.
-Zatem ja potrzynam straż – zdecydował Mjolln – Tadaam! Silny i dzielny Mjolln Waleczny będzie odpierał nocne ataki. Hem. Wilki często zapuszczają się w te strony?
-Nie musimy obawiać się wilków, mój drogi krasnoludzie – zapewnił go Felim, kładąc dłoń na jego ramieniu – Możecie spać spokojnie, tej nocy nie przydarzy się nam nic złego.
Krasnolud pokiwał głową i również się położył. Lecz zanim zasnął, spojrzął na rozgwieżdżone niebo, wybrał najjaśniejszą gwiazdę i nazwał ją imieniem Alea.

*

Ayn'Sulthor, książę Herilimów, mimo zapadającego zmierzchu dostrzegł kilka kroków przed sobą pokrytą piaskiem leżącą postać Wiatr odkrył większą część ciała, dlatego czarny jeździec bez najmniejszego trudu rozpoznał Ilvaina. Białe drobinki piasku lśniły w brodzie starca niczym gwiazdy. Jego długa brązowa szata była sucha i sztywna, a otwarte oczy jarzyły się czarnym blaskiem. Ilvain

był martwy, a to nie było dla Sulthora dobra wiadomość. Olbrzym pochylił się, by obejrzeć ciało z bliska. Starzec, nie żył już od wielu dni i wydawało się, że zmarł śmiercią naturalną. W każdym razie Sulthor zrozumiał, że moc Samildanacha prawie całkowicie opuściła Ilvaina. W ciele starca tlił się jedynie nikły ślad Saimana, co tłumaczyło, dlaczego Sulthor z takim trudem wyczuwał jego obecność. Zaklął, bo dotarło do niego, że teraz gdy Samildanach utracił swą moc, Maolmordha nie będzie mógł dokonać tego, na co liczył. Jeździec chwycił ciało Ilvaina za ramię i ciągnął, dopóki nie wydobył go całego z piasku. Trup był ciężki i sztywny. Sulthor zaniósł go do wierzchowca i przytoczył do siodła, by zawieźć jako dowód swemu panu. Wskoczył na grzbiet konia i wyruszył w stronę miasteczka w nadziei, że tam dowie się czegoś więcej o śmierci Ilvaina.

Tak oto Sulthor wjechał wściekły do Saratei na swym potężnym wierzchowcu, nie zdjawszy hełmu i nie odpasawszy miecza. Miasteczko było pogrążone w całkowitej ciemności. Nie dość, że noc była bezksiężycowa, to w oknach pogrążonych we śnie mieszkańców nie paliło się żadne światło. Bez wahania, wiedziony instynktem, skierował swe kroki wprost do domu szpiega Maolmordhy. Była to jedna z umiejętności przekazywania mu przez pana: znaleźć Czuwającego – tak nazywał swych szpiegów Maolmordha, a miał ich w prawie każdym mieście.

Sulthor znał zasady: wejść w kontakt z Czuwającym w najbardziej dyskretny sposób, tak by nie został zdemaskowany przez mieszkańców. Tożsamość Czuwających musiała pozostać tajemnicą.

Zsiadł z konia i skierował się w stronę, którą wskazywała mu magia Maolmordhy. Szedł ciemnymi ulicami, mijając zamknięte sklepiki, kierował się na południe, gdzie znajdowały się najpiękniejsze w mieście, kilkupiętrowe domy. W końcu dotarł do miejsca, które wskazywała mu moc – do starego domu zbudowanego z bali przytkanych jasną zaprawą ze słomy i gliny. Miał on duże dwuskrzydłowe drzwi wychodzące wprost na ulicę, ale Sulthor dostrzegł ścieżkę, która okalała dom i świadczyła o istnieniu bardziej dyskretnego wejścia. Odezwał się dźwięk składający się z czterech tonów, tajemny sygnał Czuwających.

Minutę później rzeźnik wszedł do kuchni małymi drzwiczkami. Wyglądał na ogarniętego paniką, ale wiedział, czego się spodziewać i skłonił się przed Sulthorem. Nigdy przedtem go nie widział, ale czuł, że to ktoś ważny w zorganizowanej hierarchii swego pana.

-Co mogę dla was zrobić książę Herilimów? – zapytał Almar, nie podnosząc głowy.

-Chcę, żebyś powiedział mi, czy słyszałeś coś o człowieku, który umarł niedaleko od miasta, a który jeszcze dziś spoczywał na wrzosowiskach – powiedział Sulthor poważnie. W jego głosie czaiła się groźba.

-Tak, słyszałem. Wszystko co wiem, to to, że Alea mała nędzarka z miasteczka, znalazła ciało zakopane w piasku przed kilkoma tygodniami. Przyszła to opowiedzieć, a potem spędziła kilka tygodni w oberży Gąska na Ruszcie. Ten głupek Fahrio, kapitan straży, nie był w stanie znaleźć ciała. To mnie trochę

zdziwiło i zastanawiałem się, czy naprawdę szukał... W każdym razie tutaj zapomniano już o sprawie. A wczoraj małą zniknęła.

-To wszystko?

-Tak sędzę. W każdym razie to wszystko, co widziałem i słyszałem...

-A czy nie zauważyłeś nikogo podejrzanego ostatnimi czasy? – naciskał Sulthor, zbliżając się do rzeźnika.

Almar drżał i z trudem mógł się skupić. Usiłował sobie przypomnieć wydarzenia dotyczące tej historii. Pomyślał o scenie na rynku, jaka rozegrała się pomiędzy Aleą a kapitanem Fahrio. Wołała zachować dla siebie ten epizod, w którym dziewczynka przewróciła go wyłącznie siłą woli. A potem przypomniał sobie, że też przed ucieczką Alei w miasteczku pojawił się Felim. Tak, oczywiście druid. Jak mógł o tym zapomnieć?

-kiedy mała uciekła – powiedział – Felim był w miasteczku. Nie widzieliśmy go tu od dawna. Jeszcze wczoraj tu był.

-Druid Felim?

-On sam. A wcześniej była tu również Faith, kobieta bard, której także nie widzieliśmy od wielu lat. To wszystko, co wiem.

Sulthor zmierzył rzeźnika wzrokiem, a potem położył dłoń na jego ramieniu.

Almar poczuł lodowaty wiatr owiewający jego ciało. Tak bardzo się bał i tak źle czuł, że o mało nie zemdleł, kiedy nagle wstrząsnęły nim słowa księcia:

-Coś przede mną ukrywasz Czuwający.

-Ależ nie... wcale... – wymamrotał, podnosząc wzrok na olbrzyma.

-Co takiego się stało, że nie chcesz mi o tym powiedzieć? – nalegał Sulthor, kierując dłoń w stronę szyi rzeźnika.

-Ja...

Palce Sulthora zacisnęły się na tłustym gardle.

-Sądziłem, że to was nie zainteresuje...

Sulthor nie zwalniał uścisku. Przeciwnie. Ścisnął coraz mocniej, aż Almar ledwo co mógł mówić.

-Mała... ona... mnie... Przewróciła mnie na ziemię samą mocą myśli...

Herilim puścił szyję rzeźnika nagłym gestem.

-Tylko mocą myśli? – W jego pytaniu kryło się raczej zaskoczenie niż niedowierzanie. – To ciekawe. Bardzo dobrze! Gdzie jest ta oberża, w której jak mówisz spędziła ostatnie tygodnie?

-Na rynku. Dwie ulice stąd. – wyszeptał Almar. – Nazywa się Gaska na Ruszcie. Sulthor nie powiedział już ani słowa odwrócił się i wyszedł z domu rzeźnika. Almar osunął się na zydeł z westchnieniem ulgi. Dopiero drugi raz wypełniał obowiązki Czuwającego i był przerażony. Nie było nic przyjemnego w wizycie Herilima.

Almar był na usługach Maolmordhy zaledwie kilka miesięcy od śmierci żony.

Jego mroczna i smutna dusza, samobójcze skłonności oraz nocne lamentsy przywiodły do niego jednego z Herilimów, który umiał go przekonać.

Ogromnego czarnego jeźdźca, który wjechał do miasta pewnej bezksiężycowej nocy. Almar nie opierał się długo. Obiecano mu bogactwo, którego nie zgromadziłby do końca życia. O ileż jego majątek przewyższał teraz skromne zarobki rzeźnika z małego miasteczka! Lecz czas ijał, a on nie zaspokoił jeszcze

swego pragnienia władzy. W dalszym ciągu był tylko zwykłym szpiegiem i zastanawiał się, kiedy to się zmieni.

Możliwe, że właśnie nadarzyła się okazja. W każdym razie miał nadzieję, że Herilim napomknie panu i jego skromnej osobie. Almar tak bardzo chciałby opuścić Sarateę z jej głupimi mieszkańcami i dołączyć do Maolmordhy, by zająć u jego boku godniejsze miejsce! Lecz trzeba było czekać, być bez zarzutu i przede wszystkim nie przedstawiać żadnych żądań. Taki był los Czuwających. Znał dobrze zasady i zdawał sobie sprawę z istnienia surowych kar.

Książę Herilimów nie tracił czasu. Poszedł do oberży Gąska na Ruszcie i sforsował drzwi jednym silnym pchnięciem. Cicho wszedł do sypialni oberżystów, którzy zbudzili się przerażeni.

-Kim... kim jesteś? – wymamrotał Kerry, kładąc dłoń na ramieniu żony, jakby mógł tym gestem ją chronić.

Sultjhor nie odpowiedział, tylko powolnym ruchem wyjął miecz z pochwy i położył na gardle Tary, a potem zwrócił się do Kerry'ego.

-Jeśli krzykniesz, jeśli się poruszysz lub jeśli nie odpowiesz na moje pytanie, poderżnę jej gardło, a potem cię zabiję. Zrozumiałeś?

Oberżysta sparaliżowany strachem nie był w stanie wydobyć słowa.

-Gdzie jest dziewczyna?

-Ja..jaka dziewczyna? – spróbował skłamać oberżysta w daremnym przyływie brawury.

Książę Herilimów westchnął i jednym gwałtownym ruchem odciął rękę Tary. Biedna kobieta nie miała nawet chwili by spróbować się bronić. Wrzasnęła, a w jej krzyku ból zmieszał się z przerażeniem, gdy ujrzała swą dłoń spadającą z łóżka w potoku krwi. Rycerz podszedł i położył poduszkę na twarzy Tary, by stłumić jej krzyki. Dociskał ją głowicą miecza i ponownie zwrócił się do oberżysty.

-Pytam po raz ostatni: gdzie jest dziewczyna?

Oberżysta zaczął szlochać, czuł, że nadchodzi jego koniec, ale zdołał wyjąkać:

-Na południe... uciekła na południe.

-Gdzie na południe?

-Nie wiem nic mi nie powiedziała. Bez wątpienia w stronę Providence...

Sulthor nie musiał nawet podnosić głosu. Oberżysta był tak przerażony, że odpowiadała natychmiast niczym automat.

-Znalazła coś na wrzosowisku?

-Pierścień... na palcu zakopanego człowieka.

-A Felim wyruszył jej śladem? – zapytał nieruchomy oprawca.

Oberżysta potwierdził skinieniem głowy i to był jego ostatni gest. Rycerz skończył z Tarą i jej mężem dwoma precyzyjnymi ruchami miecza. Ich głowy potoczyły się po podłodze.

Wytań zakrwawiony miecz o poduszkę i wyszedł z izby pewnym krokiem.

*

W Pierwszej Erze kraj ten zamieszkiwał lud Tuathannów. Nie byli to ani ludzie ani bogowie. Byli legendą, początkiem, a krew w ich żyłach była sokiem ziemi.

To oni nazwali wyspę Gaelią i przez szacunek dla Mojry uczynili z niej kwitnącą i żyzną krainę.

W Drugiej Erze zza Południowego Morza nadciągnęły zastępy obcych wojsk i opanowały wschodnią Gaelię. W ciągu zaledwie kilku lat unicestwiono Tauthannów, dokonano podziału Gaelii na pięć hrabstw – Sarre, Harcourt, Bizanię, Ziemię Brunatną i Galację – oraz wybrano Najjaśniejszego Pana, który miał rządzić przy wsparciu druidów.

W Trzeciej Erze, w której na świat przysła Alea, drogą morską przybył biskup Thomas Aeditus z misją chrystianizacji wyspy.

Taka jest starożytna historia Gaelii oraz Tuathannów, tajemniczego ludu wygnanego ze swej rodzinnej ziemi, zapomnianego przez historię w toku kolejnych podbojów.

Niezbyt często przytaczano to wydarzenie. Niektórzy bardowie prezentowali je nawet jako starą baśń. A jednak Tuathannowie istnieli naprawdę. I chociaż legenda głosiła, że wszyscy zostali zgładzeni na początku Drugiej Ery, prawda była zgoła odmienna.

Niektórzy Tuathannowie przeżyli i znaleźli schronienie w tajemniczym państwie Sid, oczekując wiele lat we wnętrzu Ziemi na możliwość zemsty. Czekali cierpliwie na dobry moment, który nastąpił, gdy Alea znalazła pierścień na wrzosowisku. Tego samego dnia w sercu wyspy pojawili się bowiem potomkowie owych zapomnianych istot.

Było to pod koniec zimy. Pod łańcuchem gór Gor-Darka mimo nieuchronnie zbliżających się gorących dni zima nie odpuszczała. Owszem, roztopiony śnieg dawno już spłynął ku podnóżom gór, ale wiatr wiejący od strony morza ciągle jeszcze wdzierał się w głąb lądu lodowatym podmuchem. Ludzie nosili grube wełniane płaszcze, ciepłe rękawice i z utęsknieniem czekali, aż powróci słońce, a wraz z nim dobry nastrój.

Na równinie nie było nikogo. Żadnego dziecka, żadnego wędrownego kupca, zaledwie kilka ptaków suszących pióra na wietrze. Nie było nikogo, gdy olbrzymie skały się rozstały, ukazując wejście do zapomnianych jaskiń stanowiących wrota Sidu – tajemniczego świata, w którym przez ponad trzysta lat Tuathannowie czekali na dzień zemsty.

Tuathanneńscy wojownicy niczym armia mówek wychodzili z podziemi jeden po drugim, z nagimi torsami, w spodniach z płowego futra. Przygotowywali się do ataku. Życie pod ziemią sprawiło, że ich oczy były zmrózone i zaczerwienione, a spojrzenia lodowate niczym wietrzne noce na bezkresnych równinach Galacji. Jasną skórę pokrywały malunki charakterystyczne dla poszczególnych klanów, a cisza zakłócana jedynie furkotem futer na wietrze był przerażająca.

Z najobszerniejszej jaskini wychodzili śmiali wojownicy z klanu Mahat'angor, który od początku dominował nad ludem tuathanneńskim w Sidzie. Pokrywająca ich torsy niebieska farba podkreślała rzeźbę mięśni. Żaden inny klan nie śmiał naśladować ich wyjątkowego uczesania: niebieskiego grzebienia z włosów, który sięgał na plecy, umocowanego za pomocą rzemyków ze skóry i kauczuku z podziemnych drzew. Uzbrojeni w młoty i inną broń byli Najniebezpieczniejszymi spośród wszystkich Tuathannów. Od najmłodszych lat

spędzali czas pod ziemią w doskonaleniu sztuki wojennej. Ich jedynym zadaniem było chronienie klanu Sarkana, którego autorytet był uznawany przez cały lud tuathannenski. Inne klany zajmowały się zapewnieniem pożywienia oraz budowaniem domostw. Mahat'angorczycy stanowili elitę wojskową Tuathannów, straż przednią. Uniesieni morderczym szałem, prowadzili za sobą pozostałe klany,

Wylali się z wnętrza góry niczym potok lawy, rozmieszczając swe oddziały wzdłuż całej doliny. Prawie trzy tysiące tych majestatycznych istot wyszło na światło dzienne, wznosząc nad głowy broń z drewna i stali. Z ich oczu biła nienawiść i żądza krwi, na której zaspokojenie czekali wiele wieków i której nic prócz śmierci nie mogło ugasić.

Przeszli przez równinę i ruszyli w kierunku majaczącej w oddali osady. Była to Atarmaja, jedna z wiosek leżących u stóp gór. Armia Tuathannów była już na skraju wioski, gdy pierwsza z mieszkańek ujrzała tę nadciągającą watahę dzikich bestii, zdolnych zdeptać ludzi i domy. Upuściła torbę, którą niosła na ramieniu i zaczęła wrzeszczeć ze strachu, przyciągając uwagę mieszkańców. Zbyt późno. Tuathannowie wdarli się do Atarmai z klanem Mahat'angorczyków na czele, wznosząc okrzyki w języku zupełnie niezrozumiałym dla mieszkańców i zanim ci zdolali złapać za broń czy znaleźć schronienie, rozpoczęła się masakra. Trzy tysiące podziemnych wojowników nie oszczędzało nikogo, nawet kobiet i dzieci. Tuathannowie atakowali gwałtownie i brutalnie, ich broń cięła dźgała, miażdżyła, zgniatała. Podkładali ogień pod zagrody, wywołując panikę wśród zwierząt i rozpaczliwe krzyki dzieci. Była to fala gniewu i wściekłości, której nikt z nie mógł powstrzymać a bezlitośni wojownicy dorzynali pozostałych przy życiu tak długo, aż całą wioskę obrócili w perzynę.

Pierwsi wojownicy zebrali się na centralnym placu wioski w śmiertelnej ciszy, ocierając ociekające krwią ostrza.

W wiosce nie pozostało żywej duszy. W oknach drewnianych domów można było dostrzec czasami zwisające bezwładnie ciało mężczyzny lub kobiety z podciętym gardłem, z twarzą zastygłą w grymasie zaskoczenia i przerażenia. Kałuże krwi wsiąkały w ziemię, do niedawna skuta lodem. Słychać było regularne kapanie gęstych kropli, które spadały na ziemię przy skrzypiącym akompaniamencie poruszających się okiennic. Śmierć jest taka cicha...

Atarmaja liczyła zaledwie kilkudziesięciu mieszkańców dla których ich wioska była najpiękniejszym miejscem na świecie. Ciężko pracowali, by przetrwać na tej surowej ziemi, i swój dobrobyt zawdzięczali wiekom poświęceń i wyrzeczeń. Lecz Tuathannowie tego nie wiedzieli. Nie słyszeli błagań ani płaczu dzieci i kobiet. Wojownicy klanu myśleli tylko o jednej rzeczy: zemście. Ona była towarzyszką ich podróży.

W zupełnej ciszy, kiedy plac wypełnił się całkowicie tuathanneński wojownikami, zabrał głos Sarkan, przywódca klanu Mahat'angor. W osadzie zebrano tylu wojowników, że niektórzy z nich stali zbyt daleko, by cokolwiek usłyszeć, ale z twarzy wodza można było wyczytać determinację i siłę. Wolnym i pewnym gestem odrzucił na plecy długi kosmyk gęstych niebieskich włosów. Położył dłoń na głowicy miecza, napinając mięśnie ramienia.

-Bracia! – zakrzyknął – poznajecie tę ziemię? To ziemia naszego ludu, skradziono ją naszym ojcom, kiedy woda w kaskadach Gor-Draka była jeszcze zamrznięta. Użyźniono ją ciałami naszych przodków. A w jej rzekach spłynęła krew naszych matek. Pod domami tej osady istnieją ruiny miasta tuathanneńskiego zniszczonego bez litości przez Galatyjczyków, którzy nas wygnali.

Bracia moi, czy rozpoznajecie ziemię naszych przodków?

Tłum odpowiedział entuzjastycznymi okrzykami.

-Odzyskamy ją całą – ciągnął, wodząc wzrokiem po zgromadzonych przed nim, podekscytowanych jego przemową wojownikach. – Nie zatrzymamy się dopóki nie przywrócimy tej ziemi jej prawdziwych dzieci!

-Tuathannowie! – zakrzyknęli wojownicy w odpowiedzi i wzniesli swoją broń, by przepieczętować tę obietnicę przed Mojrą.

*

Imała cały dzień szła skrajem lasu. Ukryta w wysokiej trawie okalającej las, zaintrygowana odkrywała obozowisko dwunożnych. Siedzieli wokół ognia,, jakiego Imała nigdy nie widziała, a płomienie tak ją zafascynowały, że długo leżała w trawie i nie ośmieliła się zbliżyć.

Troje dwunożnych rozmawiało i jadło. Był tam jeden łysy samiec, młoda, żywa samica i mały gruby samiec pokryty rudym włosiem. Wilczycy wydawali się oni wspaniali. Przypomniała sobie o dwunożnym, którego spotkała wcześniej w lesie, i pomyślała, że każde z tej trójki było inne. Z ich gestów i głosu emanowała niezwykła moc, która wytwarzała dystans wobec niej i wobec wszystkich innych zwierząt, jakie widziała w swoim życiu. Nigdy nie odważyłaby się zaatakować dwunożnych, bo potrafili stać na tylnych kończynach, a przede wszystkim dlatego, że wydawali się nad nią górować inteligencją. Bardzo chciał zbliżyć się do nich, zrozumieć, poczuć, ale za każdym razem, gdy tylko nabierała odwagi, szybko wycofywała się przerażona ich głosami. Kładł się z powrotem na ziemi i słuchała bez ruchu przez długi czas.

W końcu nashedł wieczór i troje dwunożnych też się położyło. Ujrzała, jak każde z nich układa się na trawie. Szybko znieruchomieli. Jeszcze przez chwilę ich obserwowała, a potem zdecydowała się podpełznąć bliżej. Była bardzo podekscytowana i zapomniała o przykrych wspomnieniach, jakie wiązały się z życiem w stadzie. Jej nowe życie, samotnej wilczycy, było szczęśliwsze. Czowała się wolna i dziwiło ją każde nowe odkrycie coś, czego była pozbawiona żyjąc w grupie. Świat był pełen tajemnic i podobało się jej, że może je poznać.

Powoli zbliżała się do obozowiska. Zapach ogniska był tak silny, że szczypał ją w pysk i oczy. Obeszła je półkolem, by uniknąć wiatru i tym samym dymu, który unosił się nad płomieniami. Przez krótką chwilę ogień całkowicie odciął ją od widoku dwunożnych, a gdy ponownie mogła ich dostrzec, zauważyła, że było ich tylko dwoje. Podeszła jeszcze bliżej i stwierdziła, że wilki samiec zniknął. Zaniepokojona rozejrzała się wkoło i zobaczyła go, jak nagle się pojawił tak blisko, że odskoczyła w bok.

-*Sar, sar, imala, comth al'espran* – wyszeptał dwunożny łagodnym głosem, siadając przed nią.

Wtedy zrozumiała, że nie chce jej wyrządzić krzywdy. Tak jak tamten drugi w lesie, siedział przed nią, co z pewnością było sygnałem pokojowego nastawienia. Poczula jego zapach, zrobiła dwa kroki w tył i także usiadła, zakołysawszy się nico, by wyrazić w ten sposób zmieszanie i obawę. Potem zobaczyła jak dwunożny się kurczy i zamyka oczy. Oddychał głęboko.

Usłyszała cicho wypowiedane słowo „*wolth*”. Sylwetka dwunożnego zaczęła drżeć, opadła na ziemię i po chwili przeobraził się w wilka.

Imala natychmiast zerwała się na równe nogi i pognąła w stronę lasu. To przekroczyło jej pojmowanie świata, była przerażona. Dwunożny stał się wilkiem na jej oczach! To zjawisko ją urzekło. Zatrzymała się na skraju lasu, odwróciła się i ujrzała wspaniałego czarnego wilka, który biegł w jej stronę. Był piękny i szlachetny, jego oczy rzucały blaski, a Imala nie mogła zapomnieć, że w rzeczywistości był dwunożnym. Wyszczrzyła kły i zaczęła warczeć, ale wilk nie zatrzymał się i zaczął krążyć dookoła niej, dając znak, że chce się pobawić. Wilczyca warczała jeszcze dobrych parę minut, aż wilk zatrzymał się i zniknął w lesie.

Imala nie odważyła się poruszyć, zmieszana i zagubiona, a kiedy zdecydowała wreszcie opuścić to miejsce, wilk zjawił się ponownie: w pysku niósł młodego zająca, którego pokornie złożył przed wilczycą, a potem odszedł kilka kroków w tył. Imala zawahała się przez chwile, ale zając wydawał się bardzo apetyczny. Nie zastanawiała się nad tym, jak wilk mógł go tak szybko upolować, w głowie miała zupełny mętlik. Czarny wilk położył się na brzuchu by zachęcić wilczycę do przyjęcia daru i Imala ustąpiła. Złapała zająca, i odciągnęła w tył i zaczęła jeść, nie spuszczając z oczu tego dziwnego wilka, który wciąż leżał nieruchomo. Kiedy nasyciła głód, podniosła się wolno, a czarny samiec znów zaczął swój taniec dookoła niej.

Po kilku chwilach wahania Imala dołączyła do niego i zaczęli ganiać po lesie. Wilk był zdecydowanie szybszy, ale często się zatrzymywał, czekała na wilczycę i bawił się, odskakując od niej. Baraszkowali tak w świetle księżyca aż do chwili, gdy wyczerpana Imala położyła się na trawie.

Wilki podszedł do niej i gestem pyska dał wyraz swej przyjaźni, co nappełniło ją szczęściem. Potem odszedł w stronę obozowiska dwunożnych, a Imala zasnęła wyczerpana, lecz przepelniona spokojem.

*

Następnego ranka, kiedy Mjollna obudziły pierwsze promienie słońca, Felima nie było w obozowisku. Ogarnięty panikom krasnolud zerwał się jednym susem i natychmiast obudził Aleę.

-Aleo! Aleo! Hem! Obudź się! Druid odszedł, tak, tak! Druid odszedł!

Alea gwałtownie przewróciła się na brzuch, mrużąc:

-Daj mi spać Mjollnie!

-Nie, nie, nie! Nie ma spania bez druida! Aleo wstawaj!

Wysiłki krasnoluda powstrzymał znajomy głos:

-Uspokój się dzielny krasnoludzie. Nie należę do osób, które odchodzą bez pożegnania.

Krasnolud podskoczył z radości.

-Ach, ach mój druidzie, to były tylko żarty, nieprawdaż? Hem. O tak, teraz się śmieję. Zaraz zrobię wam śniadanie, które potrafią przyrządzić tylko mieszkańcy Pelpi, moi drodzy przyjaciele, o tak, o tak najlepsze śniadanie w Gaelii. Obiady są przywilejem wielkich, zgoda, zatem śniadania są przywilejem małuczkich, to się rozumie samo przez się, nieprawdaż?

Dobry humor i radosne okrzyki krasnoluda na dobre zbudziły Aleę, która usiadła ziewając.

Felim wręczył Mjollnowi dzban napełniony wodą, kilka ziół na wywar oraz cztery duże ryby, które jeszcze się ruszały. Alea zastanawiała się jakim sposobem druid tak szybko znalazła ryby w okolicy. Ale wolała nie tracić czasu na rozstrzygnięcie tej kwestii. Domyślała się, że starzec ma w zanadrzu jeszcze wiele niespodzianek.

-Proszę Mjollnie Abbacu, teraz masz z czego przyrządzić posiłek.

Krasnolud podziękował, wyjął ze swego worka podróżnego garnki i czarki, a następnie przysiadł się bliżej ognia.

-Aleo dziś muszę odjechać do Sai-Miny – powiedział Felim – do wieży w której zbiera się Rada Druidów, by zanieść mym braciom nowinę i śmierci Ilvaina. Byłbym naprawdę bardzo szczęśliwy, gdybyś mi towarzyszyła. Mógłbym ci wytłumaczyć wiele spraw tak jak obiecałem.

Dziewczynka przetarła oczy. Jej powieki były jeszcze sklezione snem. Pójść z druidem, żeby odwiedzić innych druidów? Cóż za nedorzeczny pomysł? Myślał przecież tylko o jednym: żeby zobaczyć Aminę. Lecz wiedziała też, że bez wątplenia zawdzięcza druidowi życie... Nie mogła pozwolić sobie na niegrzeczność wobec niego.

-Jeśli mi wytłumaczycie, jak się tam dostać, może do was dołączę – powiedziała w końcu. – Obiecałam sobie dotrzeć do Providence i to tam udam się przede wszystkim.

-Co będziesz robiła w Providence? Chciałbym, żebyś nie sprzedawał pierścienia... On... jest bezcenny.

-Felimie zgoda nie sprzedam pierścienia. Chcę tam iść, by odnaleźć przyjaciółkę, której nie widziałam od dziecka... To dla mnie bardzo ważne. Felim długo patrzył na dziewczynkę. W głębi duszy ją podziwiał. Dawła dowód zadziwiającej śmiałości i woli. Pomyślał, że pozostali członkowie Rady z pewnością nie wykażą wobec niej tyle czułości i że lepiej będzie, gdy pojawi się tam jak najpóźniej. Teraz był tego pewien: życie, które czekało Aleę nie będzie można nazwać spokojnym

-Rób to co musisz. Lecz przyjmij chociaż tę broszkę – powiedział, wyciągając w stronę dziewczynki klejnot ze srebra – Chciałbym, byś nosiła ją zawsze przy sobie. Stanowi ona dowód mojej przyjaźni i wszyscy, którzy ją rozpoznają, też będą cię szanować. Być może przyda ci się w drodze. Nie zgub jej i nigdy nie zdejmuj, ochroni cię podczas mojej nieobecności. Dobrze?

Alea podniosła zaintrygowany wzrok na starego druida. Z trudnością przychodziło jej zapomnieć o dziwnych historiach, jakie krążyły o podobnych mu ludziach i w głębi duszy zachowała nieufność. Mówiło się o druidach, że spiskują za plecami królów. Że dla nich liczą się przede wszystkim ich własne interesy i że bez skrupułów dążą do osiągnięcia swych celów. Starzec jednak wyglądał na szczerego. Zatem Alea wyciągnęła dłoń i wzięła broszkę. Miała kształt srebrnego smoka, który bardzo przypominał tego wyhaftowanego na płaszczu Felima. Szybko przypięła ją do koszuli, dziękując starcowi.

-Wasz pierwszy posiłek tego dnia jest gotowy, przyjaciele. O, tak. Jest całkiem ciepły! – krzyknął krasnolud, klaszcząc w dłonie.

Cała trójka podeszła do ogniska i zaczęła jeść śniadanie przygotowane przez Mjollna, który dotrzymał obietnicy: rzeczywiście było obfite i pożywne. W powietrzu unosił się smakowity zapach smażonych ryb. Alea najadła się po uszy, potem otarła usta, upiła łąk pysznego naparu i zapytała, nie patrząc w stronę krasnoluda.

-A ty Mjollnie, idziesz z Felimem do Sai-Miny?

Krasnolud wydał się zawstydzony. Wodził wzrokiem od Alei do druida, krzywił się zanim zdecydował odpowiedzieć.

-Oczywiście droga z druidem byłaby pasjonująca. Hem. Ileż historii, ileż legend do opowiadani! Albo do odrzucenia? Z tego co wiem, w tym co mówią druidzi może nie być nic prawdziwego... tak, Felimie co ja wiem? Tadaaam! Piękne legendy! A jacy są druidzi, mógłbyś mi opowiedzieć nieprawdaż? Ale nie, nie, nie miotaczko kamieni, pójdę razem z tobą do Providence, czy gdziekolwiek się udasz, co to, to tak. Jak ci obiecałem, będę ci towarzyszył, w przeciwnym razie kto będzie przygotowywał ci śniadania?

-Dziękuję Mjollnie – powiedziała po prostu Alea.

Druid wstał i wyjął zza pleców mały miecz, który podał Mjollnowi.

-Zatem przyjmij tę broń, mój drogi krasnoludzie. Skoro zdecydowałeś się towarzyszyć Alei, musisz mieć czym ją bronić, nieprawdaż?

Krasnolud, który nigdy jeszcze nie trzymał w ręku tak pięknego miecza, wydawał się dumny i usatysfakcjonowany. Był to miecz wykonany z jasnego metalu, o szerokim ostrzu, na którym wygrawerowano eleganckie ornamenty. Jego złocona rękojeść wydłużała się, przechodząc w głowę ptaka zwieńczoną małym niebieskim kamieniem

-Miecz? – wymamrotał.

-Został wykuty w Pierwszej Erze przez Goibniu, kowala. Nazywa się Kadhel, a legenda głosi, że jego ostrza nie da się złamać. Jestem szczęśliwy, że mogę go ofiarować właśnie tobie, dudziarzu, bo w ten sposób Alea będzie miała wspianą strażnika.

-Robiłem w życiu wiele rzeczy, o tak, ale strażnikiem jeszcze nigdy nie byłem! Hem. Ale teraz, gdy mam Kadhela, niech strzeże się ten, kto dotknie choćby jednego włosa Alei. Odrąbię mu głowę, ręce, nogi i całą resztę! Aha!

W tym momencie Feli skoczył w kierunku dziewczynki i gwałtownie chwycił ją za ramiona.

-Ukryj się szybko jesteśmy otoczeni. Wejdz pod tę kłodę i nie ruszaj się, dopóki po ciebie nie przyjdę.

Kiedy Alea chciała zaprotestować, ujrzała na drugim końcu drogi grupę obrzydliwych zielonkawych kreatur, które pasowały do opisu gorgonów przedstawionego przez Mjollna. Nie wahała się ani chwili dłużej i ukryła się w miejscu wskazanym przez druida.

-Mjollnie będziesz miał okazję dobyć tego miecza wcześniej, niż sądziłem – krzyknął do krasnoluda druid, przygotowując się do walki.

-Ach...! Hem... O tak, cóż za szczęście – wyjąkał w odpowiedzi. – Przekłete gorguny, zaraz zakosztujecie tego ostrza, hem! Za moja Zainę, pokażę wam wszystkim!

Po czym wydał swój bojowy okrzyk w starożytnym języku krasnoludów – wojowników.

-Alragan!

Gorguny zbliżyły się biegiem, uzbrojone w zardzewiałe topory, wrzeszcząc chrapliwie. Z pysków ciekła im ślina.

Alea, tkwiąca pod pnem drzewa, ujrzała jak Felim w jednej chwili zamienił się w słup ognia. Stał się ogromnym migotliwym płomieniem, który rzucał się na wroga z nadnaturalną prędkością. Przestraszona zamknęła oczy.

Pierwsza fala gorgonów została odparta przez Felima, monstra waliły się na ziemię spalone żywcem. Wciąż jednak przybywały nowe i wkrótce Mjolln został osaczony przez owe plugawe kreatury. Nie było oczywiście zaprawionym w bojach wojownikiem, ale w przeszłości musiał często stawiać czoła gorgonom, a śmieć jego żony z ich rak tylko podsyciała jego morderczą wściekłość. W dalszym ciągu wydawał bojowy okrzyk i rąbał bez zastanowienia mieczem na lewo i prawo. Może bezładnie i mało elegancko, ale bez wątpienia skutecznie, skoro Alea ujrzała co najmniej dwie odrąbane głowy gorgonów. Gdy druga potoczyła się wprost pod jej nogi, dziewczynka krzyknęła przerażona i zakryła twarz dłońmi.

Felim spalił kilkanaście gorgonów, zanim wyczerpany upadł na kolana, przybierając ludzką postać. Zostało jednak jeszcze wielu wrogów, którym krasnolud powoli nie dawał rady. Druid wstał, podnosząc swą długą białą laskę, która w kontekście z jego dłonią zmieniała się w kawał błyszczącego metalu. Potem podszedł, by pomóc krasnoludowi, posługując się laską niczym halabardą. Jej czubek zdawał się wydłużać i ciskał błyskawice w kierunku każdego z wrogów. Gorguny umierały porażone gwałtownym wstrząsem. Mjolln nie tracił zapału. Nie dostrzegł nawet Felima, który walczył u jego boku, tak zawzięcie kręcił się wokół własnej osi, wrzeszcząc i rozdając niekontrolowane ciosy w lewo, w prawo, w górę, w dół. Przeszył mieczem jednego gorguna i rozplatał gardła dwóm następnym, zanim sam nie otrzymał gwałtownego ciosu, który przetrącił mu biodro. Krasnolud wrzasnął z bólu i upadła na ziemię, wzniesając tuman kurzu. Odwrócił się na plecy szukając oparcia w pniu drzewa i nie przestawał się bronić.

Felima wkrótce ogarnęła nieopanowana wściekłość i całe jego ciało zaczęło miotać błyskawice. Wydawało się, że gorguny eksplodują wokół niego, i wkrótce zostały tylko te, które rzuciły się do ucieczki, gdy druid tracąc siły, opadł na ziemię.

Mjolln oparty o drzewo, trzymał się za swój poraniony bok prawą ręką. Ran broczyła krwią. Mamrotał z wysiłkiem.

-Wracajcie tu, obrzmałe ropuchy, wracajcie, bym mógł wami nakarmić ziemię, spróbujcie mojego miecza!

Resztką sił uniósł Kadhela i rzucił nim w kierunku uciekinierów, ale ci już dawno zniknęli z pola widzenia.

-Tchórze! – zawołał jeszcze, zanim stracił przytomność.

Alea wyszła z ukrycia i podbiegła w stronę druida.

-Felimie! Szybko trzema ratować Mjollna, szybko!

Starzec podniósł się z trudem. Wydawało się, że i on za chwilę zemdleje.

*

Tego ranka Williama Kellereana obudziło niezwykle poruszenie panujące wśród druidów na korytarzach pałacu Sai-Mina.

Było to zaledwie kilka dni przed końcem jego nauki i zastanawiał się najpierw, czy ten rejewach nie ma przypadkiem czegoś wspólnego z jego osobą. Może przygotowywano jego inicjacyjną ceremonię, podczas której stanie się druidem? Może wreszcie będzie mógł porzucić zieloną szatę uzdrowiciela, by przywdziać biały płaszcz druida...

„Przestań myśleć wyłącznie o sobie! – skarcił sam siebie w duchu. – Rada ma dość większych zmartwień niż twoja inicjacja!”

Na pewno chodziło o jakiś poważniejszy i niespodziewany problem. William próbował nawet zgadnąć, o jaki, ale od kilku dni miał trudności z myśleniem o czymś innym niż zwieńczenie siedmioletniego okresu nauki w Sai-Mina.

Siedem lat prób, z czego trzy były poświęcone na znalezienie Saimana, mocy druidów, dwa – najtrudniejsze – na nie posługiwanie się nim i na zachowanie milczenia, zaś podczas dwóch ostatnich skupił się na nauczaniu się na pamięć trzystu trzydziestu trzech triad druidzkich i na próbie ich zrozumienia. Na tym właśnie polegała ostatnia lekcja: dowiedz się sam. To też osiągnął. Ujrzał w triadach prawdę. Konfrontując ją ze swoim doświadczeniem i z gestami druidów, nauczył się sam rozumieć. Świat składał się ze znaków, które ukazywały się temu, kto miał odwagę ich poszukać, zanalizować je i zapamiętać. Nauka była sprawą osobistą. Dowiedz się sam.

William wyjrzał przez okno swej małej izdebki i ujrzał poruszenie wśród służby z Sai-Miny. Służący biegali we wszystkie strony obszernego podwórca otoczonego wysokimi kamiennymi budynkami, z młyna do studni, od studni w stronę stajni, ze stajni do kuchni... Miał nadzieję, że nie stało się nic poważnego i że jego inicjacja odbędzie się zgodnie z planem. Była to bez wątpienia myśl egoistyczna, ale William wiedział, że ta ceremonia stanie się najważniejszym wydarzeniem w jego życiu. Nie będzie miał innego. W głębi duszy chciał jak najszybciej zakończyć nauki, a jednocześnie był przerażony faktem, że stanie się druidem. I to nie tylko dlatego, że sekret, jaki spowijał moment inicjacji, napawał go strachem. Szybko zrozumiał, że fakt stania się druidem niesie za

sobą ogromną odpowiedzialność i jest nieodwracalny: jeśli przywiesz biały płaszcz, będziesz go nosił do końca życia.

Było to bardzo ważne dla szerzenia kultu Mojry, a władza, jaka mieli druidzi, musiała być scentralizowana. Taka była rola Rady. W której dwunastu Wielkich Druidów oraz Arcydruid musieli zapewnić spójność ich kasty. Wydawało się, że wszyscy wielcy Druidzi mieli ten sam sprecyzowany zamiar. Nie było tu miejsca na przypadek ani na beczynność. W każdym razie takie było wyobrażenie Williama i Radzie, o której w rzeczywistości nic nie było wiadomo, dopóki się w niej nie zasiadło.

Podszedł do łóżka i położył się na materacu, krzyżując dłonie na piersiach. Odczuwał pewnego rodzaju żal na myśl, że wkrótce straci status ucznia. Starsi często mówili, że to były najpiękniejsze lata w życiu druida – i rzeczywiście, jawiły się teraz jako pasjonujące. Nauczył się wielu rzeczy, które dziś stanowiły o jego rozwoju.

Najpierw pobierał nauki u druida w Providence, aby stać się uzdrowicielem. Wtedy mógł przywdziać zieloną szatę znamionującą przynależność do tej kasty i roztoczyć opiekę nad mieszkańcami stolicy, ale wolał kontynuować nauki u druidów, by w przyszłości stać się jednym z nich. Tym sposobem został przyjęty do Sai-Miny. Jedynie bardowie i uzdrowiciele magli aspirować do pozycji druida, a zanim to nastąpiło, musieli przetrwać siedem lat nauki.

Jak dla wszystkich innych kandydatów na druida, także dla Williama najtrudniejsza była kontrola nad Saimanem. Musiał odnaleźć w głębi siebie tę dziwną energię, o której reszta śmiertelników nie miała pojęcia. Dokonał tego i nauczył się rozumieć to palce uczucie, które owa energia wytwarzała w jego żyłach. Początkowo wymykała mu się przy każdej próbie zawładnięcia nią. Potem nie był w stanie wygenerować odpowiedniej ilości energii potrzebnej do wykonania prostych ćwiczeń zalecanych przez preceptorów. Pewnego dnia o mało nie podpalił komnaty, w której ćwiczyli, bo kiedy został poproszony o zapalenie świecy, wyprodukował ogromną kulę ognia... Lecz William był cierpliwy, zdyscyplinowany i za pomocą ciężkiej pracy zdołał w końcu okiełznać falę energii, która w nim tkwiła, a tym samym zdominował tę moc, z którą teraz stanowił jedność. Obecnie, nawet jeśli żaden z druidów nie miał zamiaru mu tego powiedzieć, kontrolował swą moc o wiele lepiej niż większość starszych, a niektóre z jego osobistych zdolności zadziwiały nawet Arcydruida. Pewnego dnia William zostanie Wielkim Druidem – w to nie wątpił nikt. Potem przyszła kolej na próbę triad – krótkich poematów, które każdy musiał opanować na pamięć, a które dotyczyły historii, filozofii, a przede wszystkim polityki. Ale i z tym William nie miał żadnego problemu, był sumiennym uczniem i z łatwością przyswajał wiedzę.

Wstał z łóżka, westchnął tęsknie i podszedł do biurka, na którym leżał medalion. Nosił go, będąc dzieckiem. Była to ostatnia pamiątka z tamtego okresu. Wszystko zaczęło się pewnego wiosennego dnia, gdy miał dziewięć lat. W owym czasie William dorastał na przedmieściach Providence, wspaniałej stolicy Galacji i spędzał poranki pomagając ojcu piekarzowi. Podczas gdy inne dzieci z okolicy bawiły się w chowanego w wąskich liczkach miasta, on każde popołudnie spędzał w szkole druida. Nie powiedział nic rodzicom, ale nosił się z

zamiarem wstąpienia na tę drogę. Pierwszego dnia, gdy pojawił się przed wejściem, druid uśmiechnął się i wytłumaczył, że szkoła jest tylko dla studentów. Rozczarowany, ale zbyt nieśmiały, by się skarżyć, odszedł bez słowa, powłócząc nogami. Następnego dnia wrócił i tym razem usiadł przed szkołą, obserwując ludzi wchodzących do środka, a jednocześnie unikał zaciekawionego spojrzenia druida. Został tam aż do wieczora a potem wracał każdego dnia, aż do chwili, gdy nauczyciel nie wytrzymał:

-No i co? – krzyknął druid. – Zdecydujesz się w końcu wejść czy nie?

William z otwartymi ze zdumienia ustami wahał się przez długą chwilę, zanim wstał z zakurzonej ławki, na której spędził liczne popołudnia. Był sparaliżowany nieśmiałością. Ten szczupły, delikatny cichy chłopiec, który ze spuszczoną głową przemykał po ulicach, zawsze bał się kontaktu z dorosłymi. Za każdym razem, gdy ktoś się do niego zwrócił, jego oczy napełniały się łzami, jakby zaraz miał wybuchnąć płaczem. Pochylał głowę, by ukryć zmieszanie u mówił cichym głosem, patrząc na czubki swoich butów. Było to często powodem gniewu ojca, który nazywał go babą, oraz złośliwości rówieśników – ci zresztą nie chcieli z nim w ogóle rozmawiać. W głębi duszy nie mógł sobie tego darować.

Nienawidził swych oczu, które nie potrafiły powstrzymać łez. To było silniejsze od niego i tak bardzo nieznośne! Wada, którą nawet on uważał za śmieszna i idiotyczna, a której mimo wszystko nie mógł się pozbyć. Aż do dnia, w którym dostrzegłszy dumę, charyzmę oraz szczerłość druida, zrozumiał, że tylko nauka może go ocalić. Wytłumaczył sobie, że jeśli stanie się taki jak ów druid nie będzie więcej odczuwał strachu przed dorosłymi i będzie z nimi rozmawiał z podniesioną głową.

-Ja... obawiam się, że nie mam pieniędzy. Druid znowu się uśmiechnął. Ten dzieciak nie tylko go zadziwił, ale rozczulił.

-Skoro powiedziałem ci żebyś wszedł, to po prostu wchodź!

William wszedł do szkoły niepewnym korkiem, z rękami założonymi na plecach, nie wiedząc, czy druid żartuje, czy naprawdę zamierza go wpuszczać za darmo. Kiedy przekraczał próg, druid złapał go za ramię i popatrzył na niego z bliska.

-Możesz ty przychodzić codziennie, jeśli chcesz, ale musisz pracować jak trzeba, bo inaczej będziesz miał do czynienia ze mną. A będę o wiele surowszy, skoro dziś ci zaufałem. Zrozumiano?

William nigdy nie zapomniał tej chwili. Po pierwsze, dlatego, że nigdy dorosły tak bardzo go nie onieśmielał a po drugie – ponieważ jego oczy nie napełniały się łzami. Ten moment stanowił początek fantastycznego i bez wątpienia decydującego etapu w jego życiu.

Każdego dnia zagłębiał tajniki nauki u boku druida. W ciągu roku zmienił się całkowicie nie tylko jego charakter, ale również wygląd. Niczego już się nie bał, bo wiedział, że ma w zanadrzu groźną broń, której potęga wzrasta z każdym dniem: widzę. Już nie opuszczał głowy w rozmowach z innymi, nie pozwalał rówieśnikom i starszym chłopcom zapędzać go w koziego róg. Zaczął chodzić pewnym krokiem, wyprostowany i z błyskiem w oku.

W wieku piętnastu lat William Kellern był z pewnością jednym z najbardziej wykształconych dzieci w Providence, a druid polecił mu przywdziać zieloną

szatę uzdrowiciela. Lecz William nie chciał studiować medycyny. Nie zadowalała go funkcja uzdrowiciela w Providence. Jedyne, co go interesowało, to pozycja druida. Chciał mieć to samo spojrzenie, co człowiek, który się nim zajął, tę samą siłę, tę samą pewność. Kilka dni później pożegnał się z rodzicami i wyruszył do Sai-Miny.

William wstał i skończył się przygotowywać. Włożył swą zieloną szatę i sprawdził przed lustrem, czy głowa jest dokładnie ogolona. Następnie zrobił krok w tył i cały przejrzał się w lustrze. Upłynęło siedem lat, a William nie stracił nic ze swego głodu nauki i ciekawości.

Dziś jednak poruszenie wśród służby miało w sobie coś szczególnego. Hałas wzrastał, a William nie mógł się już doczekać. Kiedy w końcu przysłano po niego, by dołączył do nadzwyczajnego zgromadzenia, był już dawno gotowy. Widząc wyraz twarzy służącego, nabral pewności, że nie chodzi tu o jego inicjację, ale o coś zupełnie innego.

-Dokonano inwazji na Galację – powiedział sługa drżącym głosem.

-Inwazji? Kto?

-Posłaniec od bardów dostarczył nam wiadomość. Tuathannowie. Wszyscy macie zebrać się w komnacie Rady. Jesteście gotowi, młody mistrzu.

William przytaknął i podążył za sługą w stronę najwyższej położonej komnaty w wieży, przemierzając ciemne korytarze, gdzie spotykał wielu druidów z zafrasowanymi minami. Komnata Rady była zazwyczaj zarezerwowana dla dwunastu Wielkich Druidów i Arcydruida, ale w szczególnych wypadkach ten ostatni zwoływał nadzwyczajne zgromadzenie, na którym obecni byli wszyscy druidzi Sai-Miny, włączając w to uczniów.

Kiedy stanął przed komnatą Rady, zatrzymał się na chwilę zanim wszedł do przestronnego okrągłego pomieszczenia, królującego nad Sai-Miną z wysokości okrągłej wieży. W dalszym ciągu nie mógł się przyzwyczaić do przepychu ścian, sufitu, mebli, całego tego miejsca i odczuwał ten sam zachwyt, co w wieku dziewięciu lat, kiedy pierwszy raz przestąpił próg szkoły druida w Providence. Było tu tyle detali, rzeźb w drewnie, płaskorzeźb wykutych w ścianach, malowideł na suficie, obrazów, mistycznych symboli oraz zaklęć w starej mowie, kufków i witryn pełnych bogactw, że zastanawiał się, czy kiedykolwiek znudzi mu się ten widok. Smok Mojry był wszędzie na dekoracjach: w rogu stołu mistrza, w centrum sklepienia, na oparciach wysokich krzeseł i na sześciu witrażach, przez które wpadało światło. William pozwolił, by owładnęła nim magiczna i łagodna atmosfera komnaty Rady, i usiadł na swoim miejscu poza kręgiem trzynastu foteli z drewna dzikiej czereśni zarezerwowanych dla Wielkich Druidów i Arcydruida.

Cztery miejsca były puste. Felim i Aldero byli nieobecni, wysłani przez Radę z misją. Dwóch innych druidów nie wzywano od lat. Dwóch dysydentów, jak ich nazywano, gdyż nie wymawiano nawet ich imion w tym miejscu. Sam William nie wiedział, jak nazywają się ci zagubieni Wielcy Druidzi, lecz ich nieobecność była wciąż odczuwalna, choćby przez te dwa puste miejsca.

Kiedy wszyscy usiedli, Arcydruid Ailin trzy razy uderzył w podłokietnik swego fotela, najwyższego spośród trzynastu, ozdobionego smokiem wyrzeźbionym w czerwonym dywanie. Arcydruidem został siedem lat temu, po śmierci Eloi i

przewodził debatom z wielkim autorytetem. W przeszłości dał dowody swej siły i wiedzy, co dziś zapewniało mu szacunek wszystkich. Zabrał głos wznosząc prawa dłoń w druidzkim geście prawdy.

-Wczoraj Tuathannowie wdarli się na teren Galacji. Bardowie donieśli nam, że są bardzo liczni, być może jest ich więcej niż trzy tysiące. Nie oszczędzają nikogo.

Arcydruid pozwolił, aby zdanie to rozbrzmiało po całej komnacie. Zadowolony się powtórzeniem tego, co wszyscy już wiedzieli, ale to oznaczało, że dziś nie będzie poruszona żadna inna kwestia. Druidzi zawsze wyrażali wiele treści, używając minimum słów – wystarczyło umieć czytać między wierszami. Taka mała gra, do której William zdażył się już przyzwyczać. „Ailin jest zdenerwowany – pomyślał. – Ta wiadomość musi go bardziej dotyczyć. Wie, że jest stary i to może być jego ostatnie zadanie. Chce je przeprowadzić do końca, zanim umrze.”

-Zatem powrócili – powiedział Ernan, Wielki Druid, archiwista Sai-Miny. – Należało się tego spodziewać.

”To o to chodzi – zrozumiał William, spoglądając znów na Ailina siedzące w drugim końcu sali. – Ailin musiał już dawno przewidzieć ich powrót, a inni mu nie uwierzyli. Może z wyjątkiem Ernana, który notuje wszystko w dzienniku Rady. Pozostali Wielcy Druidzi sądzili, że nie został już po nich żaden ślad. Zobaczysz, czy Ailin wykorzysta sytuację”.

-W takim razie trzeba zawiadomić czterech hrabiów i Wielkiego Króla oraz spróbować ich zebrać, by wspólnie znaleźć rozwiązanie konfliktu – podjął Arcydruid. – Oczywiście wątpię, by Horcourt przyłączyło się do sprawy. „Aha. Przywrócić Radzie dawny splendor i w tym nagłym wypadku przyporządkować sobie Thomasa Aeditusa, naszego zaprzysiężonego wroga”.

-Zwycięstwo Tuathannów przynajmniej na południe, będzie nieuniknione i to bez względu na to, czy hrabstwa się zjednoczą, czy nie – uściślił Shehan.

„Shehan bierze stronę Ailina. Otwiera mu drogę, odsuwając ewentualność chybionej inwazji. Całe to zgromadzenie musiało zostać uprzednio przygotowanie i wszystko ustalone wcześniej. Shehan, Ernan i Ailian właśnie zaciskają pętlę wokół Rady”.

-Wydaje się rzeczywiście – podjął Ailin – że Tuathannowie raczej pójdą w stronę Ziemi Brunatnej, niż zaatakują bezpośrednio centrum Galacji. Nie ma się co oszukiwać. Jeśli zechcą, to podbiją Ziemię Brunatną. Jedyne, co się liczy, to miejsce, jakie zajmie to hrabstwo w stosunku do trzech pozostałych hrabstw i Króla. Czy muszę przypominać historię najmłodszych spośród nas?

„Domyśla się, że jeśli Tuathannowie będą na miejscu, trzeba będzie pogodzić się z tym faktem. Jeszcze jeden sposób na wzmocnienie naszej pozycji wobec Horcourt”, wyciągnął wniosek William.

-Możemy pokonać Tuathannów za pomocą magii – zaproponował Aodh.

„Najwyraźniej Aodh będzie chciał się przeciwstawić ich planom, ale bardzo ryzykuje, że będzie w tym postanowieniu odosobniony, a argumenty Ailina są z pewnością przygotowane wcześniej. Aodh o tym doskonale wie, przeciwstawia się dla zasady”.

Ailin odpowiedział swemu przedmówcy, wykonując lekceważący ruch dłonią.

-Nie możemy być pewni, czy będziemy mieć nad nimi przewagę, a to spowoduje jedynie odroczenie problemu. Teraz naszedł czas, by zwrócić Tuathannom ich miejsce w planach Mojry. Nasi przodkowie wygnali ich z tej ziemi, a my nie możemy w dalszym ciągu zawłaszczać ich przeznaczenia.

„Ailin oczekuje od Tuathannów czegoś innego, ale czego? Można by pomyśleć, że czekał na to od lat, jakby to był ostateczny cel jego życia. Czego on chce od Tuathannów?”, zastanawiał się William.

-Co mogą poradzić przeciwko naszej magii? – naciskał Aodh.

„Aodh zdaje sobie to samo pytanie co ja. Przejrzał grę Shehana, Ernana i Ailina. Chce wiedzieć, jakim naprawdę motywem kieruje się Arcydruid”.

-Oni też mogą posłużyć się magią... Nie wszystkie Man'ithy są w naszym posiadaniu – powiedział Ailin.

„To o to chodzi...”.

-Niektórzy z nich, figurujące w naszych archiwach, zniknęły, gdy Galatyjczycy wygnali Tuathannów z kraju – dodał Ernan.

-Kamień Przeznaczenia – zaczął Arcydruid – Najdroższy ze wszystkich...

-Lanca Lunga – kontynuował Ernan, nie spuszczać oczu ze swej wielkiej księgi.

-Miecz Nuadu oraz Kocioł Dagdy – zakończył Shehnan.

Arcydruid odwrócił się w stronę tego ostatniego. Nie uśmiechnął się, ale zatrzymał na nim przez chwilę wzrok.

„Daje mu znak, że dziękuje za wsparcie. I robi to tak, że wszyscy mogą to zobaczyć.

-Jeżeli Tuathannowie posiadają te Man'ithy i jeżeli potrafią się nimi posługiwać, niesie to ryzyko nowego rozdania – skonkludował archiwista.

„Magiczne przedmioty wytworzone przez Samildanachów! Te cztery zaginęły, a Ailin pragnie je odzyskać, nawet za cenę paktowania z Tuathannami. Chiałbym się mylić. Ailin zawsze był zafascynowany Man'ithami, w jaki sposób Samildanach mógł tchnąć w przedmiot. Oto marzenie ambitnego druida...”.

-Tak czy inaczej, nie ufajmy im. Inwazja Tuathannów jest tak nagła i niespodziewana, że mogą być wśród nich również dwaj desydenci – zasugerował Kieran.

„Kieran jak zwykle z głową w chmurach. Jedyny, który nie widzi prawdziwej istoty sprawy... Ten Kieran jest zdumiewający. Muszę go rozgryźć...”

-To niemożliwe! – krzyknął Ailin. – Nasi dwaj zdrajcy nie mieliby w tym interesu. Przypominam wam po raz ostatni – ta ziemia należała ongiś do Tuathannów i na pewno jest jakiś sposób na to, by oddać im jej część. Możemy im zaproponować zawarcie paktu i tym samym położyć kres ich inwazji. Wyruszymy zatem do Najjaśniejszego Pana i czterech hrabiów.

Imperatyw to znalezienie wspólnego rozwiązania. Thomas Aeditus z pewnością odmówi, ale to nieważne. Nie będzie mógł nam zarzucić, że spiskowaliśmy za jego plecami...

„A niby co innego robimy? Ailin mówi tak, jakby był pewny decyzji Rady, a przecież doskonale wie, że tego typu przedsięwzięcie wymaga głosowania. Wykorzystuje nie tylko swoje starszeństwo, ale również błąd, jaki popełnili inni,

wykluczając kiedyś możliwość tego, co zdarzyło się dziś. Pamięć to najgroźniejsza broń. A to wszystko zostało ustalone z góry”.

-Jak możemy przekonać Tuathannów, by zadowolili się tym, co możemy zaofiarować im zamian? – zapytał Aodh.

„W zamian za co? Za pokój czy Man’ithy, które ma nadzieje odzyskać Ailin?

Pytanie Aodha nie było precyzyjne, ale z pewnością zadane z rozmysłem.

Druoid z jego doświadczeniem niczego nie robi przypadkiem. Może chce w ten sposób pokazać Ailinowi, że doskonale rozumie, co tu szykuje, a nie chce go bezpośrednio oskarżać. Stąd to pytanie, które można odczytać dwojako”.

-Nasza Rada będzie umiała dowieść swych kwalifikacji, rozwiązując tę sprawę – odparł Ailin.

„Na Mojre! W ten sposób zrećcznie odpowiedział zarówno na jedno, jak i na drugie pytanie... Stwierdził, że Rada jest najlepszym sędzią w sporach politycznych i potrafi posłużyć się Man’ithami lepiej niż ktokolwiek inny, oczywiście oprócz Samildanacha. Jeżeli Aodah dążył do tego, by zmusić Ailina do wyzwania, że istotą problemu jest odzyskanie Man’ithów, to ten świetnie z tego wybrnął. Znowu doświadczenie bierze górę. Jeszcze tyle rzeczy muszę się nauczyć!”, pomyślał William.

-Bracia – podjął Ailin pojedynczym tonem – będziemy głosować, by ustalić, kto pojedzie negocjować z pięcioma przywódcami hrabstw.

„Cóż, dyskusja skończona. Jeśli nikt się nie odezwie, Ailin wygra tę grę. W każdym razie ci, którzy zrozumieli, do czego naprawdę dąży Arcydruoid, mają z pewnością taką samą ochotę jak na odzyskanie Man’ithów”.

-Do Bizanii i Ziemi Brunatnej – zasugerował Ernan – trzeba wysłać brata... jakby to powiedzieć... oryginalnego. Takiego, który będzie potrafił uwieść Bizańczyków poezją, a Brunatyjczyków fałszywą naiwnością. Proponuję Kierana, jeżeli się zgadza.

Kieran wydawał się zaskoczony, ale zaakceptował powierzone mu zadanie, a bracia zatwierdzili jego kandydaturę poprzez uniesienie dłoni.

-W Galacji i Sarre – ciągnął archiwista – sprawa nie będzie tak trudna.

Poucżąca w każdym razie...

„Proszę to coś dla mnie...”

-Proponuję Williama.

„Na Mojre nawet nie jestem druidem!”, pomyślał William z uśmiechem.

-William Kellere jest jeszcze uczniem! – sprzeciwił się Aodh.

-Którego inicjajca odbędzie się dzisiejszego wieczoru – powiedział Ailin, nie dopuszczając sprzeciwu.

Druidzi ponownie wyrazili zgodę w głosowaniu.

-Mój młody bracie – rzekł Ailin do Williama, który nie mógł uwierzyć własnym uszom – jak wie każdy z nas, król Eoghan bierze w tym tygodniu ślub.

Zostaliśmy zaproszeni na uroczystość, a ty będziesz naszym reprezentantem.

Ślub przypada w dobrym momencie, bo dzięki niemu Eoghan nie jest przygotowany na zajmowanie się polityką zagraniczną. Nie będziesz miał żadnego problemu, by go przekonać do zaakceptowania pokoju z Tuathannami, nawet w dniu jego ślubu. Co więcej to doskonałe zadanie w pierwszym dniu twego powołania na druida. Przekonasz króla do naszych planów, a następnie

udasz się do hrabstwa Sarre, a hrabia Albath Ruad z pewnością nie odważy się przeciwstawić królowi.

William zgodził się w milczeniu. „Jeszcze jedna zręczna manipulacja”.

-I wreszcie do Horcourt musimy wysłać brata odważnego i doświadczonego – zakończył Ernan – Proponuję Aodha...

„Bardzo okrutny sposób na pozbycie się jedyne go potencjalnego przeciwnika. To ohydne”.

-To zbyt wielki zaszczyt dla mnie – odparł Aodh.

„Nie dał się wywieść w pole, ale nie może odmówić, wyszedłby na tchórza. Jeśli jednak wyruszy do Horcourt, jedyna na co ma szansę, to to, że zostanie zabity przez żołnierzy hrabiego Ferena Al. Roega lub przez kapłanów Thomasa Aeditusa. Dlaczego się zgadza? Bez wątpienia tak naprawdę nie ma wyboru. Kleszcze się zacisnęły. Pułapka zastawiona przez Ailina i Ernana, naszego archiwistę, jest jeszcze bardziej zgubna, niż mogłem to sobie wyobrazić”.
lecz Rada raz jeszcze przegłosowała sugestię archiwisty i Ailin podsumował debatę:

-wyruszenie bez waszych magisteli. Musicie być sami, by wzbudzić zaufanie ludzi, z którymi podejmujecie negocjacje. Wasi magistele będą was oczekiwali tu, w Sai-Minie. Jutro rano przed odjazdem Ernan udzieli wam instrukcji dotyczących władców hrabstw. Przekaze wam to, co należy o nich wiedzieć, by lepiej do nich trafić, i to, co trzeba im powiedzieć. A tego wieczoru chciałbym, by wszyscy zebrali się w kamiennym kręgu z okazji inicjacji Williama.

Wielcy Druidzi zgodzili się i wszyscy wstali w milczeniu. William wrócił do swej celi poruszony myślą, że wreszcie przeżyje moment inicjacji i podekscytowany perspektywą podróży. Tak długo nie opuszczał Sai-Miny.

Usiadł w oknie i utkwiał spojrzenie w zachmurzonym niebie. W głowie ciągle kołatały mu się słowa druidów. Wszystko działo się tak szybko! Zgromadzenie wydawało mu się pasjonujące. Zastanawiał się w głębi duszy, czy pewnego dnia będzie mógł zostać Arcydruidem, czy potrafiłby manipulować Radą, tak jak to właśnie zrobił Ailin. A potem zastanawiał się, czy byłby to w stanie zrobić dla dobra Galacji, a nie dla wyrównania osobistych porachunków...

Wzruszył ramionami i usiadł na łóżku. Usiłował uspokoić umysł za pomocą kilku ćwiczeń dominacji nad Saimanem. Pozwolił, by magiczna energia zaczęła powoli krążyć po jego ciele, a potem skierował ją w stronę palców, na których końcach ukazały się złociste płomienie.

*

Felim zdołał w końcu zatamować strumień krwi broczącej z biodra Mjollna, kładąc na nim dłonie zaróżowione energią Saimana. Nie był w stanie całkowicie zamknąć rany.

-Trzeba teraz czekać i wypoczywać, mój przyjacielu. Mogłbym pewnie zrobić to lepiej, ale niebezpieczeństwo minęło.

-Dziękuję, druidzie! – powiedział krasnolud z wysiłkiem. Felim i Alea kazali mu się przespać i oddalili się, by spokojnie porozmawiać.

-To nic poważnego prawda? – zapytała dziewczynka.

-Wyjdzie z tego, ale nie powinien się teraz przemęczać. Później zrobimy mu opatrunek. Przedtem jednak chciałbym zrozumieć, co było powodem ataku gorgunów.

Alea, która jeszcze nie otrząsnęła się ze strachu spowodowanego atakiem, kiwnęła w milczeniu głową i poszła za druidem, od czasu do czasu rzucając niespokojnie spojrzenie w stronę pogrążonego we śnie krasnoluda.

Felim oglądał zielonkawe ciała gorgunów, które zalegały w miejscu obozowiska. Ich oczy straciły czerwony blask, który decydował o ich przerażającym wyglądzie. Pomiedzy zakrwawionymi trupami, znalazł to, czego szukał – pozostałego przy życiu.

Pochylił się nad gorgunem, który stracił ramię, ale jeszcze oddychał i położył na nim dłoń, grożąc ogniem.

-Kto was nasłał? – zapytał, cedząc słowa.

Gorgun nie odezwał się, wydając jedynie jęki bólu. Felim oparł się mocniej na torsie kreatury, a potem powtórzył, tym razem w języku gorgunów:

-Ho ar b'nerok vor?

-Mmm... Maol... Maolmordha – odpowiedział tamten z wysiłkiem.

Felim skończył z nim jednym ruchem, zaciskając palce na jego gardle.

-Odejdź w spokoju przeklęty synu... – wyszeptał

Felim, zanim wstał.

Alea, której widok trupów i potoków krwi wydał się nieznośny odwróciła się i pobiegła w stronę krasnoluda. Poczekala, aż nudności ustąpią, a potem zapytała druida, który usiadł obok niej:

-Dlaczego nazwaliście gorguna „przeklętym synem”?

Felim był zaskoczony, że dziewczynka wychwyciła ten szczegół. Westchnął.

-Tak właśnie my druidzi nazywamy gorguny, bo... znamy ich ojca...

-Jak to? – zdziwiła się Alea.

-Teraz to nieważne. Liczy się tylko to, że wiem dlaczego zostaliśmy zaatakowani. Szukają nas Aleo. A ściślej rzecz ujmując, myślę, że szukają ciebie...

Alea uniosła głowę z niedowierzaniem.

-Mnie? A kto? I dlaczego?

-Maolmordha, czło... człowiek, który ... szukał Ilvaina. Bez wątpienia znalazł jego ciało na wrzosowiskach, tak jak ty. Jeśli się dowiedział, że odkryłaś ciało przed nim, to by wyjaśniało dlaczego cię szuka. A przynajmniej tak mi się wydaje. W każdym razie to wszystko świadczy o tym, że jesteś w niebezpieczeństwie i musisz jak najszybciej dotrzeć do Sai-Miny. Przykro mi, wiem, że chciałaś iść do Providence, ale musisz pójść ze mną, Aleo. Tam będę mógł powiedzieć ci więcej.

Alea zmarszczyła brwi. Druid znowu ją niepokoił. Miała wrażenie, że kłamał albo co najmniej nie mówił całej prawdy. Dlaczego tak bardzo mu zależało na tym, by pojechała do Sai-Miny? Czy naprawdę tam będzie bezpieczniejsza niż gdzie indziej? To wszystko wydawało się nie rzeczywiste. Lecz gorguny były jak najbardziej realne, tak samo jak krew, która wsiąkała w ziemię. Alea nie miała najmniejszej ochoty znowu ich spotkać. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

-Mjolln będzie miał tam lepszą opiekę – dorzucił Felim, wiedząc, że dziewczynka się waha.

-Dobrze pojedę do tej waszej wieży! Felimie, powiedz mi jednak, co się stało, kiedy dotknęłam dłoni Ilvaina, tam na wrzosowisku? Czy dlatego Maolmordha chce mnie odnaleźć?

-Porozmawiamy o tym później, Aleo, teraz musimy jak najszybciej wyruszyć – uciął druid, pomagając krasnoludowi wstać.

Ale zaczęła się domyślać, co jej się przydarzyło i napawało ją to ogromnym lękiem.

SAI-MINA

Książę Herilimów upadł na kolana przed ogniskiem. Noc panująca dookoła przyciągnęła ciemne moce. W jego oczach ukazały się czarne błyski.

Jak każdego wieczoru wiedział, że pan do niego przyjdzie. W zamian za miejsce u jego boku książę ofiarował mu duszę swoją i jedenastu innych Herilimów. Prawie nic nie było wiadomo o tych brutalnych rycerzach bez ojczyzny. Przybyli z północy podczas wojny o Mericourt i zaczęli się jawić jako niszczycielska i bezlitosna siła, ale od wielu lat kaście Herilimów nie udało się obalić Rady Druidów, która arogancko decydowała o losach świata.

Poddając się władzy Maolmordhy, Sulthor wiedział, że w końcu uda im się zemścić. Druidzi ginęli jeden po drugim, jak Aldero i wkrótce świat zobaczy, że Maolmordha rozpoczyna swe rządy, a wraz z nim Sulthor i jego rycerze.

Rzucający Cień wiedział, że całkowite poddaństwo było ceną, jaką musiał zapłacić by osiągnąć cel. On i jego ludzie umoczyli ostrza miecza we krwi ofiarowanej przez pana. Maolmordha dał im ogień, instynkt i szybkość. U jego boku zyskali nową siłę i nawet druidzi nie mogli ich już powstrzymać.

Panowanie Rady dobiegało końca. Sulthor wprost nie mógł się doczekać, kiedy dane mu będzie ich zabić jednego po drugim, gołymi rękoma zatapiając swe szpony w gasnących sercach Wielkich Druidów, jego śmiertelnych wrogów i ukraść im dusze, by zniszczyć ich raz na zawsze. Zabierze te dusze do nicości Djara, pustego i lodowatego świata, gdzie myśli stają się śmiertelne.

Moalmordha nauczył go kontroli nad tym nieznanym druidom światem. Nikt pogrążony w tej mrocznej nicości nie mógł mu się oprzeć. Wystarczy, by zabrał ich ze sobą w zaświaty dzięki Man'ithowi, a tam zabicie ich będzie dziecięcą igraszką.

-Panie – zaczął Sulthor, kiedy ujrzał wreszcie migotliwy obraz Maolmordhy pośród wyskokich płomieni – odparli atak gorgunów i kontynuują ucieczkę na północ.

Płomienie nagle wystrzeliły w górę jakby pod wpływem gniewu z wraz z nimi uniósł się obraz Maolmordhy.

-Z pewnością zdążają do Sai-Miny – zagrzemiał władca gorgunów. – Weź trzech Herilimów, Sulthorze i przywieź mi ciało tego dziecka w całunie, który ci powierzyłem.

-Tak, panie.

-Nie zawieźdź mnie książę Herilimów. Twoja porażka mogłaby położyć kres naszym zamiarom.

-Panie dostarczę ci tę zmię do świątyni Shankha jak najszybciej. Przysięgam. Obraz Maolmordhy rozmył się w płomieniach.

*

William czekał już od godziny na moment rozpoczęcia inicjacji, zamknięty przez druidów w małej pustej celi. Panowała tu całkowita ciemność, która

zmuszała do refleksji. W głębi duszy wiedział, że taki był cel owego zamknięcia – nakłonienie ucznia do zastanowienia się nad swym dotychczasowym życiem i pożegnanie się z nim. Lecz William nie mógł się spokojnie oddać medytacji. Był zbyt zajęty wydarzeniami, które miały wkrótce nastąpić, a o których wiedział niewiele. Chciałby zachować spokój mędrca, ale mimo woli wybiegał myślą naprzód w poszukiwaniu otuchy, której zupełnie nie mógł znaleźć. Czy powinien poszukać w sobie Saimana, żeby rozgrzać ciało i uspokoić umysł? Czy powinien sam sobie z tym poradzić? Czy niepokój oznacza, że nie jest jeszcze gotowy, by zostać druidem? Czy może wszyscy uczniowie odczuwali ten sam niepokój, przebywając w czterech ścianach tej ciemnej celi? Czy zadał sobie to pytanie, które powinien był zadać? Czy istnieje tylko jedna właściwa postawa godna naśladowania, by być doskonałym uczniem i stać się dobrym druidem? Nie ośmielił się odpowiedzieć na wszystkie te wątpliwości. A kiedy w końcu zjawiono się po niego, William właśnie odszukał w sobie Saimana.

Kiedy drzwi się otworzyły, rozpoznał Shehana, jednego z dwunastu Wielkich Druidów. Choć twarz zasłaniał mu biały kaptur, to musiał być on, najbardziej tajemniczy i uduchowiony ze wszystkich.

-Kim jesteś? – zapytał Shehan uroczystym tonem.

William nauczył się rytuału, znał poszczególne formuły i wciąż je powtarzał, lecz tym razem słowa te nabrały sensu, głębokiego sensu, który wreszcie wydał mu się jasny.

-Uzdrowicielem – odpowiedział bez wahania.

-Czego chcesz? – ciągnął Shehan, kładąc dłoń na jego ramieniu.

-Światła!

-Czy wzmocniłeś swoją duszę w samotności tego miejsca?

-...Tak

„Rytuał zmusza mnie do kłamstwa. Nie robiłem nic innego w tej przeklętej celi, jak tylko niepokoiłem się. Czy powinienem wyznać prawdę i odpowiedzieć <nie>? Może jednak wszystkie pytania, jakie sobie zadałem, w rzeczywistości wzmocniły moją duszę? Chciałbym to zrozumieć. Ten rytuał jest jak triady. Uczysz się go na pamięć, a potem musisz go samemu pojąć. Czy muszę zrozumieć wszystko dzisiaj, czy nastąpi to z czasem?”

-Zatem możesz pójść ze mną uzdrowicielu.

Shehan pochylił się, by pomóc Williamowi zdjąć sandały. Młody uczeń musiał udać się na ceremonię boso. William podziękował pokornie Shehanowi a następnie poszedł za Wielkim Druidem aż do wyjścia z korytarza głównego budynku. Przybyli na dziedziniec Sai-Miny gdzie znajdował się ogromny kamienny krąg. Widok był olśniewający. Zapalono pochodnie, których migotliwe światło rzucało cienie na kamienie oraz na białe płaszcze druidów. Ci, którzy w przeszłości byli bardami, grali teraz na harfach przejmującą melodię, która chwytała za serce, niesiona delikatnym podmuchem wiatru przesyconym zapachem kadzideł. Wszyscy Wielcy Druidzi i pozostali druidzi Sai-Miny byli zgromadzeni wewnątrz kręgu, zwróceny na wschód, w stronę stuletniego dębu, pod którym zasiadał Arcydruid.

William w asyście Shehana oraz procesji druidów dotarł do wejścia do kamiennego kręgu. Przed nim stali dwaj druidzi trzymając w dłoniach część

złamanego miecza. Wokół nich czterech innych dzierżyło długie tyki, do których końca przytwierdzona była płachta z białego lnu zdobionego jemiołą, okrywającą całą procesję niczym namiot. William poczuł, że dostaje gęsiej skórki. Całym jego ciałem wstrząsnął lodowaty dreszcz. Czy to oznaka strachu? Melancholia wywołała smutną melodię? Emocje mieszały się i miał wrażenie, że wszystko dzieje się we śnie. Jego stopy zdawały się same podążać za Shehanem, który prowadził go teraz na zachodnią stronę kręgu, w rytm dźwięków harfy.

Kiedy dotarli w pobliże majestatycznego dębu, zatrzymali się przed wygładzonym kamieniem, na którym położono chleb i sól. Shehan dał Williamowi znak, by ten się zatrzymał. Zbliżył się do kamienia i podniósł obydwie rzeczy. Każdy jego gest był wolny, precyzyjny i poważny. Nasypał soli na chleb i podał go Williamowi, uśmiechając się.

-Uzdrowicielu, ten chleb i ta sól są ziemią, przed którą umierasz i możesz się narodzić ponownie.

William wziął głęboki oddech, szukając w nim odwagi, której zaczynało mu brakować, a następnie ugryzł chleb, który dał mu Wielki Druid Shehan. Był to chleb żytni, sycący i chrupki. William żuł go powoli, pozwalając by słowa przewodnika rozbrzmiewały w jego umyśle. Będzie miał całe życie na to, by się do nich przyzwyczaić.

Odłożył połowę chleba na kamieniu na znak wdzięczności i procesja udała się w dalszą drogę, okrążając kamienie, by zatrzymać się tym razem przed dużą kamienną płytą. Znajdował się tam kubek z wodą, który Shehan wyciągnął w stronę ucznia.

-Uzdrowicielu oto woda, która cię oczyści.

William ujął kubek i wypił do dna. Była to świeża i smaczna woda. Poczuł się, jakby jego ciało zanurzyło się w ożywczej kąpieli.

Shehan ponownie położył dłoń na ramieniu Williama i skierował go w drugą stronę kręgu, na południe. William był tak poruszony, że nie czuł nawet zimna. Miał wrażenie, że udzieliło mu się ciepło całego zgromadzenia. Jakby on i druidzi stanowili jedność.

Procesja zatrzymała się przed ostatnim kamieniem, na południu. Tam była przytwierdzona pochodnia. Shehan podał ją Williamowi.

-Uzdrowicielu, oto ogień, który cię oświeci.

William przyjął wyciągniętą w jego stronę pochodnię i ruszył za druidami, którzy poprowadzili go w końcu do środka kamiennego kręgu, na odległość zaledwie kilku metrów od Arcydruida.

Czterech druidów niosących płachtę z białego lnu przeszło przed nim i wolno opuściło tkaninę na ziemię. Potem oddalili się, by wraz z bardami dołączyć do Wielkich Druidów. William drżał. Poczuł, że jest zupełnie sam. Wszystkie spojrzenia zwrócone były teraz w jego stronę. U jego boku został jedynie Shehan, który powiódł go na środek białej tkaniny. Kontakt z lnem działał uspokajająco. William skierował wzrok na dąb. Nigdy nie widział go z tak bliskiej odległości, przebywanie w kręgu było dla uczniów zakazane. Było to wspaniałe drzewo, którego gałęzie, pomimo panującej pory roku, były już ciężkie od kształtnych liści.

-Arcydruidzie – powiedział Shehan do Ailina, który zasiadał na kamiennym tronie obok starego dębu – przedstawiam ci Williama, uzdrowiciela, którego uznaliśmy godnym bycia druidem.

Gardło Williama było ściśnięte. Właśnie zbliżał się najważniejszy moment rytuału.

„Powiedział <uznaliśmy>, ale to Ailin uznał, że jestem godny tego miana. A jeśli się pomylił? Jeśli nie jestem jeszcze gotowy? Może Ailin zrobił to zbyt szybko? Może chciał przyspieszyć sprawę, by posłużyć się mną, wysyłając z misją do Galacji i Sarre? Nie, nie mogę wątpić w Arcydruida. Te sprawy są ważne. Skoro uznał mnie za godnego, to znaczy, że naprawdę tak jest. Zatem dlaczego jeszcze w to wątpię? Pewnie, dlatego, że się boję”.

Ailin, powstając przebiegł wzrokiem po zgromadzonych, a następnie zapytał donośnym i poważnym tonem:

-Zgoda?

-Zgoda! – odpowiedzieli jednym głosem druidzi.

-A zatem – podjął Arcydruid ciszej – ponieważ panuje zgoda możemy kontynuować.

Shehan ścisnął po raz ostatni ramię ucznia, a potem odszedł, pozostawiając Williama samego przed obliczem Arcydruida. Młody uzdrowiciel poczuł, że cały trzęsie się i usiłował zachować panowanie na sobą. Całego jego życie stało mu przed oczami, pomieszane obrazy nakładały się na siebie, wszystkie wizje kończyły się tutaj, w tym kręgu kamieni, pod ciemnym, ciężkim i milczącym niebem.

Nagle głos Arcydruida wyrwał go z odrętwienia.

-W imię Mojry pytamy cię, uzdrowicielu Williamie Kellere, czy wyniesiony do uświęconej godności druida będziesz korzystał z jego mocy jedynie w służbie tego, co jest prawdziwym Dobrem?

William przełknął ślinę i podniósł wzrok na Arcydruida. Zaczynało się przesłuchanie. Słowa wyuczone na pamięć przychodziły niby we śnie, ale on chciał wymienić je świadomie. Chciał być szczerym i pozwolił, by te słowa wypływały z jego duszy.

-Z całego serca będę starał się tak czynić.

-Czy obiecasz, że za pomocą Mojry będziesz pamiętał, iż sprawując funkcję, do jakiej zostałeś powołany, zobowiązujesz się dawać przykład dobrego życia wszystkim tym, którzy zostaną ci powierzeni w opiekę?

-Obiecuję – odpowiedział William, a w jego umyśle zjawił się ulotny obraz jego rodziców, jakby na przypieczętowanej tej obietnicy.

-Czy obiecujesz przechować troskliwie niczym uświęcony depozyt mocy, jaka będzie ci powierzona?

-Obiecuję – powtórzył ponownie, a słowa te były szczerze.

-Czy obiecujesz trwać w nieustannej gotowości, by służyć wszystkim ludziom, o ile będziesz w stanie?

-Obiecuję.

-Niech nasi przodkowie mają cię w opiece, drogi bracie i niech cię utwierdzają w tej godności.

William z bijącym sercem upadł w tej godności.

-Teraz będziesz mógł z całą odpowiedzialnością nauczyć tego, co uznasz za dobre, tych, których uznasz za godnych otrzymania twych nauk. Odpowiedzialność za rozpowszechnianie owych nauk, spoczywa na tobie: jesteś zwolniony z dotrzymania sekretu.

„Na Mojre, to jest to, na co zawsze czekałem. Zostałem druidem, takim samym druidem jak ten, który dziesięć lat temu przyjął mnie do swej szkoły, ponieważ uznał, że jestem godzien odebrać jego nauki. Czy będę umiał być tak dobry jak on? Czy będę umiał uczyć tak jak on? Czy stanę na wysokości zadania?”

Arcydruid wstał i podszedł do Williama, by położyć na jego opuszczonej głowie swoje ręce.

-Ja Elder Morgaw, Dzik, syn Sundaina, barda zwanego Govu, zwany druidem Ailinem, Arcydruid Sitego kręgu Sai-Mina, podnoszę przed Gaelijczykami Jego Łagodność Williama do godności druida. Na cześć jego stopnia, ponieważ jego nauczyciel mówią, że jest człowiekiem sprawiedliwym, będzie zwany druidem Finghinem przez swych braci oraz przez wszystkich ludzi. Niech Mojra cię chroni Finghinie!

Wszyscy zgromadzeni druidzi gorąco oklaskiwali nowego brata. Powoli podchodzili do niego.

William, oszołomiony nie bardzo rozumiał, co się dzieje. Jak przez mgłę widział kroczące ku niemu postacie. Dłoń Ailina, wciąż spoczywająca na jego czole, stawała się coraz cieplejsza, jakby Saiman starego druida koncentrował się na jego umyśle, i nagle wydało mu się, że stracił świadomość.

Ujrzał intensywne białe światło, nie tylko przed sobą, jakby spoglądał na źródło światła, ale również wokół siebie i w każdym zakątku umysłu. Było to światło wewnętrzne. A potem nic. Pustka.

Trwało to zaledwie krótką chwilę, że nie jest już taki sam. Ailin coś w nim zmienił. Otworzył drzwi. Zerwał łańcuchy. Wydało mu się, że słyszy lepiej, widzi lepiej, że wszystkie jego zmysły osiągnęły najwyższy stopień świadomości. A Saiman w jego wnętrzu nie miał już dawnej ulotnej delikatności. Był teraz silną, niesłabnącą energią. Energią, która nigdy go nie opuści.

William odzyskał zmysły i ujrzał obejmującego go Shehana.

-Jesteś druidem, Finghinie. To należy do ciebie. Podał mu biały płaszcz i laskę druidów. Młody człowiek, usiłując odzyskać nad sobą panowanie, włożył płaszcz na ramiona i ujął laskę w obie dłonie. Tak długo czekał na tę chwilę! Miłą wrazenie, że ta laska zawsze do niego należała.

Każdy z druidów podchodził kolejno, by uściskać nowicjusza, a ich oczy błyszczały szczerą miłością.

William, który musiał się przyzwycząić do nowego imienia, pozwolił, by długo przetrzymywane łzy spłynęły mu po policzkach. Z oddali dobiegły go dźwięki muzyki. Tym razem bardowie grali radośnie.

*

-Jak daleko będziemy musieli iść? –

-Dlaczego zadajesz takie pytania, mój synu? – spytał Sarkan.

Tagor był jedyny z najmłodszych wojowników klanu Mahat'angor, ale miał wszelkie predyspozycje, by pewnego dnia objąć po swym ojcu przywództwo klanu. Była to odpowiedzialność, bez której mógłby się zupełnie obejść. Tagor był odważnym i silnym wojownikiem. Jego tors pokrywały niebieskie malunki, a włosy czesał w długi grzebień, ja wszyscy mężczyźni klanu. Jego ciało wyglądało jak wykute w skale. Odznaczał się zadziwiającą charyzmą i niejedna dziewczyna z klanu chciałaby w przyszłości zostać jego żoną. Od najmłodszych lat cieszył się przywilejem w *aigabs*, obiadach zarezerwowanych wyłącznie dla kobiet, podczas których często rozprawiano o jego niezwykłych oczach – jednym niebieskim a drugim czarnym. Lecz teraz daleki był od myśli o swej przyszłej żonie i jak każdego dnia, odkąd opuścił Sid bił się u boku swych współtowarzyszy. Nie było w nim jednak takiej wściekłości ja u Tuathannów z pokolenia jego ojca.

Sarkan usiadł obok paleniska w opuszczonym szałasie, który zajęli na noc. Podczas przerwy w inwazji nastąpił jeden z tych rzadkich momentów, kiedy Tagor mógłby porozmawiać z ojcem.

Sarakan zaczął zmywać niebieską farbę z torsu, ramion i twarzy za pomocą gąbki, którą zanurzał we wrzącej wodzie z kociołka zawieszzonego nad paleniskiem.

-Pewnego dnia trzeba będzie się zatrzymać – odparł Tagor, stając za plecami ojca, by rozwiązać skórzane rzemienie oplatające jego niebieski grzebień. Zgodnie z obyczajowością klanu była to oznaka szacunku i każdego wieczora Tagor przychodził rozczesywać ojcu włosy, jak nakazywała tradycja. W czasie wojny jedynie mężczyzną przysługiwało prawo czesania wojowników. W czasie pokoju była to domena kobiet a fryzury były zupełnie inne. Włosy szczytyowano gładko na plecy i nacierano miksturą na bazie tłuszczu zwierzęcego. Tagor położył z szacunkiem treskę z rzemieniami i piór przed swym ojcem i usiadł obok niego.

-Sądysz, że Galatyjczycy się zatrzymali, kiedy masakrowali naszych przodków? – spytał Sarkan. – Nie powinieneś zapominać, że jesteśmy u siebie. Spójrz na nazwy miasteczek. Nie widzisz, że stanowią wyraźny znak naszej obecności? Prawie wszystkie osady, nawet miasta noszą nazwy tuathanneńskie.

Galatyjczycy są do tego stopnia głupi, że nawet nie znają znaczenia nazw miast, które zamieszkują. A jednak to we wnętrzu ziemi ukrywa się prawda, mój synu. W nazwach miejsc. Ty znasz nasz język, umiesz odczytywać nazwy gór, miast, zapomnianych świątyń.

-Tak ale czy musimy w tym celu zabijać potomków tych, którzy wypędzili naszych przodków? – naciskał młody wojownik.

-Mówisz jak Galatyjczyk!

-Wybacz, ojcze. Znam twoje przekonania i podziwiam twoją determinację, ale wyobrażam sobie przyszłość, w której nie będziemy więcej obawiać się nowej wojny... pewnego dnia będzie trzeba dojść do zgody. Nie możemy bić się w nieskończoność.

-Galatyjczycy nie chcą spokoju, mój synu. Zmasakrowali naszych przodków w jednym celu – w celu zagarnięcia całej tej ziemi. Nie negocjujemy ze złodziejami.

-Rozumiem – odpowiedział Tagor, rozczarowany. – A czy sądzisz, że pewnego dnia Tuathannowie będą mogli odnaleźć taki spokój domowego ogniska, by spędzić w nim resztę życia?

-Tak. Kiedy odzyskamy to, co do nas należy, mój synu. Twój lud czekał wiele setek lat, zanim ponownie ujrzał ten świat. Wy, najmłodszy, którzy nie znaliście innego świata niż podziemny, przyzwyczailiście się, ale nasze miejsce jest tutaj. Z pewnością będziesz musiał jeszcze trochę poczekać, zanim odłożysz broń. Tagor włożył polano do ognia, by podsycić płomienie.

-A jeśli zaatakują nas druidzi? Mówi się, że są bardzo silni.

-Mam to co trzeba, by zapewnić nam neutralność ze strony druidów. Pokaże ci to we właściwym czasie. Teraz śpij bo jutro wyruszamy na południe, do krainy, którą Galatyjczycy zwa Ziemią Brunatną, gdzie płynie Sinain.

Sarkan uśmiechnął się do syna, a potem gwałtownie poderwał się z miejsca i wyszedł na zewnątrz, gdzie oczekiwali go przywódcy pozostałych klanów.

*

Trójka podróżnych zeszła z drogi prowadzącej do Providence i skierowała się ku polom, by dotrzeć na północ w pobliże Purpurowej Rzeki. Szli trzy dni przez równinę, początkowo trawiastą, potem piaszczystą, w labiryncie skał, odpoczywając nocą, nie napotkawszy żywej duszy. Z biegiem czasu rana Mjollna stawała się coraz mniej dokuczliwa. Wieczorem drugiego dnia odzyskał swój dawny dobry humor i mógł nawet obyć się bez kuli zrobionej przez druida. Trzeciego dnia Alea nie czuła się dobrze. Jej serce biło oszalałym rytmem, a krew burzyła się w żyłach. Czuła nieokreśloną panikę. Nie odważyła się o tym powiedzieć współtowarzyszom i szybko się oddaliła, by położyć się w przygotowanym naprędce obozowisku.

Była to bezksiężycowa noc rozświetlana jedynie nikłym blaskiem gwiazd przebijającym się przez chmury. Alea szybko zapadła w niespokojny sen. Stoje przed fasadą wielkiej świątyni, której kamienne ściany mają kolor krwi. Nie. Nie mają koloru krwi, one są pokryte krwią! Nie ma powietrza, nie ma wiatru, nie ma nawet czasu. Tylko ja, świątynia i coś... On, który mnie śledzi. Nie wiem kim jest, ale jego wzrok spoczywa na mnie i podąża za każdym moim gestem. Próbuję zrobić krok naprzód. Początkowo to niemożliwe, gdyż nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Są przytwierdzone do świątynnej podłogi, jakby stanowiły część czerwonej krwawej skały. Potem on pozwala mi wejść. Nie. On mnie przyciąga. Nie ma nieba. Tylko ja, świątynia, która teraz zbliża się wolno i... coś... On. W dalszym ciągu nie mam kontroli nad nogami, tym razem prowadzą mnie w stronę świątyni. Zbyt szybko. Gdzieś w głębi czuję, że nie jestem gotowa. Ogarnia mnie fala paniki. Nie, jeśli teraz go spotkam, nie będę umiała go pokonać. Muszę się skupić na czymś innym.

Spoglądam w lewo. Nic tam nie ma, ale jeśli wyteżę umysł, mogę sprawić, że coś się tam zjawi, jestem tego pewna. Wystarczy chcieć. Proszę. Ogromne drzewo. Nie. To nie jest jedno drzewo, lecz tysiące małych drzew, jedno na drugich, które razem tworzą kształt gigantycznego drzewa. Wizja znika.

Spoglądam w prawo. W tej chwili niczego tam nie ma, ale znów jestem pewne, że mogę wywołać jakiś obraz, jeśli naprawdę będę chciała. Tak, ale jaki? Zamykam oczy. Kiedy je otwieram, widzę wilczycę. Jest piękna. Jej sierść jest całkiem biała. W zębach trzyma szczenię. Teraz widzę, że jest martwe. Dlaczego je trzyma skoro nie żyje? Wilczyca patrzy na mnie, a potem znika.

Nie udało mi się odwrócić uwagi. Świątynia wciąż tam jest i cały czas się zbliża. Wkrótce do niej wejdę. A jednak wiem, że nie mogę. On tego chce, bo wie, że w tej chwili jestem zbyt narażona na atak. Jestem zbyt słaba, bo nic nie rozumiem. Co to za drzewo? Co to za wilczyca? Świątynia zbliża się, napiera. Mam wszystkie elementy układanki, ale nie jestem w stanie jej rozwiązać. Moje ciało jest obce.

A kiedy w końcu myślę, że nie będę mogła się cofnąć, kiedy cień gigantycznych drzwi zdaje się mnie pochłaniać, nagle ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu i zatrzymuje mnie.

-Nie wchodź tam – słyszę nieznany głos.

Głos należy do jakiegoś chłopaka. Wystarczy, że odwrócę głowę, by go zobaczyć.

Odwracam się. Świątynia znika, a on razem z nią. Chłopak jest tu przede mną. Z trudem mogę zobaczyć jego twarz. Jest płynna, niewyraźna. Jedyne, co mogę dostrzec, to to, że długie blond włosy splótł na karku. Nigdy nie widziałam chłopaka z tak długimi włosami...

Obudził ją Mjolln, który się zaniepokoił, widząc jak miota się na posłaniu.

-Zły sen? – zapytał z daleka druid, który chyba nigdy nie sypiał. Siedział przy ogniu i patrzył na nią.

-Nie, nie, to nic – skłamała Alea i odwróciła się wzdychając.

Jeszcze długo nie mogła zasnąć, ale rytm jej serca powoli wracał do normy, a dziwne uczucie, którego doświadczyła, opuściła ją nad ranem.

W dzień wolała nie mówić o swoim śnie i unikała zaniepokojonych spojrzeń druida i Mjollna. W południe dotarli w pobliże Purpurowej Rzeki. Słońce odbijało się w jej lustrze i rozwiesiło na powierzchni oślepiające blaski.

Na południowym zachodzie góry Gor-Draaka zdawały się wznosić w tej samej odległości co wczoraj czy przedwczoraj. Lecz równina była coraz zieleńsza, ukwiecona. Na horyzoncie nie było widać żadnego budynku. Był to chyba najbardziej wyludniony obszar Galacji.

-Przejdziemy na drugi brzeg rzeki – wyjaśnił Felim – i wtedy będziemy już niedaleko od Sai-Miny. Dotrzemy tam za dwa dni. Mjolln radośnie klasnął w dłonie.

-Chodźmy przyjaciele! Jestem ciekaw widoku Sai-Miny!

Felim przytrzymał krasnoluda za ramię.

-Poczekaj Mjollnie. Widzę za nami chmurę kurzu i idę o zakład, że to rycerze, którzy będą tędy przejeżdżać. Sądzę, że byłoby roztropnie zaczekać i zobaczyć, kim są.

Alea stanęła na palcach, a po plecach przebiegł ją dreszcz, kiedy w oddali ujrzeli grupę, o której mówił druid. Ogarnęło ją dziwne uczucie. Jakby jakiś nagły przebłysk, który nakazywał jej ucieczkę.

-Ja ... musimy się ukryć Felimie, oni są... Oni są źli. Czuję to. Widzę to, nie wiem to dziwne...

druid przeszył dziewczynkę wzrokiem. Zawahał się przez chwilę. Alea miała wrażenie, że słyszy jak druid szepce kilka słów w nieznanym języku. Po chwili przytaknął.

-Bez wątpienia masz rację.

Zeszli więc z drogi i ukryli w kwitnącym zagajniku. Wtopili się w listowie i siedzieli cicho, podczas gdy w ich kierunku podjechali czterej rycerze. Cali byli ubrani na czarno. Nie można było dostrzec ich twarzy skrytych pod obszernymi kapturami. Tylko największy, ogromny, o wiele większy niż zwykły śmiertelnik, nosił hełm. Dał znak pozostałym, by się zatrzymali.

Zsiadł ze swego ogromnego wierzchowca i przykucnął. Lewą ręką zebrał trochę ziemi i podniósł w stronę otwartej przyłbicy, z pewnością po to by poczuć zapach. Potem odrzucił ziemię za siebie i wstał.

-Była tu – rzucił w stronę współtowarzyszy – Nie odeszła daleko. Czuję ją... Rozejrzał się wokoło, spojrział w stronę zagajnika. Alea wzdrygnęła się, kiedy poczuła na sobie jego spojrzenie. Przez sekundę, która wydawała się wiecznością, odniosła wrażenie, że świat wokół niej zadrżał i usłyszała tysiące pomieszanych głosów. Ujrzała Tarę i Kerry'ego, Ilvaina na wrzosowiskach, Felima, Faith i Almara, wszystkie twarze jednocześnie. A potem ogarnęło ją przerażenie, zgubiła się w natłoku obrazów, które eksplodowały w jej głowie. Poczowała obecność ciemnej, penetrującej mocy, która zbliżała się i zagęszczała wokół niej, jakby chciał wedrzeć się do jej umysłu. Sparaliżowana strachem, z całych sił usiłowała odeprzeć tę dziwną i lodowatą energię, która pulsowała w jej głowie. W głębi siebie nawiązała walkę, której nie rozumiała. Prowadził ją instynkt czy też pewien rodzaj magii, który nakazywał jej odeprzeć tę siłę będącą otchłanią nicości i śmierci. Ostatnim wysiłkiem udało jej się wyzwolić spod tej tajemniczej mocy. W tym samym momencie zobaczyła, jak czarny jeździec wsiadł na konia.

-Dziwne, przysięgłbym, że tu była. Chodźmy dalej musiał tędy przechodzić. I czterej jeźdźcy zniknęli w oddali, galopując na swych wierzchowcach. Mjolln, Felim i Alea odczekali jeszcze kilka minut w bezruchu, a potem podnieśli się i wyszli z ukrycia.

-To mnie szukali – powiedziała Alea, jeszcze pod wpływem szoku. Felim pogłaskał ją po czarnych włosach.

-Nie bój się wkrótce będziemy bezpieczni, a Rada Druidów zdoła położyć temu kres – zapewnił. – Żeby uniknąć ponownego spotkania, przeprawimy się przez rzekę w tym miejscu i pójdziemy wzdłuż południowego brzegu. Zgubimy ślad i ci czterej już nas nie znajdą.

-Na Mojre! Te potwory są gorsze od gorgunów. – wykrzyknął krasnolud.

-Kim oni są? – zapytała Alea, idąc w stronę miejsca, w którym zatrzymali się jeźdźcy, by zbadać ich ślady.

-To Herilimowie – wyjaśnił druid – Starożytny zakon wojowników, teraz na usługach Maolmordhy.

-Człowieka, który mnie szuka?

-Tak. Za wszelką cenę musimy ich unikać.

Alea zmierzyła druida wzrokiem i pomyślała, że znowu nie powiedział całej prawdy. Jednak była zbyt przestraszona, by nalegać.

Odjechać stąd. Odjechać stąd tylko ta myśl kotłował się w głowie.

Wyruszyli szybkim krokiem, od czasu do czasu rzucając spojrzenie w stronę drugiego brzegu rzeki, by upewnić się, że nie ma tam już czarnych jeźdźców.

*

Imała opuściła równinę wiele dni temu i ponownie zagłębiła się w las. Uciekła, gdy troje dwunożnych z obozowiska, do którego się zbliżyłam, walczyło z innymi dwunożnymi, wyższymi i wzbudzającymi strach. Zaskoczona płomieniami wybuchającymi podczas tej dziwnej walki, w popłochu opuściła swą kryjówkę i zatrzymała się dopiero, kiedy zatrważające hałasy ucichły. Od chwili gdy dziwny czarny wilk przyniósł jej w prezencie zajaca, nic nie jadła i zaczynał jej doskwierać głód. Polowała teraz w gęstym lesie i właśnie straciła trop wiewiórki.

W cieniu drzewa panował przyjemny chłód, a Imała czekała kilka dobrych chwil, mając nadzieję, że wiewiórka okaże się na tyle głupia żeby z niego zejść. Wyciągnęła się na ziemi kołysana znajomymi odgłosami lasu, ale po chwili straciła cierpliwość i postanowiła poszukać innej zdobyczy.

Zagłębiła się w lesie. Nieliczne promienie słońca prześwitywały przez zielone liście. Trawa i suche gałęzie wplątywały się w jej białą sierść, a pyłek kwiatowy, który wciąż unosił się wokół niej, wiercił ją w nosie. Nagle poczuła, że opuszcza terytorium należące do klanu wilków. Charakterystyczny zapach, na który nie zwracała do tej pory uwagi, nagle zniknął i zdała sobie sprawę, że teraz wchodzi w nową nieznaną przestrzeń gdzie od dłuższego czasu nie było żadnego wilka. Poczula niezwykle przyjemną woń, która jednak nie miał nic wspólnego z zapachem wilków. Zwolniła kroku i zaczęła węszyć w poszukiwaniu źródła, ale była ona wszędzie. Imała spostrzegła, że nie tylko zapach uległ zmianie. Rośliny i ziemia też różniły się od tych, które znała. Było tak jakby natura nagle wydała jakiś rozkaz: drzewa, zioła, ziemia, grzyby – wszystko w jednej harmonii. Żadnego martwego drzewa, żadnej złamanej gałęzi, żadnej zgnilizny pod drzewami. To był najpiękniejszy las na świecie, a wilczyca czuła się cudownie pośród tej roślinnej doskonałości.

Po długiej drodze nagle stanęła oko w oko za następnym dwunożnym. Był podobny do tego, który kilka dni wcześniej przed nią siedział. Ta sama skóra koloru drewna, te same delikatne spiczaste uszy, te same złote włosy a przede wszystkim ten sam zapach. Zapach, który idealnie harmonizował z wonią lasu. Dwunożny siedział pośród drzew i był zupełnie nieruchomy, wydawało się, że śpi. A jednak wilczyca dostrzegła, że się uśmiecha, a jego oczy się poruszają. Zawahała się przez chwilę, skręciła najpierw w prawo potem w lewo, zbliżając

się do nieznanego. W końcu usiadła za nim. Dwunożny nie ruszał się. Pomyślała, że był częścią lasu i siedział tu od zawsze. Kilka chwil później dwunożny, identyczny, dołączył do pierwszego i usiadł. A potem trzeci i czwarty. Wilczyca cofnęła się kilka kroków, nieufna i położyła się wysokiej leśnej trawie. Czterech dwunożnych zaczęło do niej mówić, a Imali wydawało się, że ich rozumie. Miała wrażenie, że w intonacji ich głosów dały się słyszeć wyrazy sympatii. Mówili, żeby była spokojna, że nie ma się czego obawiać i że są mieszkańcami lasu. Nie tylko tego, lecz wszystkich lasów. Ta wiadomości, które tak wyraźnie tak nagle do niej dotarły napawały ją trwoga. Nikt nigdy nie komunikował się z nią w ten sposób. Nawet innym wilkom nie udało się wyrazić tylu rzeczy. Zmieszana próbowała się podzielić z nieznanymi swymi uczuciami, wydając kilka dyskretnych westchnień. Mówiła o swoim strachu, o zaskoczeniu. Uspokoił ją. Wtedy powiedziała, że jest głodna i natychmiast jeden z dwunożnych zniknął wśród drzew. Wilczyca zerwała się do ucieczki, ale dwunożny wyszeptał kilka słów, których sens zrozumiała: tamten poszedł poszukać pożywienia. Wilczyca zawarczała z niedowierzaniem. Kilka chwil później dwunożny powrócił i położył przed wilczycą upolowanego przez siebie warchlaka. Imala doczekał aż dwunożny się oddali, a następnie zbliżyła się wolnym krokiem do zwierzęcia nie spuszczać z oczu czterech dziwnych postaci. Obwąchawszy martwe ciało, wzięła je delikatnie w zęby i odciągnęła kilka kroków dalej, by posilić się w spokoju. Kiedy skończyła położyła się na boku i cichym westchnieniem dała wyraz swej wdzięczności. Pomyślała, że jej się udało, gdy tamci do niej znowu przemówili. Zapewnili ją o swej przyjaźni. Po prostu. Potem wstali i odeszli kawałek, dając jej do zrozumienia, że może im towarzyszyć. Oczekała chwilę, a następnie podążyła ich śladem, utrzymując pewien dystans, wystarczający by nie tracić ich z oczu, ale nie będąc widzianą. Została z dwunożnymi wiele dni, żywiąc się upolowanymi przez nich zdobyczami, każdego dnia rozumiejąc coraz więcej z ich języka. Jednak nie zdobyła się na to by podejść bliżej.

*

Alea i jej towarzysze dotarli wreszcie do miejsca, w którym wody Purpurowej Rzeki wpadały do zatoki. Po drugiej stronie znajdowała się siedziba druidów. Widok był niesamowity. Wysoka wieża Sai-Miny, wznosząca się niczym wyzwanie nad błękitnymi falami, była najpiękniejszą i wzbudzającą obawę budowlą wyspy Gaelia. Strzelist, skomplikowana masa skalnych półek jeżących się dumnie na skalistym zboczu, wydłużając w niebo prawie pionowy klif służący za fundament, łączyła się delikatnie z białą gładką skałą nadającą półwyspowi ostateczny kształt. Cztery małe wieżyczki oflankowane bocznymi łańcuchami okalały główną wieżę, kwadratową do połowy wysokości – tam gdzie korytarz zakrzywiając się pozbawił ją pierwotnego kształtu – a następnie cylindryczną aż do wierzchołka,

gdzie nad miedzianym dachem powiewał sztandar druidów: smok Mojry. Wieżyczki i łączące je przejścia oraz niedostępna wieża otaczały balkony zwieńczone niewielkimi otworami niczym koronkowe naszyjniki o eleganckiej strukturze.

Był to najwspanialszy i najbardziej tajemniczy budynek, jaki kiedykolwiek został wzniesiony w królestwie. Gdyby istniał do dziś, z pewnością olśniłby wszystkich swym splendorem. Rada Druidów zleciła jego budowę wiek wcześniej, by zapewnić sobie dominującą rolę w królestwie. Arcydruid wybrał to miejsce gdyż jak głosi legenda znajdował się tam najstarszy dąb w całej Gaelii. Dookoła niego wzniesiono budynki a na centralnym placu powstał kamienny krąg, by dąb – święte drzewo – można było czcić podczas najważniejszych ceremonii druidzkich. Sai-Mina była piękniejsza niż posiadłości hrabiów, co wiele mówiło o szczególnej pozycji Rady w polityce i w jej silnych wpływach w rządzeniu wyspą. Potrzeba było inspiracji trzech artystów z Bizanii i zmysłu technicznego czterech architektów krasnoludzkich zanim trzystu robotników rozpoczęło prace trwające dziewiętnaście lat. Trwałoby to bez wątpienia dłużej gdyby nie magiczna interwencja druidów. Trzeba było wznieść rusztowania na brzegach klifu i zadać sobie niemały trud by dostarczyć na miejsce materiały, które wciągano na wysoki półwysep za pomocą wozów zaprzężonych w najsilniejsze woły. Wielu robotników poniosło śmierć w tym niebezpiecznym przedsięwzięciu i trzeba było niezachwianej woli druidów, by dzieło zostało ukończone zgodnie z planami. Nikt nie znał dokładnej sumy, jaką Rada poświęciła na zrealizowanie tego wspaniałego marzenia i z pewnością nikt dzisiaj nie zgromadziłby takiej kwoty ani nie byłby w stanie pokierować grupą tylu artystów, rzemieślników architektów i robotników – jedynie autorytet Rady mógł skoordynować tego typu działania. Alea nigdy nie widział czegoś tak pięknego. Mjolln usiadł z wrażenia i zaczął wydawać okrzyki zachwyty.

-Piękna, nieprawdaż? – powiedział Felim, a Alea usłyszała w jego głosie nutę dumy, dotąd niespotykaną.

-To niesamowite – potwierdziła, uśmiechając się.

Następnie zeszli na brzeg w stronę niewielkiej zatoczki, gdzie przycumowane były liczne barki. Felim wybrał największą z nich i pchnął je w morze. Alea nigdy jeszcze nie siedziała w czymś takim, nie potrafiła pływać i wcale nie nęciła jej myśl o przepłynięciu zatoki na pokładzie starej drewnianej barki, ale zaufała druidowi i weszła na pokład, niw wspominając o swoim strachu. Przycupnęła na samym końcu i siedziała nieruchomo przez całą podróż, pozostawiając wiosłowanie swym towarzyszom. Zmęczona odpłynęła myślami ku Saratei, ku swemu dzieciństwu i Aminie. Pomyślała, że ten okres ma już definitywnie za sobą, że jej życie już nigdy nie będzie takie samo. Kołysana lekkim skrzypieniem barki z zaskoczeniem stwierdziła, że tego żałuje. Był to jeden z tych momentów, kiedy zmęczenie napawa smutkiem, wspomnienia ciężą w obliczu terażniejszości a przeszłość się wymyka nieuchwytną niczym wspaniały obraz, którego nie można odtworzyć. Wiedziała, że ani Mjolln, ani Felim nigdy nie będą w stanie dzielić z nią wspomnień przywoływać tych błachostek, które zebrane razem tworzyły sieroce życie, zanim Mojra

przeznaczyła ją do innych celów. Zostały jej jedynie wspomnienia. Żadnego przedmiotu, żadnego śladu. Nie wiedziała czy kropla spływająca po jej policzku była łzą czy po prostu wodą, ale jednego była pewna: że ta strzelista budowla, która zbliżała się z każdym uderzeniem wioseł, oznaczała nieodwracalną zmianę w jej życiu.

-Dopływamy – krzyknął Mjolln, wypuszczając przedwcześnie wiosła.

Upadł na plecy i wybuchnął śmiechem, widząc jak Alea podskakuje ze strachu. Felim pokierował barką, by dobiła do brzegu, a następnie przymocował ją za pomocą grubej liny, która zwisała ze skały przytwierdzona łańcuchem. Druid pociągnął linę i barka znalazła się na wysokości małych schodków wykutych w skale. Przywiązał barkę obok nich i wysiadł jako pierwszy. Po nim barkę opuścił Mjolln i Alea. Bez słowa zaczęli wspinać się po schodach, a Mjolln rzucił niespokojne spojrzenie w stronę wysokiego klifu: czekało ich z pewnością dobre pół godziny drogi!

Kiedy resztką sił dotarli na szczyt, zostali powitani przez trzech służących ubranych w eleganckie błękitne stroje. Pozdrowili oni najpierw Felima, a potem skłonili się przed dziewczynką i krasnoludem. Ruszyli wąską drogą, która wiała się pomiędzy krzewami. Weszli na dziedziniec ukrytym wejściem i przybysze zobaczyli wieżę w całek okazałości.

Pałac widziany z dziedzińca sprawiał jeszcze większe wrażenie. Mury były tak masywne i tak wysokie, że z trudem można było dostrzec niebo. Wszystko tu było czyste i zadbane – Alea pomyślała, że to nic dziwnego, skoro uwija się wkoło tyłu służących. Tu czerpano wodę z głębokiej studni, tam zajmowano się końmi w przestronnych stajniach wypełnionych słomą, jeszcze dalej kilku młodych rycerzy w zbrojach ćwiczyło fechtunek pod okiem starszego człowieka, druidzi w swych białych szatach rozprawiali żywo w kamiennym kręgu, miejscu niedostępnym dla nikogo innego. Izby służących i rzemieślników znajdowały się na podwórku. Zamieszkiwali oni w nich wraz z rodzinami, co tłumaczyło obecność małych sklepików, warsztatów, szkoły... Dziedziniec Sai-Miny był niczym małe miasteczko, żywe i kolorowe, wypełnione dźwiękiem ludzkich nawoływań i odgłosami zwierząt. Herold informował o najważniejszych wydarzeniach dnia, wieśniacy targowali się na straganach. Dzwony bijące nad dziedzińcem ogłaszały otwarcie głównej bramy.

-Oto Sai-Mina – powiedział Felim kładąc dłoń na ramieniu Alei. – Niewiele dziewcząt w twoim wieku dostąpiło zaszczytu odwiedzenia tego miejsca. Jest tu tyle ciekawych rzeczy, nie trać ani minuty!

Przecięli dziedziniec i skierowali się do położonego najniżej północnego skrzydła pałacu. Tu Felim ich opuścił, wyjaśniając, że zobaczą się podczas wieczery. Najpierw jednak służba pokazała im ich pokoje. Dwóch służących poprowadziło Mjollna i Aleę do wnętrza trzypiętrowego budynku. Dziewczynka szła w milczeniu i zastanawiała się czy jej się to śni. W tej ogromnej wieży panowała dziwna atmosfera. Wszystko było takie idealne – kolory, dźwięki, sposób poruszania się służących i rycerzy. Alea miała wrażenie, że obecnych tu ludzi i przedmioty otacza tajemnicza aura, która ich chroni i wyznacza porządek. Tak, to wszystko miało posmak snu. A jednak było zupełnie realne. Podążyła za służącymi, stąpając z wysiłkiem po wysokich drewnianych

stopniach i rzucając krasnoludowi pytające spojrzenie. Mjolln także wydawał się niezmiernie zaintrygowany tym miejscem.

Wystrój komnat był dziełem sztuki. Wszystkie ściany były pokryte drewnem o gładkiej lub rzeźbionej powierzchni. Płytki z pozłocanego brązu z równoległymi rowkami ozdabiały nóżki mebli i obramowanie. Wszędzie widniały wydłużone figury smoka Mojry wyrzeźbione w drewnie, namalowane na porcelanie lub narysowane na delikatnych płytkach. W tym wszystkim zakłęte zostały lata pracy najbardziej wyrafinowanych artystów oraz niewiarygodny przepych złota i srebra. Alea usiadła na wielkim łóżku z baldachimem i objęła dłońmi kolana. Nie ośmieliła się niczego dotknąć, bała się nawet poruszyć. Pozostał w tej pozycji, podziwiając pokój, aż do chwili, gdy po nią przysłano.

Usłyszała pukanie do drzwi i wstała, by otworzyć. Młoda służąca uśmiechała się nieśmiało.

-Panienka się jeszcze nie przebrała? – zapytała pochylając się i wskazując ubrania leżące na krześle.

-Ach... nie. Nie wiedziałam, że to dla mnie...

-Sądzę, że byłoby lepiej gdyby panienska włożyła tę suknię.

-Suknię? – zdziwiła się Alea.

Była to suknia z szaroniebieskiej bawełny, obszerna, o prostym kroju, ale elegancka. Lekko rozszerzała się ku dołowi. Okrągły dekolt i rękawy zdobiła wąska lamówka ze splecionej złotej nici. Zapięcie na plecach sięgało do wysokości talii. Przez niewielkie dziurki wykończone srebrną obwódką przewleczono czarną wstążkę.

-Nigdy nie miałam na sobie takiej sukni! – powiedziała dziewczynka, czując ze się czerwieni. – Nie wiem czy mogę?

Rozśmieszyło to służącą, która zaproponowała pomoc w przebraniu się i pół godziny później Alea weszła do obszernej jadalni głównego budynku odziana niczym księżniczka. Nie czuła się zbyt swobodnie. Do sukni przypięła broszkę dar od Felima. Miała nadzieję, że to pomoże jej poczuć się pewniej wśród obcych.

-Witaj w Sai-Minie – powiedział starszy człowiek, który skierował się w jej stronę.

Był łysy jak Felim a na jego długiej białej todzie widniał ten sam symbol. Alea wywnioskowała zatem że on również jest druidem, tak jak szóstka innych ludzi, którzy dyskutowali przed wielkim kominkiem, czekając zapewne, aż Alea zasiądzie do stołu.

-Jak minęła ci podróż?

-E, dobrze, to jest... e... niezupełnie – wyjąkała Alea speszona.

-Ha! Wreszcie trochę naturalności. Tutaj jesteś bezpieczna – zapewnił starzec, ujmując ją pod ramię. – Przyłącz się do nas. Mamy do ciebie wiele pytań. Alea skrzywiła się na myśl, że będzie przesłuchiwana przez druidów. Dostrzegła jednak Mjollna siedzącego w fotelu obok ognia i to ją trochę pocieszyło. Podążyła za starym druidem, a inni ustępowali jej z drogi. Było to dziwne uczucie – iść między tymi wszystkimi ludźmi, tak podobnymi do Felima. Łysymi w takich samych szatach z identycznym symbolem, a przede wszystkim świdrujących ją tym samym przenikliwym spojrzeniem.

Felim, który siedział obok Mjollna wstał, widząc Aleę i podszedł do niej z uśmiechem.

-Aleo pozwól, że ci przedstawię Radę Druidów. Zgromadzeniu tu mędrcy to członkowie Rady, a zatem wielcy Druidzi. Właśnie poznałaś Ailina, Arcydruida. A oto Ernan, Shehan, Aengus, Odhran, Henon oraz Tiernan.

-Dzień dobry – powiedziała, skłoniwszy się lekko.

Trochę się pogubiła w tych druidzkich tytułach. Co więcej nikt jej nie nauczył jak powinna się zachować w takich okolicznościach i czuła się nieswojo. Była pewna, że istnieje jakiś szczególny sposób powitania druida, ale nie знаła go i nie śmiała już spojrzeć na żadnego z obecnych tu mędrców. Czuła, że nie pasuje do tego miejsca.

-Aleo, nie bądź taka nieśmiała – powiedział ciepło Felim, prowadząc ją w stronę kominka. – Będiesz tu bezpieczna. Spójrz na Mjollna, on czuje się już jak u siebie!

Wkrótce potem podano do stołu. Służba Sai-Miny przygotowała wszystko nadzwyczaj starannie, jak zawsze, gdy do wieży przybywali goście. Nadzwyczajnie długi dębowy masywny stół był przykryty nieskazitelnie białym obrusem, a nakrycia ze srebra błyszcząły nowością. Alea była zachwycona widokiem ceramicznych talerzy, na których widniały kolorowe sceny z polowania namalowane z zapierającą dech finezją. W ozdobnych świecznikach płonęły wysokie świece, których płomienie odbijały się w srebrnej zastawie. Zaledwie biesiadnicy zasiedli do stołu, już dyskretni i milczący służący pojawili się z półmiskami. Alea wkrótce poczuła smakowity zapach, który przywiódł jej na myśl Gąskę na Ruszcie. I oto znowu miała ucztować, ona, która całe życie głodowała!

Na stole pojawiły się potrawy. Alei podano okazały kawałek mięsa z warzywami, a ona poczekała, aż Mjolln zacznie jeść, by upewnić się, że nie popełnia gafy. Skosztowała i wprost zaniemówiła! Tutejsi kucharze to prawdziwi artyści! Z uczuciem rozkoszy smakowała przepyszny delikatny schab owinięty cieniutkim plastrem szynki bizńskiej. Mięso pachniało cudownie. Musiało się długo piec na wolnym ogniu, miało bowiem charakterystyczny smak i apetyczny złoty odcień.

Sos był szczególnie pyszny i dziewczynka dyskretnie maczała w nim każdy kawałek, by nie stracić ani kropli. Kucharze natarli mięso przyprawami i solą, po czym upiekli w karmelu, dzięki czemu uzyskało delikatny, słodkawy smak. „Tara nie zrobiłaby tego lepiej”, pomyślała Alea.

Jadła ze smakiem, ale paraliżowała ją myśl o niewłaściwym zachowaniu. Na szczęście zostawiono ją w spokoju podczas pierwszej części posiłku, a ona nie wypowiedziała ani słowa, przysłuchując się dyskusji druidów. Nie pojmowała wszystkiego, o czym mówili współbiesiadnicy, ale zrozumiała między innymi, że na południu Galacji toczy się wojna, która zajmuje Wielkich Druidów nie w mniejszym stopniu niż śmierć Ilvaina. Kiedy poruszono tę kwestię, wszystkie spojrzenia zwróciły się w jej stronę. Pierwsze pytanie zadała jej Ailin.

-W jaki sposób odnalazłaś ciało Ilvaina?

Alea otworzyła usta, spuściła wzrok i opowiedziała całą historię, rzucając regularne spojrzenie w stronę Mjollna, który siedział obok niej, jakby chciała od

niego czerpać odwagę. Felim poprosił, by pokazała druidom pierścień. Alea była przekonana, że Felim w jakiś sposób wytłumaczył wszystko swym współpracownikom. Wydawało jej się, że w tej chwili druidzi zdali sobie sprawę z faktów. Widok klejnotu sprawił, że pograżyli się w ciężkim milczeniu. Alea dostrzegła kilka ukradkowych spojrzeń i usłyszała, jak druidzi szepczą między sobą.

Po posiłku zrobiła się senna i zapytała Felima, czy można pójść się położyć. Tak naprawdę chciała jak najszybciej opuścić tę krepujące towarzystwo, które spoglądało na nią zupełnie inaczej, odkąd pokazała pierścień. Felim uśmiechnął się i skinął głową. Mjolln natychmiast wstał, by towarzyszyć Alei i odeszli otoczeni przez służących.

-Mjollnie czy zechcesz posiedzieć ze mną trochę tego wieczoru? Nie czuje się zbyt dobrze w tym wielkim zimnym pokoju i chciałabym cię spytać o tyle rzeczy...

-Oczywiście ja również niezbyt lubię mój pokój, miotaczko kamieni. Podziękowali służącym i usiedli naprzeciw siebie pośrodku ogromnego łóżka.

-Czuję się taka samotna wśród tych wszystkich druidów – wyznała przyjacielowi.

-Tak widzę i rozumiem. Hem. Są wielcy i tajemniczy, o tak. A my tacy mali. Lecz Felim jest dzielnym człowiekiem. Nie przywiódłby nas tutaj, gdyby nie było powodów do obaw. Hem... Uspokojona?

-Nie podobał mi się sposób, w jaki na mnie patrzyli po tym jak pokazałam pierścień. Mam wrażenie, że biorą mnie za jakiegoś potwora.

-Ha, ha! Oto wrażenie, które doskonale znam! Hem. Ileż to razy twoi współziemkowie rzucali mi takie spojrzenie, co? He, he, w końcu trzeba się z tym pogodzić i powiedzieć sobie, że przynajmniej mamy w sobie coś wyjątkowego! Hem. Gruby krasnolud i dziewczynka z pierścieniem...

-Ale co we mnie jest takiego wyjątkowego, Mjollnie?

-Jesteś moją miotaczką kamieni! I dla mnie tylko to się liczy! Hem. Otóż to: miotaczka kamieni i awanturniczka.

-Tak a dla nich? Czy nie sądzisz, że traktują mnie jak dziwadło? – zapytała dziewczynka spuszczać wzrok.

-A skąd mam to wiedzieć? Jesteś tylko miłą małą dziewczynką. Hem. A zatem mała Aleo nie smuć się, tu jest o wiele bezpieczniej niż na zewnątrz.

-Chciałbym być tego taka pewna – powiedziała, kładąc się na łóżku.

Krasnolud przesłał jej uśmiech, przeciągnął dłonią po długich czarnych włosach Alei i pomyślał, że nie ma w niej już nic z dziecka. Potem wstał i usiadł w fotelu.

-Będę spał tutaj obok. A gdybym przypadkiem zaczął chrapać, to mnie obudź. Dobrej nocy!

Lecz dziewczynka już spała.

*

W tym samym czasie Kiarnan, Finghin i Aodh druidzi wysłani przez Radę z misją dyplomatyczną, dotarli na drugi brzeg zatoki tą samą barką, którą Alea i jej współtowarzysze przybyli do Sai-Miny. Dopłynęli aż do małego miasteczka Matar gdzie czekały na nich trzy konie. Ruszyli z kopyta. Czas naglił.

Finghin zmuszając swojego wierzchowca do galopu, przyglądał się braciom w milczeniu. Stwierdził, że Kieran jak zwykle wygląda na roztargnionego, Aodh zaś wręcz przeciwnie – był nerwowy i sprawiał wrażenie zagniewanego.

„Wie, że Ailin zrobił to, by się go pozbyć – pomyślał, kiedy kierowali się na południowy zachód. – Rozumiem, dlaczego jest zdenerwowany. Dziwi mnie, że Ailin podjął takie ryzyko. Nie ma żadnej szansy, by Aodh został dobrze przyjęty w Horcourt. Hrabia Feren Al.'Roeg odkąd jest pod wpływem Thomasa Aeditusa, nie znosi druidów. Każe go natychmiast zabić. Nie ma żadnej możliwości, by się z tego wyplątać. A kto wtedy zajmie jego miejsce w Radzie? Oto co mnie dziwi. Że Ailin mógł wystąpić z taką inicjatywą. Nie mogę w to uwierzyć”.

Kiedy konie zmęczyły się galopem, Finghin zdecydował się w końcu zapytać Aodha.

-W jaki sposób zamierzasz rozmówić się z hrabią Al.'Roegiem? Chciałem powiedzieć, że Thomas Aeditus go nawrócił i on teraz nie znosi druidów.

-Chcesz wiedzieć jak ja to zrobię czy ja wyobrażał to sobie Ailin?

„Odgadł moje myśli. Tak samo musiał odgadnąć zamiary Arcydruida. Spróbuje zagrać w tę ich grę”.

-A to jakaś różnica?

Aodh odwrócił gwałtownie głowę w stronę młodego druida. Nie pierwszy raz ten chłopak go zadziwił. Był tyleż błyskotliwy, co zadufany w sobie.

-Aili myśli, że ucieknę i nie wypełnię misji. Potem mógłby mnie oskarżyć o to, że nie działałem zgodnie z postanowieniami Rady i skazać na banicję. Myśli, że bez wątpienia wolałbym to niż śmierć... Ponieważ w Horcourt nie czeka mnie nic innego jak śmierć właśnie. Ailin chce się mnie pozbyć, ale nie zabić. Ma jednak nadzieję, że ucieknę i będę się ukrywać do końca moich dni.

„Biedak jest w sytuacji bez wyjścia. Jakim sposobem Rada mogła zaakceptować to wszystko? Ja sam też tak głosowałem. Podstęp Ailina był zbyt doskonały. Muszę się nauczyć być bardziej nieufnym”.

Kiarnan cały czas jechał w milczeniu. Trudno było orzec, czy słuchał, czy myślał o czymś innym, czy po prostu nie zdawał sobie sprawy z powagi tej rozmowy.

-Zatem co zamierzasz zrobić? – zapytał Finghin nieśmiało.

-Umrę w Horcourt, nowicjuszu, to najlepszy sposób, by się zemścić na Arcydruidzie.

-A jeśli... – Finghin przerwał, zdając sobie sprawę, że właśnie dał dowód cynizmu i braku szacunku. Lecz było już za późno.

-A jeśli umrę, kto zajmie moje miejsce w Radzie? – kontynuował Aodh – to chcesz wiedzieć? Mojra zdecyduje za nas. Lecz śmiem twierdzić, że powinno to dać do myślenia temu, kto pewnego dnia zajmie miejsce Ailina.

„Nie wiem, czy Aodh daje teraz dowód odwagi, czy szaleństwa, ale jestem pod wrażeniem”.

-Fingninie – podjął druid – wiem, że dopiero co dostąpiłeś inicjacji, masz jeszcze głód wiedzy i chciałbyś do końca zrozumieć grę Arcydruida. Wiem to i podziwiam cię. Lecz to oszukańcza gra, o wiele bardziej skomplikowana niż ci się wydaje. Choć decyzja Arcydruida była bezwzględna, być może była w tej chwili najlepsza. Co do mojej reakcji: z pewnością skończy się dla mnie fatalnie, ale sądzę, że będzie również bardzo pożyteczna. Nadchodzi moment, kiedy prowadzi się grę, w której interesy mieszają się do tego stopnia, że nawet gracze są zmuszeni do poświęceń. Jednak nie chcę ci tego wszystkiego narzucać zbyt szybko. Masz czas, by się tego wszystkiego nauczyć, a ja nie chcę być twoim profesorem. Porozmawiajmy zatem o czymś innym i nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków. Do tej pory pozostawmy Mojrze decyzje o przyszłości, dobrze?

Młody druid przytaknął i w tej samej chwili milczący dotąd Kiaran, ze wzrokiem utkwionym w rozgwieżdżonym niebie, zdecydował się zabrać głos.

-To nie Mojra decyduje, to ludzie.

Dwaj druidzi popatrzyli na niego ze zdumieniem. Pomyśleli, że Kiaran oszalał, ale w każdym razie jest dziwny. Zawsze mówił mało, ale kiedy już otwierał usta, wygłaszał opinię zdecydowanie odmienną od zdania pozostałych. Kiaran nie postrzegał świata w ten sam sposób co inni druidzi i to była zarazem jego słabość i siła.

-Powinieneś przedstawić tę myśl na forum Rady – powiedział w końcu Aodh – Nie jestem pewien, czy wszyscy by ją docenili, ale przynajmniej miałbyś czas na wyjaśnienia...

„Delikatny, acz niedwuznaczny sposób, by uciąć dyskusję. Skądinąd Kiaran w lot to pojął. Znowu milczy...”

słońce zaczęło znikać za linią horyzontu i druidzi bez słowa zmusili swe konie do galopu.

Milczeli tak dwa dni i dwie noce, dopóki nie dotarli do Providence.

*

Alea obudziła się późnym rankiem. Dawno nie spała tak dobrze i zdziwiła się, że nikt nie przyszedł wcześniej, by postawić ją na nogi. Przeciągnęła się i spostrzegła, że Mjollna nie ma już w pokoju. Wyskoczyła spod zasłon okalających łóżko i podeszła do drzwi, ale tu się zatrzymała.

Skoro nikt nie przyszedł jej obudzić, może nie powinna wychodzić z pokoju? A jednak Mjolln wyszedł. Nie wiedziała, co zrobić ani dokąd pójść. Może za drzwiami czekał cierpliwie jakiś służący? Zaśmiała się, że musiał czekać tak długo...

Potem przyszło jej do głowy, by wyjrzeć przez okno. Odśloniła kotary, które zatrzymywały światło słoneczne i zmrużyła oczy. Na podwórzu pałacowym panował jeszcze większy ruch niż wczoraj. Szybko dostrzegła Mjollna, który siedział na ławce i dyskutował z postawnym wojownikiem w skórzanej zbroi

nabijanej ćwikami. Jego długie czarne włosy były związane na plecach. Z kim ten Mjolln mógł rozmawiać?

Szybkim krokiem opuściła pokój. Nie dostrzegła nikogo na korytarzu, więc zeszła po schodach, by wyjść na podwórze. Na dole ludzie pozdrawiali ją grzecznie i wcale nie byli zdziwieni jej widokiem. Pałac lśnił w słońcu.

Pospieszyła na drugi koniec podwórza. Mjolln siedział sam na ławce i obserwował wojownika, z którym przed chwilą rozmawiał. Mężczyzna w zbroi ćwiczył teraz z młodym chłopakiem kilka metrów dalej. Szczęk odbijanej broni mieszała się z nieustannym gwarem z odgłosami studni, zwierząt, kowali i rozmawiał tak, że Mjolln nie usłyszał nadchodzącej dziewczynki.

Usiadła obok niego. Aż podskoczył, gdy powiedziała „dzień dobry”.

-Przestraszyłaś mnie. Dzień dobry, Aleo, o tak bardzo dobry dzień. Spójrz tylko na słońce! I na Sai-Minę. W tym świetle jest inna niż wczoraj wieczorem, nieprawdaż? Jakby całkiem nowa budowla. Hem. A spójrz na tych wojowników, którzy ćwiczą! Bach na lewo, bach na prawo! Uderzać, uderzać! To dopiero sztuka! Nieprawdaż?

-Skoro tak mówisz... Czy to ten wojownik, z którym przed chwilą rozmawiałeś?

-Tak to Galiad. Nie jest tak naprawdę wojownikiem, hem. Jest magistalem Felima. A to jego syn Erwan, którego uczy fechtunku. Bach!

Alea spojrzała w kierunku młodzieńca i zamarła z wrażenia. Wydawało jej się, że go zna, ale nie mogła sobie przypomnieć skąd i nie mogła dopasować imienia do twarzy.

-Magiste? A kto to? – zapytała, nie spuszczając młodzieńca z oka.

-Hem, eee... To coś w rodzaju prywatnego żołnierza Wielkich Druidów. Bam! Atakujesz Wielkiego Druida i masz do czynienia z jego magistalem! O tak, to boli. Każdy Wielki Druid ma swojego magistela, a zatem jest ich trzynastu, skoro mamy trzynastu Wielkich Druidów i Arcydruida. Czy raczej jedenastu bo widzisz dwóch Wielkich Druidów zniknęło z Rady, ale to tajemnica. Pff, to skomplikowane! Hem. Krotko mówiąc owi magistele są wybierani ze względu na siłę i zręczność. Jest to zatem trzynastka najlepszych wojowników na świecie! Galiad jest bardzo uprzejmy, nawet podziękował mi, że przybyłem z Felimem, jakbym to ja chronił jego pana, podczas gdy było zupełnie na odwrót. Niesamowite, co? Już słyszałem o tym magistelu, wiesz? W opowieści pewnego barda.

-I co o nim powiedział?

-mówi się, że zabił ostatniego smoka, a swój miecz, Banthral, wyciągnął z ogona poczwary.

-Cóż to za dziwna historia – powiedziała Alea z wielce wątpiącą miną.

-A to jeszcze nie wszystko! Mówi się, że jest w stanie podać dokładną liczbę wrogów, spoglądając na zastępy przed sobą, oraz że jest dobrym tropicielem: nigdy nie stracił ani jednej zdobyczy.

-I twierdzisz, że ten młody człowiek, z którym teraz walczy, to jego syn?

Dziwny sposób na wychowanie, rzucać się na syna z bronią!

-Bo Galiad chce, by Erwan stał się pewnego dnia magistalem, bim, bam, a w tym celu musi go nauczyć wszystkiego, co sam potrafi. O tak, to dużo.

Powiedział mi też, że jeśli zostaniemy w Sai-Minie, może nauczyć nas walczyć, mnie i ciebie!

-Walczyć! – wykrzyknęła Alea.

Przeniosła wzrok na ćwiczących mężczyzn. Galiad miał zdecydowaną przewagę, ale Erwan się nie zrażał. Był pełen energii. Jego długie jasne włosy także były związane na karku i Alea uznała, że są wspaniałe. Zaskoczyło ją, że tak się wpatruje w chłopaka i potrząsnęła głową jakby chciała wygnać z umysłu jakaś myśl. I wtedy coś się pojawiło – jak imię, którego szukamy w pamięci i które nagle sobie przypominamy. To był ten chłopak, którego widziała we śnie kilka dni wcześniej, ten który ją zatrzymał, podczas gdy coś nieodparcie ciągnęło ją w stronę tej przeklętej świątyni... Tak to był on, teraz była tego pewna i to ją przerażało! Jak mogła śnić o chłopcu, którego nigdy wcześniej nie widziała? Jak mogła zgadnąć we śnie, że potem go spotka? Jaka magia się za tym kryła? Alea zerwała się z ławki, jakby chciała uciec i wtedy zobaczyła Felima.

-Witajcie przyjaciele. Widzę, że poznaliście Galiada i jego syna. Doskonale, właśnie miałem wam ich przedstawić. Aleo jeszcze nic nie jadł... chodź, pokażę ci gdzie podadzą ci śniadanie.

Zabrał ją do dużego budynku i kazał obsłużyć, a kiedy skończyła jeść, zaproponował, że pokaże jej resztę pałacu. Tak spędzili dzień. Felim odmówił tylko wprowadzenia jej do centralnej wieży.

-To jest komnata Rady – wyjaśnił. – Nie masz prawa tam wejść. Nikt nie ma prawa oprócz druidów, a w szczególnych okolicznościach uzdrowicieli i bardów.

Alea pokiwała głową w milczeniu. Podążyła za druidem od podwórza na schody, od pokoju do pokoju, od stajni do młyna i znowu zauważyła, że wszystkie te miejsca były bardzo dobrze utrzymane. Potem zwiedzali ogród pałacowy i Alea chciała skorzystać z tej chwili samotności, by zadać Felimowi wszystkie nurtujące ją pytania.

Wraz z upływem dnia pograżyła się w coraz większej niepewności. Czuła ciężar nieznanego odpowiedzialności, który z każdą chwilą coraz bardziej ją przygniatał. Wieczorem odważyła się w końcu zapytać:

-Felimie, dlaczego tu jestem?

-By być poza wszelkim niebezpieczeństwem – odpowiedział druid.

-Nie. Nie tylko. Chcę usłyszeć prawdę – naciskała dziewczynka. – Dlaczego naprawdę tu jestem?

Felim kontynuował marsz w milczeniu, a następnie dał znak dłonią, by Alea usiadła na ławce obok niego, skąd mogli podziwiać wieżę Sai-Miny.

-Masz dość mgliste wyobrażenie na temat tego, kim jest druid

-Czarownikiem?

-Możesz tak nas nazywać, jeśli chcesz. Upraszczając, powiedzmy, że druid to ktoś kto potrafi obudzić w sobie moc, która jest we wnętrzu każdego człowieka i którą nazywamy Saimanem. A ta moc pozwala nam chwilowo przejmować kontrolę nad żywiołami, jakie nas otaczają, jeśli nauczymy się nią posługiwać.

-Widziałam, jak przeistaczasz się w ogień podczas walki z banitami i gorgunami – wyszeptała Alea.

-Tak to bardzo niebezpieczne. Druid wie, że nie może nadużywać swojej władzy. Nie do tego jednak zmierzam. Ilvain, człowiek, którego znalazłaś na wrzosowisku, był Samildanachem. To znaczy człowiekiem... jeszcze potężniejszym niż druid. Samildanach kontroluje Saimana w sposób...wieczny. jakby ci to wytłumaczyć? Powiedzmy, że może on zmieniać żywioły i pozostawić je takie na zawsze. Domyślasz się pewnie, że jest to niepokojąca moc, prawie nieskończona, która dla nas jest zbyt potężna.

Alea przytaknęła, zafascynowana.

-Nie jestem pwnien czy dobrze mnie zrozumiałaś, ale to niewżne. Istotne jest to, że Samildanach, umierając, przekazuje swą moc. To jedyny sposób, w jaki może ją opanować. Zatem istnieje tylko jeden Samildanach. Na szczęście wszyscy kolejni Samildanachowie byli aż do dziś dobrymi ludźmi, którzy za każdym razem przekazywali swą moc ludziom dobrej woli. W ten sposób żaden Samildanach nie użył swej mocy w złym celu. Lecz teraz nie wiemy, kto odziedziczył moc Ilvaina, gdyż starzec zmarł przedwcześnie i najwyraźniej w samotności, pośród wrzosowisk. I... jakby to powiedzieć...

Alea zaczęła się bać dalszych słów starego druida. Zobaczyła jak dłonie Felima zaciskają się na kolanach, a on sam garbi się, jakby to, co ma do powiedzenia, bardzo mu ciążyło.

-Obawiamy się, że to możesz być ty.

-Ja?! – krzyknęła wstając.

-Być może. Dotknęłaś go kiedy spoczywał pogrzebany na wrzosowisku, a od tego czasu wiele razy odczuwałaś dziwną moc, która zawładnęła twoim ciałem. Ta moc mogła być mocą Samildanach...

Alea poczuła, że robi jej się słabo. W głębi duszy wiedziała, że w dniu, w którym dotknęła dłoni Ilvaina, stało się coś szczególnego. Odrzucała jednak tę myśl. Nie mogła w to uwierzyć. Wcale nie chciała tej przerażającej mocy, a niemożliwością było, by odziedziczyła ją wbrew sobie. Zamknęła oczy i błagała Mojre: „Jestem jedynie małą dziewczynką, nie prosiłam o to Mojro. Błagam cię. Spraw, żebym to nie była ja”.

-To mogłoby oznaczać, że jesteś Samildanachem – podjął Felim – A jednak to niemożliwe.

-Dlaczego?

-Bo jesteś kobietą.

-To kobiety nie mogą być dziedziczkami Samildanacha.

-Nie.

Alea wydała się prawie uspokojona. Oczywiście pozostała jeszcze w stanie szoku spowodowanego rewelacjami Felima, ale pomyślała o jeszcze jednej rzeczy... Ze być może wkrótce wyplącze się z tej całej historii.

-To co otrzymałaś, może być, jakby to powiedzieć ...szczątkową mocą.

Możliwe, że przekazał już swoje dziedzictwo komuś innemu, a ty otrzymałaś jedynie niewielką część. Nie wiem... Właśnie to chcielibyśmy zrozumieć.

Siedzieli w milczeniu. Alea spoglądała na wieżę, ważąc konsekwencje wszystkiego, co właśnie wyjawiał jej Felim. Była przerażona. Myślała, że prawda rozproszy jej niepokój, a teraz, gdy dowiedział się wszystkiego, była jeszcze bardziej niespokojna. Najbardziej jednak była przerażona myślą, że Rada

przywiodła ją tutaj by ją przesłuchać. Co zamierzają z nią zrobić? Pomyślała, że wolałaby nie wiedzieć. Chciałaby zapomnieć o tym wszystkim i wyruszyć z Mjollnem do Providence, zostawiając za sobą te czarodziejskie historie. A jednak wiedziała, że na zewnątrz groziło jej inne niebezpieczeństwo – Maolmordha. Może jeśli zrozumieją co się wydarzyło oddali to od niej tamto zagrożenie...

-W jaki sposób dowiemy się, co dokładnie mi się przydarzyło? – zapytała po kilku minutach milczenia.

Felim popatrzył na nią nie odpowiadając pogłaskał ją po głowie i uśmiechnął się. Następnie wstał, zrobił kilka kroków w kierunku podwórza i poczekał, aż Alea zdecyduje się do niego dołączyć. Najwyraźniej rozmowa była zakończona. Alea westchnęła, poszła przez ogród, na który padał cień wysokiej wieży, i przekroczyła bramę głównego budynku, nie zaszczycając druida spojrzeniem. Weszła na schodu i w milczeniu schroniła się w swoim pokoju. Nie mogła myśleć o niczym innym. Kiedy Mjolln przyszedł wieczorem, by rozegrać partyjkę *fidchell*, powiedziała, że jest zmęczona i woli się położyć. Przez całą noc nie zmrużyła jednak oka. Wczesnym rankiem słowa druida w dalszym ciągu rozbrzmiewały w jej głowie.

OSTATNIE SEKRETY

Alea zeszła sama na pałacowy dziedziniec. Nie było tam Mjollna, ale dziewczynka usiadła na tej samej ławce co wczoraj, by popatrzeć, jak Galiad i jego syna Erwan ćwiczą fechtunek.

Nie mogła przestać myśleć o swojej rozmowie z Felimem i wszystkich wynikających z niej konsekwencjach. Kiedy jej spojrzenie gubiło się gdzieś w przestrzeni, a odgłosy szabel z wolna cichły w jej umyśle, zanurzała się na nowo w rozmyślaniach i zapominała o całym otaczającym ją świecie. Chciała zajrzeć w swoje wnętrze. Zdecydowała, że nie będzie się dłużej okłamywać, lecz zagłębi się w najodleglejsze zakamarki swej duszy, by tam znaleźć jakąś odpowiedź. Kim się stała, czy naprawdę się zmieniła, czy Ilvain rzeczywiście coś jej przekazał? Próbowała odnaleźć to dziwne uczucie, które oświała ją, kiedy krzyknęła na rzeźnika Almara i gdy Herilim próbował ją wypatrzeć. Zamknęła oczy i szukała głęboko w sobie. Starła się nie myśleć o niczym, tylko czuć. Poczuć swoją duszę. Poczuć to, co skrywało się za jej głośnym oddechem. Lecz nie znalazła niczego, poza biciem swojego serca. Więc szukała jeszcze głębiej, gdzieś poza tym tętnieniem, jakby chciała je zatrzymać, zanurzała się, rozdzierała ciemną zasłonę, która przykrywała oczy jej duszy, i tam, przez chwilę, zaledwie sekundę, zdawało się jej, że ujrzała płomień. Malutkie światełko migoczące w oddali, w całkowitych ciemnościach. Nie była pewna, co widzi, tak było to nieuchwytnie, niewyraźne, mgliste. Próbowała nie stracić kontaktu, zbliżyć się do tej delikatnej poświaty, ale każdy gest ją od niej oddalał. Trzeba działać inaczej, nauczyć się panowania nad swoim umysłem...

- Panienko?

Alea podskoczyła i gdyby Galiad w porę nie złapał jej za rękę, spadłaby z ławki.

- Przepraszam, przestraszyłem panienkę? - zapytał magistel, wyraźnie zmieszany.

- Ach... nie, zamyśliłam się. Jestem zupełnie rozkojarzona, przepraszam, nie widziałam, że nadchodzicie.

- Felim poprosił, bym nauczył cię walczyć... Powiedziałem mu, że trochę dziwne uczyć dziewczynkę fechtunku, ale nalegał i stwierdził, że będziesz zadowolona...

- Tak powiedział? - zdziwiła się Alea.

- Tak... Mylił się? - zapytał rycerz z wyrazem zawodu na twarzy.

- Ależ nie... Nie wiem tylko, czy będę pojętną uczennicą.

- Twój przyjaciel Mjolln doskonale sobie radzi. Felim powiedział mi, że wykazał się odwagą i inicjatywą w walce, którą stoczyliście.

Nieprawdaż? Musi się jednak jeszcze wiele nauczyć, zwłaszcza jeśli chce się posługiwać tak pięknym mieczem jak Kadhel. Zaczął ćwiczyć wczoraj i zna już kilka najbardziej skutecznych wypadów. Mój syn uczy go dziś od rana, chciałabyś do nich dołączyć?

Alea przytaknęła i Galiad posłał służących po odpowiedni strój. Poszła się przebrać do swojego pokoju, po czym odnalazła Erwana na dziedzińcu, gdzie ćwiczyli magistele.

- Witaj, Aleo - przywitał ją chłopiec, podając jej miecz. Długie włosy miał spięte z tyłu głowy, a błękit oczu rozjaśniał jego pociągłą twarz. Był o wiele wyższy od Alei, która poczuła się nagle onieśmielona. Nie potrafiła patrzeć na niego normalnie, tak bardzo prześladowało ją wspomnienie dziwnego snu.

Widziała nie jego, lecz obraz, który zapamiętała. Było to bardzo niepokojące i Alea z trudem wydukała odpowiedź, kiedy na szczęście zjawił się Mjolln.

Syn magistela zaprowadził ich na miejsce ćwiczeń i rozpoczął lekcję. Zdawał się nie zauważać dziwnego spojrzenia dziewczynki. Na początku trochę zmieszana, Alea po kilku improwizowanych starciach w końcu zaczęła się dobrze bawić. Cała trójka wybuchała nawet gromkim śmiechem, gdy Mjolln lub Alea łądowali na pośladkach lub gdy zupełnie niechcący popisali się jakimś niezwykłym wyczynem. Miecz był dla Alei dosyć ciężki, ale nie straciła nic ze zwinności, którą nabyła na ulicach Saratei, gdzie często musiała walczyć wręcz, posługując się procą lub kijem, co teraz ułatwiało jej naukę władania prawdziwą bronią. Ponadto Erwan, choć nie miał jeszcze osiemnastu lat, okazał się doskonałym nauczycielem.

Kiedy nadszedł czas posiłku, Mjolln i Alea strasznie się spieszyli z jedzeniem, tak bardzo chcieli powrócić na dziedziniec, by ćwiczyć z synem magistela. Było to jak świeży powiew w ich nowym życiu. Erwan był cierpliwy, uprzejmy, usłużny i nie patrzył na Aleę tak jak druidzi, którzy zdawali się ciągle analizować jej zachowanie, jakby chcieli czytać jej w myślach. W jego spojrzeniu były szacunek, powściągliwość, a może nawet odrobina nieśmiałości. Nieśmiałości, której nie odczuwał wobec nikogo innego...

I tak spędzili całe cztery dni, pilnie ćwicząc, i obydwójce poczynili niezwykle postępy. Nauczyli się pchnięcia prostego estokady, finty i zasłony, a Erwan zgodził się nawet pokazać im tajne pchnięcie, którego nauczył go ojciec, pozwalające rozbroić przeciwnika jednym ciosem w nadgarstek,. Zaprezentował sztych swym uczniom i kazał im spróbować. Mjolln natarł na Aleę, próbując wytrącić jej miecz, nie udało mu się jednak sięgnąć ostrzem broni do nadgarstka dziewczynki

- To niesprawiedliwe, jestem tu zdecydowanie pokrzywdzony - skarżył się rozdrażniony krasnolud.

- Z powodu wieku? - zadrwiła Alea.

- Nie, z powodu wzrostu, oczywiście! Hem! Zresztą sama spróbuj i zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni...

Alea przyjęła pozycję. Nic jej tak nie bawiło jak rozdrażniony krasnolud. Robił wtedy taką komiczną minę: dolna warga podchodziła aż pod wielki nos, a zmarszczone brwi przesuwały się tak nisko, że niemal całkiem zasłaniały oczy.

Mjolln przeszedł do ataku, lecz Alei udało się wsunąć koniec ostrza swojego miecza pod gardę krasnoluda i jednym ruchem nadgarstka wytrąciła mu broń z ręki: miecz przeciwnika elegancko poszybował w powietrze, by wbić się w piasek kilka metrów dalej.

Po krótkiej chwili osłupienia Mjolln wpadł w dziką furję.

- Nie masz prawa! - krzyknął, idąc po swą broń.

Erwan postanowił interweniować, nim złość krasnoluda doprowadzi do prawdziwej kłótni.

- No dobrze, obydwójce powinniście wyciągnąć z tej lekcji wnioski. Ty, Mjollnie, zachowaj pokorę. Daj spokój, drogi krasnoludzie, chyba nie

będziesz miał żalu do przyjaciółki, że cię rozbroiła. Jesteś przecież ponad to, prawda?

Alea znów się roześmiała, a Erwan puścił oko do krasnoluda. Mjolln przez chwilę się dąsał, ale nie mógł zachować powagi, patrząc na Aleę.

- Co do ciebie Aleo, jeśli nie zegniesz nadgarstka, wykonując ten ruch, możesz go sobie złamać. Zwłaszcza jeśli trafisz na przeciwnika bardziej przywiązanego do swej broni niż nasz przyjaciel Mjolln.

- Nie musiałam go zginać. Myślę, że dobrze zrozumiałam, jak wykonać twoje sekretne pchnięcie.

- Ach tak? To może spróbujesz ze mną? - rzucił jej wyzwanie Erwan, dotykając końcem miecza ziemi przy stopach Alei.

Dziewczynka natychmiast pożałowała zbyt szybko wypowiedzianych słów, ale nie mogła się już wycofać. W końcu miała przecież jakieś szanse, a myśl o pokonaniu Erwana niezwykle ją bawiła.

-Zatem zacznijmy - zakomenderował Erwan.

Alea nie dała się prosić i bez namysłu rzuciła się na przeciwnika. Już ona mu pokaże, na co stać małą przybłądę. Jednak nim zdążyła zadać cios, Erwan sprytnie się przesunął, stanął do niej bokiem i podstawił jej nogę. Ku jego wielkiemu zdziwieniu Alea szybko odzyskała równowagę i sprawnie odwróciła się w jego stronę.

- Nieźle - musiał przyznać Erwan. - Ale ciągle mam w ręku broń. Czyżbyś już zapomniała, jak wykonać tajemne pchnięcie?

Alea odzyskała oddech i natarła na nowo, celując w gardę swego mistrza. Erwan nie zrobił uniku, lecz czekał, aż koniec miecza Alei znajdzie się na wysokości jego nadgarstka. Kiedy zahaczyła o jego gardę, sparował mocno do dołu. Miecz Alei upadł na ziemię, a dziewczynka krzyknęła z bólu. Erwan jednym zamachem przełożył sztych swego miecza przez rękojeść miecza dziewczyny, który podrzucił do góry i złapał lewą ręką. Stał teraz, trzymając miecze w obu dłoniach, podczas gdy Alea klęczała na ziemi, trzymając się za obolały nadgarstek. Jej twarz wykrzywił grymas bólu.

Erwan odłożył oba miecze na ławkę i wracając do Alei, powiedział:

- Wygrywa ten nadgarstek, który jest bardziej giętki i silniejszy. Trzeba ugiąć rękę, samemu pozostając pewnym i nieugiętym, rozumiesz?

- Rozumiem, że złamałeś mi nadgarstek, i tyle.

- Giętki nadgarstek się nie łamie, Aleo. Jestem pewien, że ta lekcja wryje się w twojej pamięci. Skończę cię uczyć tego dnia, w którym mnie rozbroisz. Wtedy już nie będę miał czego.

Starał się zachować mentorski ton, przypominając sobie, jak mówił do niego ojciec, ale w rzeczywistości zaczynał żałować, że zranił dziewczynkę. Nie była to zbyt godna metoda. W końcu on także mógł wyciągnąć lekcję z tych kilku dni ćwiczeń. „Nauczyciele uczą się tyle samo, co ich uczniowie”, pomyślał.

- Mjollnie, zaprowadź, proszę, Aleę do izby chorych, myślę, że opatrunek i trochę odpoczynku dobrze jej zrobią.

Na szczęście nadgarstek Alei nie był zraniony poważnie, ale młody uzdrowiciel i tak troskliwie się nim zajął. Dwa dni później Alea była z powrotem, z mocnym postanowieniem udowodnienia Erwanowi, że tak łatwo się nie podda. Tryskała energią i wkrótce dogoniła Mjollna, choć miał całe lata doświadczenia.

Zawziętość i wola Alei znaczyły jednak więcej niż lata praktyki. Kiedy Alei udało się pokonać Mjollna w pojedynku, krasnolud znajdował jakieś wytłumaczenie i zwał całą winę na prześladowającego go pecha. Dużo się śmiali, a ich beztraska przyjaźń stawała się coraz głębsza.

Druidzi nigdy im nie przeszkadzali, z pewnością zajęci swoimi ważnymi sprawami. Mjolln i Alea spędzali cały czas z Erwanem. Kiedy nie ćwiczyli fechtunku, chłopak oprowadzał ich po ogrodach, pokazywał im wieże, przedstawiał służbę, innych chłopców szkolących się na magisteli, a wieczorami grywali w fídhell przy ognisku. Wykazywał się niezwykłą inteligencją i wykształceniem. Alea zapomniała w końcu o tym wszystkim, co niepokoiło ją od wielu dni, i odkryła w sobie nowe uczucie, które bała się nazwać. Erwan był z całą pewnością najpiękniejszym młodzieńcem, jakiego w życiu widziała, i odczuwała wobec niego wszystko to, co wiele lat temu wobec swej przyjaciółki Aminy. Lecz tym razem był to chłopiec i czuła coś jeszcze, coś, czego nie potrafiła opanować. Rumieniła się, kiedy Mjolln próbował sprowokować ją do wyznań.

- Powiedz mi Aleo, hem, hem, czy ty się przypadkiem nie zakochałaś? - szepnął jej do ucha pewnego dnia z psotnym uśmiechem.

Alea, usiłując ukryć rumieniec wstępujący jej na policzki, udała, że nic nie słyszy i jak gdyby nigdy nie ćwiczyła pchnięcia mieczem.

Czwartego dnia Erwan wyjaśnił, że musi na jakiś czas wyruszyć gdzieś z ojcem i obiecał, że wkrótce wróci. Alea ukryła smutek i powiedziała tylko, że będzie się nudzić bez jego lekcji szermierki.

- Teraz możesz już ćwiczyć beze mnie, a poza tym są rzeczy, nad którymi musisz popracować sama.

Alea uniosła brwi.

- Jakie rzeczy?

Erwan przygryzł wargi, widocznie zmieszany. Poszedł posprzątać broń, której używano do ćwiczeń, bo wolał odpowiedzieć odwrócony plecami.

- Jesteś jak mój przyjaciel William.

- Co przez to rozumiesz? - nalegała dziewczynka.

- Posiadasz... tę moc. To coś, czego ja nie mam, a nad czym ty musisz nauczyć się panować. Ta moc da ci siłę, jakiej ja nigdy nie będę miał.

Alea poczuła, że nogi się pod nią uginają. A więc Erwan czymś wiedział lub znał ją lepiej, niż mogła przypuszczać. Jakim cudem mógł stwierdzić, że posiada jakąś moc, kiedy ona sama nie rozumiała, co się z nią dzieje?

- Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem? - zapytała nieśmiało. Erwan odwrócił się do niej. Na jego twarzy malowała się pewność połączona z czułością.

- O niczym nie wiem. Ale czuję ją w tobie. Jesteś taka sama jak William, zanim zaczął się uczyć. A dziś jest druidem i nazywa się Finghin. Trudno to wytłumaczyć, ale widzę ją w twoich ruchach i gestach, w twoim sposobie walki. Masz w sobie tę moc.

- Głupoty opowiadasz! - broniła się Alea bez przekonania. - Nie mam żadnej mocy!

- Może jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale ja wiem, że to coś jest w tobie. Zamiast to odrzucać, powinnaś nauczyć się nad tym panować.

Serce dziewczynki biło jak szalone. Czuła się, jakby została zdradzona. Jakby ją nagle obnażono, nie dając żadnej szansy obrony. Erwan czytał w niej jak w otwartej księdze. Była zawstydzona, ale zdecydowała, że nie ma sensu dalej się ukrywać.

- Ale jak mam panować nad czymś, czego nie rozumiem? - zapytała tak cicho, że Erwan nie był pewny, czy rzeczywiście chce usłyszeć odpowiedź.

- Kiedy William rozpoczynał naukę, pomogłem mu, nawet o tym nie wiedząc. Pokazałem mu ćwiczenia, które ojciec kazał mi wykonywać od najmłodszych lat. Te ćwiczenia, pomagające w koncentracji przed walką, okazały się niezwykle skuteczne, kiedy William uczył się panować nad swą mocą. Może i tobie mógłbym pomóc.

- Ale ja nie mam nic wspólnego z Williamem, to druid!
- Być może, jednak nic nam nie szkodzi spróbować. Niewykluczone, że to, co masz w sobie, można kontrolować w ten sam sposób.
Dziewczynka usiadła przybita na ławce. Nie wiedziała już, co robić. Te cztery dni, które spędziła z Erwanem, sprawiły, że zapomniała o rozmowie z Felimem, a teraz wszystko wróciło ze zdwojoną siłą.
- Aleo, wyjeżdżam dziś na kilka dni, będziesz miała dużo czasu, by o tym myśleć, wiedz tylko, że te ćwiczenia nie mogą ci zrobić żadnej krzywdy. Pomogą ci tylko w walce.
- Ale ja tak naprawdę nie mam zamiaru walczyć.
Erwan uśmiechnął się tylko i skinieniem zaprosił Aleę, przeszła z nim do głównego budynku.
- Jeśli chcesz, możesz się w czasie mojej nieobecności nauczyć pierwszego ćwiczenia.
- A co to za ćwiczenie?
Erwan patrzył na nią przez chwilę, po czym z uśmiechem zamknął oczy.
- Zapalanie świeczki między oczami.
- Co? - wykrzyknęła Alea, zastanawiając się, czy chłopak przypadkiem sobie z niej nie kpi.
- Pierwsze ćwiczenie polega na tym, by zamknąć oczy i wyobrazić sobie płomień umiejscowiony w dole twojego czoła, tutaj, dokładnie między oczami.
- O co w tym chodzi?
- O to, by nauczyć się kontrolować swój umysł. Jeśli uda ci się naprawdę zobaczyć tę świeczkę, zapalić ją i zgasić wyłącznie siłą twojego umysłu, wtedy opanujesz pierwsze ćwiczenie. A im więcej razy spróbujesz, tym szybciej i łatwiej będziesz to osiągać.
Odwrócił się do niej, mając wciąż zamknięte oczy.
- W tej chwili widzę świeczkę - szepnął.
Milczał przez chwilę, po czym otworzył wreszcie oczy. Zostawił Aleę przed głównym budynkiem i skierował się w stronę apartamentów ojca, uśmiechając się do niej ostatni raz.
- Do zobaczenia wkrótce, Aleo! Ćwicz!
Zniknął za wielkimi drewnianymi drzwiami, a Alea, niezwykle poruszona, wróciła do Mjollna. Udali się do pokoju dziewczynki i dla zabicia czasu zaczęli grać w *fidchell*.
Krasnolud wygrał pierwszą partię, Alea drugą, a samym środku trzeciej dziewczynka w końcu zdecydowała się odezwać.
- Mjollnie, gdybym rzeczywiście była... Ugh, jak to powiedziałaś... Gdybym była...
- Zakochana? - podpowiedział krasnolud z szerokim uśmiechem na twarzy, przesuwając jednocześnie pionek po przekątnej.
- Tak, zresztą nieważne. Mówiąc krótko, czy sądzisz, że Erwan, no... czy sądzisz, że on mnie lubi? - wydusiła w końcu, wbijając wzrok w planszę.
- Na Mojre! Ten chłopak jest w tobie szaleńczo zakochany, hem. Normalnie stracił głowę. Aleo, nie widzisz tego?
Mjolln przesunął swój pionek i zbił pionka Alei.
- Opowiadasz głupoty. Nie, serio, Mjollnie, bardzo cię proszę!
- Ależ mówię serio! Popatrz: ach, jestem śmiertelnie poważny - zapewnił krasnolud, krzyżując ręce pod rudą brodą i marszcząc brwi. - W każdym razie tak poważny, jak tylko potrafi Mjolln! Hem. Czy ty nie

widzisz, jak on na ciebie patrzy? Nie widzisz, jak próbując pokazać mi jakiś nowy cios, jest całkiem rozkojarzony, tak bardzo jego myśli skupiają się na tobie? Pff. Ahum. O tak, całkiem stracił głowę. Nie słyszysz, jak bardzo zmienia się ton jego głosu, gdy mówi do ciebie? No naprawdę, miotaczko kamieni, jesteś ślepa i głucha?

Dziewczynka nie odpowiedziała. Spuściła oczy i udawała, że bardziej interesuje ją partia fidchell. Być może krasnolud mówił prawdę. A to sprawiało, że jej serce biło mocno, niemal czuła się źle, trochę tak, jakby się bała. Czuła, jakby nie było w niej nic poza tym biciem serca, które waliło i waliło coraz szybciej, sprawiając ból. Chciała, aby Erwan tu był, ale z pewnością nie odważyłaby się z nim porozmawiać.

Zupełnie straciła czujność w grze. Jaki ruch zamierzała wykonać? Bez większego zastanowienia znów przesunęła pionek na linię wroga. Mjoll przesunął swój przez całą długość tarczy i znalazł się w ostatniej linii przeciwniczki. Alea zapomniała się osłonić.

- Pokonana! - wykrzyknął krasnolud, podskakując na łóżku. - Ha! Możesz pokonać mnie szablą, ale nie pokonasz mnie w fidchell, miotaczko kamieni! A teraz idę się położyć, a ty śpij słodko i śnij o czymś miłym... albo o kimś... He, he.

Po czym zniknął za drzwiami.

Alea ułożyła się do snu. Jej dusza była jednak pełna niepokoju. Tak bardzo by chciała, aby wszystko było prostsze. „Czyżby? -zapytała w duchu sama siebie. - A kto marzył o zmianach i przygodach?”.

Westchnęła i przywołała w myśli słowa Erwana. Musi spróbować zrobić to jego ćwiczenie. Może przynajmniej pomoże jej to zasnąć. Zamknęła oczy i spróbowała wyciszyć myśli. I wtedy zdała sobie sprawę, że już wiele razy robiła to instynktownie, kiedy chciała zrozumieć, co się stało. Jeśli intuicja jej nie myliła, może Erwan też miał rację.

Skoncentrowała się i próbowała zobaczyć światełko, lampę lub po prostu mały płomyk. Lecz zbyt dużo myśli kotłowało się w jej głowie i za każdym razem, gdy zdawało się jej, że już widzi płomyk, myśl ulatywała zupełnie gdzie indziej. W końcu poddała się i zasnęła.

*

Tuathannowie potrzebowali zaledwie ośmiu dni, by zająć całe południe Galacji, a król Eoghan nie znalazł jeszcze czasu - lub być może odwagi - by wysłać przeciwko nim swą armię. W każdym razie był zbyt zajęty swoim ślubem. Po pokonaniu Atarmai wojownicy tuathanneńscy stanęli u bram Brunatnej Ziemi, więc król miał zapewne nadzieję, że jego brat, hrabia Meriand Mor, załatwi sprawę za niego.

Zaraz po rozpoczęciu inwazji pozostali Tuathannowie opuścili podziemia. Były wśród nich kobiety i dzieci, które pomału urządzały się w podbitych wsiach i miastach, a kolejni wojownicy wciąż wychodzili spod gór, aby chronić nowo zdobyte tereny i wzmocnić armię.

Blisko trzy tysiące zbrojnych stało teraz pod Filiden, pierwszym miastem w granicach Brunatnej Ziemi. Mieszkańcy regionu nie dali się zaskoczyć, byli przygotowani do walki i w miarę roznoszenia się wieści po królestwie o nadejściu Tuathannów postęp ich wojsk tracił nieco szybkość.

Oblężenie miasta trwało całą noc. Na Tuathannów spadały wielkie głazy wystrzeliwane z katapult, a zastępy łuczników stojące na murach miasta przez

wiele godzin zasypywały ich deszczem płonących strzał. Wielu tuathanneńskich wojowników zginęło. Jednak obrzasku, kiedy armia Filiden była już wyczerpana całonocną walką, Sarkan nakazał w końcu rozpocząć szturm. Tuathannowie rzucili się na mury z dzikim wyciem i tą nieświadomą siłą i zawziętością, przez które zyskali reputację barbarzyńców.

Walka była brutalna i trwała cały dzień, a Tuathannowie pomału spychali obrońców do centrum miasta. Sarkan zakazał wzniesienia pożaru. Filiden było zbyt piękne i chciał przeznaczyć je na siedzibę przywódców klanów. Utrudniało to walkę jego oddziałom, ale nic nie było w stanie ich powstrzymać. Po raz pierwszy pozwolili mieszkańcom zbiec i nie uciekli się do systematycznej masakry, a pod koniec dnia, dzięki sile natarcia, przebiegłości i kontratakowi pokonali armię Filiden.

Było to z pewnością najważniejsze zwycięstwo Tuathannów, a w każdym razie przełomowe. Sarkan wziął do niewoli dziesięciu żołnierzy i kazał przyprowadzić ich wieczorem do wielkiej komnaty w zamku, który obrał sobie za siedzibę. Ponieważ szef klanu Mahafangor nie mówił po gaelijsku, jego słowa przekładał przerażonym żołnierzom tłumacz:

- Pójdziecie na południe. Darujemy wam życie po to, abyście mogli zanieść wiadomość do pięciu hrabstw Gaelii. Powiedźcie tam, że Tuathannowie odebrali skrawek ziemi, która do nich należy. Bo Gaelia jest nasza. Powiedźcie, że ogłaszam to ja, Sarkan, szef wszystkich klanów, a ze mną wszyscy Tauhtannowie. I powiedźcie im, że się nie zatrzymamy. A teraz wynoście się! Żołnierze nie dali się prosić i uciekli tak szybko, jak potrafili. Niektórzy z nich ukryli się i nigdy już ich nie widziano, ale inni dotarli do Providence i powtórzyli dokładnie to, co powiedział im Sarkan.

*

Imała została jeszcze kilka dni w towarzystwie dwunożnych. Życie płynęło jej spokojnie, nie musiała nawet polować, a dwunożni przemieszczali się do coraz piękniejszych części lasu. Lecz z czasem wilczyca zaczęła odczuwać zmęczenie. W głębi duszy słyszała zew natury, instynkt wzywał ją ku przygodzie, ale miała też potrzebę odrobiny samotności.

Próbowała dać im do zrozumienia, że choć ich opuszcza, jest bardzo wdzięczna, i zdawało się, że zrozumieli.

Pewnego wieczoru odwróciła się więc i odeszła. Radośnie pobiegła przed siebie, jakby na nowo odkryła wolność, i zatrzymała się dopiero po kilku godzinach, dotarłszy na skraj rozległej polany. Zawyla ze wszystkich sił, z nadzieją, że dwunożni usłyszą to ostatnie przyjacielskie pożegnanie, po czym położyła się pod drzewem.

Kolejne dni spędziła, na nowo ucząc się polować, i posuwając się stopniowo coraz dalej na południe, zdobyła kilka smakowitych kasków. I tak pewnego dnia stanęła na piaszczystej ziemi wrzosowiska. Znajdowała się na południowym krańcu boru, a gdzieś ze wschodu dobiegł ją zapach osady dwunożnych.

Kilka dni wcześniej nie odważyłaby się do niej zbliżyć. Obawiając się dwunożnych i ich dziwnych mocy, wolałaby raczej zawrócić do lasu. Lecz ostatnie dni całkowicie ją odmieniły, dlatego postanowiła ruszyć na wschód.

Finghin przybył do Providence w dniu królewskiego ślubu. Wszędzie powiewały sztandary z królewskim herbem: diamentową koroną.

Miasto świętowało i było piękniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Domy, sklepy i ulice zostały udekorowane, a mieszkańcy włożyli odświętne stroje.

Finghin został przywitany przez sześciu królewskich sług, którzy zawieźli go powozem przez miasto, aż do pałacu władcy. Po drodze mógł podziwiać urodę Providence.

Stolica prezentowała swe uroki. Pochylone fasady, ryglowe ściany domów, ukwiecone wykusze i balkony, okienka w mansardach, schody z białego kamienia prowadzące do drewnianych drzwi, dzwonnice, ogrody, małe placzki... Miasto kwitło.

Niektórzy bogaci mieszkańcy wynajęli miejscowych artystów, by udekorowali fasady ich domów na cześć króla, inni ozdobili domy kwiatami, wody w fontannach mieniły się kolorami. Rycerze przywdziali paradne zbroje. Nie było zakątka miasta, w którym w taki czy inny sposób nie świętowano by królewskiego wesela.

Wreszcie powóz dotarł do pałacu. Finghin widział go dotąd jedynie z daleka i przez całą drogę prowadzącą przez rozległy park aż do samego budynku nie mógł wyjść z podziwu. Przypomnił sobie, co czuł kilka lat temu, gdy po raz pierwszy wszedł do zamku Sai-Mina, i musiał przyznać, że dziś był równie oszołomiony. Podczas gdy tamten zamek wznosił się ku niebu, jakby za jego nierzeczywistą wysokością zdawała się stać magia, pałac w Providence rozciągał się po horyzont. Jak okiem sięgnąć, można było dostrzec piękne ogrody: zielone trawniki ustępowały miejsca klombom wielobarwnych kwiatów, wśród których rozsiane były oczka wodne i fantazyjne fontanny.

Koła powozu skrzypiały na białych kamieniach wąskich parkowych alejek gdy zbliżali się do królewskiego pałacu.

- Czcigodny druidzie, przybyliśmy na miejsce - oznajmił sługa, otwierając drzwiczki.

Finghin wysiadł powoli, nie mogąc oderwać oczu od fasady pałacu. Podążył za służącym, wciąż wpatrując się w oszłamiającą rezydencję monarchy. Kiedy już nacieszył wzrok przepychem i pięknem budowli, powiedział:

- Muszę natychmiast rozmawiać z królem, to sprawa wielkiej wagi.
- Uprzedzono nas o tym, czcigodny druidzie, i choć król jest zajęty przygotowaniem do ślubu, zgodził się przyjąć was przed południem na półgodzinną audiencję. Ktoś po was przyjdzie. Wcześniej jednak zaprowadzę was do waszego pokoju.

Przeszli przez lewe skrzydło pałacu, gdzie wspaniałe żyrandole, drewniane stropy i marmurowe posadzki oszłamiały swym przepychem. Finghin nie dał się jednak onieśmielić splendorowi tego miejsca i nie stracił pewności siebie. Liczyło się tylko jedno: być przekonującym. Miał tylko pół godziny, by zyskać przychylność króla, musiał być perfekcyjny. Zdecydował więc poświęcić czas, który mu został do spotkania, na koncentrację.

Pozwolił, aby zawładnęła nim kojąca moc Saimana. Zanurzył się w niej całkowicie, sprawił, że przebiegła przez całe jego ciało, a następnie skoncentrowała się w opuszkach palców, na których zatańczyły małe pływki. Pozwolił się zahipnotyzować swemu wewnętrznemu światłu.

Przygotowywał się w ten sposób, aż usłyszał pukanie do drzwi. Następnie podążył za służącym w stronę królewskich apartamentów.

Zastali Eoghana odzianego w czarną szatę wyszywaną złotem, tkaną w Bizanii. Mimo że ceremonia ślubna jeszcze się nie rozpoczęła, monarszą głowę zdobiła już słynna korona Galacji. Na jego si roju wyszyto herb królestwa - diamentową koronę.

- Nigdy wcześniej was nie widziałem, druidzie - oświadczył władca, nie wstając z miejsca.

„Muszę sprawić, by mi zaufał”.

- Dopiero otrzymałem swój tytuł, Wasza Wysokość, ale przybywam tu w imieniu wszystkich moich braci i proszę, byście przyjęli nasze uniżone pozdrowienia.

- Zjawiacie się tu w dniu mojego ślubu, to niezbyt szczęśliwie wybrany moment.

„Sprawdza mnie. Muszę zrobić na nim wrażenie. Mógłbym użyć Saimana, by zmienić mój wygląd na bardziej niepokojący, ale nie byłoby to ani uczciwe, ani rozsądne. Nie, muszę działać inaczej. Szczerze. Okazałem przynależny mu szacunek, a teraz powinienem pokazać, że jestem druidem i on także winien mi jest szacunek. Myśli, że wykorzysta mój młody wiek, ale ja mogę mu przypomnieć, jak powinien traktować druida”.

- Nie sądzicie chyba, że śmiałybym wam przeszkadzać, gdyby to, co mam wam do przekazania, nie było ważniejsze niż ślub? Chodzi o przyszłość waszych poddanych, Eoghane, i jeśli mnie dziś nie posłuchacie, coś wam przyjdzie z tego związku, kiedy Tuathannowie odbiorą wam waszą koronę i królestwo? Od kiedy to druidzi nie potrafią ocenić, co jest politycznym priorytetem?

Król zdawał się zaskoczony. Znał arogancję druidów, ale nie spodziewał się tak brutalnego ataku ze strony tego młodego człowieka.

- A więc słucham. Co macie mi do powiedzenia, Finghinie...

- To nie Finghin do was mówi, Eoghane, lecz cała Sai-Mina. „To powinno raz na zawsze pokazać mu, gdzie jego miejsce”.

- Doskonale... Słucham.

- Tuathannowie zajęli południe Galacji i właśnie mordują mieszkańców królestwa. Waszego królestwa. Posuwają się w głąb Ziemi Brunatnej, hrabstwa należącego do waszego brata.

- Na Mojre! Wiem o tym, i właśnie w tej chwili przygotowuję moją armię.

- Jednakże przybyłem zaproponować wam co innego.

- Macie inne rozwiązanie?

- Tak: pokój.

- Jak to?

- Atak Tuathannów jest uzasadniony. Powracają na swoje ziemie.

- Ależ skąd! Napadli na nas!

- Eoghane! - zagrzemiał Finghin, tym razem ulegając pokusie, by użyć Saimana, aby jego głos brzmiał groźniej. Możecie oszukiwać swój lud, możecie oszukiwać samego siebie, jeśli chcecie, ale na miłość Mojry, nie oszukujcie druida, który do was mówi. Jeśli nie znacie historii, to coś robicie na tronie?

Król milczał. Jego oczy płonęły złością. Finghin odczekał chwilę, nim ponownie przemówił.

„Jest wściekły. I dobrze, muszę to wykorzystać. Niech jego złość trochę opadnie, przemówię mu do rozsądku, a potem skieruję jego gniew we właściwe miejsce”.

- Ten atak jest uzasadniony i mamy dwa wyjścia. Albo odpowiemy kontratakiem, albo znajdziemy sposób, by ich inwazja zatrzymała się w miejscu. Jeśli ich zaatakujemy, istnieje szansa, że ich pokonamy, ale za jaką cenę? Ilu zabitych, jakie straty? Ta wojna będzie krwawa i bardzo nas osłabi...

„A teraz muszę rzucić przynętę”.

- ... a kto na tym skorzysta, Wasza Wysokość? Oczywiście Harcourt! Walka z nowym wrogiem to otwarcie drzwi Thomasowi Aeditusowi, hrabiemu Al'Roegowi i jego Rycerzom Płomienia, którzy nie napotkają tu już żadnego oporu.

Król zmarszczył brwi.

- Właściwe pytanie brzmi: którego wroga wybrać? Harcourt nigdy nie stanie u waszego boku do walki z Tuathannami, lecz skorzysta z sytuacji, by wziąć was w dwa ognie.

„A teraz argument koronny”.

- Jeśli natomiast zaoferujecie ugodę Tuathannom, oddając im na przykład północne tereny Ziemi Brunatnej, zyskacie cennego sprzymierzeńca w walce z Thomasem Aeditusem i hrabią AFRoegiem z Harcourt. Proszę, byście się zastanowili, Najjaśniejszy Panie, ale pomyślcie perspektywicznie.

Król odchylił się w swoim tronie, nie spuszczał młodego druida z oczu.

- Chcecie, abym pozbawił swego brata połowy hrabstwa? Nie mówicie poważnie!

- Już je właściwie stracił! Jeśli nic nie uczynicie, za kilka dni całe hrabstwo będzie w rękach Tuathannów. Z pewnością będziecie potrafili wytłumaczyć to bratu.

- Ale skąd wziąć pewność, że ci barbarzyńcy zaprzestaną masakry, jeśli oddamy im północ Ziemi Brunatnej? Ile ziemi trzeba im dać, by ich zadowolili?

„Jest. Mam go”.

- To już nasz problem, Wasza Wysokość. Jeśli przyjmiecie nasze rozwiązanie, my podejmiemy się rozmów dyplomatycznych. Tuathannowie nas posłuchają. A jeśli będzie trzeba... damy im Harcourt! Zgniotą dla nas hrabiego i tych jego chrześcijan!

- A jak wytłumaczyć mieszkańcom północnych terytoriów Ziemi Brunatnej, że ich kraj przechodzi w ręce Tuathannów?

- Jeśli mnie udało się was przekonać, wy z pewnością przekonacie waszych poddanych.

„To dosyć śmiała odpowiedź, ale to on chce grać w tę grę”.

- A ponadto - dorzucił druid - możecie oferować ewentualnym wygnańcom nowe ziemie na południu Galacji. W waszym królestwie jest jeszcze dużo wolnego miejsca.

- A co myśli o tym hrabia Bizanii? Bardowie nic mi na ten temat nie mówili.

- Hrabia Alvaro Bisagni czeka tylko na waszą zgodę, by udzielić swojej.

„To właściwie nie kłamstwo, lecz pewne wyprzedzenie prawdy... Oby tylko Kiaran przekonał hrabiego Bisagni, inaczej to drobne oszustwo nie zda się na nic...”

Eoghan westchnął głęboko i milczał przez chwilę, drapiąc się w brodę.

- Zostajecie na ceremonię? - zapytał w końcu król, wstając.

- To dla mnie wielki zaszczyt, Wasza Wysokość.

- A więc dam wam odpowiedź jutro. Król wyszedł z komnaty, nie oglądając się.

„Zgadza się”, pomyślał Finghin.

Mjolln i Alea spędzili cały tydzień, rozkoszując się luksusami Sai--Miny. Krasnolud wciąż pobierał lekcje fechtunku u magisteli i ich uczniów, a dziewczynka wolała rozmyślać. Po raz pierwszy w życiu miała czas, by naprawdę się nad sobą zastanowić. Nieustannie wykonywała ćwiczenie, które polecił jej Erwan, i co wieczór coraz lepiej rozumiała jego sens. Uczyła się kontrolować siłę o wiele większą niż siła własnych mięśni. Wciąż jednak nie знаła odpowiedzi na pytanie, które nurtowało ją najbardziej: czego chcieli od niej druidzi i co też dla niej szykowali, ukryci w swej wieży? Felim przekonał ją do przyścia tutaj, ale ciągle nie wiedziała, jakie były intencje Rady. Nie mogła już znieść ciszy i bezruchu, do jakiego zmuszała ją Sai-Mina. Nie chciała dłużej tolerować sekretów i zakazów, które powodowały tak wielki dystans między nią i druidami. Jeśli rozmawiają o niej, to dlaczego nie może tego słuchać?

Pewnego dnia Alea postanowiła więc zakraść się do komnaty Rady. Wiedziała, że to zabronione, ale zżerała ją ciekawość, a poza tym uznała, że ma do tego prawo. Zatrzymywano ją siłą w Sai--Minie, wydawało się jej więc, że w zamian może dowiedzieć się trochę więcej, niż zdradził jej Felim. Poczekala, aż dziedziniec opustoszeje, i zakradła się pod mur wielkiej baszty. Drzwi były zaryglowane, ale nie było to jej pierwsze włamanie, więc z łatwością, nie czyniąc najmniejszego hałasu, otworzyła zamek szpilką, w którą zaopatrzyła się specjalnie na tę okazję. Nie zapomniała przecież o swej prawdziwej naturze. Bo czyż nie była złodziejką? Znowu poczuła ten przyjemny strach i ekscytację, które ogarniały ją, gdy kradła jedzenie w Saratei. Uśmiechnęła się na to słodkie wspomnienie, wstrzymała oddech i przekroczyła próg.

Znalazła się u podnóża wąskich schodów, po których zaczęła się wspinać w całkowitej ciszy. Na każdym piętrze znajdowało się wyjście, ale wiedziała, że komnata, do której chce się dostać, znajduje się na samej górze, nie traciła więc czasu.

W połowie drogi usłyszała nagle, że ktoś schodzi po schodach. Jedna lub nawet dwie osoby. Przestraszona, rozejrzała się w poszukiwaniu kryjówki. Ponieważ nie miała gdzie się schować, zbiegła kilka stopni na piętro, aby ukryć się za drzwiami. Te również były zamknięte, wyjęła więc szpilkę, by pokonać zamek. Odgłosy kroków zbliżały się niebezpiecznie, a jej ręce zaczęły drżeć. Bardzo się przestraszyła, że zostanie przyłapana. Serce waliło jej coraz mocniej. Zagryzła wargi, nerwowo manewrując szpilką. Kiedy stopy ukazały się już na zakręcie schodów, zamek nareszcie ustąpił. Alea wskoczyła za drzwi i zamknęła je za sobą szybko, ale bezgłośnie. Znalazła się w ciemnym pokoju i błagała Mojre, by nikogo tu nie było.

Powietrze w pomieszczeniu było lodowate, Alea próbowała więc przekonać samą siebie, że drży z powodu tego zimna, a nie strachu. Usłyszała kroki należące do co najmniej dwóch osób. Wyłapała kilka słów, ale nie zrozumiała sensu rozmowy. Drżąc, odczekała chwilę przy ścianie, po czym wyszła, nie starając się sprawdzić, co znajdowało się w pokoju, w którym się ukryła.

Nie tracąc ani chwili, ruszyła w górę schodami, tym razem szybciej. W końcu dotarła na ostatnie piętro. Zaskoczył ją rozmiar drzwi, o wiele mniejszych niż te znajdujące się niżej. Próbowała zajrzeć przez dziurkę od klucza, ale nic nie było widać.

Wahała się przez chwilę, aż w końcu zdobyła się na odwagę i nacisnęła klamkę. Zajrzała do środka. Drzwi wychodziły na coś w rodzaju balkonu, z pewnością była to antresola. Poniżej widać było światło i Alea usłyszała liczne męskie głosy. Zawahała się jeszcze sekundę, po czym przeczołgała się na drugą stronę i

wychyliła głowę przez barierki balustrady, by spojrzeć na salę poniżej. Znajdowała się nad komnatą Rady. Mogła stąd obserwować Wielkich Druidów zasiadających w ogromnych drewnianych fotelach. Byli tam Felim, Ailin i pozostali.

Alea pomyślała, że właśnie popełnia wielki błąd, lecz ciekawość była silniejsza niż wszystko inne. Wyteżyła słuch, by zrozumieć, o czym dyskutowano poniżej. - Nie wygląda na to, by cokolwiek odczuwała, i jak dotąd nie wykazała się żadną mocą ani dziwną siłą - powiedział Ailin.

„Rozmawiają o mnie”, zrozumiała Alea i jeszcze bardziej się zaniepokoiła.

- Arcydruidzie, podajecie moje słowa w wątpliwość? - oburzył się Felim. - Oczy mnie nie zmyliły. Dwa razy widziałem, jak użyła mocy, której nie potrafiła kontrolować.

- Gdyby była Samildanachem, co samo w sobie jest niedorzecznością, nie zabawiałaby się teraz z tym idiotą krasnoludem na dziedzińcu! Byłaby zbyt zajęta swoją mocą i swym przeznaczeniem. Od razu byśmy to dostrzegli. Zresztą każdy tutaj wie, że Samildanach nie może być kobietą! - wykrzyknął Ailin, wyraźnie podenerwowany.

- Jednakże w Encyklopedii Analego... - szepnął Ernan bez przekonania.

- Dosyć! To, co jest napisane, nie ma żadnej wartości, Emanie! Interesują mnie tylko fakty. Jutro raz na zawsze przekonamy się, czy ta mała ma jakąś niezwykłą moc, poddając ją próbie Mañitha z Gabhy.

- To absolutnie wykluczone! - wykrzyknął Felim, wstając z miejsca. - Wiecie doskonale, że tego nie przeżyje, jeśli nie jest Samildanachem!

- To jedyny sposób, by się przekonać. A nie możemy pozwolić jej odejść, dopóki nie będziemy pewni. Zresztą jesteście przekonani, że jest Samildanachem, czego więc się lękacie?

Alea nie wierzyła własnym uszom. Ailin, który uśmiechał się do niej za każdym razem, gdy ją mijał, był gotowy ją zabić, tylko po to, by się przekonać, czy otrzymała moc Ilvaina. Innymi słowy, nie był więcej wart niż ten okropny Maolmórdha. Wolałaby natychmiast uciec, by nie słyszeć dalszego ciągu tej rozmowy, ale paraliżował ją strach.

- A więc będziemy głosować - dodał Arcydruid.

- Niemożliwe - zaprotestował Felim. - Jest nas tylko siedmiu, Aldero nie wrócił jeszcze ze swej misji, a nasi trzej ambasadorowie w sprawie Tuathannów, Aodh, Finghin i Kiaran, dopiero co wyruszyli. Tak ważne głosowanie wymaga obecności wszystkich braci.

- Ponad połowa Rady jest obecna, a to całkowicie wystarczy, Felimie. Obawiam się, że przyjaźń, którą darzycie tę dziewczynkę, wpływa na wasz osąd. Zachowajcie się jak Wielki Druid, a nie uczeń!

- Chodzi przede wszystkim o to, by zachować się jak człowiek, kiedy w grę wchodzi życie dziecka, Ailinie!

- Zamilczcie, Felimie. Przekroczyliście granice mojej cierpliwości. Drodzy bracia, musimy zagłosować, by wiedzieć, co dalej robić. Poddać dziewczynkę próbie Mañitha z Gabhy, aby się przekonać, czy jest Samildanachem, lub zostawić ją w spokoju i dalej nie wiedzieć, kto odziedziczył moc Ilvaina. Niech podniesie rękę ten, kto jest za pierwszym rozwiązaniem - rozkazał Ailin.

Wszyscy podnieśli ręce, z wyjątkiem Felima i Aengusa, który był najmłodszym obecnym tu druidem.

Felim wstał gwałtownie, by opuścić zgromadzenie, jednak Ailin przywołał go do porządku:

- Felimie! Zebranie Rady jeszcze się nie skończyło i jeśli opuścicie tę salę, sami skazecie się na banicję. Cokolwiek czujecie, nie łamcie naszych praw. Druid zatrzymał się przed progiem. Alea pomyślała, że to rozkaz Arcydruida go powstrzymał. Lecz kiedy podniósł oczy, zobaczyła, że ją zauważył i to z tego powodu tak gwałtownie przystanął. Felim udał, że jej nie dostrzega. Odwrócił się do zebranych i obrzucił Arcydruida pełnym furii spojrzeniem. Zawahał się przez chwilę, następnie wrócił na miejsce i usiadł między braćmi.

Alea zadrżała.

-Tak bardzo żałuję, że przyprowadziłem tutaj to dziecko. Mam tylko nadzieję, że ucieknie stąd, zanim dorwiecie je w swoje ręce. Lecz skoro tak głosowaliście, muszę się podporządkować waszej decyzji.

Alea zrozumiała wiadomość, jaką przesłał jej druid. Nie czekając dłużej, wycofała się na schody i zbiegła tak szybko, jak potrafiła, starając się jednak, by nikt jej nie zauważył. Serce waliło jej tak mocno, że słyszała, jak dudni.

Przebiegła przez dziedziniec i skierowała się do północnego skrzydła pałacu, gdzie znajdował się jej pokój. Na zakręcie wpadła nagle na Erwana.

Podskoczyła z krzykiem, czym bardzo zaskoczyła chłopaka.

-Erwan? Co ty tu robisz?

- Ja... przyszedłem ci powiedzieć, że ja i mój ojciec już wróciliśmy... A ty? Wyglądasz na przerażoną, jakby gonił cię demon.

Alea nie wiedziała, co zrobić. Chciałaby opowiedzieć wszystko Erwanowi, ale było to niemożliwe, musiałby powtórzyć to druidom. Jednak nie potrafiła go okłamać.

- Muszę uciekać, Erwanie, nie mogę ci wyjaśnić dlaczego, i wiem, że będziesz musiał powiedzieć o tym druidom. Ale miej litość, zaczekaj do rana, nim mnie wydasz, żebym mogła uciec w spokoju.

Erwan nie wiedział, co odpowiedzieć. Chciałby ją zatrzymać, ale w jej spojrzeniu było tyle bólu, że poczuł się zupełnie bezradny.

Alea powoli podeszła do chłopca i nagle pocałowała go w policzek, po czym pobiegła do pokoju Mjollna. Zamknęła za sobą drzwi, nie odwracając się. Miała tylko nadzieję, że Erwan spełni jej prośbę.

Krasnolud podskoczył na łóżku, nim poznał dziewczynkę.

- Przestraszyłaś mnie, Aleo! Czyś ty oszalała, że wpadasz tu bez ostrzeżenia! Hem! Jestem uzbrojony!

- Musimy natychmiast uciekać, Mjollnie. Jeśli jesteś moim przyjacielem, zaufaj mi i nie zadawaj pytań, wyjaśnię ci wszystko później. Chodźmy!

Krasnolud zrobił grymas wyrażający całkowity brak zrozumienia, ale podążył za dziewczynką na korytarz. Nie było tam już Erwana. Złapał swój miecz i dudy i tak obładowany dogonił przyjaciółkę Zeszli na dziedziniec, Alea rozejrzała się, by sprawdzić, czy jest pusty. Przebiegli na drugą stronę, za studnię, gdzie znajdowały się schody prowadzące do morza. Alea zeszła pierwsza i pogрузzyła się w mroku nocy, zbiegając po kilka stopni naraz, tak szybko, jak tylko potrafiła.

Kiedy dotarli na dół, na kamienną grobę, odkryli z przerażeniem, że barki nie było. W tej samej chwili usłyszeli krzyki dochodzące z góry, z pałacowego dziedzińca.

- Ktoś odkrył naszą ucieczkę! - wrzasnął przestraszony krasnolud. - A ja nie umiem pływać! Co to, to nie, tylko nie pływać!

- Ja też nie, Mjollnie, znajdziemy inny sposób.

Krzyki żołnierzy i magisteli były coraz głośniejsze, z całą pewnością pościg zbliżał się już do schodów.

Alea uklękła i zamknęła oczy, zaciskając powieki z całej siły, by znaleźć spokój. I nagle wpadła na pomysł, genialnie prosty. Zaraz się przekona, czy ćwiczenie Erwana może jej rzeczywiście pomóc. Skoncentrowała się i próbowała zobaczyć płomień na środku swego czoła. Płomyk zadrżał, a później pomалу stawał się coraz większy.

Kiedy głos Mjollna zdawał się oddalać, poczuła blask rozświetlający zakamarki duszy, jakby płomyk, który nauczył ją zapalać

Erwan, rozpałił ogień w jej głowie. Tym razem postanowiła nie stracić kontroli nad tym poczuciem mocy, strachu, szaleństwa powodowanego koniecznością ucieczki, które ogarnęło ją wtedy na wrzosowisku. Szukała głęboko w sobie rodzącego się pożaru, próbowała uchwycić go myślą, zanurzyć się w nim, by stać się z nim jednością. Coś popychało ją ku płomieniom. Coś instynktownego, niemal zwierzęcego, coś, co było silniejsze od niej i czego nie rozumiała. Nagle wstała gwałtownie, niesiona dziwną siłą, która rozpałala jej ciało. Każdy mięsień zdawał się zawierać tę niewytłumaczalną energię, która narastała w jej wnętrzu, płonęła w jej żyłach i w głębi umysłu. Kiedy nie mogła już znieść naporu tej potężnej fali, wyciągnęła ręce w stronę wody i krzyknęła z bólu. Mjolln został odepchnięty i upadł. Kiedy podniósł wzrok, nie wierzył własnym oczom. Potrząsnął głową i na czworakach podszedł do Alei, by się upewnić, że nie ma omamów. A jednak to działało się naprawdę.

Barka, którą przycumowano na drugim brzegu, płynęła do nich zupełnie pusta, przyciągana siłą magii. Taflę wody za łodzią marszczyły fale, jakby jakiś wiatr dął w jej niewidzialne żagle.

Alea stała z rękami wyciągniętymi nad wodą. Wiatr rozwiewał jej czarne włosy. Utkwiła swoje wielkie błękitne oczy w przestrzeni przed sobą. Wydawała się większa niż zwykle, jakby magia uniosła ją nad ziemię. Była piękna, majestatyczna, a uśmiech na jej ustach nie był już uśmiechem dziecka, lecz kobiety. Po chwili wolno opuściła ręce i spojrzała na Mjollna.

- Co... co to był za cud? - wydukał przerażony krasnolud. Lecz dziewczynka nie odpowiedziała, nie była pewna, czy może. Złapała go za ramię i pociągnęła za sobą.

Barka wciąż zbliżała się do nich i zwolniła dopiero kilka metrów od brzegu. Alea wskoczyła do środka, a krasnolud za nią. Odgłosy pościgu były już coraz bliżej.

Alea przeszła na przód barki i znów się skoncentrowała. Krasnolud nie czekał ani chwili dłużej. Chwycił wiosła i zaczął nimi wywijać tak szybko, jak tylko pozwalały mu jego krótkie ręce. Po chwili poczuł, że woda faluje, a wiatr huczy coraz głośniej. Płynęli dziwnie szybko. Mjolln mógł sobie machać wiosłami, ale i tak wiedział, że popycha ich siła o wiele większa. Ta sama,

która przyciągnęła barkę z drugiego brzegu. Siła magiczna, której wolał nie znać, ale domyślał się, skąd pochodzi.

Przebyli ujście rzeki z prędkością strzały, nie oglądając się za siebie. Krzyki żołnierzy z Sai-Miny, którzy wrzeszczeli bezsilni u podnóża pałacu, z wolna rozmywały się w szumie wiatru i morza.

Kiedy barka dobiła w końcu na drugi brzeg, wyskoczyli na piaszczystą plażę i padli na ziemię bez sił.

Kiedy Alea odzyskała oddech, podniosła się na łokciach, by sprawdzić, czy nie są już ścigani. Zobaczyła tylko morze i imponujące kontury Sai-Miny. Zamknęła oczy i położyła się na plecach.

- Mjollnie, musimy uciekać, przyjdą po nas aż tutaj.

- Już nie mogę.

- Ja też, ale musimy uciekać i koniec.

Podnieśli się z trudem i szybkim krokiem skierowali się na południe. Szli tak w milczeniu przez wiele godzin. Bolały ich plecy i nogi, ale nie mieli odwagi się zatrzymać. Alea próbowała się uspokoić i ugasić ogień, który palił jej wnętrzości. Tym razem jednak nie mogła się już okłamywać, a to uczucie nie mogło po prostu zgasnąć.

Była Samildanachem. To przeświadczenie, ukryte na dnie jej serca od pierwszej chwili, wyszło teraz na światło dzienne. Czowała przyszłość, całą przyszłość świata ciężącą na jej barkach i wiedziała, że nie jest na to gotowa. Tym razem to, co spłynęło po jej policzku, z pewnością było łzą. Mjolln tymczasem wciąż nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył, rzucał więc co chwila niepewne spojrzenia w stronę dziewczynki, szukając uspokojenia, którego jednak nie znajdował. Czy to ona przyciągnęła barkę? Ale jak to zrobiła? Wkrótce ich umęczone stopy i zbolące mięśnie odmówiły posłuszeństwa, zdecydowali się więc przespać. Znaleźli małą jaskinię u podnóża góry Mjolln przerwał wreszcie ciszę.

- Kiedy byłem młody, młodszy niż ty, i czułem się nieszczęśliwy, chodziłem się ukryć w małej jaskini, podobnej do tej, niedaleko Pelpi. Mogłem tam przesiadywać godzinami, słuchając kropli spadających na kamienie. Przyglądałem się nietoperzom i miałem nadzieję, że ich nie obudzę. Nigdy się nie budziły. Był pośród nich jeden, który od czasu do czasu poruszał skrzydłami i sprawiał, że podskakiwałem ze strachu, ale na tym się kończyło. Hem. Zastanawiam się, czy one wiedziały, że tam jestem. Czy wiedziały, dlaczego tam przychodzę. Hem. Czy czuły mój smutek. W każdym razie, kiedy jestem smutny, myślę o tych nietoperzach, nie wiem dlaczego, i wtedy czuję, że nic złego nie może mi się stać. Tak jak w tej grocie, teraz.

Alea uśmiechnęła się do krasnoluda. W jego głosie było coś niezwykłego. Jakaś szczerłość. Domyślała się, że bardzo się bał. Poczowała, że jest jej nadzwyczaj bliski. Bliższy niż kiedykolwiek. Pomyślała, że dzisiaj nie zniosłaby samotności.

W tej chwili usłyszeli trzepot skrzydeł nietoperza. Obydwoje poruszyli się niespokojnie, po czym uśmiechnęli się do siebie. Dziewczynka i krasnolud poczuli się bezpiecznie i szybko zasnęli w niczym niezmaconej nocnej ciszy.

UCIECZKA

Obudziło ją rzenie koni. Alea poderwała się i spostrzegła, że Mjolln wciąż śpi. Zakradła się na palcach do wyjścia z jaskini. Czyżby druidzi już ją odnaleźli? Czy byli to może jacyś zwykli podróżni? Poczekała, aż oczy przyzwyczajają się do światła, po czym, przyklejona do ściany, wysunęła głowę na zewnątrz.

- Dzień dobry, panienko.

Felim i Galiad siedzieli na trawie przed jaskinią w ciepłych promieniach słońca, jedząc słodkie bułki z rodzynekami. Z pewnością już od jakiegoś czasu czekali tu, aż dziewczynka i krasnolud się obudzą. Do drzewa za nimi przywiązane były dwa konie i dwa kucyki.

- Jak mnie znaleźliście? - zdziwiła się Alea.

- Galiad jest świetnym tropicielem.

Dziewczynka spojrzała gniewnie na magistela. Czyżby Erwan wypaplał mu o jej ucieczce? Lecz w oczach Galiada nie dostrzegła cienia złości ani nagany.

Miał na sobie ciężką zbroję włożoną na długą kolczugę z żelaznych kółek. Był to pancerz złożony z setek metalowych łusek, które chroniły całe ciało mężczyzny, niezwykle piękna zbroja, która zdawała się jednak bardziej odpowiednia na wojnę niż pościg przez las. Do pasa miał przypięty swój słynny miecz Banthral, ale widać było tylko srebrną inkrustowaną złotem rękojeść i dużą pozłacaną głowicę, na której wryto wizerunek smoka. Był to długi szeroki miecz, musiał być nadzwyczajnie ostry.

Cały ten ciężar zdawał się mu zupełnie nie przeszkadzać. Alea domyślała się, że Galiad był typem człowieka, który nigdy się nie skarży. Przypomniała sobie, że kiedy Mjolln jej go przedstawiał, nazwał go legendarnym wojownikiem.

Alea odwróciła się teraz do Felima. Druid jak zawsze patrzył na nią z delikatnym uśmiechem. Wydawało się, że nic nie może zburzyć jego spokoju. Jednak wczoraj widziała, jak uniósł się gniewem w komnacie Rady.

- Nie mam zamiaru wracać do Sai-Miny, Felimie. Przyjechaliście na darmo.

- Nie przyjechaliśmy, by zabrać cię z powrotem do wieży albo do czegokolwiek zmuszać. Przyjechaliśmy, by ci pomóc i cię chronić.

- Nie trzeba mnie chronić - broniła się Alea.

- Jeśli my cię znaleźliśmy, inni druidzi też cię znajdą. Przyprawiliśmy te konie, abyś mogła uciec z nami.

- Wy też zamierzacie uciekać? - zdziwiła się dziewczynka. - Opuściliście Radę Druidów?

- Powiedzmy, że ulotniłem się dyskretnie po twoim zniknięciu. Ailin wysłał w pościg za tobą trzech magisteli, dlatego musimy się spieszyć, jeśli nie chcemy, by nas dogonili.

- Dlaczego miałabym wam ufać? Wy też jesteście druidem.

- Gdybym chciał cię wydać swoim braciom, zrobiłbym to wczoraj, kiedy chowałaś się na antresoli w komnacie Rady - odparł Felim. - Najwyższy czas, abyśmy zaufali sobie nawzajem, Aleo, nie sądzisz? Przychodząc tu, złamałem przysięgę złożoną Radzie, i jest to poświęcenie, które zasługuje przynajmniej na twój szacunek. Dowiodłaś wystarczająco, że nie jesteś już dzieckiem.

Alea zajrzała do groty, dając Mjollnowi znak, że może już wyjść. Krasnolud podskoczył z radości na widok druida.

- Felimie! Mój dobry druidzie! Ach, co za radość, co za przygoda! Nic już z tego nie rozumiem! Naprawdę, najwyższy czas wyjaśnić to wszystko, jakem Mjolln... A, i dzień dobry, Galiadzie. A hum.

Jednak Alea znów zabrała głos, zakłócając dobry humor krasnoluda:

- Jeśli o mnie chodzi, wybieram się do Providence. To tam chciałam się dostać od samego początku i byłabym tam dziś, gdybym nie posłuchała waszych złych rad. Być może znalazłabym już Aminę.

- Nie będziesz bezpieczna w Providence. Rada znajdzie cię tam bez problemu. O Herilimach wysłanych przez Maolmórdhę nie wspominając.

- Felimie, już raz was posłuchałam, zboczyłam ze szlaku i nic dobrego z tego nie wynikło. Tym razem pójdę do Providence i nic mnie nie powstrzyma.

Felim westchnął, a Galiad przemówił swym władczym, poważnym głosem:

- W takim razie pozwólcie nam przynajmniej jechać ze sobą. W ten sposób zyskacie konie i naszą ochronę.

Alea zerknęła na Mjollna, który patrzył na nią błagalnie. Oddałby wszystko za podróż w towarzystwie druida i magistela.

- Zgoda - ustąpiła w końcu dziewczynka. - Możecie nam towarzyszyć. Ale powtarzam: nie próbujcie mi przeszkadzać w do-iarciu tam, gdzie chcę. Już wam nie ufam, Felimie. Tak samo jak całej tej waszej Radzie. Chcecie z nami zostać, niech tak będzie. Ale nie oczekujcie ode mnie niczego więcej.

- Musimy wyruszyć natychmiast - wyjaśnił Felim, kiedy Galiad siodłał konie.

- Nie myśl jednak, że robisz nam jakąś przysługę. Już kilkakrotnie ocaliłem ci życie, panienko. Raz w starciu z banitami, następnym razem z gorgunami. Dzięki mnie uniknęłaś też próby Manitha z Gabhy którą z pewnością przyplaciłabyś życiem. Upierasz się, żeby iść do Providence, niech tak będzie, ale pamiętaj, że mówisz do druida, a moja cierpliwość ma swoje granice. A teraz zabierzcie swoje rzeczy i ruszajmy

Alea nie wiedziała, co odpowiedzieć. Druid zrobił na niej duże wrażenie i doszła do wniosku, że najlepiej będzie zamilczeć jego słowa. Odwróciła się i razem z Mjollnem poszli pozbierać swoje rzeczy.

Westchnęła. Nie miała wątpliwości, że druid tak łatwo nie da jej spokoju. Noc była krótka, Alea spała źle i była przemęczona. Jaskini daleko było do wygod Sai-Miny.

Dziewczynka wdrapała się na kucyka, którego przyprowadził jej Galiad. Widząc, że najwyraźniej nigdy wcześniej nie dosiadała konia, Galiad pomógł jej usadowić się w siodle i podał jej wodze.

- To klacz, nazywa się Dulia i jest najłagodniejszym kucykiem w królestwie, zobaczysz. Nauczyłaś się walczyć mieczem szybciej niż większość moich uczniów, więc z tym konikiem też szybko się oswoisz, jestem tego pewien.

- Dziękuję, Galiadzie - odpowiedziała Alea, nie do końca przekonana.

Tymczasem Mjolln bez problemu wskoczył na swego kuca - był przecież wybornym jeźdźcem - i szeptał już coś na ucho swojemu wierzchowcowi.

- Jakkolwiek na niego wołaliście, od dzisiaj zwie się on dla mnie Alragan! Ot co.

Galiad zdawał się zaskoczony. Zmierzył krasnoluda wzrokiem i doszedł do wniosku, że nie potrzebuje on żadnej pomocy.

Nie zwlekając, ruszyli w drogę. Na czele jechał magistel z ręką na wielkiej głowni swego słynnego miecza.

*

Cały wieczór Imala podążała w stronę miasteczka, które dostrzegła w oddali, czasem biegnąc szybko, a czasem spokojnym truchtem. Rozpierała ją energia,

czas spędzony w lesie z dwunożnymi pomógł jej odzyskać siły, biegła więc, nie zatrzymując się wcale.

Przed świtem dotarła w pobliże wielkiej bramy i położyła się na wrzosowisku, by spać aż do wschodu słońca.

Obudził ją śmiech dziecka. Podniosła się i zobaczyła małą dwunożną, która bawiła się przy bramie miasteczka, popychając kijem drewnianą obręcz. Była to ciemnowłosa dziewczynka i I mała od razu poczuła spokój. Pomyślała, że skoro wysocy dwunożni z lasu nie zrobili jej żadnej krzywdy, to tym bardziej nie należy się obawiać małej dziewczynki.

Posuwała się jednak do przodu z ostrożnością i przywarowała w odległości kilku metrów od dziecka, które wciąż jej nie zauważało. Dziewczynka biegała za obręczą, co wydało się I mali doskonałą zabawą, zapragnęła więc pobiegać razem z nią. Podniosła się i pognęła w jej stronę, machając radośnie ogonem i podskakując jak małe wilczki, kiedy mają ochotę na harce.

Nagle dziecko spostrzegło wilka i przerażone wrzasnęło w nie-bogłosy:

- Wilk!

Imała nie rozumiała znaczenia tego słowa. Choć odczuła strach dziewczynki, myślała, że mimo wszystko będzie mogła się z nią pobawić i wciąż biegała w podskokach wokół dziecka.

Dziewczynka porzuciła swą obręcz i zaczęła uciekać ile sił w nogach. Imała rozumiała to jako zachętę do zabawy i podążyła za nią z wywieszonym językiem.

Biegły tak aż do bramy miasteczka, jedna krzycząc przeraźliwie, druga radośnie podskakując.

Kiedy przekroczyły bramę, Imała przez moment się zawahała. Zrozumiała, że wkracza na teren dwunożnych, a jej zaufanie do nich nie było aż tak duże. Lecz nie dano jej czasu na decyzję.

Zza bramy wyskoczyli dwaj dwunożni, uzbrojeni w ostre podłużne przedmioty i Imała w ostatniej chwili uniknęła brutalnego ciosu w głowę. Oszołomiona zastanawiała się przez chwilę, czy ci dwaj chcą dołączyć do zabawy, i wtedy otrzymała cios w kregosłup.

Padając na ziemię, zaskowyczała z bólu. Nie rozumiała tego nagłego okrucieństwa dwunożnych, którzy dotąd byli dla niej tak dobrzy i przyjaźni. Przeważona położyła się na plecach z uniesionymi do góry łapami na znak uległości. Lecz zamiast cieszyć się zwycięstwem, dwunożni zaczęli ją jeszcze bardziej atakować. Imała dostała cios widłami w bok.

Zawyła z bólu. Tym razem postanowiła uciekać i wymknęła się, kulejąc, zraniona na ciele i na duszy. Dwunożni ścigali ją aż na wrzosowisko, po czym zawrócili, a Imała skryła się w zaroślach, gdzie zaczęła lizać swoje rany.

*

Jeźdźcy galopowali na południowy zachód. Spod końskich kopyt unosiły się tumany białego piasku wrzosowisk. Galiad uznał, że lepiej będzie oddalić się od Purpurowej Rzeki i przejechać przez pola, gdzie istniało mniejsze prawdopodobieństwo napotkania innych podróżnych. Po południu ich oczom ukazały się z jednej strony góry Gor-Draka, a z drugiej morze, w którym odbijały się promienie zachodzącego słońca. Alea poprosiła magistela, by zatrzymali się na chwilę, by podziwiać ten niezwykły widok. Słońce zapaliło tysiące płomyczków na ciemnobłękitnych falach.

- Słyszałam o wyspie na morzu, zwanej Mont-Tombe. Tam musi być tak pięknie jak tutaj. Kiedy już zobaczę Providence, właśnie tam się udam - stwierdziła Alea nieco wyzywającym tonem.

- Ach tak? - zapytał Felim. - A dlaczego akurat tam?

- Żeby się uczyć. Chcę pójść na uniwersytet.

Druid już miał odpowiedzieć, ale zmienił zdanie. Chciał jej wytłumaczyć, że to, czego mogą ją nauczyć chrześcijańscy mnisi, nie dorównuje temu, czego mogłaby się dowiedzieć w Sai-Minie, ale z góry wiedział, że dziewczynka źle to odbierze. Zresztą teraz sam się zastanawiał, czy w to wierzy. „Rada zdaje się nie mieć wobec Alei zbyt pedagogicznych „intencji”, pomyślał z ironią.

- Nie lubicie chrześcijan i ich uniwersytetu, prawda? - zapytała.

Felim zastanowił się, czy dziewczynka nie czyta przypadkiem w jego myślach.

- Są dosyć agresywni. A poza tym, powiedzmy, że nie zgadzamy się z ich... filozofią.

- Dlaczego? - naciskała Alea.

- Ponieważ zaprzecza ona istnieniu Mojry. To taka nowoczesna herezja. Profesorowie z Mont-Tombe są przekonani, że Mojra nie pozwala światu iść naprzód. Wierzą, że tylko ich Bóg pozwoli światu się rozwijać. Ponadto opierają swoje nauczanie na słowie pisanym, a my, druidzi, sądzymy, że pismo to śmierć wiedzy. To, co jest utrwalone na papierze, jest nieruchome, a więc martwe, podczas gdy prawdziwa wiedza nie może być stała i nieruchoma, musi ewoluować. Nasze nauczanie jest ustne i odbywa się w kontakcie ucznia z jego mistrzem, rozumiesz?

- A jeśli mają rację? Jeśli Mojra nie istnieje?

- Już samo to, że masz moc, która pozwoliła ci uciec z Sai--Miny, przeczy filozofii z Mont-Tombe. Najgorszy w tym wszystkim jest ich prozelityzm. Ilu młodych ludzi wychodzi co roku z tej wyspy z głową nabitą fałszywymi ideami?

Alea przytaknęła bez przekonania. Zastanawiała się, czy mimo wszystko metoda nauczania z Mont-Tombe nie była lepsza od metody druidów. W głębi duszy nie zmieniła zdania: może nawet i czuła obecność Mojry, lecz i tak postanowiła, że pewnego dnia wyruszy do Mont-Tombe, bo odkąd w dniu swej ucieczki z Saratei spotkała tych studentów, chciała nauczyć się czytać, a tylko chrześcijanie mogli jej to umożliwić.

- Jedźmy dalej - wtrącił się Galiad, wskakując na konia. - Nie czas się ociągać. Jeśli chcemy dotrzeć do Providence cali i zdrowi, musimy natychmiast ruszać. Nie wiem, czy magistele podążają za nami, ale jestem niemal pewny, że ktoś nas śledzi.

- Tak, ja też mam takie wrażenie - wyznał Felim, rozglądając się dookoła. - Aleo, a ty niczego nie czujesz?

- Nie - przyznała Alea, zdziwiona, że druid zadaje jej takie pytanie. Czyżby jej ufał?

- Nie traćmy czasu - zakończył Felim.

Wskoczyli na konie i ruszyli galopem na południe. Alea nie przyzwyczała się jeszcze do podrygów swojego kucyka, ale nie przeszkadzało jej to podziwiać cudownych pejzaży wschodu Galacji. Roślinność była tu bujniejsza niż na nizinie otaczającej Sarateę i morze znajdowało się niedaleko. Dziewczynka po raz pierwszy w życiu odkryła przyjemność przemierzania przestrzeni galopem. Tak jakby we śnie przelatywała przez jakąś wyimaginowaną krainę. Krajobraz przepływał obok niej, nieuchwytny, niemal rozmyty. Prędkość i wiatr upajały.

Za każdym razem, kiedy pejzaż się zmieniał, zalewała ją fala nowych emocji. Najpierw ogarnął ją żal i tęsknota. Saratea, Amina, bezpieczne życie u boku Kerryego i Tary... Przede wszystkim jednak - dlaczego nie spróbowała przekonać Erwana, by wyjechał razem z nią? Nie powinna była tak go zostawiać. Z pewnością nigdy go już nie zobaczy. Czy miał do niej żal? Czy obiecał Radzie, że znajdzie i doprowadzi z powrotem małą awanturnicę? Gdyby tylko mogła dłużej z nim porozmawiać, wytłumaczyć i dowiedzieć się, co naprawdę o niej myśli! Mjolln mówił, że chłopak ją kocha, ale czy kochają wystarczająco, by opuścić Sai-Minę i wyruszyć z nią w drogę? Czy pewnego dnia będzie musiała wybierać między życiem z Erwanem a wieczną ucieczką, na którą, jak się zdawało, była skazana? Każda nowa myśl coraz bardziej łamała jej serce. Westchnęła ciężko i postanowiła skupić się na przyszłości.

Providence... sama nazwa miasta niosła nadzieję*. Z pewnością odnajdzie tam wreszcie Aminę, przyjaciółkę z dzieciństwa. Przy niej na pewno zapomni o Samildanachu, o wszystkich trudnościach i kłopotach, które na nią czyhają. Z pomocą Galiada i Felima może uda jej się pozbyć magisteli i Herilimów, którzy ją ścigają. A później pojedzie do Mont-Tombe i nauczy się czytać. Przyszłość mogła być prosta, jeśli tylko Mojra zechciałaby się na to zgodzić...

Późnym popołudniem Galiad zdecydował, że należy dać koniom odpocząć po tym wyczerpującym galopie. Jechali więc stępa i rozmawiali, a słońce z wolna kryło się za górami Gor-Draka.

Najpierw Galiad zrównał swego rumaka z kucem Mjollna.

- Nie jesteś zbyt zmęczony? - zapytał uprzejmie, patrząc na pokrytego kurzem i piachem krasnoluda.

- Ja nie, ale mój kucyk zdaje się wykończony. Chociaż jest silny, cały dzień galopu dał mu się we znaki. Hem. Trzeba przyznać, że trochę ważę. Hem.

Magistel wzruszył ramionami.

- Nazwałeś go Alragan, prawda?

- Ahum - przytaknął krasnolud.

- Słyszałem już gdzieś to słowo - stwierdził magistel. - Wydaje mi się, że to okrzyk wojenny starożytnych wojowników krasno-ludzkich... myślę się?

Mjolln się zdziwił.

- Nie, masz rację. Jest to zresztą okrzyk, który wydajemy w naszej wiosce, kiedy zaatakują nas gorguny. Ale skąd to wiesz?

Magistel zdawał się uszczęśliwiony, że krasnolud zadaje mu to pytanie. Tak jakby od lat czekał, by móc na nie odpowiedzieć. Jakby w końcu pozwolono mu się pozbyć ciężącego mu sekretu albo bolesnego wspomnienia.

- W czasie wojny z Harcourt długo walczyłem u boku krasnoluda, nim Felim wybrał mnie na swego magistela. Adnal. Nazywał się Adnal. Był mniej więcej w twoim wieku lub trochę starszy. Albo może to wojna dodała mu kilku przedwczesnych zmarszczek. Był taki odważny! Żaden człowiek z Harcourt nie był mu straszny, wierz mi. A kiedy wydawał swój wojenny okrzyk, pociągał nas wszystkich do walki. Gdyby wszyscy galatyjscy żołnierze byli jak on, Harcourt nigdy nie wygrałoby tej wojny, to pewne. Oddałbym życie za tego krasnoluda. Szanowałem go tak, jak dziś szanuję Felima. Do tego właśnie jestem stworzony, by ofiarować mój miecz komuś dzielnemu. A on był dzielny...

- Mówisz w czasie przeszłym... On już nie żyje?

-Nie, nie sądzę. Myślę, że żyje sobie spokojnie gdzieś na południu.

* Providence – fr. opatrzność
<http://chomikuj.pl/Manija.B>

- Spokojnie? - zdziwił się Mjolln. - Ahum, to zaskakujące, bo kiedy krasnolud zakosztuje przygody, nie może się już bez niej obyć. Hem. Mamy to we krwi. Niektórzy nie zdają sobie z tego sprawy i żyją ukryci wśród wzgórz, ale nie wszyscy. Popytam o twojego Adnala i powiem ci, co teraz robi. Zresztą może go kiedyś odnajdziesz.

- Mam wrażenie, że już go odnalazłem. Bardzo mi go przypominasz!
Krasnolud wybuchnął śmiechem.

- Wszystkie krasnoludy są do siebie podobne, tak? Galiad też się roześmiał.
Tymczasem Alea postanowiła porozmawiać z druidem. Żałowała, że rano potraktowała go z taką oschłością. Wciąż męczyły ją tysiące pytań i wątpliwości.

- Kiedy rozmawialiście o mojej przyszłości z Radą Druidów... - zaczęła.

- Zrobiłem, co mogłem - przerwał jej Felim. Zdawał się zadowolony, że dziewczynka w końcu zdecydowała się do niego odezwać. - Arcydruid miał z pewnością swoje powody, których nie rozumiemy, i...

- Felimie, nie o tym chciałam z wami rozmawiać. W pewnym momencie jeden z was, zdaje się, że był to Ernan, powołał się na Encyklopedię Analego, kiedy Arcydruid powiedział, że kobieta nie może być Samildanachem.

Felim cofnął się w siodle. Dziewczynka wciąż nie przestawała go zaskakiwać. Dostrzegła najważniejszy punkt z całej tej dyskusji, wypowiedź archiwisty Ernana.

- Encyklopedia Analego to dosyć niezwykła księga - odparł Felim, odwracając wzrok. - Anali był Samildanachem.

/redagował encyklopedię, zakazaną później przez Radę, ponieważ jest sprzeczna z tradycją ustnego nauczania.

- Zdradza zbyt wiele sekretów?

- Nie wiem, czy można to określić w ten sposób - wyjąkał Felim.

- Co mówi księga o tym, czy kobieta może albo nie może być Samildanachem?

- Nie czytałem tej księgi, bo jest zakazana. Czy właśnie po to chcesz jechać do Mont-Tombe?

- Nie wykręcajcie się, Felimie, mam już dosyć waszych druidzkich metod! Zadałam wam proste pytanie, a wy odpowiadacie mi innym pytaniem! Nie jestem już głupią małą dziewczynką, której szukaliście w Saratei. A więc odpowiedzcie: co takiego w tej księdze przykuło uwagę Ernana? Z pewnością to wiecie, nawet jeśli jej nie czytaliście.

Druid patrzył na nią długo. Pomyślał, że nigdy się do tego nie przyzwyczai. Dziewczynka robiła niewiarygodne postępy i rozumiała więcej, niż dawała po sobie poznać.

- Naprawdę, Aleo, wątpię, by ktokolwiek w Radzie to wiedział, i dlatego Ernan dyskretnie o tym wspominał, wiedząc, że Arcydruid mu przerwie. Ernan musiał zauważyć coś, czemu powinniśmy się przyjrzeć bliżej. Oficjalnie żaden druid nie zna Encyklopedii Analego. Co więcej, niektóre paragrafy zapisane są w zakodowanym języku. Potrzeba lat, by wszystko rozszyfrować.

- Nie domyślacie się zupełnie, o czym mówił Ernan?

I znowu Felim miał wrażenie, że dziewczynka dokładnie odgadła to, co próbował ukryć. Być może poczuła targające nim wątpliwości: niejasno przypominał sobie legendę o dziewczynce i Mojrze. Jedną z wielu legend. Ważną legendę, o której Rada bardzo starała się zapomnieć...

- Jest wiele legend opowiadających o dziewczynkach wybranych przez Mojrę, Aleo, i zapewne Ernan myślał o jednej z nich. Naprawdę nic więcej o tym nie wiem.

- Nic więcej nie wiecie, ale pewnie macie jakieś hipotezy...

- Myślałem, że jedyne, co cię interesuje, to jak dotrzeć do Pnvidence...
Czyżby jednak bardziej pociągały cię legendy?

- Nie, po prostu złością mnie te wszystkie otaczające mnie tajemnice, których nie potraficie wyjaśnić. Okazuje się, że druidzi nie wiedzą więcej od zwykłych śmiertelników. Co oznacza symbol na moim pierścieniu? Do jakiej legendy odnosił się Ernan? Jak mogę być Samildanachem, skoro jestem dziewczynką?

- Nie jesteś Samildanachem - zaprotestował Felim, podnosząc się w siodle. - Nie można się ogłosić Samildanachem bez przejścia próby Mañitha z Gabhy! I jesteś dziewczynką!

Alea nie odpowiedziała. Wbiła wzrok w linię horyzontu. Oby tylko miał rację! Oby to wszystko było tylko snem. A jednak nie mogła odrzucać faktów.

- Wszystko to jakoś się ze sobą łączy, jestem tego pewna - powiedziała w końcu. - Nic nie dzieje się przez przypadek. To wasza filozofia, nieprawdaż? Nic nie dzieje się przez przypadek.

Tętent kopyt zagłuszył jej słowa.

- W każdym razie nie teraz - dodała cicho.

Felim odwrócił głowę w stronę dziewczynki. Zastanawiał się, czy dobrze usłyszał. Alea wyglądała, jakby niczego nie mówiła. Jej twarz była smutna i nieruchoma, spojrzenie zagubione gdzieś daleko. Czy powiedziała to ostatnie zdanie, czy tylko tak mu się wydawało? A jeśli powiedziała, to co właściwie miała na myśli? Felim tak bardzo chciałby porozmawiać z nią otwarcie, aby obydwoje wyznali wszystko, co wiedzą, myślą, czego oczekują. Lecz z każdym dniem dziewczynka stawała się bardziej twarda i oschła, a sam Felim nie potrafił stawić czoła rzeczywistości, której tak bardzo się obawiał.

- Zatrzymajmy się tu - powiedział nagle Galiad. - Jest tu wszystko, co potrzebne do rozbicia obozu. Konie zasłużyły sobie na odpoczynek.

Zsiedli z koni i rozłożyli się na łące w pewnej odległości od ścieżki.

- Galiadzie, ciągle jesteśmy śledzeni, prawda? - zapytał Felim, klękając i przykładając dłoń do ziemi.

- Tak myślę. Jedna osoba. Jedzie za nami cały dzień, ale trzyma się na odległość. Nie mogę jej zobaczyć, czuję jednak jej obecność. Może to żołnierz. W każdym razie dobry tropiciel. Nie jest lo z pewnością jeden z magisteli z Sai-Miny. Już dawno by nas dogonił.

- Być może - przyznał druid bez przekonania. - A może to twój syn?

- Nie zauważylibyśmy go. Lepiej go wyszkoliłem - odparł z dumą magistel. - Osoba, która nas śledzi, robi więcej hałasu.

- Miejmy nadzieję, że to nie Herilim.

- To nie ich metoda. Może to jednak być szpieg wysłany przez Maolmordhę. Krasnolud zadrżał.

- To imię sprawia, że ciarki przechodzą mi po plecach - wyznał.

Alea podeszła do niego z nieśmiałym uśmiechem.

- Przykro mi, że wciągnęłam cię w całą tę historię.

- Ahum! Głupoty opowiadasz! Jestem szczęśliwy, że jestem z tobą, Aleo, a fakt, że to imię mrozi mi krew w żyłach, nie zmniejsza przyjemności podróżowania z moją miotaczką kamieni. Taha! Nie martw się, bardziej boję się o ciebie niż o siebie: od wczoraj jesteś taka smutna! Ach tak, widzę, że bardzo ci kogoś brakuje, prawda?

Gdyby tylko o to chodziło... Tak, oczywiście tęskniła za Erwanem. W każdym razie czuła, że odeszła akurat w chwili, gdy mogła powiedzieć mu więcej. Może nawet powiedzieć mu, że go kocha. Ale nie to było jej głównym żmartwieniem.

Najbardziej zasmucało ją to, że wystawia na takie niebezpieczeństwo życie Mjollna, Galiada i Felima. W końcu, po tym jak opuściła Kerrygo i Tarę, byli całą jej rodziną. Nawet Felim, mimo że miała mu sporo do zarzucenia. Choć była najmłodsza z całej tej kompanii, czuła się odpowiedzialna za swych towarzyszy, bo to ona była powodem wszystkich dotychczasowych problemów i przez nią ludzie, których kochała, też wpadli w pułapkę.

Alea wolała pomyśleć o czymś innym, aby nie niepokoić przyjaciół swoim smutkiem, ale nie mogła odgonić duchów, które ją prześladowały, odkąd opuściła Sarateę. Miała tylko nadzieję, że w Providence wszyscy poczują się trochę bezpieczniej.

Była zamyślona przez całą kolację i poszła się położyć przed wszystkimi. Przed snem pożegnała się z Galiadem, który postanowił czuwać całą noc, z nadzieją, że uda mu się zaskoczyć tego, kto ich śledził.

Zasnęła natychmiast i pogrążyła się w dziwnym śnie, równie żywym i intensywnym jak ten, w którym zobaczyła Erwana, nim go jeszcze poznała.

We śnie, który nie do końca był snem.

Siedzę na trawie w Lesie Borceliańskim.

Nigdy w życiu nie byłam w tym lesie, nie wiem nawet, jak wygląda, ale wiem, że to właśnie on. Jestem pewna. Borcelia. To imię (elfy) samo przychodzi mi na myśl.

Słońce z trudem wstaje na ołowianym niebie. Wiatr wieje mi w plecy, czuję go (Mojra) niczym czyjąś obecność. Wieje tak mocno, że jeśli zacznę iść będzie mnie pchał do przodu. Tak, taki jest jego sens (Mojra).

Lekko popycha, ale nie rozkazuje.

Widzę małą dziewczynkę (ja), która bawi się sama na bezkresnej łące. Biega, popychając patykami drewnianą obręcz. Widzę po jej twarzy, że głośno się śmieje, ale nie słyszę żadnego dźwięku. Ona (ja) jest do mnie podobna, ale jest mała i beztraska (szczęśliwa).

Niebo ciemnieje.

Wilczyca (Imała) pojawia się kilka metrów ode mnie. Rozpoznaję ją. Ta biała sierść. Już ją widziałam. Tutaj. W świetle marzeń i snów (Djar).

Zbliża się powoli. Teraz ona też mnie widzi. I to do mnie idzie. A kiedy jest już tak blisko, że mogłabym jej dotknąć, odwraca się pomalutku (chce bym poszła za nią). Podnoszę się. A może to wiatr (Mojra) mnie pcha.

Idę szybko. Tak szybko jak wilczyca. Zanurzamy się w głąb lasu. Gałęzie drzew smagają moją twarz. Nie widzę już nic wokół siebie. Wszystko pędzi zbyt prędko. Wiem tylko, że podążam za wilczycą.

Dookoła słyszę krzyki, śmiechy. Śpiew. Trzaski gałęzi, które łamią się pod moimi stopami. Liście, które ocierają się o moją twarz. Nie wiem już, gdzie jestem.

Nagle wilczyca się zatrzymuje. Podnoszę głowę. Stoimy na środku skapanej w słońcu polany. Ciemne sklepienie z ciężkich chmur zniknęło. Wiatr przycichł.

Jestem już tylko ja i człowiek (elf), który stoi przede mną.

Głaszcze wilczycę. Uśmiecha się do mnie.

- Aleo, nie ma już czasu do stracenia.

Zna moje imię. Wiem, że mówi w obcym języku, a jednak go rozumiem. Wilczyca też.

- Musisz tu przyjść, Kailiano. To tutaj się urodziłaś. Dlaczego teraz nazywa mnie Kailianą? Chciałabym mu odpowiedzieć, ale wargi odmawiają posłuszeństwa.

- *To tutaj przyszłaś na świat, w samym sercu Drzewa Życia. Czekamy na ciebie, Kailiano.*

Lecz jak mam je odnaleźć? Wciąż nie mogę mówić, ale zdaje się, że zrozumiał. Znowu się uśmiechnął.

- Jestem Oberon. Nie ma już czasu do stracenia.

Ostatnie zdanie rozbrzmiewa po wielokroć niczym echo. Nie ma już czasu do stracenia.

*

Ayn'Sulthor i jego rycerze od dwóch dni czekali w obozie rozbitym niedaleko półwyspu Sai-Mina.

Przed księciem Herilimów wyrosła świątynia z bluszczu i zarośli. Natura go wspierała. Przynajmniej część świata roślin i zwierząt zawsze była mu posłuszna. Wokół liściastej budowli mrowiły się węże, robaki i leśne owady, sunęły wokół niczym żywa fosa, rozstępując się tylko po to, by zrobić przejście dla wchodzących lub wychodzących Herilimów. Las napełniał się z wolna wilgotnym fetorem, przed którym umykały ostatnie ssaki. Świat dookoła murszał i gnił.

Tego wieczora, kiedy tu przybyli, Księżę Herilimów kucnął i zanurzył ręce w ziemi. Ziemia się wokół niego zatrzęsła i nagle wynurzyły się spod niej dziesiątki szcurów. Głaskał je w ciszy, po czym szepnął im kilka krótkich słów. Następnie wstał, a gryzonie pobiegły w kierunku Sai-Miny. Nocni posłańcy księcia Herilimów.

- W jaskini nieczystych ukrywa się Czuwający - wyjaśnił swoim ludziom.

Herilimowie nazywali druidów nieczystymi. Niegdyś sami byli druidami. Lecz kiedy jeden z druidów odkrył, że może używać Saimana, by pożerać ludzkie dusze, ogarnęła go niszczycielska ambicja i opuścił komnatę Rady, by założyć nowy zakon: zakon Herilimów. Jego uczniowie żywili się wyłącznie ludzkimi duszami i uznawali swych kuzynów druidów za nieczystych, ponieważ ci wciąż jedli płody ziemi. Przez pokolenia dwa zakony nauczyły się nienawidzić siebie nawzajem, a Sulthor miał nadzieję, że w końcu, z pomocą Maolmórdhy, uda mu się obalić Radę Druidów.

Lecz wszystko w swoim czasie. Najpierw trzeba odnaleźć tę małą zarazę.

Mężczyźni zaczęli się już niecierpliwie, aż wieczorem drugiego dnia zobaczyli sylwetkę człowieka zbliżającego się ku ich żywej świątyni.

Sulthor na wszelki wypadek położył dłoń na głowni swego miecza.

- Kto idzie? - zapytał.

- Moje imię na niewiele wam się zda. Jestem Czuwającym z Sai-Miny. To moja wiadomość was interesuje, nie moja tożsamość.

Następnie zagwizdał sygnał rozpoznawczy Czuwających, by uspokoić Sulthora. Uznał, że lepiej nie denerwować tego olbrzyma.

- Nie spieszyłeś się, Czuwający - warknął Sulthor.

- To dlatego, że przybywacie w złym momencie. Życie w Sai-Minie ostatnimi czasy to nie sam odpoczynek. A jeśli chodzi o informacje, których szukacie, oto co mam do powiedzenia: dziewczynka uciekła tuż przed waszym przybyciem. Była z tym krasnoludem, który jej towarzyszy. Felim i jego magistel Galiad zniknęli następnego dnia i można przypuszczać, że dołączyli do uciekinierów. Dokąd pojechali, tego nie wiem.

Rada sądzi, że udali się na południe, i zapewne ma rację. To wszystko, co mogę powiedzieć.

Nie dodał już ani słowa, odwrócił się i zniknął w ciemnościach.

Sulthor odwiązał swego konia i rozkazał pozostałym:

- Jedziemy, musimy ją jak najszybciej odnaleźć. Świątynia z bluszczu i owadów rozpadła się za ich plecami niczym domek z kart.

*

Alea i jej towarzysze galopowali cały następny dzień. Pomału zaczęli dostrzegać rysujące się na horyzoncie majestatyczne kształty stolicy. W miarę jak posuwali się na południowy zachód, krajobraz stawał się coraz bardziej pagórkowaty, a tu i ówdzie pomiędzy polami uprawnymi i winnicami wyrastały zbudowane z kamienia domostwa. Podróżnicy mijali teraz wielu Galatyjczyków. Im bliżej byli stolicy, tym więcej ludzi spotykali na szlaku.

Dziewczynka nie wiedziała, czy powinna się cieszyć, że w końcu zobaczy to miasto, do którego tak ją ciągnęło, czy raczej poddać się uczuciu paniki, jakie wywołał w niej wczorajszy sen. Ciągle słyszała słowa elfa.

„Nie ma już czasu do stracenia”.

Alea nie mogła też nie myśleć o Erwanie. To ten pośpiech i panika oddaliły ją od niego. Mimo że życie w Saratei nie należało do łatwych, to dopiero odkąd opuściła swoje strony, poczuła, że żyje w nieustannym napięciu. Tak bardzo chciałaby zobaczyć jasną czuprynę Erwana! Za każdym razem, gdy widziała czarne włosy Galiada, uczesane w identyczny sposób, wracało do niej wspomnienie Erwana. Patrzyła na Galiada i zastanawiała się, czy wie, jak bardzo kocha jego syna. Chciałaby powiedzieć mu o tym. Może dodałby jej otuchy. Magistel zdawał się jednak zbyt przejęty osobą, która ich śledziła. Przez całą noc przeszukiwał okolice obozu. Bezskutecznie. Odkąd wyruszyli, wciąż oglądał się za siebie, rzucał spojrzenia na lewo i prawo, zaszywał się nagle w zaroślach. Lecz za każdym razem wracał z coraz poważniejszą miną. Z każdym dniem coraz bardziej przypominał rycerza bez twarzy. Jakby ta podróż stopniowo przemieniała go w maszynę wojenną. Alea nie śmiała już z nim rozmawiać.

Cały dzień spędziła więc u boku Mjollna, próbując zapomnieć o swoich smutkach i wysłuchując niekończących się opowieści krasnoluda, który nie tracił swego jowialnego humoru.

Noc zapadła wcześniej, niż przewidział Galiad, więc postanowili poczekać do jutra z wjazdem do stolicy. W oddali widzieli już światła wysokich domów. Providence w niczym nie przypominało małych miasteczek, takich jak Saratea. Miasto było tak rozległe, że nie dało się go ogarnąć jednym spojrzeniem, a niebo nad nim wydawało się nienaturalnie rozświetlone. Alea długo podziwiała majestatyczną sylwetkę uszpiętego bogatego miasta. Tak jak poprzedniej nocy, rozbili obóz w pewnej odległości od drogi i rozpalili ognisko.

- Tym razem nie pozwolę naszemu szpiegowi ukrywać się całą noc - stwierdził Galiad poważnym głosem. - Felimie, jeśli się zgodzisz, oddalę się od obozowiska tej nocy.

Druid zdawał się rozbawiony niecierpliwością swego magistela.

- Galiadzie, wolałbym, abyś został przy nas, zamiast uganiać się po lesie w poszukiwaniu jakiegoś ducha...

- To żaden duch. Czuliście jego obecność tak samo jak ja. Ktoś jedzie za nami od dwóch dni.

- Na razie chyba nie ma złych zamiarów. Pozwólmy mu popełnić błąd i wtedy go schwytały. Jeśli tej nocy wybierzesz się na polowanie, ktoś mógłby skorzystać z twojej nieobecności, by nas zaatakować. Daj spokój, Galiadzie, złapiesz w końcu naszego tropiciela.

Magistel przytaknął bez słowa skargi. Za nic na świecie nie przeciwstawiłby się Felimowi. Nie śmiał nawet dłużej dyskutować. Wiedział, że druid jest mądry, i darzył go zaufaniem. Lecz nie mógł już znieść obecności tej niewidzialnej, nieuchwytniej osoby, która drwiła z nich tak długo. Jednakże podszedł do Alei i pomógł jej przygotować skromną kolację: królika, borowiki i kasztany, tak jak poprzedniego dnia.

- Drzewo Życia naprawdę istnieje? - zapytała Alea, kiedy druid usiadł przy nich.

- Skąd to osobliwe pytanie? - zdziwił się Felim, chwytając bukłak z winem, który podał mu krasnolud.

- Miałam sen... bardzo prawdziwy sen. Nie wiem, jak wam to wytłumaczyć. Już drugi raz coś takiego mi się śniło. Za pierwszym razem pewne rzeczy, które widziałam we śnie, później się sprawdziły. I wiem, że Maolmórdha też był w tym śnie.

Galiad spojrzał niespokojnie na druida.

- Tej nocy śnił mi się elf Oberon, który prosił mnie, bym przybyła do Borcelii. Lecz to właściwie nie był sen. Myślę, że... Jak to powiedzieć? Że elfy naprawdę mnie tam wzywają.

Druid zdawał się zatroskany.

- Jednak muszę jechać do Providence... Czy ma to jakiś związek z legendą, o której wspominał Ernan? - Alea nalegała na odpowiedź.

- Aleo, to był pewnie zwykły sen. Usłyszałaś ostatnio tyle legend i nieprawdopodobnych historii, że twoja wyobraźnia płata ci figle. Tego dnia, kiedy znalazłaś Ilvaina, coś się z tobą stało, tak myślę, i chciałbym to zrozumieć. Jednak nie posuwaj się za daleko, nie daj się ponieść emocjom. Musimy przede wszystkim analizować fakty, a nie sny.

- Dobrze. Ale znowu nie odpowiedzieliście na moje pytanie. Czy Drzewo Życia naprawdę istnieje?

- Te rzeczy będziesz musiała odkryć sama, jeśli zajdzie taka potrzeba. Legendy, o których mówisz, są owocem nauczania. Nauczania, które ma głęboki sens symboliczny. Nie można mówić tak o Drzewie Życia... Chcesz wiedzieć, czy ono istnieje? Poszukaj go!

- Znowu mówicie zagadkami! To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Nic tak nie skłania do refleksji jak zagadki. Nie mam dla ciebie gotowych odpowiedzi. Mogę ci tylko zaproponować metodę ich znalezienia.

- A jednak wiecie o wiele więcej, niż chcecie wyjawiać.

- Wiem na pewno tylko jedno, Aleo. Jesteś w niebezpieczeństwie. Więc zamiast szukać nowych problemów, lepiej zrobisz, pomagając nam siebie chronić.

- To wy chcecie się dowiedzieć, dlaczego znalazłam pierścień Ilvaina. To wy sprawiliście, że uciekłam z Saratei, aby poznać prawdę. Dziś już prawda was nie interesuje? A może się jej boicie?

- Boję się o twoje życie i to mi wystarczy - odparł Felim ostrym tonem, co oznaczało, że rozmowa jest skończona.

Alea wpadła w złość. Nie mogła dłużej znieść uporu druida. Wstała gwałtownie i odeszła, by nakarmić konie. Chciała oddalić się na chwilę. Wyjęła z worka garść jęczmienia i niezdarnie podała kucykowi.

Za jej plecami pojawił się magistel i delikatnie ujął jej rękę.

- Wyprostuj palce i podaj kucykowi ziarna na płaskiej dłoni, w ten sposób cię nie ugryzie - poradził szeptem.

Dziewczynka zrobiła tak, jak powiedział. Klacz zjadła garstkę ziaren, po czym zaczęła trącać delikatnie dziewczynkę pyskiem w bok.

- Nie, Dulio - zaśmiała się Alea. - Dostałaś już dosyć.

- Kucyki - szepnął Galiad - są równie uparte jak druidzi, wiesz...

Alea uśmiechnęła się do magistela. Miał te same gesty, to samo ciepło co jego syn. Dziwił ją kontrast między ich postawą twardych wojowników a łagodnością ich serc.

Wzruszyła ramionami i wyjęła następną garść ziaren, aby nakarmić kucyka Mjollna. Magistel wciąż stał z tyłu. Najwyraźniej był zażenowany zachowaniem druida i chciał zostać przy dziewczynce, by dać jej nieco wsparcia i pocieszenia. Alea dobrze się przy nim czuła. Tak dobrze, że niemal zapomniała o tym, co dotąd ją dręczyło i pomyślała raczej o czymś, co trudno było jej wyznać.

- Twój syn... - zaczęła nieśmiałym głosem.

Alea od razu pożałowała, że ośmieliła się poruszyć ten temat. Nie wiedziała, co powiedzieć dalej. Poczowała, że się rumieni.

- Brakuje ci go?

Dziewczynka podniosła głowę. W jej niebieskich oczach odbijało się światło księżyca.

-Tak.

Galiad zdawał się podniesiony na duchu. Najwyraźniej on też nie czuł się zbyt pewnie. Z całą pewnością pierwszy raz rozmawiał w ten sposób o swoim synu z młodą dziewczyną.

- Mnie też go brakuje. To idiotyczne, prawda? Jeśli pozwolisz mi siebie chronić, przysięgam, że razem go odnajdziemy. Chcesz?

Alea przytaknęła.

Nagle dobiegł ich trzask łamanej gałęzi. Galiad wyprostował się i chwycił miecz. Pod drzewem pojawiła się sylwetka jeźdźca. Nie można było dostrzec jego ukrytej w mroku twarzy. Przy jego boku błyszczało ostrze miecza. Nie chwycił swej broni, ale w jego pozie i milczeniu było coś groźnego.

Felim i krasnolud poderwali się na nogi.

- Kto idzie? - rzucił Galiad, próbując rozpoznać twarz jeźdźca. Odpowiedziała mu cisza, która zdawała się trwać całą wieczność. Słyszeć było jedynie monotonne cykanie świerszczy.

- Nie możecie jechać do Providence - odezwał się w końcu jeździec.

Głos należał do kobiety, ale nie uspokoiło to Galiada. Zbliżał się powoli z wyciągniętym przed siebie mieczem. Być może w końcu złapie osobę, która śledzi ich od dwóch dni. Nie ma wątpliwości, to była ona, już wcześniej poznał ją po odgłosie kroków. Zresztą nic dziwnego, że miał taki problem, by ją odnaleźć, pomyślał. Tylko kobiety są tak dyskretne.

- Złóż broń u stóp, pani - nakazał - a kiedy się nam przedstawisz, zdecydujemy, czy możesz się wypowiadać w kwestii miejsca naszego przeznaczenia.

- Cóż za urocze powitanie, sire Galiadzie Al'Daman! - zakpiła kobieta. - A mówią, że pochodzisz ze szlchetnego rodu. Gdzie się podziały twoje maniery? Rozmowa zdawała się bawić Felima, który usiadł przy ognisku, nie odzywając się słowem.

- Nie jestem szarmancki wobec szpiegów twego pokroju, pani - odparł Galiad pogardliwym tonem. - Znasz moje imię? Nie wyjawiałaś mi swojego i masz czelność mówić o manierach? Nie będę dwa razy powtarzał, proszę położyć broń na ziemi, madame.

Alea podeszła do niego i przytrzymała jego ramię.

- Możesz schować miecz, Galiadzie. Znam ten głos, może on należeć tylko do jednej osoby.

Podeszła do zarośli i powiedziała:

- Dobry wieczór, Faith.

- Dobry wieczór, Aleo - odpowiedziała młoda kobieta, wychodząc z cienia i ukazując delikatne rysy swej pociągłej twarzy okolonej jedwabistą kaskadą rudych włosów.

Ubrana była cała na czarno. Jej zgrabną i elegancką sylwetkę Mojra obdarzyła wielką gracją, a twarz niezwykłym pięknem.

- Jeśli Alea mówi prawdę, dlaczego nie masz, pani, na sobie stroju bardów? - zapytał wciąż nieufny Galiad.

- Ponieważ porzuciłam mój zawód.

Lecz Galiad, który musiał zachowywać nieufność, by dobrze chronić swego mistrza i dziewczynkę, kontynuował przesłuchanie:

- A czy mogę wiedzieć, dlaczego nie jesteś już bardem, pani? Taki zawód rzadko się porzuca...

- Czy magistele przestali już widzieć różnicę między nieufnością a zuchwałością? - zapytała Faith. - A może jesteście tylko nieporadnym uczniem?

Galiad nie dał się zawstydzić i zaostrzył ton.

- Zadałem pytanie. Jeśli nie chcesz, pani, odpowiedzieć, wracaj, skąd przyszłaś. Powtarzam: dlaczego nie jesteś już bardem?

Alea pociągnęła go za ramię.

- Galiadzie, uspokój się, przecież mówię ci, że ją znam! Lecz Faith nie czekała dłużej i odpowiedziała:

- Nie jestem już bardem, ponieważ wyznaczyłam sobie inny cel.

- Czy dlatego śledzicie nas od dwóch dni?

- Po części tak. Powinnam porozmawiać z Aleą, a wcześniej musiałam się przekonać, z kim podróżuje.

- A dlaczego... - zamierzał kontynuować magistel, lecz Alea zdenerwowała się i przerwała mu w pół zdania.

- Wystarczy, Galiadzie! Zadałeś już dość pytań. Chcę zaprosić Faith, by została z nami.

Magistel zdawał się zaskoczony.

- Chodź, Faith, będziemy mogły porozmawiać przy ognisku, kiedy przedstawię ci swoich przyjaciół.

Felim w końcu postanowił się odezwać.

- Witaj wśród nas, sestro - powiedział z uśmiechem, podchodząc do kobiety barda.

Druidzi, bardowie i uzdrowiciele zwracali się do siebie w ten sposób ze względu na łączące ich więzy.

- Najwyraźniej nie wszyscy dzielą twą radość z mojego przybycia - zauważyła Faith.

- Mój magistel wypełniał tylko swój obowiązek, zechciej mu wybaczyć. Zostało nam trochę królika, czy przyłączysz się do naszej kolacji?

- Z przyjemnością. Muszę wyznać, że nie jadłam zbyt wiele przez ostatnie dwa dni. Za bardzo zajmowało mnie uważanie, by nie wytropił mnie wasz pies obronny...

Mjolln nie mógł powstrzymać wybuchu śmiechu. Kobieta bard niezwykle mu się podobała. Galiadowi tymczasem jej replika niespecjalnie przypadła do gustu. Upewnił się, że nikt więcej nie kryje się w zaroślach, i z ciężkim sercem schował swój miecz.

- A więc znasz już Felima i Galiada - zaczęła Alea, kiedy zasiedli do posiłku.

- Głównie z krążących legend - odpowiedziała Faith. - Ale myślałam, że jesteście wyżsi - rzuciła do Galiada z ironicznym uśmiechem.

- Przedstawiam ci pana Mjollna Abbaca, dudziarza. To mój przyjaciel, towarzyszy mi od początku mej podróży. Myślę, że doskonale się zrozumiecie, Mjolln marzy o zostaniu bardem.

- Miejmy nadzieję, że pewnego dnia będę was mogła tego nauczyć - powiedziała Faith uprzejmie.

Krasnolud z radości klasnął w dłonie. Po kolacji Felim zapytał, o czym Faith chciała rozmawiać z Aleą.

- Wszystko wam wytłumaczę - odpowiedziała kobieta. - Lecz nie to jest teraz najpilniejsze. Przede wszystkim muszę was przekonać, byście nie jechali do Providence.

- Dlaczego? - zdziwiła się Alea, której wcale się to nie podobało.

- Ponieważ król wyznaczył nagrodę za wasze głowy, a wasze portrety wiszą na wszystkich murach stolicy.

Nowina zadziwiła wszystkich. Nawet Felim wydawał się zaskoczony.

- Król? Za moją głowę też?

Faith przytaknęła z zakłopotaniem.

- Kto mógł wydać taki rozkaz? - podjął krasnolud. - Ahum. O ile wiem, niczym nie zawiniłszy królowi, prawda?

- Znajduję tylko dwa możliwe wyjaśnienia - stwierdził Felim z zatroskaną miną. - Pierwsze to takie, że Rada poprosiła króla Eoghana, by nas odnalazł...

- A drugie? - wtrąciła Alea, która bała się, że niestety zna już odpowiedź.

- Jeśli szpiegom Maolmórdhy udało się przeniknąć do królewskiego otoczenia, to oni mogą za tym stać. W każdym razie masz całkowitą rację. Nie możemy jechać do Providence.

Alea westchnęła ciężko. Drugi raz rozwój wypadków nie pozwala jej dotrzeć do Providence i drugi raz musi się mu poddać wbrew sobie. Tak jakby Mojra nie chciała, by dziewczynka poznała stolicę. W oczach Mjollna dostrzegła, że ją rozumie i że jest mu przykro. A jednak była mniej rozczarowana, niż mogłaby być.

Gdzieś w środku, w jej duszy wciąż rozbrzmiewało ostatnie zdanie ze snu. „Nie ma już czasu do stracenia”. Z trudem się do tego przyznawała, ale wiedziała, że to prawda, że nie ma wyboru. Musi się jak najszybciej udać do Borcelii. Ta konieczność narzucała się niczym fatum. Nie miała prawa sprzeciwiać się swojemu przeznaczeniu, bo teraz już rozumiała: zmieniła i skomplikowała życie tak wielu osób. I to nie tylko bliskich przyjaciół. To

stwierdzenie nie miało nic wspólnego z pychą. Wręcz przeciwnie. Wolałaby nigdy nie zostać w to wszystko wplątana.

Każdego dnia uczyła się, że stawanie się dorosłym nie oznacza stawania się coraz bardziej wolnym, jak jej się kiedyś wydawało. Polega raczej na ustępowaniu wobec konieczności i obowiązków, jakie narzuca przeznaczenie. Obowiązków coraz liczniejszych i dotyczących coraz większej liczby ludzi dokoła.

Stać się dorosłą. Jest to winna swoim przyjaciołom.

Nie, nie było już czasu do stracenia.

- Niech tak będzie - powiedziała, wstając. - Nie pojedziemy do Providence.

Felim uśmiechnął się do dziewczynki. Jego spojrzenie było szczere i pełne czułości, jaką widziała u niego tylko raz. Tego dnia, gdy ofiarował jej broszkę, którą zawsze nosiła przypiętą na piersi. Domyśliła się: cieszy go to, że zachowuje się dojrzałe. Choć dzisiaj oddałaby wszystko, by znowu być dzieckiem.

- Faith, mówiłaś, że chcesz ze mną porozmawiać. Kobieta zdawała się zmieszana.

- Nie wiem, czy to odpowiednia chwila.

- A więc to nie takie ważne? - zapytała Alea. Faith podniosła brew, urażona.

- Nie wiem, czy to ważne dla ciebie, ale bardzo bolesne dla mnie, Aleo. Bardziej nie porzuca swej profesji dla zwykłego widzimisię. Nie mam w zwyczaju przemierzać całego królestwa w poszukiwaniu dziewczynki, której chcę zadać mało ważne pytanie.

- Rozumiem. Przepraszam... Wolisz, byśmy porozmawiały jutro? - zaproponowała dziewczynka.

- Nie, trzymam to w sobie od zbyt dawna. Dobrze mi zrobi, jeśli porozmawiam o tym z tobą. Aleo... Jak to powiedzieć? Tak bym chciała, aby wszystko było prostsze. Wydarzenie, które popchnęło mnie do porzucenia mojej kasty, jest bardzo... smutne. Złamało mi serce i nie mogę myśleć o niczym innym. Boję się, że dla ciebie to też będzie cios.

„Kerry i Tara - pomyślała Alea. - Może chodzić tylko o nich”. Modliła się, by Faith powiadomiła ją o czymś zupełnie innym, ale wiedziała już, że chodzi właśnie o nich. Uśmiechnęła się do kobiety, aby dać jej odwagę i skłonić do mówienia. „Jestem gotowa - przekonywało jej spojrzenie - możesz kontynuować”.

Faith wstała i zaczęła przechadzać się wkoło ogniska, aby łatwiej było jej mówić.

- Tara i Kerry, oberżyci z Gąski na Ruszcie, tej nocy, kiedy odeszłaś, zostali zamordowani.

Alea musiała przygryźć wargi, by wstrzymać szloch. Choć domyślała się, co kobieta chce jej powiedzieć, nie była przygotowana na te straszne słowa.

- Tak mi przykro - podjęła Faith. - Wolałabym przynieść lepsze wieści, ale oni nie żyją i tylko to jest teraz dla mnie ważne. Ich wspomnienie mnie prześladowuje. Przysięgłam pomścić ich śmierć, a twoja ucieczka była dla mnie jedynym śladem, jedyną wskazówką... Dlatego cię szukałam, Aleo. Może mogłabyś pomóc mi odnaleźć ich zabójcę... Ja...

Opadła ciężko na pień drzewa, na którym siedziała Alea, i położyła dłoń na ramieniu dziewczynki.

- Kerry i Tara od zawsze byli moimi przyjaciółmi. Byli tam tego dnia, gdy po raz pierwszy przemierzałam kraj w błękitnym stroju bardów. Pomagali we wszystkich problemach, rozwiewali wszelkie wątpliwości. Dopóki nie

pomszczę ich śmierci, nie powrócę do zawodu barda, taką obietnicę złożyłam, gdy znalazłam ich ciała.

Głos Faith stawał się coraz smutniejszy i coraz bardziej drżący

- Aleo, jesteś moją jedyną szansą, bym zrozumiała, co ich spotkało. Musiałam koniecznie cię odnaleźć. Obecność Felima, pierścień, który znalazłaś na wrzosowisku, to jedyne dziwne zjawiska w Saratei, które mogły się wiązać z ich śmiercią. Doszłam więc do wniosku, że muszą się jakoś ze sobą łączyć. Och, Aleo, powiedz mi tylko, czy się nie mylę?

Dziewczynka chwyciła Faith za rękę i pozwoliła popłynąć łzom.

- Nie wiem - szlochała. - Chyba masz rację.

Alea wypowiedziała te słowa z wielkim trudem. To jeszcze jedna odpowiedzialność, i to bez wątpienia najtrudniejsza do zniesienia. A teraz wciągnie jeszcze jedną osobę w ten koszmar na jawie. Cudowną Faith. Chciałaby powiedzieć Faith, by zapomniała o wszystkim i uciekła jak najdalej stąd, ale wiedziała, że kobieta nie odpuści. Kolejny raz miała wrażenie, że Mojra już dawno podjęła decyzję, nie dając jej wyboru. Faith musiała im towarzyszyć. Miała swą rolę do odegrania w historii Alei i negowanie tego mogło się okazać bardziej niebezpieczne niż pogodzenie się z tym.

Alea musiała to przyznać, chociaż z trudem godziła się na obarczanie kolejnej osoby swym trudnym i niebezpiecznym przeznaczeniem.

- Jest jeszcze wiele spraw, których sama nie rozumiem - podjęła z ciężkim sercem, kiedy łyzy nieco obeschły. - Jeśli chcesz do nas dołączyć, możemy szukać razem. Nie chcę cię o to prosić. Lecz nie będę cię okłamywać: jeśli się na to zdecydujesz, wciągniemy cię w historię równie zagmatwaną, co niebezpieczną, ale jestem prawie pewna, że mamy wspólnego wroga.

- Kim on jest? - zapytała Faith niecierpliwie.

- To długa historia.

- Właśnie takie lubię najbardziej - nalegała kobieta. „Jestem jej winna całą prawdę”, pomyślała Alea.

- W takim razie usiądźmy bliżej ognia - rzekła z uśmiechem.

Alea skinęła na resztę przyjaciół, by podeszli bliżej, i milczała przez chwilę, nim zaczęła opowieść. Nie chciała pomylić kolejności wydarzeń, a obecność Faith bardzo ją onieśmielała, nie zapomniała bowiem o niezwykłym talencie kobiety do snucia pięknych opowieści. Lecz sytuacja była zbyt poważna, by poddawać się dziecięcej nieśmiałości, więc Alea w końcu zaczęła mówić.

- Wszystko zaczęło się tego dnia, kiedy odkryłam ciało Ilvaina Iburana zakopane na wrzosowisku... Ilvain był Samildanachem i był już stary. Zamiast na łożu śmierci przekazać swą moc wybranemu uczniowi, jak każe tradycja, umarł sam, na pustkowiu. I już samo to jest tajemnicą.

Spojrzała na Felima, próbując znaleźć w jego oczach akceptację swoich słów.

- Mów dalej - zachęcił.

- Kiedy znalazłam ciało Ilvaina, wydaje mi się, że... że odziedziczyłam jego moc.

Kobieta bard wolno zsunęła dłoń z ramienia Alei.

- Faith - ciągnęła dziewczynka, wzięwszy głęboki wdech - jes-lem Samildanachem.

Te słowa zmroziły zebranych. Mjolln, który od ich ucieczki Sai-Miny wołał pozostawać w wygodnej niepewności i nie zadawać pytań o cuda, których był świadkiem, o mało się nie udławił, słysząc tę wiadomość. Felim zaś siedział w milczeniu, zrezygnowany.

Faith patrzyła na dziewczynkę zdumionym wzrokiem.

- Na Mojre, gdyby nie to wszystko, co dotąd się zdarzyło, powiedziałabym, że sobie ze mnie kpisz, Aleo! Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Ty... ty utrzymujesz, że jesteś Samildanachem?

- Nie utrzymuję, niestety, tylko nim jestem, wierz mi. Kłamałabym, gdybym temu zaprzeczała.

- Ale to zupełnie niemożliwe, Aleo - powiedziała kobieta bard. - Samildanach nie może być... kobietą.

- Tak zdaje się myśleć Rada Druidów. Jednak się myli, i to jedyna satysfakcja, jaką z tego mam...

Felim wstał gwałtownie. Chciał się wtrącić, lecz Alea rzuciła mu tak intensywne spojrzenie, że postanowił się powstrzymać.

- Otrzymałszy tę moc, która nie była dla mnie przeznaczona - ciągnęła dziewczynka - stałam się celem morderczych żądz. Z jednej strony jest Maolmórdha, który wysłał za mną gorguny i Herilimów. To z pewnością jeden z nich zamordował Kerry'ego i Tarę, próbując się dowiedzieć, gdzie jestem. Z drugiej strony jest Rada Druidów...

Zrobiła pauzę i znów obrzuciła Felima lodowatym spojrzeniem.

- Te miłe osoby, chcąc się przekonać, czy jestem Samildanachem, postanowiły poddać mnie próbie... która, jak się okazało, jest śmiertelna. Od tej pory uciekam przed tymi wszystkimi ludźmi.

Alea westchnęła i uśmiechnęła się do kobiety barda.

- Teraz wiesz już wszystko.

Faith milczała przez długie minuty. Próbowwała znaleźć odpowiedzi w spojrzeniach zebranych, ale widziała w nich tylko emocje. Strach, niedowierzanie, współczucie. Przyjechała szukać win* nych morderstwa, a wyjawiono jej o wiele poważniejszą tragedię, Nie wiedziała, co powiedzieć. Jednak nie mogła pozostać nieczuła na rozpacz, która kryła się za wymuszoną dorosłością Alei.

- Będę ci towarzyszyć. Wszędzie, dokąd się udasz. Decyzja Faith natychmiast rozładowała atmosferę. Wszyscy przyjęli wiadomość z uśmiechem, poza Galiadem, który wciąż miał kobiecie za złe, że go ośmieszyła.

-No tak, kobieta bard jako towarzysz podróży, o czym więcej można marzyć?

-Nie mam wprawdzie serca do śpiewania - wyznała Faith -ale myślę, że czasem trzeba umieć zapomnieć o swych smutkach i dać innym trochę radości. Jeśli chcecie, zaśpiewam, by uczcić nasze spotkanie.

- Cudownie! - wykrzyknął Mjolln, szczęśliwy, że uda się zakończyć wieczór odrobinę weselej.

- Też chciałabym posłuchać, ale nie wiemy jeszcze, dokąd jutro iść - przerwała Alea. - Providence jest dla nas zamknięte...

- Chciałaś iść do Borcelii... - zaryzykował Felim.

Sugestia druida zaskoczyła Aleę. Oczywiście, właśnie o Borcelii myślała cały czas, ale zdawało jej się, że Felim gwałtownie zaprotestuje. Nie był nastawiony zbyt entuzjastycznie, kiedy opowiedziała mu o swoim śnie. A jednak teraz sam proponował, by się tam udali. Cóż takiego się zmieniło? Czy to obecność kobiety barda? Felim jest taki nieprzewidywalny...

- W każdym razie może to być dobry sposób, by ukryć się na jakiś czas - dodał magistel.

- Przecież mówiliście mi po południu, że nikt nie wie, jak znaleźć Drzewo Życia - wtrąciła Alea.

- A kto mówi o Drzewie Życia? Zadowolimy się dotarciem do Borcelii, a potem zobaczymy. Faith zna ten las lepiej niż ktokolwiek inny, jestem tego pewien.

To przywilej zarezerwowany dla mojej kasty - przyznała kobieta.

Alea patrzyła na wszystkich po kolei. Wyglądali na zdecydowanych, a Mjolln był wręcz oczarowany. Nie mogła odmówić. Nie zapomniała swojego snu. Był tak realistyczny. Jednak pomysł, by ślepo zaufać sennemu marzeniu, przerażał ją. To nie był najlepszy sposób, by uwolnić się od tych wszystkich nękających ją tajemnic. Lecz dokąd w końcu mogła pójść? Poszukiwania zarządzone przez króla nie ograniczały się raczej do Providence. Ityc może Las Borceliański był najlepszym schronieniem w tym królestwie.

- Zgoda. Jutro wyruszymy do Borcelii - postanowiła Alea.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, a Faith zaczęła śpiewać przy ognisku. Miała cudny głos, a pieśni były piękniejsze jedna od drugiej. Alea na chwilę zapomniała o swych smutkach, pozostali też dali się oczarować. Tylko Galiad wydawał się niewzruszony. Udawał, że nie słucha pieśni, tylko dokłada do ognia. Po drugiej pieśni oddalił się nawet, by sprawdzić, czy obóz jest bezpieczny.

Kobieta śpiewała cały wieczór, opowiedziała też o kilku swoich podróżach. Alea i Mjolln zasnęli uspokojeni, słuchając jej opowieści.

Galiad bez słowa przygotował posłanie dla Faith i powiedział z największą kurtuazją:

- Możesz, pani, położyć się tutaj, jeśli sobie życzysz.

- Skończyła się wojna i zaczęły się zaloty? - zakpiła Faith.

- Czy to nadzieja trzyma cię przy życiu? - odparował magistel.

Faith westchnęła, wzruszyła ramionami i poszła się położyć, nie racząc nawet spojrzeć na magistela, który odszedł, śmiejąc się pod nosem.

NEGOCJACJE

Kiaran nie był zwykłym Wielkim Druidem. Fizycznie niczym się nie różnił od pozostałych. Stary, siwy człowiek, ubrany w biały płaszcz, wyglądał jak każdy Wielki Druid. Lecz połowa jego braci miała go za ekscentrycznego marzyciela, zaś druga połowa za kapryśnego dziwaka, którego nie da się zrozumieć... Uzyskał godność Wielkiego Druida dużo wcześniej, niż Ailin został Arcydruidem, i nikt już nie pamiętał, co skłoniło ówczesnego Arcydruida do uczynienia mu tego honoru.

A jednak był ku temu powód. Kiaran wcale nie był ekscentrykiem. Nie, Wielki Druid posiadał niespotykaną i niewytłumaczalną moc: od dziecka co noc wkraczał do świata Djar. Świata, który odwiedzamy we śnie, gdy można się zanurzyć w oceanie profetycznych symboli. Tam widział sceny, w których przeszłość mieszała się z przyszłością, a po przebudzeniu był często tak zamysłony i rozkojarzony, że w istocie zaczął uchodzić za wariata... Wcale się tym jednak nie przejmował. Jego prawdziwe życie płynęło gdzie indziej, w świecie Djar. Nie obchodziło go, co o nim tutaj myślą. Wolał zagłębiać się w swoje wnętrze, by zrozumieć i rozszyfrować wszystkie symbole z tego drugiego świata. Tego wieczoru został przyjęty ze wszystkimi honorami w zamku hrabiego Bizanii, na wzgórzu w starym mieście Farfanaro.

Było to miasto zbudowane wyłącznie z drewna, w którym wszystko zdawało się dokładnie zaplanowane i nic nie było dziełem przypadku. Nie było tam ani jednego kawałka przestrzeni, ani jednej ulicy, zaułka, domu ani sklepu, który nie byłby przyozdobiony w obowiązującym tu stylu. W belkach wycinane były popiersia kobiet, dachy otaczała koronka misternych rzeźb, na drewnianych wystęпах i wypustach usadowiły się płaskorzeźby, malowane lub w swych naturalnych kolorach, i całe budynki, od dachów aż po bruk ulicy, nosiły na sobie ślady pracy bizańskich artystów.

Trzy pokolenia Bizańczyków, po tym, jak zajęli oni południe królestwa - choć ich przodkowie byli tylko najemnikami na usługach Gałatyjczyków - wyróżniały się swym wyrafinowanym gustem, finezyjną sztuką i oryginalną architekturą. Na północy często uznawano ten nadmiar ozdób za prostacki, mówiono, że za dużo tu kolorów, złocień, szczegółików, ale właśnie to stanowiło dumę mieszkańców hrabstwa. Rywalizacja malarzy, rzeźbiarzy i architektów, którzy staczali artystyczne pojedynki za każdym razem, gdy chwyтали za pędzel, dłuto czy kielnię, była powodem do dumy. Oko ani na chwilę nie znajdowało odpoczynku od tych kaskad piękna, bo nawet stroje mieszkańców Bizanii były dziełami sztuki. Wszędzie napotykało się herb hrabstwa: złotego ślimaka na czerwonym tle.

Był to kraj, w którym najważniejsza była powierzchowność: trzeba było pokazać siebie, swój dom i swoje dobra. Każdy chciał sprawić, by inni go słuchali dzięki pochlebstwom, by go zauważyli dzięki wykształceniu i bezwzględnemu przestrzeganiu skomplikowanych zasad dobrego wychowania i kultury, zupełnie niezrozumiałych dla przybyszów z zewnątrz, czyli tak zwanej decenzy, tutejszego *savoir-vivre'u*.

Na razie Kiaran nie mógł w pełni skorzystać z uroków i niespodzianek tego miasta, musiał koniecznie przekonać Alvaro, by przyjął propozycję druidów, zdecydował więc podjąć ten temat od razu, na pierwszej kolacji, na którą zaprosił go hrabia. **Tak** jak przewidział Arcydruid, Kiaran oczarował Bizańczyków swym roztargnieniem, łagodnym charakterem, szalonymi pomysłami i rozmarzonym uśmiechem.

Alvaro Bisagni nie był postacią pospolitą. Z całą pewnością bogatszy niż wszyscy pozostali hrabiowie razem wzięci, wrażliwszy na sztukę i dobre maniere, słyszał także z tego, że kocha mężczyzn równie mocno jak kobiety, a cielesne uciechy były dla niego niczym religia. Zabawy, które organizował regularnie w swym opływającym w luksusy pałacu, dostarczały tematów do plotek kumoszkom i siały zgorszenie wśród ascetycznych chrześcijan.

Lecz tego wieczoru żaden strój nie został zrzucony, decenza nakazywała bowiem pewną wstrzeźliwość w obecności druida. Zaproszono więc tylko kilku miejskich notabli, córkę hrabiego i kapitana straży. Samych bardzo szanowanych ludzi, jak stwierdził Kiaran. Druid jednak niespecjalnie przejmował się obyczajami swego gospodarza.

- Wiecie z pewnością, że Tuathannowie napadli na południe Galacji - zaczął, choć nie skończono jeszcze znosić nowych dań z kuchni.

- W rzeczy samej, jaka straszna historia - rzucił hrabia, wznosząc oczy ku niebu. - Tak, mówi się teraz tylko o tym, mój drogi druidzie...

- Eoghan musi ich jak najszybciej zatrzymać - powiedział siedzący przy stole medyk.

- Oczywiście - podjął inny - król nie może im pozwolić, by bezkarnie pustoszyli miasta i wioski!

- Tymczasem my, druidzi, myślimy zupełnie odwrotnie - wyjaśnił Kiaran z uśmiechem.

Nie miał wątpliwości co do reakcji, jaką jego wypowiedź wywoła u rozmówców. Biesiadnicy popatrzyli na niego okrągłymi ze zdziwienia oczami. Nikt nie ośmieliłby się sprzeciwić druidowi, ale ten wdawał im się jakiś dziwny.

- Chcecie negocjować? - zdziwił się hrabia Alvaro.

- Na przodków rodziny Giametta! Nie z tymi barbarzyńcami! - wykrzyknął kapitan, który zdawał się zszokowany.

- Ach, nie... nie chodzi o negocjacje - poprawił Kiaran. - I uathannowie zajęli już cały teren na południe od gór Gor-Draaka. Teraz chodzi o to, by znaleźć sposób, aby ich powstrzymać, by nie poszli dalej... albo bardziej na wschód.

Ze wszystkich stron podniosły się protesty, ale hrabia nakazał ciszę.

- A jakie rozwiązanie proponujecie? - zapytał, marszcząc brwi.

Kiaran odłożył sztućce na stół i otarł usta serwetą. Albo teraz przekona swych słuchaczy, albo nigdy. Musi użyć właściwych słów: najmniejszy błąd może spowodować, że hrabia stanie po niewłaściwej stronie. Spróbował przypomnieć sobie rady Ailina, po czym zaczął:

- Jakie rozwiązanie? To, które przyjął Eoghan z Galacji, kiedy mu je zaproponowaliśmy. Trzeba oddać Tuathannom jakieś terytorium, pozwolić im przyłączyć się do naszych umów handlowych i paktów politycznych i zapewnić im... edukację, która z wolna pozwoli im zapomnieć o wojnie i przeciągnie ich na naszą stronę.

- Co za dziwny pomysł! - wykrzyknął kapitan straży. - Ofiarować ziemię barbarzyńcom, którzy nas najechali!

- Nigdy nie będą przestrzegać decenzy! - dodał hrabia.

Dla Bizańczyków nie było nic ważniejszego od ich skomplikowanego kodeksu postępowania. W Farfanaro nauczano decenzy w szkołach, a sam hrabia był członkiem komisji notabli, która zbierała się co miesiąc, by

debatować, co należy, a czego nie wolno robić, by przestrzegać tego złożonego kodeksu.

Kiaran zawahał się przez moment, po czym stwierdził, że być może mocniejszy argument przestraszy hrabiego wystarczająco, by choć raz ugiął się przed decyzją Rady.

Czy muszę wam przypominać, że dostaliście w posiadanie tę ziemię, Bizanię, od króla Galacji w podzięcie za pomoc w inwazji, podczas której kiedyś wygnano stąd Tuathannów? Nie chodzi o to, by oddać im całe królestwo, ale być może jakąś część Brunatnej Ziemi. Dzięki temu staną się cennymi sprzymierzeńcami przeciwko Harcourt. Dla was to żadna strata, odstąpione tereny nie należałyby do Bizanii. W zamian za to zyskacie ważnego sprzymierzeńca i wzmocnicie stronnictwo króla Galacji.

- Interesujące - przyznał hrabia.

- A co więcej, zyskacie szacunek Rady Druidów, którą reprezentuję - zakończył Kiaran ze złośliwym uśmiechem.

Biesiadnicy spojrzeli po sobie, niektórzy uśmiechnęli się do hrabiego, okazując mu swoje zainteresowanie.

Alvaro wypił łyk czerwonego wina. Trunek pochodził z późnych plonów zbieranych na wschodzie hrabstwa. Winorośle porastające ziemie nad Zatoką Ebonu nie miały sobie równych w całym królestwie.

Hrabia cmoknął z zadowoleniem i pokiwał głową z pełnym satysfakcji uśmiechem.

- Jeśli mamy podpisać to porozumienie, pozwólcie mi zamówić kolejną skrzynię wina.

W ten sposób dał Kiaranowi do zrozumienia, że się zgadza. Druidowi pozostało więc tylko zająć się formalnościami. Wypełnił swą misję. Teraz musiał zrobić rzecz najtrudniejszą: udać się do Ziemi Brunatnej i przekonać królewskiego brata, by odstąpił część swych terytoriów.

Kiaran może i uchodził za marzyciela, ale nie robił sobie żadnych złudzeń co do powodzenia swojej misji.

*

- Którędy powinniśmy jechać? - zapytała Alea towarzyszy, kiedy kończyli śniadanie.

- Jeśli kobieta bard galopuje tak szybko, jak odzywa się do nieznajomych... - zakpił Galiad, który nie tracił żadnej okazji do dokuczenia Faith.

- Będę w Borcelii, nim skończycie się śmiać z waszych własnych żartów - odpowiedziała kobieta.

Alea przewróciła oczami. Sprzeczki między magistrem i Faith zaczynały ją drażnić. Na szczęście wydawało się, że nie biorą te-)•,(na serio. Zrozumiała, że był to rodzaj gry, do której musi przywyknąć.

- Będziemy bezpieczniejsi, jeśli pojedziemy wzdłuż wybrzeża aż do Lasu Weliańskiego - zasugerował Felim. - Później możemy go okrążyć lub przejechać przez niego i tędy dostać się prosto do Borcelii.

- Ahum. Też mi się wydaje, że to najlepsza droga - przyznał Mjolln, który rzadko wypowiadał się na temat podejmowanych decyzji, ale doskonale znał ten region Galacji.

Skończyli posiłek. Galiad zagasił ogień i spróbował zatrzeć wszelki ślad po obozowisku. Następnie wsiedli na konie i skierowali się na południe, w stronę wybrzeża.

Galopowali nieprzerwanie przez cały ranek, nie rozmawiając ze sobą. To było jak początek nowej podróży i żadne z nich nie potrafiło powiedzieć, czy należy się z tego cieszyć, czy wręcz przeciwnie.

Alea żałowała, że musi zostawić za sobą Providence. Wszystko zdawało się odsuwać ją od miejsc, do których pragnęła się udać. Od stolicy, od Mont-Tombe... Pozwoliła, by jej kucyk galopował na końcu, za pozostałymi, i zamknęła na chwilę oczy. Znała zapach, który czuła teraz dookoła. Taki sam unosił się nad równinami Saratei. Mocny zapach, w którym mieszała się woń wrzosu i janowca. Od dwóch dni Alea wiedziała już, że nic tak nie sprzyja nostalgicznym rozmyśleniom jak długi galop. Niemal hipnotyczny odgłos końskich kopyt. Ogłuszający wiatr... Dzisiaj myślała o Ilvainie zakopanym w piasku kilka kroków od miasteczka. Już dawno nie włożyła na palec jego pierścienia, schowała go na dnie swojego tobołka. Przypomniała sobie wygrawerowany na nim symbol. Jak miała go zrozumieć? Nie odkryje jego sensu z dnia na dzień, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki! Musi zukać. Ale czy naprawdę tego chce? Jakie znaczenie może mieć ten pierścień? Wolałaby się tym nie martwić, ale to było silniejsze od niej. Pierścień należał teraz do niej i miała wrażenie, że woła ją, tak jak elfy z Lasu Borceliańskiego w tym śnie. Musiała wiedzieć. Domyślała się, że odpowiedzi nie przyjdą szybko, że trzeba na to czasu. Jednak tym razem podjęła decyzję. Chce zrozumieć. Miała nadzieję, że elf, którego ujrziała we śnie, nie był tylko iluzją i że czeka na nią w Borcelii, by dać jej kilka odpowiedzi. Z upływem czasu coraz bardziej była przekonana, że to jej ostatnia szansa. Jeśli zwlekałaby zbyt długo, odnalazłby ją w końcu Maolmórdha. On albo inni.

Widząc, że Alragan, kucyk Mjollna, zaczyna się męczyć, Galiad kazał towarzyszom podróży nieco zwolnić. W oddali widać już było morze i wkrótce mieli wjechać na piaszczystą plażę, która ciągnęła się wzdłuż wschodniego wybrzeża Galacji. Jak zawsze, kiedy konie jechały stępa, skorzystali z tego, by porozmawiać.

Pierwsza odezwała się Alea.

- Faith, tylko ty widziałaś elfy, opowiedz nam, jakie one są...

Kobieta bard zrównała swego konia z kucykiem Alei i uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Elfy? To z pewnością najpiękniejsze i najłagodniejsze stworzenia w całym królestwie. Takie trochę przeciwieństwo Galia- da... - zaśmiała się, a magistel udał, że tego nie słyszy. - Krąży na ich temat wiele historii, niektóre z nich są z pewnością fałszywe, ale część może być prawdą. Spotkałam je, kiedy śpiewałam na skraju Lasu Borceliańskiego.

- Zaczęły rzucać w ciebie pomidorami? - zakpił Galiad.

- Nie, wręcz przeciwnie. Mój śpiew musiał się im spodobać, bo przyszły i usiadły obok, by posłuchać. W przeciwieństwie do niektórych, elfy są muzykalne i mają uszy wrażliwe na śpiew...

- Uszy to mają przede wszystkim spiczaste! - wtrącił Mjolln z uśmiechem.

Od tej pory - podjęła Faith, zwracając się do Alei - za każdym razem, kiedy przechodzę przez ten region, wystarczy, że zaśpiewam, by odnaleźć elfy. Zbierają się dookoła mnie i nigdy nie wiem, czy to te same, bo wszystkie są do siebie podobne, ale /daje się, że mnie rozpoznają.

- Jak wyglądają? - nalegała Alea.

- Ogólnie rzecz biorąc, są takie jak my, tylko wyższe, smuklejsze i, jak powiedział Mjolln, mają bardziej wydłużone, spiczaste uszy.

Był to dokładny opis postaci, którą Alea zobaczyła we śnie. A przecież nigdy w życiu nie widziała elfa, zaledwie kilka razy o nich słyszała, ale nikt wcześniej nie podał jej szczegółów dotyczących ich wyglądu.

- Jakiego koloru jest ich skóra? - zapytała Alea niecierpliwie.

- Ma kolor drewna.
- Faith, w tej historii, którą opowiadałaś nam w Gąsce na Ruszcie, król elfów nazywał się Oberon. To było bardzo dawno temu, czy możliwe, żeby on jeszcze żył?

- Można tak powiedzieć. Życie i śmierć elfów to dziwna sprawa. Nam, ludziom, trudno to zrozumieć. Żyją zgodnie z rytmem pór roku, tak samo jak liście drzew. Lecz kiedy powracają do życia, przybierają te same imiona co poprzednie pokolenie. To tak jakby nigdy nie umierały. Król elfów będzie się więc zawsze nazywał Oberon.

- Czy zgodzą się z nami spotkać, kiedy dotrzemy do Borcelii?
- Być może, jeśli zaśpiewam wśród drzew.
- I porozmawiają z nami?
- Elfy nie mówią naszym językiem, Aleo, ale jestem pewna, że Felim zna ich język...

Wszystkie spojrzenia skierowały się na druida, który dotąd milczał.

- Zobaczmy, zobaczmy - powiedział tylko.

Zanim Alea zdążyła zareagować, Galiad, który odłączył się od nich przed chwilą, przygalopował nagle z północy.

- Herilimowie wpadli na nasz trop. Już się zbliżają!

Felim zaklął pod nosem, powiedział kilka słów do Galiada w języku, którego pozostali nie rozumieli, po czym wyjął z sakwy kilka źdźbeł trawy i podał je kucykowi Mjollna.

- Alragan będzie potrzebował siły, musimy uciekać - wyjaśnił.

Galiad krzyknął, by zmusić konie do galopu, i nikt się nie odważył powiedzieć choćby słowa. Zagrożenie nigdy dotąd nie spadło tak niespodziewanie. Schronienie w lesie było jeszcze daleko.

Konie cwałowały. Alea została z tyłu. Nie chciała zostawiać Mjollna samego. Wstrzymywała więc Dulię, która wyczuła panikę swej pani i próbowała galopować ile sił. Mjolln poganiał wciąż swego kuca, a biedne zwierzę dawało z siebie wszystko, co mogło.

Alea wyczuła obecność Herilimów. Ci mordercy musieli być już blisko. Mogła wręcz poczuć okrucieństwo ich zamiarów. Było to jak fala nienawiści, która dochodziła aż do niej. I było to przerażające. To już nie ten stały niepokój, który męczył ją od kilku dni. Nie, to był nagły, paniczny strach, a zagrożenie pachniało śmiercią.

Wkrótce dotarli na plażę i Galiad skierował konie nad brzeg morza z nadzieją, że zatrze ślady, jeśli woda zmyje ich zapach. Poza tym wydmy na plaży były wystarczająco wysokie, by choć trochę ich osłonić.

Alea nigdy w życiu nie widziała plaży. Tak bardzo chciałaby się zatrzymać i pospacerować boso po wilgotnym piasku! Wiedziała jednak, że Herilimowie pozbawią ją tej możliwości.

Galopowali tak godzinami, nie zamieniając ze sobą ani jednego słowa, zamyśleni, kiedy nagle wyrosły przed nimi dachy małego miasteczka.

- Przed nami Galaban - wyjaśnił Galiad.

- Czy możemy się tu zatrzymać na noc? - zapytał krasnolud magistela, który zwolnił i wypatrywał prześladowców.

- Nie, Mjollnie, Herilimowe są już blisko i z pewnością będą nas szukać w tym miasteczku... To byłoby szaleństwo.

- Ale konie muszą odpocząć, my zresztą też... no i musimy kupić jedzenie... i...

- Zaraz stracisz oddech, przyjacielu. Na razie galopujmy dalej. Porozmawiam z Felimem, co powinniśmy zrobić.

Krasnolud się skrzywił. Miał już dosyć uciekania. Nie śmiał jednak narzekać. Alea wcale się nie skarżyła, a była od niego tyle młodsza! Chciałby zrozumieć,

co działo się w duszy dziewczynki. Musiały się w niej kotłować straszne emocje. Pomyślał, jak odległe wydają się w tej chwili spokojne dni spędzone w ogrodach Sai-Miny... Teraz pozostał tylko niepokój.

Kiedy dotarli do bram miasteczka, Galiad w końcu dał znak, by stanęli.

- Felimie, czy mamy czas, by się tu zatrzymać?

Faith, Mjolln i Alea patrzyli na druida znekanyim wzrokiem. Tak bardzo chcieliby odpocząć, a przede wszystkim zająć się swoimi końmi... Dzień był bardzo ciężki, a jutro nie zapowiadało się lepiej.

- Wkrótce zapadnie noc - odpowiedział Wielki Druid, zsiadając z konia. - Możemy znaleźć schronienie i odpoczynek poza miastem.

- Nie ryzykujemy, że zostaniemy zauważeni? - Mjolln nie dawał za wygraną.

- Nie, jeśli odjedziemy trochę od głównego szlaku, by rozbić obóz. Chronieni przez Galiada, będziemy mogli odpocząć i wyruszyć przed wschodem słońca. Jeśli znajdziemy wystarczająco osłonięte miejsce, będziemy mieć spokój aż do świtu.

- Ale nie mamy już zapasów jedzenia - wtrącił Galiad - a konie potrzebują opieki. Trzeba koniecznie zmienić im podkowy.

Druid przytaknął i odwrócił się do kobiety barda.

- Faith, ty nie jesteś poszukiwana. Czy zgodzisz się pojechać do miasteczka i zająć tym wszystkim?

- Oczywiście. Znajdę was zaraz potem.

- Będę ci towarzyszył. Nie ma mowy, byś jechała sama. Z wielu powodów - powiedział magistel.

- Tęskniłbyś za mną? - zaśmiała się kobieta.

- Nie, ale beze mnie możesz się zgubić w drodze powrotnej!

- Nie bądź śmieszny, Al'Daman. Pojadę sama.

Alea wtrąciła się do rozmowy.

- Faith, wolałabym, żeby Galiad ci towarzyszył. Nie po to, byś się nie zgubiła, przecież wiesz, ale by ci pomóc. Proszę, zgódź się.

- Wcale nie będę się czuła bezpieczniejsza z tym szaleńcem. I wolę, żeby chronił ciebie.

- Ja zostanę z Felimem, nie mam się czego bać. No, proszę, zrób mi przyjemność, zabierz Galiada ze sobą, zresztą i tak nie możesz poprowadzić sama pięciu koni.

Kobieta westchnęła i przewróciwszy oczami, skinęła na Galiada, by podążył za nią.

*

- Ojczy, czy kiedyś jeszcze zobaczymy Sid?

Jak co wieczór Tagor przyszedł porozmawiać z ojcem. Tak nakazywała tradycja tuathanneńskich klanów. Po zachodzie słońca syn przywódcy miał zadawać ojcu pytania, aby nauczyć się od ojca wszystkiego, co będzie mu potrzebne, gdy pewnego dnia sam zostanie przywódcą.

Lecz Tagor nie przyszedł uczyć się sztuki rządzenia. Chciał zrozumieć powody nienawiści, która przepełniała jego ojca i innych wojowników klanu. Chciał pojąć sens tych wszystkich mordów, których widok co noc powracał w jego snach, odkąd opuścili Sid.

Sarkan był zmęczony kolejnymi bitwami i rozkazami. Z trudem odpowiadał co wieczór na pytania Tagora, ale zmuszał się do tego z poczucia obowiązku, a także, bez wątpienia, z miłości.

- Właściwe pytanie, Tagorze, powinno brzmieć: czy musieliśmy tam żyć w takich warunkach przez tyle lat?

- Nie rozumiem, ojcze.
- Jeśli tam mieszkałeś, to tylko dlatego, że twoi przodkowie /ostali wygnani z Gaelii. Nigdy nie powinniśmy byli się na to zgodzić. Jeśli jednak chcesz wiedzieć, mój synu... Tak, jeszcze zobaczymy Sid.

Twarz Tagora pojaśniała.

- Kiedy?

- W dniu naszej śmierci, Tagorze. To tam idziemy, gdy wydamy ostatnie tchnienie, do innego świata. Lecz za życia mamy zamieszkiwać wyspę Gaelię, taki jest porządek rzeczy.

- Ale dlaczego? Sid jest o wiele piękniejszy od tej wyspy! Ojcze, nie żyłem nigdy poza Sidem. Byłem tam szczęśliwy! Nie chcę czekać do śmierci, by tam wrócić.

Sarkan westchnął. Ta rozmowa trwała już za długo, właściwie od pierwszego dnia odwetu Tuathannów. Przez cały ten czas syn nie chciał zrozumieć.

- Oczywiście, Tagorze, Sid jest piękny i dobrze jest tam żyć. A jednak to nic w porównaniu z tym, co możesz mieć tutaj.

- Cóż jest tutaj takiego, czego nie mógł nam dać Sid?

- Czas, mój synu. Czas.

- Ale to czas sprawia, że umieramy! Nie chcę, by płynął! - wykrzyknął Tagor.

- Jednak gdy upłynie, powrócisz do Sidu.

- A więc jaki miało sens przybywanie tu, by patrzeć, jak upływa czas?

Ton Tagora ciągle się podnosił. Naprawdę nie był w stanie zrozumieć motywacji ojca i było to dla niego niemal bolesne.

- Chciałbyś wiecznie pozostawać w ukryciu w Sidzie i żyć tylko tamtym życiem, podczas gdy należy nam się inne życie tutaj? Zostaliśmy stworzeni, by żyć na tej wyspie, mój synu. Tutaj możesz przeżyć coś, czego nie może ci dać Sid. A kiedy bogowie uznają, że twoja egzystencja na tym świecie była już wystarczająco długa, przywołają cię z powrotem do nas. Tak już jest. To po to zostaliśmy stworzeni. Nie jesteśmy bogami, mój synu, a tylko bogowie zostają w Sidzie. My, pozostali, mamy możliwość skosztowania życia śmiertelników. Możemy patrzeć na słońce, które przechodzi po niebie, na księżyc, który je zastępuje, patrzeć na zmieniające się twarze, rośliny, które rozkwitają, życie, które przychodzi i odchodzi, cały ten cudowny cykl, który nie istnieje w Sidzie!

-W śmierci nie ma nic cudownego, ojcze! Ja nie chcę umierać!

-Cud śmierci polega na tym, że jest ona nieodłączna od życia, i nie ma innego życia poza tym, które poprzedza śmierć. Tak, Tagorze, Sid jest cudowny. Lecz tam nie ma czasu, nie ma śmierci, nie ma życia. Tylko w Gaelii możesz się tego nauczyć. Nauczyć się, co znaczy naprawdę żyć.

-Czułem, że żyję, zanim tu przybyliśmy! - odparł Tagor.

-Bo nie wiedziałeś, czym może być życie tu, w Gaelii. A teraz zamilcz, mój synu, otwórz oczy i uszy, skosztuj tego świata, którego nie rozumiesz, a wkrótce życie samo cię przekona, zobaczysz.

Sarkan wstał, nie patrząc już na syna. Podeszedł do wielkiego okna. Na zewnątrz nocne niebo zachodziło deszczowymi chmurami.

*

Kobieta bard i magistel wjechali do miasteczka Galaban, prowadząc za sobą wycieńczone konie. Odkąd wyruszyli, nie odezwali się do siebie ani słowem, wymieniali tylko krótkie, pełne zmieszania spojrzenia.

Wieczór był coraz chłodniejszy i kiedy tak szli, Galiad doszedł do wniosku, że chciałby cofnąć czas i odwrócić tę sytuację. To zaczynało być śmieszne. Ich głupie sprzeczki psuły tylko ogólną atmosferę. Poza tym to było zupełnie nie w jego stylu, okazywać tak mało szacunku kobiecie, i czuł się winny z tego powodu. Jakoś jednak nie potrafił zachowywać się wobec niej normalnie. Najpierw, musiał to przyznać, zirytował go fakt, że nie był w stanie jej zdemaskować, gdy zaczęła ich śledzić. Następnie rzucała MIII cięte riposty i nigdy nie traciła okazji, by z niego zakpić. Była jednak bardzo piękna i wszyscy mieli z nią doskonały kontakt. I postanowił, że musi się wysilić. Tym bardziej, że Felim też zdawał się już zmęczony tą sytuacją. Uśmiechnął się więc i zaczął przyjacielską pogawędkę z harfistką.

- Gdzie nauczyłaś się zawodu barda? - zapytał, nie patrząc na nią, kiedy szli główną ulicą Galaban.

- W miejskich kanałach! - odpowiedziała kobieta, krzywiąc się.

„No to tyle, jeśli chodzi o moje dobre intencje - pomyślał rozgoryczony magistel. - Nie da się zaprzyjaźnić z tą arogantką”.

- To by wyjaśniało twój zapach! - odpowiedział z kpiącym uśmiechem, następnie skręcił w prawo, gdzie zauważył zakład kowalski.

Był to mały drewniany budynek stojący przy głównej handlowej ulicy miasteczka. Większość sklepów była już zamknięta, a kowal sprzątał właśnie swoje narzędzia, kiedy Galiad poklepał go po ramieniu.

- Przepraszam, widzę, że już zamykacie, ale te konie bardzo potrzebują nowych podków, a nam się niezwykle spieszy. Musimy wyruszyć jeszcze tego wieczoru... Czy możecie się nimi zająć?

Brzuchaty kowal spojrzał nieufnie na rycerza w zbroi i westchnął.

- Na Mojre, czy ludzie zawsze muszą przychodzić akurat, kiedy zamykam?

Zza szerokich pleców magistela wychyliła się Faith i posłała kowalowi swój najśłodszy uśmiech.

- Mogę wam coś zaśpiewać, żeby wam się lepiej pracowało - powiedziała ze śmiechem.

Kowal burknął coś pod nosem, po czym wytarł ręce w fartuch i dał znak, by wprowadzili konie do stajni.

Na pierwszy rzut oka było widać, że ten człowiek naprawdę kocha swoją pracę. Każde narzędzie miało swoje miejsce, a wiele z nich wykonanych było najpewniej przez samego kowala. Tuż przy wejściu, w drgającym żółtym świetle lampionu, Galiad z uważył drewniane przedmioty symbolizujące z pewnością pr; należność do cechu kowali, a dalej, za szklaną szybą, dzieło sztuki, które świadczyło o talencie kowala: żelazną rzeźbę przedst* wiającą pięknego skrzydlatego konia.

Kowal wskazał przybyszom miejsce na drewnianej ławce.

- A może wrócimy, jak skończycie? Ile czasu wam to zajmie? «a'- zapytał Galiad.

- Uwinę się raz-dwa, ale, z całym szacunkiem, z waszym wyglądem... lepiej będzie dla was, jak zostanieie tutaj, magistelu,

Galiad zmarszczył brwi.

- Co macie na myśli?

- Wasza podobizna wisi na wszystkich murach miasta, magistelu. Król was szuka.

Faith rzuciła Galiadowi zaniepokojone spojrzenie. Zdaje się, że popełnili poważny błąd. Przecież Felim przewidział, że mogą zostać rozpoznani, i mimo próśb Alei Galiad nie powinien był tu przyjeżdżać.

- Ale nie martwcie się - uspokoił ich rzemieślnik - u mnie nic wam nie grozi. Uważam króla za skończonego idiotę i nie mam zamiaru wydawać was jego żołnierzom. Usiądźcie proszę, a ja postaram się skończyć jak najszybciej.

Galiad zawahał się przez chwilę. Czy miał jednak wybór? A więc Eoghan rozesłał listy gończe po całym królestwie, nawet w najmniejszych miasteczkach. Magistel nie mógł oprzeć się wrażeniu, że są zwierzyną, na którą poluje wielu myśliwych, a naganiacze znajdują się tuż-tuż.

- Jesteśmy wam bardzo wdzięczni - powiedziała kobieta bard. - Odejdziemy, jak tylko podkujecie konie. Nie chcemy przysparzać kłopotów. Jednakże musimy jeszcze zdobyć trochę jedzenia. Czy wiecie, gdzie możemy je znaleźć, nie narażając się na spotkanie z... żołnierzami?

Siedzący na niskim taborecie kował, ściskając końskie kopyto między kolanami, podniósł głowę i spojrzał na młodą kobietę.

Waszej podobizny nie ma na afiszach, panienko. O ile wiem, żołnierze was nie szukają. Może panienka spokojnie poruszać się po miasteczku.

Faith popatrzyła na Galiada pytająco.

Ten skinął głową. Przypomniał sobie słowa dziewczynki. „Nie ma już czasu do stracenia”.

*

Podczas gdy przybyły do hrabstwa Sarre druid Finghin nakłonił Albatha Ruada, by zgodził się przyjąć strategię Rady względem Tuathannów, Kiaran napotkał w Ziemi Brunatnej więcej trudności, niż się spodziewał.

Meriand Mor Piękny, hrabia Ziemi Brunatnej i brat króla, nie spieszył się z przyjęciem druida w swym zamku w Mericourt. Kazano mu czekać przez wiele godzin w pustej i zimnej komnacie, nie oddając mu należnych jego pozycji honorów. Ziemia Brunatna była w stanie wojny i hrabia nie miał czasu ani ochoty zajmować się jakimś druidem, który, jak się domyślał, był stronnikiem króla. Eoghan Mor z Galacji nie zareagował i do tej pory nie udzielił żadnej pomocy swemu bratu. Tuathannowie zajęli już całą północ hrabstwa, a Meriand musiał bronić się sam, z armią, która nie była na to przygotowana.

Nienawiść, która dzieliła braci Mor, trwała od czasu koronowania starszego z nich, a właściwie pojawiła się już na drugi dzień po śmierci ich ojca. Meriand miał nadzieję, że gdy jego brat zostanie królem, przeznaczy mu specjalne miejsce w królestwie, a nie uczyni go zaledwie zwykłym hrabią. Zazdrość zżerała duszę hrabiego, który żył już tylko jedną nadzieją: że kiedyś zajmie miejsce brata i zasiądzie na tronie Galacji. Najazd Tuathannów poważnie utrudniał sprawę.

Jednak nim noc zapadła, hrabia Meriand przyjął u siebie Wielkiego Druida. Siedząc za ogromnym drewnianym stołem, kazał wpuścić Kiarana i wskazał mu miejsce w szerokim fotelu

obitym szarym aksamitem. Królewski brat był mężczyzną pociągającym i eleganckim, dzięki czemu zyskał przydomek Meriand Piękny. Ubrany był w strój z błękitnego jedwabiu i koronki, a na piersi wyhaftowany miał swój herb: srebrną chimere.

- Mów, druidzie, nie mogę ci poświęcić zbyt wiele czasu - oświadczył, zanim jeszcze Kiaran zdążył usiąść.

Kolejny raz hrabia zdawał się celowo łamać zasady grzeczności, które nakazywały mu okazywać więcej szacunku Wielkiemu Druidowi. Nie przestrzegano tu bizańskiej decenzy.

- Mericourt bardzo się zmieniło od mojej ostatniej wizyty - zaczął druid z szerokim uśmiechem.

- Przejechaliście całą Gaelię, by mi to powiedzieć? - niecierpliwił się hrabia, który najwyraźniej nie miał ochoty bawić się w słowne gierki, z jakich słynęli druidzi.

- Choć Sai-Mina leży niemal na drugim końcu królestwa, Ziemia Brunatna jest obecna w sercu Rady Druidów. Nie przebyłbym całej tej drogi, gdybyście nie byli dla nas równie ważni, jak pozostałe regiony wyspy.

- Tak, nasze oddalenie działa z pewnością na naszą korzyść. Mamy tu w Ziemi Brunatnej takie powiedzenie: „Wszystkie małżeństwa są szczęśliwe, to wspólne śniadanie powoduje próbiemy...”

- Przeszabawne. Jednak nie przybyłem tu proponować wam ani małżeństwa, ani wspólnego śniadania, drogi hrabio.

- Tym lepiej. Więc czego chcesz?

Wielki Druid celowo milczał przez chwilę. Chciał pokazać hrabiemu Ziemi Brunatnej, że nie robi on na nim wrażenia. W Gaelii to druidzi mianowali królów, nie na odwrót.

- Eoghan nie pomoże wam pokonać Tuathannów.

Hrabia wydawał się zszokowany.

- Czy to on wysłał cię, byś mnie o tym poinformował?

Nie, ale to oczywiste - odparł Kiaran. - Nie informuję was o tym, dedukuję za was. Eoghan nie przyjdzie wam z pomocą, a jeśli nikt nic nie zrobi, Tuathannowie dojdą tu przed upływem miesiąca. Z pewnością wezmą sobie wasz tron, a razem z nim waszą głowę.

- Moja armia wystarczy, by ich odeprzeć - odparł Meriand.

- Potrzeba by czterech takich armii jak wasza, by zatrzymać Tuathannów. Jeśli jeszcze tego nie pojęliście, zapewniam, że jest mi niezmiernie przykro, ale szykujecie sobie nieprzyjemną niespodziankę. Jeśli wierzyć doniesieniom, Tuathannowie są lepiej wyszkoleni niż rycerska elita Galacji, a ich nienawiść do nas jeszcze podwaja ich siły. Nie macie z nimi żadnych szans.

Hrabia zmarszczył brwi. Zaczynał się niecierpliwić.

- Jeśli przyszedłeś mnie zniechęcić i nastraszyć, to wiedz, że mam ważniejsze rzeczy niż słuchanie ciebie i żaden nawiedzony druid nie będzie mnie pouczał.

Kiaran, nieruchomy, kontynuował monotonnym głosem z powagą na twarzy:

- Za miesiąc będziesz martwy.

Hrabia otworzył usta, ale nie był w stanie wymówić zdania. Tym razem słowa druida naprawdę go dotknęły. Był sparaliżowany.

- Lecz Rada ma dla was lepszą propozycję - ciągnął Kiaran tym samym tonem.

Meriand opadł na aksamitne oparcie fotela i westchnął ciężko.

- Odstąpcie Tuathannom część waszego terytorium, by mogli się tam osiedlić, a później razem przekonamy ich, by wzięli Harcourt i tym się zadowolili. Dzięki temu wstrzymają inwazję, a my przy okazji pozbedziemy się problemu Harcourt.

- Jacy „my”? - zaniepokoił się hrabia.

- Wy, Galacja, Bizania, Sarre i Rada Druidów, oczywiście! Jeśli połączymy nasze siły i dar przekonywania, Tuathannowie nie ośmielą się odmówić.

- Wykluczone, abym odstąpił choćby skrawek mojego hrabstwa - obruszył się Meriand, waląc pięścią w stół. - Mój brat jest królem, Galacja jest bogatsza, niech to on odda część swojego królestwa. Wtedy zobaczymy, czy możemy połączyć siły.

- Tuathannowie są już na waszej ziemi.

- Jeśli Eoghan odda im część Galacji, odejdą.

- Wasz brat nigdy się na to nie zgodzi.

- A więc nigdy nie będziemy sprzymierzeńcami.

Kiaran poczuł, że partia jest przegrana. Hrabia był bardziej uparty niż mieszkańcy Sarre, ale druid nie rezygnował.

- Wolisz umrzeć?

- Wolę bronić mieszkańców swego hrabstwa.

- Meriandzie, popełniacie straszliwy błąd. Tuathannowie zgładzą ciebie i twoich poddanych, a wtedy twój brat odda najeźdźcom całe twoje hrabstwo. Możemy powstrzymać epidemię wcześniej, jeśli zgodzisz się na nasze warunki.

- Nie odstąpię ani skrawka tej ziemi - powtórzył hrabia ze złością, po czym wstał gwałtownie. - Wracaj do swojej Rady, druidzie, i powtórz swoim braciom, że Meriand Mor nie będzie kozłem ofiarnym, ani waszym, ani króla. Skoro zdecydowaliście się paktować z Eoghanem na moją zgubę, ogłaszam, że druidzi są odąd niepożądani w całym hrabstwie. Powiadomcie tych waszych braci, którzy nauczali na moich ziemiach, że mają dziewięć dni, by opuścić Ziemię Brunatną. Po tym terminie będą aresztowani jako zdrajcy.

Do widzenia - zakończył i wyszedł zdecydowanym krokiem.

*

Mimo panujących ciemności Galiad i Faith bez trudu odnaleźli swych towarzyszy. Rozbili obóz w pewnym oddaleniu od miasta, wśród gęstych drzew w dolinie.

Konie były podkute i najedzone. Kowal okazał się bardzo szlachetnym człowiekiem. Galiad uśmiechnął się na myśl, że są jeszcze w Galacji ludzie dobrej woli. Później sprawdził okolicę. Założył pułapki wokół obozu i powiedział Mjollnowi, by nie rozpałał ogniska.

Siedzieli w zupełnej ciszy przez parę godzin, wyczerpani i niespokojni, pośród cieni, które malował między nimi księżyc. Nawet powietrze było przytłaczające. Wszyscy myśleli o groźbie ataku 1 lerilimów i listach gończych wystawionych przez króla. Nikt nie miał ochoty na rozmowę.

Felim przez cały wieczór klęczał. Alea zrozumiała, że gromadził w ten sposób energię. Wyglądało na to, że stara się skoncentrować, by znaleźć w sobie szczególną siłę, i ona domyślała się jaką. Z całą pewnością szykował się do walki.

Potem nagle zobaczyła otaczającego go Saimana. Nie potrafiła tego wyjaśnić, ale widziała jakby fale ciepła, które kłębiły się wokół druida, i wiedziała, że tylko ona mogła je zobaczyć. Alea z otwartą buzią podziwiała ten wielokolorowy spektakl. Poczowała na sobie zdziwione spojrzenie Mjollna, który nie rozumiał, co takiego przykuwało jej uwagę, ale nie była w stanie oderwać wzroku od pięknych spirali otaczających ciało druida.

Felim widocznie uświadomił to sobie, bo nagle Saiman zniknął. Druid długo patrzył na Aleę, po czym położył się bez słowa.

Alea westchnęła i też się położyła, by posłuchać Faith, która w końcu zdecydowała się zagrać na harfie.

Była to wolna i smutna melodia, która oddawała ich strach i niepokój. Faith potrafiła uchwycić emocje swoich towarzyszy i zamienić je w muzykę, w kaskadę czystych tonów i nut bogatych w sens. W jej akordach pobrzmiwały ich wspólne obsesje, ale także gniew Alei, strach Mjollna, napięcie Galiada, wahania Felima i w końcu jej własne żale. A później, w długiej skardze ostatniej nuty, na końcu każdej frazy, pobrzmiwała jakby odrobina nieśmiałej nadziei, jak dziecięce pytanie zadane w nocy.

Alea pozwoliła się ukołysać muzyce harfistki i wkrótce zasnęła mimo zimna. Zaraz potem rozpoznała bajeczną krainę swoich snów.

Ciepło i przyjemnie. Jaka piękna łąka dookoła mnie. Jak łoże bez końca, na którym śpię z otwartymi oczami. Dźwięki dochodzą do mnie falami w podmuchach wiatru, który przynosi słodką, prostą muzykę. Jej nuty tworzą odpowiadające sobie frazy, które ściskają mi gardło i sprawiają, że wilgotnieją mi oczy. Mam wrażenie,

że świat wokół mnie wiruje, a te melodie przynoszą mi zapomniane wiadomości, które czekały tam, w oparach snu. Tak jakby te nuty były tam już wcześniej. Dużo wcześniej. Od zawsze. Wystarczy je zagrać. Prawda?

A teraz... tak bym chciała, by to był Erwan, te kroki, które zbliżają się do mnie. Móc mu powiedzieć, jak mi go brakuje. Jak stał się ważny, jak mną zawładnął, jak czuję go w każdym oddechu, w każdym uderzeniu serca, jak widzę go w każdym geście jego ojca. Tak bardzo żałuję, że nie umiałam mu powiedzieć, jak bardzo go kocham. Tak bym chciała, by to był on, by nasze dłonie mogły się zetknąć na tę jedną, wieczną chwilę i by czas mógł nas połączyć, abyśmy stali się jednością. Tak bym chciała, by to był on. Ten, którego wiatr i muzyka do mnie prowadzą. Niech przyjdzie, a z nim koniec naszych trosk. Żyjmy razem wśród błędnych ścieżek, zapomnianych dróg, tam, gdzie oko ludzkie nie sięga. Niech moje życie ma sens. Obym nie żyła po to, by umrzeć głupio, nim zdążę wziąć jego dłoń w swoją. Niech nasze ręce się połączą i niech zniknie cała reszta.

Pamiętam jego głos, jego słowa, jego spojrzenie, jakbym знаła je zawsze, jakby tam był, zanim go spotkałam, jakbym przeżywała historię napisaną tylko dla mnie i dla niego. Jakby były tam te nuty. Wystarczy je tylko zagrać.

Tak bym chciała, by to był on.

- Tutaj nie ma czasu. Nie ma czasu, który nagli. Nie tutaj.

Podnoszę oczy i widzę innego chłopca. To nie jest Erwan. Przez chwilę wydawało mi się, że to jego głos. Wydawało mi się, czy raczej chciałam, by tak było. Ale nie, to nie on. To inny głos, innego chłopca w tym samym wieku.

Nigdy wcześniej nie widziałam tej twarzy, nie znam go, a jednak jest tutaj, tak jak był Erwan. Ma goły tors. Jego ciało pokrywają niebieskie symbole. Tak niebieskie jak jego długie, wysoko związane włosy. Lecz to wszystko nie jest ważne. To nie to widzę. Widzę jego oczy wpatrzone we mnie. Jedno niebieskie, a drugie czarne. Morze, niebo i noc.

- Kim jesteś?

Teraz to mój głos. Poza mną, ale go rozpoznaję. Podniosłam się ze złotej trawy. I tak jak on jestem naga, a na moim ciele są te symbole, niebieskie.

- Mam na imię Tagor.

Już nie wiem, czy śnię. Świat dookoła mnie jest tak nierealny, a jednak wydaje mi się, że już nie śpię. Zaczynam się bać. To nie jest normalny sen. Coś się ze mną dzieje.

- Co ty tu robisz, Aleo?

Odwraca się do mnie plecami. Skąd zna moje imię?

- Nie wiem. Skąd znasz moje imię?

Jego obraz faluje, rozmywa się, oddala, a z nim ląka.

- Tutaj czas nie istnieje, Aleo. Ten świat należy do nas.

*

Po przekroczeniu granicy hrabstwa Harcourt u podnóża gór Gor-Draka Aodh stracił pewność, czy dokonał właściwego wyboru. Został schwytany w pułapkę bez wyjścia i wołał raczej umrzeć, niż przyznać się do porażki. Miał nadzieję, że będzie to nauczka dla Rady, a zwłaszcza dla Ailina, lecz w tej chwili zadawał sobie pytanie, czy naprawdę warto dla tej nauczki poświęcić własne życie.

Najbardziej poruszyły go słowa młodego Finghina. Jak się wydawało, najmłodszy z druidów doskonale zrozumiał, że Arcydruid zastawił pułapkę. Jeśli ten młody człowiek mógł to dostrzec, nie ma wątpliwości co do tego, że

większość Wielkich Druidów zrozumiała grę Arcydruida i chroniłaby Aodha, gdyby powrócił, nie wypełniwszy swej misji. Rada Druidów z pewnością by mu wybaczyła, ale czy zniosłby takie upokorzenie? Nie. Teraz, kiedy przyjął rozkaz Arcydruida, musi znaleźć inny sposób, by wyjść z tego cało.

Wjechał na terytorium Harcourt i z każdym krokiem przybliżał się do pewnej śmierci. Biskup Thomas Aeditus nienawidził druidów, w końcu ich istnienie przeczyło temu, co głosił i w co wierzył. Druidzi mieli wielu bogów, a nad nimi stała bogini Mojra, której kult szerzył się na całej wyspie. Dla Thomasa istniał tylko jeden bóg i był to ojciec Chrystusa. Najbardziej jednak drażniła biskupa polityczna władza druidów. Ich Rada była w królestwie Galacji poważną siłą, a zarazem największym wrogiem najlepszego przyjaciela biskupa, hrabiego Harcourt.

Po drodze Aodh minął kilku mieszkańców hrabstwa, którzy patrzyli na niego nieufnie: nie lubiano tutaj symbolu Mojry, który druidzi nosili na piersiach. Większość Harcourtczyków nawróciła się na wiarę w jednego boga. Jego symbolem był wielki krzyż, na którym, jak nauczali Thomas Aeditus i jego mnisi, umarł Chrystus. Ten zaś był bogiem, który stał się człowiekiem. Według mieszkańców Harcourt, a przede wszystkim według hrabiego i biskupa, na tych ziemiach nie było miejsca dla innych wierzeń.

Lecz Aodh nie dostrzegał spojrzeń tych ludzi. Zatopiony w swych myślach, galopował w stronę Rii, stolicy hrabstwa, rzucając czasem pełne podziwu spojrzenie na postrzępione szczyty Gor-Draka, na których w świetle wiosennego słońca skrzyły się kryształowe wieczne śniegu.

Było już za późno, by się wycofać, gdy zobaczył przed sobą patrol Rycerzy Płomienia. Wszyscy ubrani byli w kolczugi, na które narzucili białe peleryny z wyhaftowanym czerwonym płomieniem, herbem hrabiego Al'Roega.

Aodh zatrzymał konia, zastanawiając się, czy zawrócić, czy salwować się ucieczką, ale nie miał już na to czasu, rycerze byli już niemal przy nim.

- Ktoś ty? - zapytał ten, którego zdobiony hełm wskazywał, że jest najwyższy stopniem.

- Jestem Heliód Taim, moi bracia zwań mnie Aodhem. Jestem Wielkim Druidem w Radzie z Sai-Miny.

Rycerz przyglądał mu się długo, z obiema rękami złożonymi na kuli siodła.

- Jesteś na ziemi Harcourt, panie. Dlaczego nosisz symbol Mojry?

- Jak rycerz nie rozstaje się ze swoim mieczem, tak i druid nie zdejmuje swego białego płaszcza. Przyjechałem zobaczyć się z hrabią Al'Roegiem.

Sześciu rycerzy wybuchło śmiechem.

- Przyjechał zobaczyć się z hrabią! Słyszycie to? - drwił dowódca, odwracając się do swoich ludzi. - Ech, druidzie, tupetu to ci nie brakuje. Wracaj, skąd przybyłeś, a oszczędzę twoje życie...

- Nie zrozumieliście. Przyjechałem zobaczyć się z Ferenem Al'Roegiem, hrabią Harcourt, i nie wyjadę, nim się z nim nie spotkam.

- A ja nie żartuję, druidzie. Zawracaj natychmiast albo zawiś- niesz na najbliższym drzewie.

- Jakim prawem?

- Ustanowionym przez hrabiego, biedny głupcze.

- Hrabia Al'Roeg pozwoliłby wam powiesić ambasadora Rady, który przybywa zaproponować mu układ?

- Hrabia Al'Roeg dobrze by zapłacił za twoją głowę i sam się dziwię, dlaczego jeszcze z tobą gadam, kiedy powinienem był cię powiesić, jak tylko cię zobaczyłem. Brać tego człowieka!

Aodh zobaczył, że ludzie kapitana schodzą z koni i zbliżają się do niego z podniesionymi maczugami i mieczami. Nie tracił ani chwili. Pozwolił, by ogarnął go Saiman, i zeskoczył na ziemię.

Wprawił gorejącą energię w wibracje w każdym zakątku swojego ciała i w ostatnim momencie pozwolił jej wybuchnąć poza sobą. Chwilę później jego ciało przemieniło się w błyszczącą masę żelaza, jego nogi i ramiona stały się długimi ostrzami, które wprawił wokół siebie w niezwykle morderczy taniec. Posłużył się własnym ciałem niczym całą armią uzbrojoną w miecze i w podskokach zbliżał się do osłupiałych rycerzy.

- Zostawcie miecze! - wrzasnął dowódca. - Atakujcie maczugami i rozbijcie go na kawałki!

Lecz Aodh był szybszy. Opuścił ostrze swej prawej nogi na ramię najbliższego żołnierza, który został przecięty na pół aż do pasa, po czym kontynuował swój morderczy taniec.

Rycerze, otrząsnąwszy się z szoku, otoczyli druida i puścili w ruch swoje maczugi. Aodh celnym ciosem podciął gardło drugiemu rycerzowi. Kiedy dosięgła go pierwsza maczuga, brutalny cios sprawił, że płomień Saimana zdrzął w jego umyśle, lecz szybko odzyskał nad nim kontrolę. Nagle odwrócił się i pochylając się nisko, powalił napastnika, ucinając mu nogi. Podniósł się natychmiast i jednym ciosem pięści rzucił na ziemię kolejnego.

Dowódca widząc, że druid zabił czterech jego ludzi w tak krótkim czasie, podniósł się w siodle i natarł na niego.

- Na krzyż Chrystusa! - zakrzyknął, rzucając się na druida.

Aodh schylił się w ostatniej chwili i uniknął spadającego nań ciosu. Ostatni rycerz skorzystał z tego, by uderzyć go z całej siły, i dosięgnął metalowego biodra Aodha. Uderzenie było straszne, żelazo starło się z żelazem, aż dookoła posypały się iskry. Druid stracił równowagę i upadł na ziemię. Przetoczył się pod konia kapitana i wbił ostrze swego ramienia w brzuch zwierzęcia, które padło kilka metrów dalej, zrzucając swego jeźdźca.

Aodh wstał i zaczął nacierać na ostatniego rycerza, kiedy za jego plecami kapitan podnosił się z ziemi. Rycerz zasłonił się tarczą, ale Aodh przypuścił straszliwy atak. Podskoczył tak wysoko, że zdołał wykonać w powietrzu dwa ciosy, najpierw prawą, później lewą nogą. Pierwszy cios wytrącił rycerzowi z rąk jego tarczę, drugi skrócił go o głowę.

Aodh padł wyczerpany na ziemię. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że kapitan wsiada na innego konia i ucieka w przeciwnym kierunku. Na ziemi leżało pięć rozsiekanych trupów i kiedy Aodh odzyskał swą ludzką postać, jego stopy brodziły we krwi.

Złapał oddech i poszedł szukać swojego konia. Zawahał się chwilę, patrząc ze wstrętem na poćwiartowane szczątki pod kopytami wierzchowca, i nie zastanawiając się dłużej, ruszył galopem w stronę Rii.

Na południu miejsce morza zajęły góry. Krajobrazy zachodniej Gaelii przemykały przed jego oczami niczym we śnie. Pod koniec dnia nie wiedział już, ile czasu spędził skulony w siodle, galopując pod wiatr. Bolały go plecy, a oczy ciągle łzawiły. Znalazł osłonięte miejsce na obóz i rozpałił ognisko.

Był wyczerpany, rozbity, a przede wszystkim czuł się niewiarygodnie samotny. Tak bardzo by chciał, by był tu z nim Adrian, jego magistel. Odegnął od siebie tę myśl i próbował odzyskać siły.

Ta bitwa była bardzo wyczerpująca i wytrąciła go z wewnętrznej równowagi. Nie wiedział już, co dalej robić. Słowa młodego Finghina, atak Rycerzy Płomienia, zmęczenie - wszystko podpowiadało mu, by zrezygnował. Jednakże był druidem i nie mógł pozwolić sobie na tchórzostwo.

Aodh skrył twarz w dłoniach i spróbował dojść do siebie. Jego palce palił ogień. Czuł się całkowicie bezbronny. Jak w pierwszych dniach swej nauki.

Nagle usłyszał z boku jakiś szelest dochodzący z za wielkiej szarej skały. Podniósł się gwałtownie, by zobaczyć, kto nadchodzi. Spostrzegł sylwetkę wysokiego mężczyzny, który szedł, podpierając się kijem.

- Nie bój się! Jestem tylko starym człowiekiem.
Mężczyzna zbliżał się, kulejąc. Był bogato ubrany, a jednak zdawał się zagubiony wśród pustkowi. Jego postać wcale nie budziła zaufania.

- Zobaczyłem twój ogień i przychodzę jako przyjaciel.

Aodh poczekał, aż ujrzy twarz nieznanego, po czym, wciąż patrząc na niego nieufnie, dał mu znak, by usiadł.

- Dobry wieczór. Kim jesteś? - zapytał starca, siadając obok.

- Jestem pewny, że mnie rozpoznasz, Wielki Druidzie...

Aodh cofnął się.

„To prawda, jego twarz coś mi mówi - pomyślał. - Od dawna jednak tej twarzy nie widziałem, bo nie mogę sobie przypomnieć, skąd ją znam. To dziwne. Jeśli go znam, to spotkanie nie może być przypadkowe. Czyżbym wpadł w nową pułapkę?”

- A powinienem? - zapytał po prostu.

- Byłeś bardzo młody, mój bracie, kiedy opuściłem Radę.

Aodh zmarszczył brwi. Przypomniał sobie.

„Niemożliwe. Jakim cudem go spotkałem? Skąd się tu wziął?

Własnym oczom nie wierzę!”

- Jesteś... Samael?

Starzec zadawał się podniesiony na duchu i uśmiechnął się szeroko.

- Ach, już od tak dawna nikt nie zwrócił się do mnie moim druidzkim imieniem... To miło się dowiedzieć, że nie zostałem tak całkowicie zapomniany. A ty jesteś Heliód Taim, prawda?

- Moi bracia zważają mnie teraz Aodhem. Zdezerterowałeś z Rady dokładnie w dniu mojej inicjacji.

Starzec wybuchnął śmiechem.

- Zdezerterowałem? Tak określacie moje odejście?

- Tak mówi się o druidzie, który z własnej woli opuszcza Radę.

- Między „opuścić z własnej woli” a „być zmuszonym do odejścia” jest subtelna różnica, mój drogi druidzie. Ale pomówmy raczej o tobie... Co robisz tak daleko od Sai-Miny i to bez swojego magistela?

- Przyjechałem zobaczyć się z Ferenem Al'Roegiem, hrabią Harcourt, by się z nim rozmówić.

- Ach... Szkoda, że nie wysłali Kiarana. Kiedyś byliśmy sobie bliscy i chciałbym go zobaczyć, by porozmawiać o świecie snów... A ty o czym chcesz rozmawiać z hrabią?

Aodh zdał sobie nagle sprawę z niestosowności tego dialogu.

- Samaelu, pojawiaasz się nagle w samym środku Harcourt, po wielu latach nieobecności, kiedy jesteś poszukiwany przez Radę, która chce twojej śmierci, i siadasz obok mnie, by prowadzić niewinną pogawędkę? Mógłbym cię zmusić do powrotu przed oblicze Rady, aby cię osądziła...

Najpierw musiałbyś być w stanie zmusić mnie do czegokolwiek... Nie jestem już w Radzie, ale ciągle mam Saimana, młody i y.łowiek, i nie straciłem umiejętności posługiwania się nim. W każdym razie coś mi mówi, że tego nie zrobisz... Ciebie też zmuszono do wyjazdu, prawda?

Aodh nie odpowiedział. Dostrzegł kpiący uśmiech starca i rozgniewało go to.

- Co robisz, Samaelu, odkąd opuściłeś Radę?

Starzec uśmiechnął się szeroko.

- Najpierw przez kilka lat próbowałem zapomnieć o nienawiści do Eloi, Arcydruida, który był przyczyną mojego odejścia.

- Eloi nie żyje, Samaelu, zastąpił go Ailin.

- Tak, słyszałem o tym. Ailin jest inteligentnym człowiekiem, jestem pewny, że dobrze wypełnia rolę Arcydruida. Nie mylę się, prawda?

„Prowokuje mnie - pomyślał Aodh. - Wie, że jestem tu przez Ailina, i chce dać mi to do zrozumienia. Ale dlaczego? Czy ma nadzieję, że pocieszę go, wyznając, iż jestem taki sam jak on? Bo utrzymałoby go to w przekonaniu, że to Rada się go pozbyła? A może chce się posłużyć moim gniewem na Ailina w innym celu? Muszę zmusić go do mówienia, samemu zdradzając jak najmniej”.

- A co potem robiłeś?

- Mogę opowiedzieć ci o swoim życiu, ale musisz przestać unikać moich pytań. Nie obrażaj mojej inteligencji, bracie, jestem tu, bo tak chcę, i mogę odejść bez słowa. Myślę, że zasługuję na odrobinę zaufania, a w każdym razie choć trochę szacunku.

„Spostrzegł, że zrozumiałem jego grę. Muszę go uspokoić i lepiej go poznać, zanim porozmawiam z nim szczerze. W końcu interesuje mnie to, co ma do powiedzenia”.

- Bardzo cię szanuję, Samaelu, ale zrozum, że jestem zaskoczony i ostrożny. Odwróciłeś się od zakonu, do którego należę.

- Od nikogo się nie odwróciłem. Nie jestem tu jednak po to, by się usprawiedliwiać. Eloj umarł, a wraz z nim moje pragnienie zemsty. Żałuję, że inni Wielcy Druidzi nie potrafili sprzeciwić się niesprawiedliwości, która zmusiła mnie do odejścia, ale to już przeszłość. W każdym razie większość z nich też już nie żyje. Nie mam ochoty ani cię przekonywać, ani wzbudzać w tobie współczucia.

- A więc powiedz mi po prostu, co robi Wielki Druid, kiedy opuści Radę.

„Może to pytanie obudzi w nim nadzieję, że ja też zamierzam opuścić Radę. Jestem pewny, że właśnie na to liczy”.

- Próbowałem spojrzeć na świat nowymi, czystymi oczami, nieskażonymi kulturą narzuconą przez Radę. Pośród druidów widzi się świat takim, jakim on wcale nie jest. W końcu ufa się wyłącznie Radzie i interpretuje wszystko tak jak ona. Zapomina się, że na świat należy patrzeć sercem. Po kilku latach przekonałem się, że moja wizja świata była całkowicie mylna, a więc Rada była w błędzie.

- To znaczy? - zapytał Aodh, który zaczynał być naprawdę zainteresowany.

- Mojra - odpowiedział po prostu starzec.

- Co z nią?

- To jedno wielkie kłamstwo.

Aodh wytrzeszczył oczy. Tego się nie spodziewał.

„Stary całkiem oszalał. Nie mogę się z nim spierać, źle by to odebrał. Lecz nie mogę go też zignorować. Będzie chciał przedstawić swoje argumenty”.

- Mojra nie istnieje, bracie, to tylko głupia interpretacja tego, co naprawdę kieruje światem. A gdzie wolna wola, gdzie logika, gdzie cel w działaniach Mojry? I jak może ona cokolwiek wyjaśnić?

- A co jest do wyjaśnienia?

- Istnienie człowieka, życie. Wszystko. Dlaczego tu jesteśmy? Nie odpowiadaj: bo tak chciała Mojra, błagam. To nie odpowiedź, to kłamstwo. To zbyt proste.

- A więc jaka jest twoja odpowiedź?

Szukam jej. W tej chwili interesuję się bogiem chrześcijan. Zresztą biorą mnie za jednego ze swoich, wyobraź sobie, że mianowali mnie nawet biskupem. Czy to nie zabawne? Biskup Natalien, tak mnie zwał. Gdyby tylko wiedzieli, że kiedyś byłem druidem!

- I jaka jest rzeczywista różnica między ich domniemanym bogiem i Mojrą? - nalegał Aodh.

- Och, nie jest wielka. Lecz oni przynajmniej akceptują pismo i tu jest prawdziwa różnica. Nawet się nie domyślasz, co można znaleźć w księgach! To moje prawdziwe szczęście.

Aodh siedział zakłopotany.

- Trudno to przyznać dawnemu Wielkiemu Druidowi. A jednak to prawda. Lecz by to zrozumieć, trzeba spojrzeć na świat, porzucając całe to głupie nauczanie rozprzestrzeniane przez Radę od tylu pokoleń. A cały świat przyjął je na ślepo.

- Jesteś... Jesteś z Thomasem Aeditusem? - wyjąkał Aodh, który dostrzegł szaleństwo pobrzmiewające w słowach swojego rozmówcy.

- Kpię sobie z Aeditusa! Interesuje mnie tylko wiedza ukryta w księgach, bo wiedza to... władza. A Harcourt jest idealnym hrabstwem dla moich ambicji. Jest tu Mont-Tombe, wszystkie księgi Mont-Tombe są dla mnie dostępne! A każda z nich otwiera przede mną nowe drzwi. Wkrótce zasiądę na tronie, który jest mi przeznaczony.

„Chce zająć miejsce Al'Roega! Na Mojre, muszę uprzedzić Radę! Ten szaleniec chce przejąć władzę, posługując się Saimanem, a Rada nie wie nawet, że on tu jest. Muszę natychmiast wracać do Sai-Miny! Muszę zapomnieć urazy, wybaczyć Ailinowi i zapobiec tej katastrofie”.

- Samaelu, nie wiem, co powiedzieć...

- Powiedz mi po prostu prawdę: Rada wysłała cię tu z misją samobójczą, by się ciebie pozbyć, prawda? I nie otworzyło ci to oczu? Nie zrozumiałeś w końcu, że cię okłamują?

„On jest szalony. Muszę ruszać...”

- Co teraz zrobisz? Wrócisz tam i będziesz czekał, aż znajdą inny sposób, by się ciebie pozbyć? Zadałeś sobie przynajmniej pytanie, dlaczego tak bardzo chcą cię przegnać?

Aodh nie odpowiedział.

- Może bali się, że odkryjesz prawdę! Może dostrzegli w tobie przenikliwość, która pewnego dnia pozwoli ci zrozumieć, że Mojra to gigantyczne kłamstwo! Aodh, zastanów się!

- Już się zastanowiłem, Samaelu. A teraz muszę cię opuścić. Dobranoc.

Aodh wstał gwałtownie i podszedł do swego wierzchowca.

- Wielka szkoda, Heliodzie Taimie, popełniasz największy błąd w swoim życiu. A mogłeś być w końcu wolny!

- Nazywam się Aodh. Dobranoc! - powtórzył druid, wskakując na siodło.

Po kilku krokach, kiedy koń miał już przejść do galopu, Aodh poczuł rozrywający ból w środku pleców. Spuścił oczy i z przerażeniem ujrzał grot strzały przeszywający jego pierś. Przebiła mu serce. Kilka zielonych smug na grocie świadczyło o tym, że była zatruta.

Zdażył się już tylko obejrzeć i zobaczyć łuk w wyciągniętej ręce starca, po czym zabrała go śmierć.

*

Kiedy magistele powrócili do Sai Miny z wiadomością, że zgubili ślad Alei, Ailin wpadł w straszliwy gniew i zwołał zebranie w komnacie Rady. Kazał także wezwać młodego Finghina, który wypełnił swą ambadorską misję, mógł więc uczestniczyć w posiedzeniu Rady, choć nie był jeszcze Wielkim Druidem. Finghin i Kiaran właśnie tego dnia powrócili ze swej misji, więc dziesięciu druidów zasiadło w komnacie Rady.

Wszyscy od razu spostrzegli, że Ailin jest wściekły, i pośród zgromadzonych zapanowała ciężka atmosfera.

Młody Finghin nigdy wcześniej nie uczestniczył w posiedzeniu Rady Wielkich Druidów i był zaskoczony panującym tu napięciem, które jednak nie przeszkodziło mu wyciągać wniosków.

czył się niezwykle pilnie i korzystał z każdej chwili, by się kształcić, słuchając rozmów innych.

- Zaczniemy od dobrych wiadomości - poprosił Arcydruid. - Jest ich zbyt mało, by odkładać je na koniec naszego zebrania. Finghinie, jak zareagował król Eoghan?

Już samo to, że pozwolono zwykłemu druidowi uczestniczyć w Radzie, było niespotykane, a w dodatku oddano mu głos. Finghin poczuł na sobie spojrzenia wszystkich zebranych. Spokojnie i uważnie przedstawił jednak swój raport.

- Eoghan zaakceptował naszą propozycję. W zamian żąda, byśmy sami uregulowali kwestie dyplomatyczne, bez wątpienia będzie też trzeba mu pomóc uspokoić jego poddanych, którzy mogą patrzeć z niechęcią na odstąpienie części ziem. W każdym razie król jest przekonany, że pokój z Tuathannami wzmocni jego pozycję wobec Harcourt, z którego strony czuje coraz większe zagrożenie. Jeśli chodzi o Albatha Ruada, hrabiego Sarre, oczywiście przychylił się do decyzji króla.

- Dziękuję, Finghinie - powiedział Arcydruid z delikatnym uśmiechem. - A tobie, Kiaranie, jak poszło w Bizanii i w Ziemi Brunatnej?

- Bizania podda się woli Rady i króla Galacji. Alvaro jest oportunistą i zrobi wszystko, co mu powiemy. Meriand zaś jest dumny, a zazdrość wobec swego brata, króla, zaburza u niego zdrowy osąd rzeczy. Nie przyjął naszej oferty i jak wiecie, zarządził, by wygnać druidów z Ziemi Brunatnej.

- Nieważne. Nasi bracia mogą się udać do Galacji i poczekać, aż ten głupiec zostanie zdetronizowany, bo tak się stanie. To tylko kwestia czasu. Jednak naprawdę złą wiadomość została nam dziś przyniesiona przez bardów: nasz brat Aodh został zabity w Harcourt.

Po zgromadzeniu przeszedł szmer.

„Ernan lub Tiernan z pewnością coś powiedzą”, pomyślał Finghin. Lecz Arcydruid nie dał im na to czasu.

- Wiemy, że ponosimy ryzyko - podjął Ailin - i wiemy już, iż jeśli dojdzie do paktu z Tuathannami, będzie on skierowany przeciwko Harcourt. Wróg pozostaje więc ten sam.

„Trzeba być Arcydruidem, by mieć odwagę powiedzieć coś takiego w takich okolicznościach...”

- Kto zastąpi Aodha? - zapytał Ernan, otwierając wielki dziennik Rady.

- Dla Finghina jest być może jeszcze za wcześnie, choć okazał się godny. Aodh zwierzył mi się, że widziałby druida Oteliana jako swego następcę, zostanie on więc podniesiony do godności Wielkiego Druida, jak tylko znajdziemy czas, by przygotować ceremonię. Tymczasem jednak muszę się z wami podzielić drugą złą nowiną - kontynuował Arcydruid. - Dowiedzieliśmy się także o śmierci Aldero.

Przez zgromadzenie znowu przeszedł pomruk wzburzenia.

Arcydruid popatrzył na Finghina. Wydawało się, że waha się mówić w obecności młodego druida. Jednak podjął poważnym tonem:

- Zabił go Maolmórdha, którego nasz brat szukał przeszło rok. Był z pewnością jednym z najdzielniejszych druidów i jego śmierć jest dla Rady wielką stratą...

„O śmierci Aodha niczego takiego nie powiedział. Chyba nienawidzili się bardziej, niż przypuszczałem”.

- Jego uczeń Kalan zostanie podniesiony do godności Wielkiego Druida w tym samym czasie co Otelian. Drodzy bracia, podzielałam wasz ból, ale wiedzcie, że dzięki tej śmierci dowiedzieliśmy się czegoś ważnego: znamy miejsce, w którym ukrywa się Maolmórdha.

Ernan znów zaczął gryzmolić w dzienniku Rady.

- Przebywa w pałacu Shankha. Tak, w tym legendarnym pałacu. Ja też myślałam, że on nie istnieje, bo jak dotąd nikomu nie udało się go odnaleźć, tak przynajmniej twierdzą nasze archiwa.

Ernan przytaknął.

- Wygląda na to, że Maolmórdha postanowił obalić Radę, (O jest najpoważniejszym wydarzeniem w całej historii naszego zakonu, ponieważ moc tego renegata staje się coraz większa. Przeżywamy straszne chwile, od których może zależeć prze- I rwanie naszej społeczności. Z jednej strony z cienia wychodzi Maolmórdha, a z drugiej mamy tę dziewczynkę, Aleę.

„Oto, co tak naprawdę go martwi. Kieruje naszą uwagę w stronę Maolmórdhy, lecz to Alea go zajmuje. Być może właśnie z tego powodu wpadł w taki gniew. To niewiarygodne, że mała dziewczynka mogła do tego stopnia wyprowadzić z równowagi druida z jego doświadczeniem i mądrością. Można by pomyśleć, że naprawdę posiada wielką moc, może nawet moc Samildanacha”.

- Wszyscy wiecie, że uciekła tego dnia, kiedy mieliśmy poddać ją próbie Man itha z Gabhy. Tak jakby ktoś ją o tym uprzedził. Skoro Felim i jego magistel zniknęli następnego dnia, nie ma żadnych wątpliwości, że to Felim pomógł jej uciec w dziwnych okolicznościach... do których wolałbym nie wracać.

„Byłoby to bardzo interesujące. Bo nie wiem, jak mała dziewczynka mogła zrobić to, o czym mi opowiadano...”

- Chciałbym więc, co jest jak najbardziej oczywiste, byśmy głosowali nad skazaniem Felima na banicję. Wysztytował bowiem prawa ustanowione przez Radę i przeciwstawił się decyzji, którą wówczas przegłosowaliśmy Moi bracia, i ty, młody Finghinie, podnieście ręce, jeśli jesteście za skazaniem Felima na banicję.

Ręce zaczęły się nieśmiało podnosić jedna za drugą. Większość braci po raz pierwszy musiała brać udział w takim głosowaniu i większość z nich czuła się z tym nieswojo. Tylko Kiaran i Finghin nie podnieśli jeszcze rąk. Postępowanie Kiarana nie było dla nikogo niespodzianką. Wszystkie spojrzenia spoczęły na Finghinie, który poczuł, że się czerwieni.

„Taki sposób głosowania jest nie do przyjęcia. To z pewnością celowe. Jak nie ugiąć się wobec tej miażdżącej większości? Jeśli nie podniosę ręki, przysporzę sobie wrogów. Lecz jeśli podniosę ją t raz, po tym, jak tak długo zwlekałem, wyjdę na tchórza, który ni ma odwagi bronić swojego zdania. Zabrałem... Jedynym rozwiązaniem byłoby teraz zabrać głos, ale nie poproszono mnie o to, a mój status mi na to nie pozwala. Na Mojre, wszyscy na mnie p»« trzą. Muszę coś powiedzieć, nie mam wyjścia”.

- Moi drodzy bracia, gdyby Felim był zdrajcą, nie doprowa* dziłby nas do tej dziewczynki. Nie sprzeciwiał się waszej decyzji, lecz metodzie...

- Wystarczy! - uciał Ailin. - Druid nie przemawia do Rady, jeśli nie jest o to poproszony! A już na pewno nie w trakcie głosowania. To mogłoby wpłynąć na głosujących.

„Przecież tylko ja i Kiaran nie zagłosowaliśmy. Nie mogę mieć wpływu na nikogo, mogę się tylko wytłumaczyć. Kolejny raz Ailin jest gotów na wszystko,

byle tylko osiągnąć swój cel. Trudno. Przynajmniej miałem odwagę bronić swojego zdania".

- Felim został skazany na banicję większością głosów przeciwko dwóm, proszę zaprotokołować to w dzienniku - stwierdził Ailin uroczyście, rzucając młodemu druidowi lodowate spojrzenie. - Zgodnie z naszym prawem oznacza to, że będzie musiał zostać osądzony przez Radę i że grozi mu kara śmierci, a w najlepszym wypadku odebranie mu mocy przez Manitha z Saaran. Musimy go więc odnaleźć. A ponieważ jest wysoce prawdopodobne, że zdrajca jest razem z dziewczynką, której poszukujemy, proponuję wysłać trzech druidów i trzech magisteli. Tym razem konieczna jest pewność, że zbiegowie zostaną złapani i doprowadzeni przed Radę. Proponuję Shehana, Tiernana i Aengusa. Bracia, głosujmy...

Decyzja została przyjęta jednomyślnie, oczywiście z wyłączeniem Finghina.

- Dobrze. Jeśli chodzi o kwestię Tuathannów, teraz, kiedy Bizania, Sarre i Galacja zaakceptowały naszą propozycję, wkrótce wyruszę do Filiden, aby negocjować z Sarkanem, przywódcą plemion tuathanneńskich. Zebranie skończone. Niech nasi bracia wraz ze swoimi magistelami wyruszą jeszcze dziś.

1) ruidzi wstali i opuścili komnatę z przygnębieniem na twa- i /ach. Wszyscy mieli wrażenie, że po raz pierwszy Rada nie była w stanie kontrolować historii. Jakby jakaś złośliwa energia dzia- l.ila na wszystkich frontach naraz i każdego dnia uszczuplała siły Rady. Nagłe przyspieszenie wydarzeń było równie niezwykle, i o przerażające, miało w sobie posmak zaskakującej i niszczy- i iclskiej zmiany.

Ailin wyszedł z komnaty ostatni. Spuścił wzrok i zatopiony w myślach nie słyszał nawet swoich braci życzących mu dobrej nocy. Szedł tak ze spuszczoną głową aż do swej kancelarii, gdzie, jak co wieczór, czekał na niego archiwista.

- Emanie, ten młody Finghin ma w sobie coś niezwykłego, nie sądzisz? Jest po prostu błyskotliwy.

Archiwista nie odpowiedział, patrzył w milczeniu na Arcy- druida, który pogrążony w myślach przechadzał się w tę i we w tę po pokoju.

Stało się to już zwyczajem. Dwaj mężczyźni spotykali się co wieczór, Arcydruid mówił i mówił, rzucał czasem kilka retorycznych pytań, a archiwista nigdy mu nie odpowiadał. Czekał cierpliwie, aż Arcydruid dojdzie do konkluzji, a przede wszystkim uspokoi wzburzone nerwy, po czym tuż przed wyjściem rzucał mu jedno zaskakujące zdanie, nad którym stary Arcydruid medytował następnie przez pół nocy. Był to ich przyjacielski rytuał i z całą pewnością forma terapii dla starego, przygniecione go ciężarem swego stanowiska człowieka.

Widzisz, wydaje mi się, że bardzo przypomina mnie w jego wieku. Byłem tak samo uparty, ale i równie odważny. W tym wieku, jakkolwiek by się było błyskotliwym, myśli się sercem. A błyskotliwy to on jest, z całą pewnością. Czy zauważyłeś, z jaką uwagą przysłuchuje się wszystkim naszym rozmowom? Zaledwie po siedmiu latach spędzonych w Sai-Minie lepiej radzi sobie z prawdziwą sztuką bycia druidem niż większość tych głupców. Rozumie znaczenie prawdy i wie, jak ją zaprezentować. Bo to nie prawda liczy się najbardziej w przekonywaniu słuchaczy, choć jest konieczna w argumentowaniu. To, co rzeczywiście istotne, to sposób, w jaki się ją przedstawia! Jednak, widzisz, jego nie da się tak łatwo zwieść. Jakkolwiek by ją przedstawić, on natychmiast widzi naturę prawdy. Będzie niezwykłym Arcydruidem, zobaczysz. Niestety, najsmutniejsze w byciu Arcydruidem jest to, że nie widzi się już swoich następców. Bardzo chciałbym tu być w dniu, gdy Finghin zostanie Arcydruidem... Z jaką odwagą wytłumaczył swój sprzeciw w głosowaniu! Naprawdę myślałem, że stracę twarz przez tego nicponia. Nic podobnego od dawna mi się nie przydarzyło, mój drogi Emanie, i muszę ci

wyznać, że sprawiło mi to pewną przyjemność. Tak, ten Finghin jest wyjątkowy. Teraz, kiedy Felim odszedł, a Aodh nie żyje, jest jedynym, który zasługuje na mój szacunek, poza tobą oczywiście. Tak, wiem, co myślisz. Że Aodh zginął przeze mnie i że postawiłem Felima w najgorszej możliwej pozycji. Lecz nie znasz całej prawdy, mój drogi przyjacielu. To tylko jedno z jej obliczy.

Po raz pierwszy archiwista zdawał się naprawdę zaintrygowany wypowiedzią Arcydruida. Podniósł nieco głowę.

- Aodh zginął, bo był zbyt zarozumiały i chciał, bym poniósł klęskę. I muszę wyznaczyć, że rzeczywiście była to moja porażka. Nie sądziłem, że posunie się tak daleko. Jakże żałuję jego śmierci, ja, który chciałem skłonić go do popełnienia błędu, aby go chronić... Ach! Był zbyt dumny! Żałuję tego, bardzo tego żałuję, i mam nadzieję, że z Felimem nie popełniłem tego samego błędu. On też jest wyjątkowym druidem. Być może najlepszym z nas wszystkich.

Archiwista nie mógł się powstrzymać. Choć od wielu lat zawsze czekał do ostatniej chwili, by się odezwać, tym razem uległ pokusie i przerwał Ailinowi:

- Dlaczego więc skazałeś go na banicję?

Ailin zatrzymał się w pół kroku, wyraźnie zszokowany. Milczał przez chwilę, przyglądając się archiwistce, po czym wykrzyknął:

- A więc nie rozumiesz, Emanie? Przez cały ten czas miałaś mnie za okrutnego kata, tak?

- Arcydruidzie, ja... ja nie wiem. Nie rozumiem, dlaczego kazałeś nam wygnąć człowieka, którego tak podziwiasz...

- Pomyśl o przyszłości, Emanie. Pomyśl o przyszłości! Różnica między zwykłym człowiekiem a Wielkim Druidem polega na tym, że człowiek reaguje, a druid przewiduje! Tego zawsze was uczyłem, na Mojrę! Nie chodzi o to, żeby ukarać Felima za to, co zrobił, ale by znaleźć najlepsze rozwiązanie, by pomóc mu w przyszłości!

- Przyznaj, że po śmierci Aodha można mieć wątpliwości co do twojej metody...

Archiwista natychmiast pożałował tej złośliwości, ale Arcydruid zdawał się nie brać jej do siebie. Za bardzo pochłonęły go własne słowa.

- Ta lekcja wiele mnie nauczyła, mój drogi, bo nawet człowiek w moim wieku wciąż się uczy!

- A w jaki sposób banicja ma pomóc Felimowi?

- Nie banicja, lecz to, że postawiłem go w sytuacji, w której nie miał innego wyjścia, jak uciec razem z tą dziewczynką, Emanie. Banicja to tylko wymuszona prawem formalność.

- Ale dlaczego trzeba go było zmuszać do ucieczki z dziewczynką?

- Emanie... bo ona jest Samildanachem! - wykrzyknął Arcydruid, siadając za biurkiem.

Archiwista nie mógł powstrzymać okrzyku zaskoczenia.

- Jak to?

- Niczego nie zrozumiałeś, przyjacielu. A ja od samego początku mówię do ciebie co wieczór z nadzieją, że odgadniesz motyw moich działań... Alea jest Samildanachem, nie ma co do tego żadnych wątpliwości, i jest to oczywiście najgorsza wiadomość w całej historii istnienia Rady. Bo oznacza to nasz koniec. Po niej nie będzie już druidów, Emanie. Ani druidów, ani Rady, nie będzie już także Samildanacha.

- Myślałem, że kobieta nie może być Samildanachem!

- A jednak może. „A jej nadejście oznaczać będzie koniec Saimana”, mówi legenda!

- Ja... Ja dalej nie rozumiem, dlaczego postawiłeś Felima w takim położeniu, Arcydruidzie. Nawet jeśli ta mała jest Samildanachem.

- Aby był wolny, Emanie. Wolny od Rady i innych druidów, wolny ode mnie i od ciebie. Trzeba, by towarzyszył temu dziecku w spełnieniu jego przeznaczenia. Wydawało mi się to tak oczywiste...

- A więc nie chcesz śmierci Felima?

- Wręcz przeciwnie, przyjacielu, wręcz przeciwnie. Felim jest jednym z moich najdroższych przyjaciół.

- Nie jestem pewien, czy wszystko zrozumiałem...

- Zostaw mnie teraz, Emanie. Jestem u kresu sił. Jutro powrócimy do tej rozmowy.

Ernan wycofał się uprzejmie, przejęty, i wrócił do swego pokoju. Miał do siebie żal, że wcześniej nie pojął motywów Arcydruida. Od dawna podziwiał tego człowieka i od razu powinien był się domyślić, że działa on w dobrych intencjach. A zamiast tego zaczął w niego wątpić. Archiwista był głęboko poruszony i długo nie mógł zasnąć.

Następnego dnia Ailin już nie żył.

Nikt nie wiedział, czy zabrała go ukryta choroba, czy sam wolał umrzeć. Przy jego ciele odnaleziono karteczkę, na której napisał tylko, że chce, aby miejsce Arcydruida zajął po nim Ernan, i by mianowano Finghina Wielkim Druidem na miejsce Ernana. Ostatnia wola zmarłego zszokowała większość Wielkich Druidów. Finghin dopiero niedawno przeżył swoją inicjację i nigdy w całej historii Rady nie dopuszczono do niej tak młodego druida. Nigdy też jednak nie sprzeciwiono się woli Arcydruida.

Stało się więc zgodnie z życzeniem zmarłego. Jeszcze tego samego dnia świętowano przyjęcie Finghina, Oteliana i Kalana do Rady, Ernana zaś obwołano Arcydruidem.

Ernan płakał przez całą ceremonię pogrzebową, ale w głębi duszy bardzo dziękował Mojrze, że sprawiła, iż Arcydruid wyjawiał mu wszystko tamtego wieczoru. Przysiągł sobie, że spróbuje naśladować brawurę i dyskretne dobro starca. W głębi duszy zastanawiał się tylko, czy jest do tego zdolny

*

Erwan jak co dzień ćwiczył na dziedzińcu Sai-Miny z innymi uczniami magisteli. Wkładał w walkę całą swoją energię, jakby chciał o czymś zapomnieć. Zapomnieć o Alei i świeżości, jaką wniosła w jego życie. Tęsknił za nią. Za jej spojrzeniem, czarnymi włosami, radosnym śmiechem. Za każdym razem, kiedy wymierzał cios przeciwnikowi, wydawało mu się, że odpiera w ten sposób wspomnienie o Alei. A jednak twarz dziewczynki wciąż powracała i pojawiała się w jego myślach. Nie potrafił wymazać tego wspomnienia.

Wciąż sobie powtarzał, że powinien być jej towarzyszyć albo nie pozwolić jej odejść. Ciągłe zastanawiał się, gdzie ona teraz jest. Czy Felim i Galiad, jego ojciec, ją odnaleźli i czy przywiozą ją z powrotem? Czy będą jej strzegli? Miał do siebie żal o to, że nie potrafi nad sobą zapanować i myśleć o niczym innym. On, który zawsze umiał się tak doskonale koncentrować, przygotować do walki, skupić na słowach swoich profesorów, teraz nie był w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tej dziewczynce.

Był tak rozkojarzony, że dostał kilka ciosów, których niegdyś uniknąłby bez trudu. Jego przeciwnicy dziwili się, widząc, że jest tak nieuważny.

Kiedy Erwan szykował się już, by zrezygnować z lekcji i ukryć się w ciszy swojego pokoju, przyszedł po niego Finghin. Młody człowiek, który właśnie

został przedwcześnie wyniesiony do godności Wielkiego Druida, był najlepszym przyjacielem Erwana. Kiedy jeden przygotowywał się do zostania druidem, drugi szkolił się na magistela. Uczyli się razem, dorastali razem, razem cierpieli i dzielili troski i radości swego młodego wieku.

Erwan ucieszył się na widok Finghina. Jego wizyty stawały się coraz rzadsze, w miarę jak pokonywał kolejne szczeble swojej edukacji, a wczoraj Erwan nie miał oczywiście prawa uczestniczyć w ceremonii, w czasie której jego przyjaciel został mianowany Wielkim Druidem, tak samo zresztą, jak nie mógł brać udziału w jego inicjacji.

Erwan pomyślał, że Finghin na pewno będzie potrafił go zrozumieć. Od wyjazdu ojca nikomu nie mógł się zwierzyć, więc nic nie zrobiłoby mu większej przyjemności niż ta niespodziewana wizyta Finghina.

- Erwanie, przyszedłem cię prosić, byś został moim magistrem - powiedział tamten jednym tchem.

Syn Galiada stał w osłupieniu z otwartymi ustami. Tego się nie spodziewał. Był zbyt zajęty swymi myślami, by zdać sobie sprawę z tego, że jeśli Finghin został wczoraj Wielkim Druidem, będzie musiał wziąć sobie magistela.

Erwan upuścił miecz na ziemię. Przepeliła go wielka radość. Nigdy by nie pomyślał, że okazja nadarzy się tak szybko. Nie mówiąc już o tym, że status magistela zaoferuje mu jego największy przyjaciel. Była to nagroda za całe lata ciężkiej pracy, był to też jedyny cel, jaki stawiał sobie od najmłodszych lat. Zostać magistrem, oto pragnienie, które od zawsze wypełniało jego serce. Było to największe marzenie, nadzieja odnawiana co wieczór, prawdziwe powołanie. Lecz zostać magistrem przyjaciela - o tym nawet nie marzył! Nic nie mogło być bardziej ekscytujące.

- Przyjacielu, ja... ja nie wiem, co powiedzieć - wyjąkał Erwan, ujmując rękę Finghina w swoją szeroką dłoń. - To wielki honor...

- Powiedz po prostu: tak, durniu! - zaśmiał się Finghin, chwytając Erwana za ramiona. - I chodźmy coś wypić, by uczcić tę chwilę.

Roześmieli się obydwaj, ale Finghin szybko się zorientował, że przyjaciela coś trapi.

- Czy coś cię martwi?

- Tak bym chciał, żeby był tu mój ojciec... Nie mogę zostać magistrem pod jego nieobecność - odpowiedział Erwan.

Finghin zatrzymał się powoli.

- Twój ojciec? Więc o niczym nie wiesz?

- O co chodzi?

- Na Mojre! Skoro o niczym nie wiesz, to znaczy, że nie powinieneś wiedzieć. Właśnie zdradziłem tajemnice Rady. A niech to! Oto moja pierwsza wpadka nowicjusza, powinienem był siedzieć cicho. Muszę jednak z tobą o tym porozmawiać, Erwanie, jesteś moim przyjacielem... Przychodząc do ciebie, miałem nadzieję, że moja propozycja pocieszy cię po tym, co spotkało twego ojca. Nie przyszło mi do głowy, że możesz nie być poinformowany...

- Poinformowany? O czym? - niecierpliwiał się Erwan, coraz bardziej zaniepokojony. - Co się stało mojemu ojcu?

- Nic, nic mu się nie stało. Tyle tylko, że nie jest już magistrem, mój drogi Erwanie, bo jego mistrz, Felim, został skazany na banicję.

- Na banicję? To jakiś żart! Felim jest druidem bez skazy!

- Ciszej! Miej litość, nie mów tak głośno, w końcu nie miałem prawa ci tego mówić. Chcesz, żeby mnie też wygnali?

- Ale to niemożliwe! - oburzył się Erwan. Czuł, że drży na całym ciele. - Co się z nimi stanie?

- Felim zostanie osądzony, a twój ojciec będzie musiał znaleźć inne zajęcie. Myślę, że po tej historii żaden druid nie zechce wziąć go na swojego magistela. Shehan, Tiernan i Aengus wyruszyli ze swymi magistelami, by zatrzymać Felima. Mają też przyprowadzić dziewczynkę, która uciekła z Felimem, by poddać ją próbie Manitha z Gabhy. Rada chciałaby dowiedzieć, że dziewczynka nie jest Samildanachem... Znowu jednak zdradzam ci za wiele, Erwanie. Ta historia nie należy do prostych i sam jestem nią zbulwersowany. Zrobiłem wszystko, by Felim nie został skazany na banicję, ale mój głos nie wystarczył. Na Mojrę, zapomnij o tym, co powiedziałem! Jestem pewien, że twój ojciec doskonale sobie poradzi. Był jednym z najlepszych magisteli.

- A teraz, przyjacielu, przyjmij moja ofertę. Nic nie sprawiłoby większej radości twemu ojcu. A jeśli Felim nie jest winny tego, co mu zarzucają, razem zrobimy wszystko, by nie dopuścić do niesprawiedliwości.

- To niemożliwe, Finghinie. Twoja propozycja wzrusza mnie niezmiernie i nigdy ci tego nie zapomnę, ale muszę wyjechać, by ostrzec... mego ojca - zakończył, chociaż to imię Alei przyszło mu na myśl jako pierwsze.

- Ostrzec? Oszalałeś? Ty też chcesz mieć Radę przeciwko sobie?

- Finghinie, nie mogę pozwolić, by Felim i ojciec zostali zatrzymani, nie mając szansy na udowodnienie swej niewinności. Muszę ich ostrzec. Jeśli jesteś moim przyjacielem, pozwól mi odejść i nie zdradź mnie, a gdybyś podczas mojej nieobecności wziął sobie innego magistela, nie będę ci miał tego za złe. Doskonale rozumiem, że nie mogłeś czekać. Do widzenia, Finghinie.

Pożegnał przyjaciela i nie czekając na jego reakcję, pobiegł do swojej komnaty. Chciałby poświęcić Finghinowi więcej czasu, ale nie mógł znieść myśli, że Alea i jego ojciec są w niebezpieczeństwie. Spakował swoje rzeczy i zabrał broń, bacząc, by fechmistrz, który na pewno nie pozwoliłby mu odejść, niczego nie zauważył. Gdy tylko zapadł zmrok, zbiegł długimi schodami prowadzącymi do morza.

Kiedy się schylił, by odwiązać barkę, ktoś położył mu rękę na ramieniu. Erwan podskoczył, o mało nie wpadając do wody. Odwrócił się i zobaczył Finghina w białym płaszczu druidów.

- Erwanie, zanim odjedziesz, zgódź się zostać moim magi- stelem.

Erwan westchnął zrezygnowany.

- Dlaczego nalegasz?

- Bo jeśli nim będziesz i coś ci się stanie, to choćbyś był bardzo daleko stąd, dowiem się o tym. To jeden z przywilejów, jakie daje taka więź.

- Nie mam już czasu, Finghinie. Rozumiem twój niepokój i jestem wdzięczny za troskę, ale nie mam czasu.

Lecz młody druid nie zamierzał się poddać.

- Wystarczy, że się zgodzisz i pozwolisz mi, bym cię ze sobą związał. Zapomnijmy o ceremoniale. Rada będzie mieć do mnie pretensje, ale twoja przyjaźń jest dla mnie ważniejsza niż ich upomnienia! Błagam cię, zgódź się!

- Nie możemy zrobić tego tutaj, bez zgody Rady. Ojciec mnie zabije.

- To najlepszy moment. Jeśli coś ci się stanie, nigdy sobie nie wybaczę, że nie dałem rady cię przekonać. I wtedy ja się zabiję. Daj mi swą dłoń, Erwanie.

Syn magistela wolno podał dłoń przyjacielowi.

- Dlaczego to dla mnie robisz? - szepnął.

- Jesteś moim jedynym przyjacielem, a życie, które wybrałem, nie pozwala mi znaleźć innego. Od ponad dziesięciu lat nie widziałem swojej rodziny. Tylko ty mi zostałeś, Erwanie, i nie chcę cię stracić. Rozumiem, że chcesz wyjechać, i godzę się z tym, ale twoja wyprawa jest niebezpieczna i chcę być w stanie ci pomóc, jeśli będziesz tego potrzebował. Zresztą zawsze wiedziałem, że to ty będziesz moim magistelem. To była tylko kwestia czasu.

Druid wziął rękę przyjaciela w swoje dłonie. Młodych druidów nie uczono, co należy zrobić w tej sytuacji. Finghin kierował się instynktem i pozwolił się prowadzić swojej wewnętrznej mocy. Zamknął oczy i otworzył się na Saimana. Przeniknęła go fala energii, a kiedy ją opanował, skierował ją siłą woli do ręki Erwana. Musiał nawiązać kontakt. Otworzyć duszę młodego rycerza. Musiał przeniknąć do jego umysłu. Zrozumieć go i zostawić w nim cząstkę siebie. Doświadczenie było poruszające. Jeszcze nigdy nie czuł się tak zjednoczony z żadną istotą. Było to tym bardziej niesamowite, że on i jego najlepszy przyjaciel przez sekundę, która wydawała się wiecznością, stanowili jedno. Finghin zostawił w duszy Erwana swój ślad, który na zawsze uczyni go jego magistrem.

Kiedy rytuał dobiegł końca, Erwan spostrzegł, że klęczy przed swym przyjacielem. Czuł w sobie siłę, którą dawała mu jego nowa pozycja. Teraz był magistrem.

Spełniło się jego największe marzenie.

- Finghinie, obiecuję, że będę się spieszył. Jak tylko odnajdę ojca, powrócę, by wypełniać powierzone mi zadanie. Moje życie należy do ciebie.

Finghin pomógł przyjacielowi wstać.

- Znajdź Aleę - szepnęła i puścił do niego oko. - Ona jest dla ciebie ważniejsza niż cokolwiek na świecie. Widziałem to w twojej duszy. Znajdź ją, Erwanie.

*

- Moglibyśmy dotrzeć do Borcelii w dwa lub trzy dni - powiedział Felim do przyjaciół, gdy posilali się na skraju Lasu Weliańskiego - ale jeźdźcy, którzy podążają za nami, są od nas szybsi, dlatego musimy znaleźć inny niż prędkość sposób, by im uciec.

- Moglibyśmy z nimi walczyć - zasugerował Mjolln.

- Mój drogi krasnoludzie, wiem, że jesteś waleczny i żadna bitwa ci niestraszna - odparł Felim. - Widziałem, jak walczyłeś, i jeśli wtedy brakowało ci techniki, jestem pewien, że po tym, czego nauczyli cię Galiad i jego syn, bez trudu pokonałbyś dwa razy tyle gorgunów co ostatnio. Teraz jednak wrogowie są o wiele groźniejsi. Nawet Galiad nie chciałby ich sprowokować, prawda, magistelu?

- Oczywiście. Żyję tylko po to, by bronić Felima - wyjaśnił Galiad krasnoludowi - a ci ludzie istnieją wyłącznie w tym celu, by zabijać. Są żądni krwi i pełni nienawiści. W każdym ich geście czai się śmierć. Nawet ich miecze są spowite śmiercią. Podobno już samo zadrażnienie sprawia, że człowiek starzeje się o wiele lat. Nie, walka to coś, czego powinniśmy unikać.

- Moglibyśmy zatrzeć nasze ślady i pozwolić, by nas wyprzedzili - zaproponowała Faith.

- Nie tak łatwo ich zmylić - odparł Felim. - Jeśli mogli śledzić nas aż dotąd, znajdą nas wszędzie.

- A więc co zrobić? - zapytał niecierpliwie Mjolln.

- Trzeba dotrzeć do Borcelii w inny sposób, drogą, którą nie będą mogli za nami podążyć - powiedziała Alea, która milczała przez cały wieczór.

Wszyscy zamilkli. Wypowiedzi Alei były coraz bardziej intrygujące. Rzeczowe i poważne, zbyt poważne jak na wiek dziewczynki. Nowe przeznaczenie ciążyło jej na sercu i sprawiało, że przedwcześnie dojrzała. Odnosiło się wrażenie, że uczy się w niewiarygodnym tempie i nagle zaczęła rozumieć świat, jakby otrzymała dziwną mądrość, z której nie potrafiła jeszcze do końca korzystać, ale dzięki niej robiła znaczne postępy. Można to było wy-

czytać z jej twarzy i z jej milczenia. Powoli zaczynała rozumieć rzeczy zbyt ważne, by mogła mówić o nich nawet najbliższym przyjaciołom.

- Jaką drogą? - zapytał krasnolud. - Przecież nie wzlecimy w powietrze! Hem! Chociaż po tobie można się ostatnio spodziewać wszystkiego.

- Felimie - podjęła dziewczynka - czy nie istnieje jakaś droga, której ludzie nie znają? W jaki sposób elfy przemieszczają się z lasu do lasu, nie będąc widzianymi? Muszą znać jakieś przejście.

Felim wydawał się zaskoczony.

- Nie wiem..

- Jest wiele legend - wtrąciła się Faith. - Nie znam ich wszystkich, ale jedna z nich rzeczywiście mówi, że elfy potrafią w magiczny sposób przejść z jednego lasu do drugiego. Podobno wchodzi do pnia jednego drzewa, a wychodzą z innego, o wiele dalej.

- Najlepiej byłoby zapytać elfy - zasugerowała Alea.

Harfistka była zakłopotana.

- Musiałabym przywołać je moim śpiewem, a nie wiem, czy zechcą przyjść, widząc nas aż tyłu.

- Nic nie szkodzi spróbować - zaproponowała Alea.

- Teraz? - zdziwiła się Faith.

- A cóż lepszego mamy do roboty?

Faith powiodła wzrokiem po zebranych. Później wzięła harfę, wstała i odeszła kilka metrów w głąb lasu. Usiadła na pniu drzewa i zaśpiewała.

Miała cudowny głos i jak zawsze Alea dała się ponieść jej pięknym pieśniom. Wrażenie, jakie pieśniarka zrobiła na niej przy pierwszym spotkaniu, nie przeminęło, i dziewczynka wciąż była poruszona.

Po trzeciej pieśni harfistka wstała i wróciła do przyjaciół.

- Już by przyszły, ale wasza obecność pewnie je odstrasza. Przykro mi, Aleo.

- Albo nie podobał im się twój głos... Mimo wszystko masz szczęście, przynajmniej nie rzucały pomidorami! - zadrwił Galiad.

- No chyba że uciekły, czując twój zapach - odparowała Faith. - W sumie nie wiem, czego się obawiamy, do tej perfumy nawet Herilimowie nie odważą się zbliżyć...

- No dosyć - wtrącił się Felim. - Bądźmy poważni. Robi się późno. Na szczęście mamy jeszcze małą przewagę. Spróbujemy ponownie jutro rano, a jeśli się nie uda, znajdziemy inny sposób ucieczki. Bliskość Herilimów zasługuje na więcej uwagi, dlatego powinniście skończyć już z tą dziecinadą. A teraz połóżmy się spać. Wszyscy potrzebujemy odpoczynku.

Życząc sobie dobrej nocy, w ciszy udali się na spoczynek. Wciąż jednak mieli w pamięci ogrom wiszącego nad nimi niebezpieczeństwa, czterech Herilimów Maolmórdhy, te smukłe, wysokie cienie odcinające się na tle ciemnego nieba. Nikt nie mógł zasnąć.

Alea zirytowana bezsennością, po tym jak ze sto razy przewróciła się na posłaniu, wstała i poszła się przejść, by odetchnąć nocnym powietrzem.

Znowu pograżyła się w swoich myślach, które męczyły ją od wielu dni.

„Jestem zagrożeniem dla swoich przyjaciół. To mnie szukają ci jeźdźcy. Nie ma żadnego powodu, by Mjolln, Faith, Felim i Galiad poświęcali się dla mnie. Na Mojre, wstydzę się, że ich w to wszystko wciągnęłam. Ja, która marzyłam o przygodach, o niezwykłym przeznaczeniu, teraz niemal tęsknię do życia w Saratei. Tam przynajmniej nie byłam dla nikogo zagrożeniem.

Muszę znaleźć jakiś sposób, by ich ocalić. To nie Faith ma znaleźć rozwiązanie, lecz ja. Gdybym tylko rozumiała tę moc, która jest we mnie, gdybym tylko umiała się nią posłużyć! Choć być może nie trzeba się nią posługiwać, tylko się z nią zjednoczyć. Tylko jak? Kilka razy, kiedy czułam ją

w sobie, byłam tak silnie wzburzona albo odczuwałam tak wielkie zagrożenie, że zupełnie nie byłam sobą. Jak odnaleźć ten moment? Wściekłość na Almara, strach przed spojrzeniem jeźdźca, ucieczka z Sai- -Miny... Miałam wtedy wrażenie, że widzę wszystko, że wszystko znam i rozumiem, jakby świat otworzył się przede mną. Gdybym potrafiła odnaleźć tę wizję, może mogłabym ocalić swoich przyjaciół.

Być może tak, ale za jaką cenę? Czy nigdy już nie odnajdę zwykłych przyjemności życia? Nigdy już nie zobaczę ludzi takimi, jacy się wydają, zawsze będę poznawać ich wnętrza, ich przeszłość i będę żyła w świecie przeładowanym znaczeniem? W każdej chwili będę zadawać sobie pytanie o swój obowiązek? Co powinnam zrobić ze swoją mocą? Komu pomóc i jak? Dlaczego Mojra wybrała właśnie mnie? Czy nigdy nie będę już spokojna? Zawsze będzie jakiś Maolmórdha?"

Ta myśl wprawiła ją w drżenie, upadła na kolana w samym środku lasu. Szła już ponad godzinę, nie zdając sobie z tego sprawy.

„Muszę ocalić przyjaciół. A te przekłete elfy nie chcą nam przyjść pomocą! Sama muszę znaleźć to sekretne przejście, o którym mówi legenda. Jestem pewna, że istnieje. Muszę się zjednoczyć z lasem, stać się lasem”.

Zanurzyła ręce w wilgotnej, zasłanej liśćmi ziemi.

„Muszę napełnić się duchem lasu, abym stała się drzewami, każdym listkiem, każdą gałęzią”.

W pewnej chwili poczuła w swojej głowie światło. Saiman, tak lekki, delikatny, nieuchwytny. Wiedziała, że może go stracić, wiedziała, że powinna go oswoić. Próbowwała przybliżyć się do światła w swojej głowie. Tak jak u podnóża Sai-Miny. Nie może stracić tego światła.

Nagle usłyszała za plecami krzyk, który sprawił, że straciła kontakt z Saimanem.

- Ho! Ona wszystkich obudzi!

Alea odwróciła się gwałtownie, by sprawdzić, kto do niej mówi. Nikogo jednak nie zauważyła.

- Kto tu jest?

Dostrzegła delikatne poruszenie w listowiu, zdawało jej się, że widzi cień. Później usłyszała śmiechy, chichoty, kilkakrotnie powtórzone przez echo.

- Dlaczego się śmiejecie? - zapytała ostrym tonem.

- Cicho! Mówię jej, że wszystkich obudzi! Czy ona nie może spać jak kulturalni ludzie? Przecież widzi, że jest noc.

Znów usłyszała śmiechy dookoła siebie.

- To denerwujące mówić do kogoś, kto nie chce się pokazać! Wyłaście z cienia!

- Czy jest tego godna? - zapytał kpiąco jeden głos.

- To mała ludzka istota - odpowiedział inny.

- Może nas nie zobaczyć, nawet jak będzie nas miała przed nosem!

Kolejna salwa śmiechu rozbrzmiała w lesie. Można by pomyśleć, że głosy były coraz liczniejsze.

- Jesteście elfami? - zapytała Alea nieśmiało.

- Elfami! Ha, ha, ha! A to dobre!

- No przecież mówiłem! Ona nas nie zobaczy! Bierze nas za elfy, no naprawdę!

- A czemu nie bierze nas za trolle?

Alea podniosła się gwałtownie, te głosiki zaczynały ją denerwować. I dlaczego mówiły do niej w trzeciej osobie? Miała wrażenie, że oszalała.

- Wystarczy! Natychmiast wyłaście z ciemności, albo... albo zniszczę las!

Tym razem nie odpowiedział jej żaden śmiech. Zupełna cisza. Alea nadstawiła ucha. Ani szmeru. Ani jednego listka, który by się poruszył.

- No więc?

- Ona nie może nas zobaczyć - odpowiedział cienki głosik, tym razem bez ironii. - To niemożliwe. Będzie musiała się do tego przyzwyczaić. Tak już jest.

- Dlaczego? - nalegała dziewczynka.

- Bo tak już jest! Dlaczego jest taka duża? Bo tak już jest. Dlaczego drzewa mają liście? Bo tak już jest. Dlaczego nie widać chochlików w lesie? Bo tak już jest!

- Jesteście chochlikami?

- Szybko się uczy... - zakpił inny głos.

I znowu zawtórowały mu śmiechy, lecz tym razem Alea nie była już poirytowana. Prawdę mówiąc, była niemal rozbawiona.

- Dlaczego panienka tak poruszyła cały las?

- Poruszyła cały las? - zdziwiła się dziewczynka.

- Tak, weszła wszędzie, w drzewa, w ziemię... i wszystkich nas pobudziła!

Saiman. Poczuli Saimana.

- Szukam czegoś w tym lesie.

- W naszym lesie!

- W waszym lesie...

- I czego ona szuka?

Alea zawahała się przez chwilę. Czowała się dziwnie, stojąc w środku lasu i mówiąc do niewidzialnych chochlików. Zastanawiała się, czy to przypadkiem nie sen.

Usiadła z powrotem na ziemi, by nie czuć się tak głupio.

- Szukam przejścia, które zaprowadzi mnie do Borcelii bez przechodzenia przez równinę.

Chochliki nie odpowiedziały.

- Znacie to przejście? - nalegała Alea.

- Powinna zapytać elfy. My nie wchodzimy do Drzewa.

- Elfy... Nie mogę ich znaleźć.

Chochliki znowu się roześmiały.

- Nie może ich znaleźć? To raczej one nie chcą jej widzieć! Przy tym całym hałasie, jaki wyprawia, musiały ją już dawno zauważyć.

- Ale dlaczego nie chcą mnie widzieć, przecież nie zrobię im nic złego. Przyszłam prosić je o pomoc...

- Przyszła prosić...

Nagle głos chochlika umilkł. Po krótkiej chwili ciszy Alea usłyszała, że chochliki uciekają. Później nie było już ani szmeru. Wszystkie nagle zniknęły.

Aleę ogarnął niepokój. Podniosła się gwałtownie. Coś musiało je przestraszyć.

- Co się dzieje? - zapytała w ciemność. - Ktoś tu jest?

Odpowiedziała jej głucha cisza. Dziewczynka zaczęła się bać.

Było ciemno, a ona znajdowała się teraz daleko od obozu. Miała wrażenie, że las zamyka się nad nią. Czowała czyjaś obecność, ale nie wiedziała, co to może być.

Nagle usłyszała za sobą trzask łamanej gałęzi. Odwróciła się i zobaczyła Galiada stojącego kilka metrów za nią z bronią w ręku.

- To ty je wystraszyłeś? - zapytała Alea, trochę uspokojona.

- Nie, nie sędzę. Jestem tu już od jakiegoś czasu i nie poruszyłem się. Musiały zobaczyć lub usłyszeć coś innego.

- Byłeś tu? - zdziwiła się Alea.

- Szedłem za tobą, panienko. Nie mam w zwyczaju zostawiać moich uczniów samych w ciemnym lesie.

- Nie mogłam zasnąć i...

- Rozumiem. Wracajmy do obozu. Teraz już zaśniesz. Jestem pewien.

Alea skinęła głową i zawrócili razem.

- Słyszałeś już kiedyś chochliki?

- Słyszałem ich śmiech.

- Jak to?

- W czasie licznych wojen, w których kiedyś uczestniczyłem, często musiałem się ukrywać samotnie w lesie. Zawsze w końcu się je słyszy, ale prawie nigdy nie udaje się ich zobaczyć.

- A według Felima jesteś najlepszym tropicielem na świecie!

Magistel uśmiechnął się.

- Oczywiście przesadza, a ja nie mam żadnego powodu, by polować na chochliki. Nie sądzisz, że powinny mieszkać sobie spokojnie w tym lesie?

- Rzeczywiście, nie wydają się zbyt groźne - wyznała dziewczynka, uśmiechając się do niego.

- W każdym razie nigdy nie słyszałem podobnej rozmowy. Zdziwiłaś je czymś. Choć to nie zmienia faktu, że twoje zachowanie nie było zbyt rozsądne. Obiecuj mi, że nie będziesz już spacerować sama po nocy.

Dziewczynka skinęła głową.

Kiedy dotarli do obozu, Alea położyła się bez słowa. W końcu, uspokojona, zasnęła.

DRZEWO ŻYCIA

Zaledwie kilka dni po śmierci Ailina Ernan, pomimo swego nowego statusu Arcydruida, wraz z Finghinem opuścił Sai-Minę. Zgodnie z życzeniem poprzednika musieli wyruszyć do Sarkana, szefa klanów Tuathannów, który obecnie przebywał w Filiden, z propozycją zawarcia pokoju..

Dzięki rączy wierzchowcom spędzili w podróży jedynie trzy dni. W drodze Ernan okazał Finghinowi wiele życzliwości.

- Ailin bardzo cię kochał, wiesz o tym?
- Nigdy mi tego nie okazał wprost - odpowiedział szczerze młody druid.
- To prawda. Taki już był. Spowity aurą tajemnicy. Wiele razy dałem się wciągnąć w jego grę: nigdy nie można było być pewnym prawdziwego sensu jego planów. Czasami jego postawa zdawała się przeczyć jego prawdziwym zamysłom. Jestem jednak pewien: bardzo cię podziwiał.
- Wiele jego decyzji było dla mnie kłopotliwych - wyznał Finghin.
- Mówił, że będziesz dobrym Arcydruidem. Sądzę, że chciał, byś mu towarzyszył w spotkaniu z Tuathannami. To dlatego poprosiłem, żebyś ze mną pojechał.

- Dziękuję, Arcydruidzie.

Ernan jeszcze się nie przyzwyczaił, że nazywają go Arcy- druidem, a Finghin z rozmysłem tak go tytułował. Był w tym szacunek, ale jednocześnie zaznaczenie dystansu. Jakby młody druid nie chciał zbyt szybko się spoufalać z Emanem.

Drugiego dnia podczas kolacji Arcydruid spoglądał w milczeniu na młodego druida, jakby próbował czytać w jego myślach. Po wieczerzy rzekł:

- Widzę, że wybrałeś już magistela...

Finghin rozdziawił usta.

- Jak... Skąd o tym wiesz?

Arcydruid wybuchnął śmiechem.

- Sądziłeś, że będziesz w stanie to ukryć?

- Nie - wymamrotał zmieszany Finghin. - Myślałem, że poinformuję o tym po naszym powrocie.

- A dlaczego dokonałeś wyboru magistela bez naszej zgody?

- Wymagała tego sytuacja.

- Czyżby chodziło o Erwana?

- W rzeczy samej.

Arcydruid znowu badał towarzysza wzrokiem, drapiąc się w podbródek.

- Nie można powiedzieć, że dobrze rozpoczynasz swoją karierę... Zrobiłeś to, by go chronić?

- Zawsze chciałem, by został moim magistrem. Erwan to mój najlepszy przyjaciel. Kiedy wyznał mi, że wyrusza na poszukiwanie swego ojca, chciałem mieć pewność, że będę mógł go odnaleźć, gdyby coś mu się przytrafiło.

- To szlachetne. Lekkomysłne, ale szlachetne.

- Dlaczego lekkomyślne? - obruszył się Finghin.

- Dlatego że jest zakochany, a nie ma nic głupszego, niż wybrać zakochanego na magistela.

Finghin nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Arcydruidzie, masz rację. Byłem tego świadomy w chwili, gdy go z sobą związałem. Nie myślałem wtedy o naszym przyszłym statusie. Miałem na uwadze jedynie uchronienie go przed nlelłj pieczeństwem.

- To właśnie powiedziałem. Lekkomysłne, ale szlachetne. W tej kwestii bardziej przypominasz Felima niż Ailina! Lecz bft dę szczerzy: sędę, że dobrze zrobiłeś. Co nie zmienia faktu, że /<» staniesz ukarany. Nie po to, byś się poprawił, ale by uwolnić cię od zarzutów, jakie mogą wysuwać pod twoim adresem niektórzy starsi druidzi, gdybym tak po prostu ci wybaczył.

- Rozumiem.

- Tym lepiej. Kiedy jednak Erwan odnajdzie tę, którą kocha, będziesz musiał wybrać nowego magistela.

- Przyszłość może nie okazać się tak prosta, Arcydruidzie.

Ernan poklepał towarzysza po ramieniu. Wydarzenia ostatnich dni sprawiły, że bardzo się do siebie zbliżyli.

Kiedy nazajutrz dotarli do bram Filiden, powitały ich włócznie tuathanneńskich strażników. Zaczęli zadawać im pytania w swoim języku i Finghin odwrócił się w stronę starego druida, wzruszając ramionami. Ku jego wielkiemu zdziwieniu Ernan odpowiedział w ich języku.

Po otwarciu bram poprowadzono ich niczym więźniów przed oblicze Sarkana.

Władca zasiadający na wysokim kamiennym tronie nakrytym czerwono-złotą draperią przyjął ich natychmiast w towarzystwie tłumacza. Z pewnością dużo wcześniej został uprzedzony o ich przybyciu przez zwiadowców lub szpiegów. Taka była logika wojny.

Przywódcą Tuathannów był w stroju wojennym swego ludu. Nagą pierś pokrywały niebieskie małunki, a włosy były zebrane w grzebień pośrodku głowy i wygolone po bokach. Sprawiał imponujące wrażenie, siedząc na tronie w otoczeniu najznamienitszych wojowników swego klanu.

Ernan zabrał głos jako pierwszy, ale tym razem w języku ga- eliańskim, gdyż nie opanował na tyle tuathanneńskiego, by jasno wyrazić to, co chciał powiedzieć.

Jestem Math Malduin, zwany Emanem, Arcydruid Rady / Siii-Miny. Przybyłem tu, by uzyskać pokój.

Tłumacz stopniowo przekładał słowa Arcydruida szefowi klanów.

- Sarkan was wysłucha - powiedział tłumacz.

- Chcemy zaoferować nasze usługi Tuathannom, by odnaleźć dla mieszkańców Gaelii pokojowe rozwiązanie.

Sarkan po wysłuchaniu tłumacza odpowiedział surowym tonem:

- Tuathannowie nie szukają pokoju.

- Czy jesteście gotowi na prowadzenie działań wojennych jednocześnie na terenie Galacji, Ziemi Brunatnej, Sarre, Harcourt i Bizanii? Szczerze wątpię. Zmierzamy w stronę impasu. Jeżeli w najbliższych dniach nie dojdziemy do porozumienia, nie będziecie w stanie oprzeć się armiom atakowanych przez was hrabstw, które zjednoczą się przeciwko wam. Bez pomocy Rady wkrótce przegracie tę wojnę. Z naszą pomocą być może będziecie mogli odzyskać ziemię, która do was należy. Nie ma innej alternatywy.

Sarkan uderzył pięścią w podłokietnik tronu.

- Nie potrzebujemy waszych rad! - przełożył jego słowa tłumacz. - Natomiast... wy potrzebujecie Manithów, które pozostają w naszym posiadaniu, i to jest jedyny powód waszej tu obecności. Sarkan jest gotów wam je ofiarować, jeśli pomożecie mu odzyskać całą wyspę.

- To są warunki nie do zaakceptowania - odparł Ernan, usiłując powstrzymać wzbierający w nim gniew.

- W takim razie wracajcie tam, skąd przyszlście.

Finghin zawahał się, zanim zdecydował się zabrać głos. Dostrzegł jednak niepewność na twarzy Arcydruida i postanowił włączyć się do rozmowy.

- Nie możecie działać bez Rady. Jesteśmy dziećmi Mojry, a jeśli odrzucacie naszą propozycję, działacie przeciwko jej woli. Nie chcemy wam narzucać naszego wyboru, a jedynie pomóc wam podążać ścieżkami Mojry. A ta ścieżka nie pozwoli wam odzyskać Gaelii takiej, jaka była przed inwazją Galatyjczyków.

Sarkan uniósł z zainteresowaniem brwi, słuchając słów druida przekazanych mu przez tłumacza.

- Możemy natomiast - ciągnął Finghin - razem przemodelować kraj na waszą korzyść. Jeżeli zdecydujecie się kontynuować atak, waszym najzacieklejszym wrogiem nie będzie Galacja, lecz Harcourt. Zawierając pokój z Galacją i Bizanią, możecie pozbyć się Harcourt i objąć tamtejsze terytorium...

- Skoro Harcourt jest najniebezpieczniejszym przeciwnikiem, dlaczego nie mamy paktować raczej z nim niż z larwami z Galacji?

- Dlatego że w Galacji są druidzi. I dlatego że jeśli sprzymierzycie się z Harcourt, będzie to oznaczało rozpoczęcie wojny z druidami, a tym samym z Mojrą.

Sarkan milczał długą chwilę. Z pewnością przewidział taki moment, ale nie sądził, że nastąpi on tak szybko.

- Jak możemy zyskać pewność, że pomożecie nam pokonać Harcourt? - zapytał tłumacz.

- Galacja, Sarre i Bizania tylko na to czekają - podjął tym razem Ernan. - Ziemia Brunatna pozostaje neutralna, a Harcourt odrzuciło propozycję pokoju, którą mu oferowaliśmy. A jeśli powierzycie Manithy, którymi dysponujecie, Radzie Druidów, zapewnimy wam zwycięstwo. Manithy to potężna broń, którą nie możecie się posłużyć bez nas. Zaakceptujcie nasze warunki, a my użyjemy Mañithów na waszą korzyść.

Sarkan długo dyskutował ze swym tłumaczem i dwoma innymi szefami klanów. Finghin i Ernan spojrzeli na siebie porozumiewawczo, a Arcydruid nawet uśmiechnął się do swego młodego podopiecznego.

- Sarkan przemyśli waszą ofertę, kiedy dacie mu pismo sygnowane przez króla Galacji i Radę Druidów, w którym przyznajecie mu prawa do już podbitego terytorium. Wtedy wróćcie do Filiden na dalsze negocjacje.

Ernan pozdrowił szefa klanów. Wiedział, że nie należy przeciągać struny.

- Dokonałście dobrego wyboru, Sarkanie. Wrócimy tak szybko, jak to będzie możliwe.

Godzinę później druidzi galopowali w stronę Sai-Miny.

*

Alea obudziła się ostatnia. Ujrzała swych przyjaciół siedzących dookoła ogniska i pomyślała, że wyglądają dziwnie. Wszyscy patrzyli w stronę lasu. Nawet nie przywitali się z dziewczynką. Odwróciła się, by zobaczyć, co tak przykuło ich uwagę.

Kawałek dalej siedziała na ziemi niezwykła istota, wyglądająca jak ta, którą widziała we śnie. Nieznajomy był szczupły, wysoki, muskularny, miał długie włosy, spiczaste uszy, zaś kolor jego skóry był zbliżony do barwy drewna. Przypominał Oberona, lecz Alea wiedziała, że to nie był on.

- To jest...

- Elf, tak - potwierdził Felim. - Siedzi tu i obserwuje nas od przeszło godziny, ale za każdym razem, kiedy jedno z nas wstaje i chce się do niego zbliżyć, ucieka i wraca dopiero wtedy, gdy znowu wszyscy siedzimy przy ognisku.

- Jest wspaniały - powiedziała Alea.

- Tak, ale i denerwujący - odparł Mjolln.

Rozśmieszyło to Galiada, Alea jednak nie spuszczała wzroku z elfa. Wahala się przez chwilę, a potem zdecydowała:

- Pójdę z nim porozmawiać.

Zacząła się zbliżać do elfa wolnym, ale zdecydowanym krokiem, nie odwracając się. Nieznajomy natychmiast wstał, lecz zamiast uciec, czekał. Najwyraźniej się denerwował i był gotów do ucieczki, jeśli Alea wykonałaby najmniejszy fałszywy ruch. Jednak dziewczynka zachowywała się pewnie i spoglądała mu prosto w oczy. Przeczuwała, że był tu po to, by zobaczyć się właśnie z nią. To jej szukał i przed nią nie ucieknie, wiedziała to. Był dokładnie taki jak ten widziany we śnie. Ten, z którym miała się spotkać w Lesie Borceliańskim. I nie miała wątpliwości, że przybył tu, by służyć im za przewodnika.

Kiedy znajdowała się zaledwie kilka kroków od niego, elf uczynił ruch, jakby miał usiąść. Wykonywał przesadne gesty i Alea zrozumiała, że chce, by go naśladowała. Usiadła zatem naprzeciw niego, a dzielił ich dystans równy długości miecza. Dla elfa była to z pewnością bezpieczna odległość. Uśmiechnęła się.

- Wezwałeś nas tej nocy - powiedział elf z trudnością.

Jego głos był ciepły i jasny, ale czuło się, że nieczęsto posługuje się gaeliańskim.

- Powiedzmy, że was szukałam - powiedziała Alea. - Mówicie naszym językiem?

- Teraz tak. Niektórzy z nas. Czego szukacie?

- Chcemy dotrzeć do Borcelii... nie przechodząc przez równinę.

- Dlaczego? - zapytał elf, który nie wydawał się zdziwiony.

Alea odniosła wrażenie, że już znał odpowiedź.

- Ponieważ jestem poszukiwana i muszę uciec, nie będąc widzianą.

- Dlaczego? - z dziecięcym uporem dopytywał elf tym samym tonem.

Alea nie wiedziała, jak się zachować. Chciała położyć kres tym pytaniom. Zastanawiała się, czego tak naprawdę chce nieznajomy.

- Ponieważ ludzie są źli - spróbowała.

To rozśmieszyło elfa, a Alea dostrzegła, jaki był piękny. Też się roześmiała.

- Ale dlaczego do Borcelii? - podjął elf.

- Ja... Jeden z was tam na mnie czeka. Oberon.

Elf zamilkł. Alea pomyślała, że wreszcie dostał odpowiedź, na którą czekał, i że to koniec pytań.

Wstał i powiedział:

- Chodźcie za mną.

Alea przywołała przyjaciół, by dołączyli do niej.

- Musicie zostawić wasze konie - polecił elf.

Galiad zdjął siodła i mimo smutnego spojrzenia krasnoluda, który bardzo się przywiązał do Alragana, uderzył każdego wierzchowca w zad. Zwierzęta pogalopowały w stronę równiny.

- A teraz chodźcie za mną.

To były ostatnie słowa elfa. Skierował się w stronę lasu, a dziewczynka i jej towarzysze podążyli za nim.

*

Imała nie ruszyła się z miejsca od wczoraj. Bok w dalszym ciągu dawał się jej we znaki, poza tym nie mogła się otrząsnąć ze strachu i zaskoczenia. Dlaczego ci dwunożni ją zaatakowali? W ich zachowaniu było coś dziwnego. Nie chcieli jej przecież upolować ani też nie działali w obronie własnej, skoro nie zachowywała się agresywnie. A zatem dlaczego? Był w nich morderczy szał, z jakim Imała nigdy wcześniej się nie zetknęła. Zwierzęta zabijają, by zaspokoić głód, a dwunożni... Nie mogła tego zrozumieć.

Z upływem dnia zaczął jej doskwierać głód, więc zdecydowała się wstać i wrócić do lasu. Mimo że oddalała się od miasta, zapach dwunożnych nasilał się z każdą chwilą. Po jakimś czasie dostrzegła w oddali dziwną grupę, która zbliżała się w jej kierunku.

Dwunożni jechali konno. Byli uzbrojeni w kije i ostre narzędzia. Omiatali wrzosowisko wzrokiem, jakby czegoś szukali.

Imała instynktownie poczuła, że chodzi o nią.

Dwunożni chcą ją zabić!

Pognała przed siebie najszybciej jak mogła, ale chwilę później usłyszała krzyki dwunożnych i tętent koni. Zbliżali się z zadziwiającą prędkością. Dostrzegli ją. Rozpoczęła się obława.

Jeźdźcy otoczyli wilczycę, by ją osaczyć, kiedy już nie będzie mogła utrzymać tempa. Wydawali histeryczne okrzyki przepelnione żądzą mordy.

Imała była przerażona.

Pomyślała, że dłużej nie będzie w stanie uciekać, i zastanawiała się, czy uda jej się znaleźć schronienie. Las był jeszcze daleko, a jeźdźcy nieuchronnie się do niej zbliżali.

Nagle zaświszczała strzała i wbiła się w ziemię tuż obok Imali. Wilczyca odskoczyła w bok i gwałtownie zmieniła kierunek. Następną strzała minęła ją o włos. Imała usiłowała przyspieszyć, ale była już u kresu sił, a ból rozrywał jej bok przy każdym kroku.

Tymczasem jeźdźcy zrównali się z nią i wzięli ją w kleszcze. Nie mogła już się wymknąć.

Powoli zbliżali się do skraju lasu.

Posypał się w jej stronę grad strzał, ale galop koni sprawiał, że strzelcy chybiali celu. Imała rozpaczliwie biegła pod ostrzałem. Konie były coraz bliżej.

Kiedy wreszcie dobiegła do drzew, jeźdźcy byli już kilka metrów od niej. Wtedy pierwsza strzała wbiła się w jej grzbiet. Grot przebił mięśnie i odbił się od kręgosłupa. Pozbyła się strzały jednym ruchem łędźwi, ale rana była wystarczająco głęboka, by Imała znacznie zwolniła bieg.

Na szczęście las gęstniał i konie także biegły wolniej. Wilczyca wiedziała, że jeżeli chce umknąć, musi zagłębić się w gęstym poszyciu, by zgubili jej trop. Z coraz większym trudem znosiła ból. Kilka razy zrećźnie zmieniła kierunek, usiłując zgubić ścigających, gdy nagle stanęła oko w oko z jednym z nich.

Zatrzymał się przed nią, uniósł się w strzemionach, kierując w jej stronę strzałę z napiętego łuku. Wilczyca chciała usunąć się z linii strzału, lecz straciła równowagę i runęła na ziemię. Koń zbliżał się powoli i wkrótce Imała dostrzegła dokładnie nad sobą postać strzelca. Zobaczyła grot strzały gotowy, by ją przebić, napięty łuk i w końcu oczy swego wroga, w których dostrzegła błysk triumfu. Łucznik uśmiechnął się. Zaraz ją zabije.

Ostatkiem sił wilczyca rzuciła się w bok, dokładnie w chwili, gdy myśliwy wypuścił strzałę. Grot utkwiał w ziemi w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem znajdowało się gardło zwierzęcia. Wilczyca rzuciła się ku pęcynom konia i z wściekłością wgryzła się w ciało. Zwierzę stanęło dęba, zaś jeździec stracił równowagę i runął na ziemię.

Imała nie namyślała się ani chwili. Nigdy nie ośmieliłaby się zaatakować stojącego dwunożnego, ale na ziemi tracił całą swą wspaniałość i już jej nie zagrażał. Skoczyła mu do gardła i zacisnęła zęby z całej siły.

Myśliwy bronił się gwałtownie, ale podczas upadku przetrzącił sobie kręgosłup i nie mógł długo stawiać oporu rozwścieczony wilczycy.

Zwierzę, które ścigał, zadało mu śmierć.

Imała puściła wreszcie swą ofiarę i ujrzała następnych jeźdźców zbliżających się w jej stronę. Usłyszeli krzyki swego towarzysza, a teraz ujrzeni go leżącego na ziemi, nieruchomego, z przegryzionym gardłem. Niektórzy zeskoczyli z siodła, inni wycelowali napięte łuki w stronę wilczycy, która znów pognęła przed siebie. Smak krwi podekscytował ją, a zabicie myśliwego dodało nowej energii. Przebiegła pomiędzy dwoma końmi, trzymając się jak najniżej i nie tracąc szybkości. Otrzymała cios kijem, co wytrąciło ją z równowagi, ale natychmiast się podniosła i zniknęła w wysokiej leśnej trawie.

Biegła tak, aż łapy odmówiły jej posłuszeństwa. W oddali słyszała głosy myśliwych, ale wiedziała, że udało jej się ich zgubić. Opadła na ziemię bez sił. Gdy odzyskała oddech, wczłgała się do wnętrza spróchniałego pnia.

*

Alea nie była w stanie określić, ile trwała ich wędrówka. Szła zapamiętała przed siebie, gdy nagle uderzyła ją wspaniałość otoczenia.

Drzewa stawały się coraz masywniejsze. Ich gruba kora wydawała się nabrzmiąta od soków i gotowa w każdej chwili eksplodować od ich nadmiaru. Brunatne i zielone pnącza zwisały z pni i gałęzi. Ziemię pokrywał miękki mech, po którym stapało się jak po cudownym dywanie. Zewsząd wystrzeliwały w górę bajkowo zielone rośliny, jakich Alea nie widziała nigdy wcześniej.

Cisza, która panowała w lesie, była nierzeczywista. Nie było słyhać nawet śpiewu ptaków. Polana, na którą dotarli, stanowiła jakby inny świat pośrodku lasu.

Kompania w dalszym ciągu podążała w milczeniu za elfem, zachwycona cudownością otaczającej ją natury. Wszyscy kierowali się wprost ku drzewu, którego podstawa była naprawdę gigantycznych rozmiarów, szerokością dorównywała najokazalszym domom w Saratei. Ciemne dziuple pomiędzy korzeniami były tak obszerne, że z pewnością pomieściłyby dorosłego człowieka. Prosto do jednej z nich wiódł ich elf.

Dotarli do stóp drzewa i stanęli przed ciemnym tunelem, który prowadził w głąb ziemi.

- Oto jedno z wejść do Borcelii - wyjaśnił elf.

- Tu? Tak po prostu? - zdziwiła się Alea. - Przecież każdy mógłby je odnaleźć, szukając w tym lesie!

- Nie - powiedział rozbawiony elf. - Nie każdy. Nie jesteśmy już w lesie.

Alea była zaskoczona. Co on chciał przez to powiedzieć? Ta dziwna część lasu była zatem niedostępna dla ludzi bez pomocy elfów? A przecież wydawało jej się, że szli cały czas prosto.

- Fiu, fiu! Mamy tam zejść? - zapytał Mjolln, wskazując na otchłań pomiędzy korzeniami drzewa.

- Wy tak, ja nie - uściślił elf. - Zostaję tutaj.

- A ile czasu trzeba, byśmy dotarli do Borcelii? Jesteś pewien, że się nie zgubimy?

- Chcieliście sekretnej drogi? Ta jest najlepsza. Jeżeli macie szlachetne i odważne serca, znajdziecie wyjście. Elfy zawsze wychodziły stąd żywe. Prawie zawsze.

- Poczekaj! - zawołał Mjolln, ale było już za późno. Elf zniknął ze śmiechem. Galiad zrobił kilka kroków w głąb otchłani, ściskając w dłoni miecz.

- Chyba nie wejdziemy do tej dziury!? ki/ykiiiijl zaniepokojony Mjolln. - Nie wiemy, co tam na nas czeka, t), nie. Nie do dziury, bez szaleństw!

- Musimy zaufać elfom, Mjollnie. Herilimowie z pewnością są już na naszym tropie - przekonywała go Alea.

Druid, który w milczeniu badał wejście, w końcu zabrał głos.

- Alea ma rację, drogi krasnoludzie. To najlepsze rozwiązanie, jakie mamy. Czego się obawiasz? Jesteś w towarzystwie jednego z najlepszych wojowników w Gaelii, druida i swojej mio- taczki kamieni, nieprawdaż?

Magistel położył na ziemi ciężką sakwę i rzekł:

- Zanim tam wejdziemy, sprawdźmy, czy mamy dość prowiantu.

Wyjął z sakwy trochę jedzenia, które rozdzielił między towarzyszy, a następnie wydobył kilka pochodni.

- Będziemy mieli czym rozświetlać ciemności. Byłoby lepiej, gdybyście chronili je przed wilgocią pod waszymi płaszczami.

Pomógł Mjollnowi i Alei przygotować ich sakwy, wkładając do nich rzeczy, które wydawały się najbardziej przydatne pod ziemią. Na końcu sprawdził broń każdego z towarzyszy.

Kiedy każdy był już należycie przysposobiony do drogi, Alea wzięła krasnoluda za rękę i pociągnęła go za sobą w głąb jamy. Zdumiony Mjolln nie ośmielił się protestować. Pozostali jedno po drugim weszli za Aleą w ciemności tunelu.

- Przeklęty elf! - mruczał krasnolud pod nosem. - Co to za grota? Ach, moja miotaczko kamieni, krasnolud musiał być szalony, by wejść tu za tobą. Hem. Kompletnie szalony.

Przeszedłszy kilkanaście kroków, Galiad wysunął się naprzód i kiedy światło dzienne całkowicie zniknęło za ich plecami, zapalił pochodnię.

Alea spróbowała wejść w kontakt z Saimanem. Mogła udawać dzielną przed krasnoludem, ale była tak samo przerażona jak on.

Tunel w dalszym ciągu prowadził w dół, ku wnętrzu ziemi, w powietrzu dawało się wyczuć coraz więcej wilgoci. Mjolln dostrzegł szczury przemykające wzdłuż korytarza i krzyknął:

- Przeklęte bestie! Ahum! Wynoście się stąd!

Po jakimś czasie tunel przestał opadać i wreszcie stąpali po równej powierzchni. Nikt nie odważył się przerwać ciszy. Atmosfera była tak ciężka, że wszyscy, włączając w to Felima i Galiada, wydawali się bardzo spięci. Faith zapaliła pochodnię i zaczęła śpiewać, odgadując, że towarzysze potrzebują otuchy.

Alea szła niewzruszona. Znalazła wreszcie światło w sobie, mały płomień, na którym się skoncentrowała. Nie słyszała już innych, tylko bicie swego serca. Nie czuła również zimna, które przenikało jej towarzyszy.

Nagle wyrosła przed nimi ściana. Tunel kończył się trzema parami ciężkich kamiennych drzwi.

- Kłopoty - powiedział krasnolud.

Galiad próbował pchnąć środkowe drzwi, ale bez rezultatu.

- Nie ma zamka ani klamek? - zapytała Faith.

- Niczego - odpowiedział Galiad, napierając na następne drzwi.

- Żadnej dźwigni czy jakiegoś mechanizmu? - zapytał Mjolln.

-Nie.

- Może napis na ścianie? - zasugerował Felim. - Albo mapa lub symbol?

Faith i Galiad zbliżyli pochodnie do drzwi.

- Niczego nie widzę - westchnął magistel.
- Spójrzcie, tu! - krzyknęła Faith.

Delikatnie usunęła warstwę ziemi pokrywającą drzwi w miejscu, gdzie drżał płomień jej pochodni. Stopniowo ukazywała się gładka kamienna płyta drzwi osadzonych w ścianie tunelu. Coś było na niej wyryte.

- Nie mogę odczytać... To nie po gaeliańsku.

Felim zbliżył się i stanął za nią.

- Po elficku też nie - zdziwił się. - To po tuathanneńsku. Interesujące!
- Co to znaczy? - naciskała Alea.
- To by znaczyło, że być może ten tunel został zbudowany przez Tuathannów bardzo dawno temu.
- Przez Tuathannów? - zdumiała się Alea. - To dziwne!
- Nie bardzo - odpowiedziała kobieta bard.
- Dlaczego?
- Ponieważ według legendy Tuathannowie żyją pod ziemią.
- A co oznaczają te napisy? - niecierpliwiał się krasnolud. - Znasz język tuathanneński, Felimie, nieprawdaż?

- Owszem, ale litery są zatarte. Potrzebuję więcej światła. Galiad i Faith zbliżyli pochodnie. W tym samym momencie zza pleców dobiegł ich okrzyk Mjollna.

- Tam! - wykrzyknął, sprawiając, że wszyscy podskoczyli. - Co?
- Napisy! Obok każdej pary drzwi, zobaczcie, tam jest coś wyryte!

Druid odczytał powoli:

- Zero... osiem... cztery.
- Dziwne - wymruczała Alea.
- To zagadka - oświadczył Felim.
- O nie! Ja chyba śnię! Hem. Cóż to za pomysł wyryć cyfry przed każdym wejściem? Czy ci Tuathannowie nie mogli zamontować zamków?
- Zero, cztery, osiem - powiedział Felim. - Mówi wam to coś?
- Tak, to wiek mojego młodszego brata - wybuchnął śmiechem Mjolln.
- Felimie, odczytałeś napis wykuty w kamieniu? - zapytał raagistel.

Poczekajcie. Nie jestem pewien. To starsza odmiana tuathanneńskiego. Od tak dawna nie miałem z nią do czynienia... *Kar...* Ach, nic nie widzę! *Kar ando ja...* a potem... myślę, że to *min to ramatab*. Tak, to będzie to. *Kar andoja min to ramatab*. Co oznacza: „Klucz jest tam, gdzie dzielą się dwa pozostałe”.

- To rzeczywiście zagadka - potwierdziła Faith.
- Nie powinieneś mieć z nią problemów, Felimie - zadrwiła Alea. - Ty, który tak lubisz mówić zagadkami.

Felim cofnął się, drapiąc się w podbródek. Galiad w dalszym ciągu przeszukiwał drzwi. Za jego plecami niecierpliwiał się krasnolud.

- To nic nie znaczy! To jakaś kpina ze strony Tuathannów! Ja twierdzę, że trzeba wyważyć środkowe drzwi i nie tracić czasu na głupie zgadywanki!
- „Tam, gdzie dzielą się dwa pozostałe” - powtórzyła Alea z zastanowieniem.
- Czy nie ma w drzwiach jakiejś szpary? Czy to mogłoby być wytłumaczeniem?
- Nie - odparła Faith. - Skoro trzeba odnaleźć klucz, trzeba znaleźć zamek, nie sądzicie?
- Nie widzę tu niczego, co mogłoby przypominać zamek - zapewnił ją Galiad.
- Może nie umiesz szukać...

Nagle Felim klasnął w dłonie. Podeszedł z powrotem do drzwi zdecydowanym krokiem.

- Nie chodzi o klucz w sensie dosłownym, raczej o rozwiązanie. Skoro w zagadce jest „klucz” i „dwa pozostałe”, mamy trzy elementy, by rozwikłać problem. Przypuszczam, że chodzi o troje drzwi lub trzy cyfry, które je zdobią.

„Tam, gdzie dzielą się dwa pozostałe”... Być może chodzi o to, że trzeba podzielić dwie cyfry przez siebie i kiedy otrzymamy wynik, to drzwi z tą cyfrą będą właściwymi... To dziecinna zabawa! - wykrzyknął stary człowiek.

- Nic nie zrozumiałem - wyduł wargi krasnolud.

- To byłoby dobre wyjaśnienie - podjęła Faith - ale nie widzę rozwiązania: cztery dzielone przez osiem nie daje zera, osiem dzielone przez cztery nie daje zera, zero dzielone przez osiem nie daje czterech i tak dalej. Żadna kombinacja nie pasuje...

- Rzeczywiście, ale...

Felim zbliżył się wolno do drzwi z cyfrą osiem. Obejrzał symbol z bardzo bliska i delikatnie przekreślił go lewą ręką. Mała kamienna ósemka była teraz w pozycji horyzontalnej.

- ... cztery i zero. W algebrze tuathanneńskiej cztery dzielone przez zero daje nieskończoność. A symbolem nieskończoności jest ułożona poziomo ósemka!

Ciężkie kamienne drzwi uniosły się wolno ze zgrzytem. Podłoże drżało. Wszyscy się cofnęli.

- Felimie, jesteś geniuszem! - krzyknęła Faith.

- A ci Tuathannowie byli nadzwyczaj zręcznymi konstruktorami! - dorzucił Mjolln.

- I zdolnymi matematykami - dokończył Felim.

Podmuch powietrza unoszący się spod drzwi zgasił obie pochodnie. Było jeszcze zimniej niż dotąd. Kiedy ciężka kamienna płyta całkiem schowała się w sklepieniu, Galiad znowu dobył miecza.

- Chodźmy, chciałbym jak najszybciej stąd wyjść.

Wysunął pochodnię przed siebie i podjął marsz. Reszta podążyła za nim. Czas naglił.

Szli tak godzinę, aż tunel zaczął się stopniowo przekształcać w podziemną rzekę. Zagłębili się w kleistą czarną maź, ich ubrania i buty przemakały. Hałas, jaki wydawały ich odklejające się od podłoża buty, odbijał się echem od wilgotnych ścian.

- Powiedz, miotaczko kamieni, czy my czasem nie kręcimy się w koło? - zasugerował krasnolud, któremu woda sięgała po pas.

Echo nadawało jego głosowi obce, metaliczne brzmienie. Galiad zatrzymał się, przepuścił Aleę i Faith. Chciał wziąć krasnoluda na ramiona.

Ale w chwili gdy wyciągał dłoń, krasnolud nagle zniknął pod wodą.

Alea krzyknęła. Długie stworzenie o ciele pokrytym zielonkawą łuską złapało krasnoluda za nogi i wciągnęło pod powierzchnię wody. Galiad rzucił się w pogoń za potworem.

W tym samym momencie wyłoniła się z wody druga kreatura i zatrzymała się dokładnie przed Aleą. Jej paszcza przypominała pysk ogromnego węża. Strużki śliny ciekły z jej ostrych kłów, a w jej żółtych oczach odbijał się płomień pochodni Faith.

Alea zdażyła jedynie wyciągnąć miecz z pochwy, kiedy gad rzucił się na nią, sycząc przeraźliwie. Dziewczynka odskoczyła w tył, unikając o włos paszczy potwora, która zamknęła się tuż przed jej twarzą, i upadła w wodę u stóp Faith. Ta jedną ręką złapała Aleę, a drugą wymierzyła potworowi potężny cios pięścią. Potwór ustąpił, ale po chwili znowu nacierał z otwartą paszczą. Z jego gardła wydobywał się przeciągły syk.

Po drugiej stronie Galiad usiłował schwytać bestię. Krasnolud walczył, by utrzymać głowę nad powierzchnią wody i krzyczał kiedy mu się to udawało. Kły potwora zaciskały się na jego nogach z coraz większą siłą.

Kiedy Galiad był już wystarczająco blisko, rzucił się na potwora, uderzając mieczem tak, by ominąć nogi Mjollna. W uniesionej ręce mocno trzymał

pochodnię. Ostrze miecza za ledwie musnęło łuski potwora, który otrząsnął się i szybko cofnął, nie wypuszczając ofiary.

Galiad wstał. Błotnista ciecz spowalniała jego ruchy. Chciał podjąć walkę, ale potwór zniknął pod wodą wraz z Mjollnem.

Magistel podszedł ostrożnie. Duża bańka powietrza pękła na powierzchni. Galiad cofnął się. Czekał, trzymając pochodnię tuż nad wodą. Lecz nie dochodził stamtąd najmniejszy odgłos.

Cisza.

- Mjollnie! - krzyczał. Na próżno.

Potwór i krasnolud zniknęli. Galiad odwrócił się, by zobaczyć, co z zresztą przyjaciół. W tym samym momencie miecz Felima błysnął niebieskawo, ale Galiad nie mógł dostrzec Alei ani Faith. Ruszył przed siebie. W tym momencie Felim uniósł dłonie nad głową. Wydał bolesny okrzyk i nagle w jego dłoniach pojawiła się błyszcząca niebieska kula, która pomknęła niczym strzała w stronę potwora. Ekspłodowała z ogłuszającym hałasem tuż obok głowy poczwary. Magistel uchylił się, a kiedy ponownie spojrzął w kierunku tunelu, ciało potwora miękko unosiło się na powierzchni wody. Alea i Faith opierały się o ścianę. Dziewczynka drżała.

- Co to było? - zapytała kobieta bard.

- Hydry. Tak mi się wydaje - odpowiedział Felim.

- Gdzie jest Mjolln!? - krzyknęła Alea, widząc, że magistel wraca sam.

Galiad ciężko dyszał.

- On... zniknął pod wodą razem z pierwszą hydrą. Podążałem za nimi i nagle przepadli. Ten potwór musiał go zaciągnąć do swej kryjówki. Tu musi być jakieś podwodne przejście.

- Trzeba go szukać! - rzuciła Alea, ogarnięta paniką.

- Wracamy do miejsca, w którym zniknął - rozkazał Felim, kładąc dłoń na ramieniu dziewczynki.

Galiad rozpałił kolejną pochodnię i podał ją Felimowi. Zagłębili się w tunelu. Alea była przerażona. Nie mogła znieść dźwięku chlu- potania wody pod stopami. Chciała wyjść, zobaczyć słońce, poczuć na twarzy powiew wiatru. Lecz trzeba było za wszelką cenę uwolnić Mjollna. Miała tylko nadzieję, że potwór go nie zabił. Nie, to było niemożliwe. Nie tutaj. Nie w ten sposób. Ujęła dłoń Faith, nie mogła powstrzymać szlochu, a nie chciała, by Felim to usłyszał.

- Zniknęli tutaj - wyjaśnił Galiad, wskazując miejsce w wodzie.

- Pod powierzchnią musi być niewielki tunel - wyraził przypuszczenie Felim. - Trzeba zbadać te ściany.

Galiad nie dał się prosić. Podał swoją pochodnię Alei, która najpierw otarła łzy rękawem, następnie pochylił się i przeciągnął dłonią po lewej ścianie. Po omacku opuszczał wnętrze dłoni po skalistej powierzchni. Prawie cały zanurzył się w wodzie, ale nie drżał. Wolno sondował podłoże i ściany. Niczego nie znalazł. Wstał i zaczął sprawdzać drugą ścianę. Nagle tuż przy dnie jego ręka się zatrzymała.

- Tutaj! Przejście!

- Och! Za nic w świecie tam nie wejdem! - krzyknęła przerażona Alea.

- Ja pójdę - zaproponował Galiad. - Nie ma innego wyjścia.

- Pójdę z tobą - powiedział Felim.

- Nie. Zostań tutaj z Aleą i Faith. One potrzebują cię bardziej. Poza tym nie wiem, czy będę mógł daleko zajść.

Druid zgodził się.

- Faith - podjął magistel - czy mogłabyś pożyczyć mi swój sztylet? Jeśli będę musiał walczyć pod wodą, mój miecz raczej nie będzie zbyt przydatny.

- Oczywiście - odpowiedziała kobieta, wyciągając broń. - Uważaj.
- Nie martw się, nie złamię ostrza...
- Mówiłam o tobie, głupku!

Magistel uśmiechnął się. Włożył zbroję i nagołenniki, nabrał powietrza i zanurzył się pod wodą.

*

Imalę obudził tętent kopyt.

Myśliwi znowu byli na jej tropie.

Czuła ich zapach, słyszała ich głosy i oddechy zbliżających się koni. Dwunożni przetrzasali leśne zarośla za pomocą kijów. Imalę utknęła we wnętrzu pnia. Nie mogła już uciekać. Była zbyt wyczerpana, a rany bardzo jej dokuczały.

Nagle usłyszała głos jednego z myśliwych tuż nad sobą. Nogą poruszał pień. Wilczyca wczepiła się pazurami w drewno, by nie stracić równowagi.

Pień przestał się poruszać. Ujrzała teraz głowę dwunożnego, która ukazała się w otworze jej kryjówki.

- Niczego tu nie widać!

Imalę nie wiedziała, czy myśliwy ją dostrzegł. Jeszcze bardziej przywarła do ściany martwego drzewa. Dwunożny zniknął, ale po chwili wrócił z długą gałęzią, którą wolno włożył do środka.

- Na Mojre, zaraz się przekonamy, czy wilk się tu ukrył!

Imalę zobaczyła kij, który stopniowo się przybliżał, poruszany od ściany do ściany. Gałąź wkrótce jej dosięgnie i myśliwy dowie się, że tu jest.

- Znalazłeś? - dobiegł głos z oddali.

- Jeszcze nie...

Kij znajdował się już tuż-tuż. Myśliwy włożył do otworu rękę, by sięgnąć dalej. Gałąź zatrzymała się zaledwie kilka centymetrów przed nosem wilczycy. Imalę cofnęła pysk tyle, ile mogła. I kiedy sądziła, że jej koniec jest bliski, dwunożny porzucił kij i zaprzestał poszukiwań.

- Nic tu nie ma. Szukamy dalej.

Wilczyca usłyszała oddalające się kroki koni. Nie odważyła się wyjść z kryjówki aż do świtu.

*

Galiad zastanawiał się, jak długo będzie w stanie wytrzymać. Nie dochodził tu najmniejszy promień światła. Miał wrażenie, jakby poruszał się we śnie. Nie odważył się płynąć zbyt szybko, by nie przegapić ewentualnego wyjścia. W dalszym ciągu przebywał pod wodą w wąskim tunelu między śliskimi ścianami. Ciemność stawała się przytłaczająca i zaczynało mu brakować powietrza. Po upływie jakiego czasu będzie zmuszony zawrócić, zanim nie będzie zbyt późno?

Nie wolno mu tracić odwagi. Spróbował skoncentrować się na słabo wyczuwalnej obecności Saimana w swej głowie. Na swojej więzi z Felimem. Na małym uspokajającym płomieniu. Zawsze obecnym.

Tunel zdawał się nie mieć końca. Musiał się zatrzymać, to stawało się zbyt niebezpieczne. Lecz nie mógł opuścić Mjollna. Nie miał prawa. Płomień Saimana drżał w jego głowie.

Pulsowało mu w skroniach. Jego uwaga słabła i nagle uderzył głową w ścianę. Miał ochotę krzyknąć z bólu i przerażenia. Musiał nabrać powietrza. Potrzebował powietrza. Już nie mógł wytrzymać. Kręciło mu się w głowie.

Sądził, że zaraz zemdleje, kiedy wreszcie dostrzegł nikły promień światła. Ostatni wysiłek. Płynął ile sił w nogach i rękach. Wreszcie wynurzył się na powierzchnię, wciągając gwałtownie powietrze. Przewrócił się na plecy i unosił się na wodzie, odzyskując oddech. Spostrzegł, że podwodne jezioro, do którego dopłynął, znajdowało się pośrodku gigantycznej jaskini. Jej ściany zachwycaly niezwykłym blaskiem.

Kiedy odzyskał zmysły, podpłynął do brzegu. Tam ujrzał zadziwiający widok.

Ktoś zgromadził w tym miejscu kolosalne ilości błyszczących przedmiotów, prawdziwe góry złota, wysadzanych drogimi kamieniami mieczy o wyszczerbionych ostrzach, biżuterii, gemm, starych zdobionych zbroi, hełmów, sreber, złotych kielichów i precjozów... Galiad zastanawiał się, czy to nie sen.

Z trudem wstał. Jego głowa krwawiła w miejscu, w które się uderzył. Nie miał jednak sił, by się tym przejmować.

Nagle usłyszał gorączkowy oddech dobiegający z drugiej strony złotego wzgórza. Poszedł wolno w tamtą stronę i ujrzał leżącego na ziemi Mjollna. Podbiegł do niego.

- Mjollnie! - krzyknął. - Obudź się!

Prawa noga krasnoluda była pokiereszowana. Wąska struzka krwi wsiąkała w ziemię. Magistel lekko uderzył Mjollna w policzek i krasnolud powoli doszedł do siebie.

- Hem! - wymamrotał, plując obficie czarną wodą.

- Mjollnie! - westchnął z ulgą magistel. - Żyjesz!

- Mhm... - wymruczał krasnolud. - Gdzie jesteśmy?

Galiad uniósł głowę towarzysza i podłożył mu dłoń pod ramię. Rozejrzeli się dookoła. Na ziemi porzucane były szkielety.

- Nie jestem pewien, ale trzeba się stąd szybko wynosić. Myślę, że ten potwór zostawił cię tutaj, by wrócić później.

- Nie mogę chodzić. Nogi mnie boją. Nie czuję prawego uda. Jest w beznadziejnym stanie, zobacz...

- Będę cię nioś. Zresztą obawiam się, że będziemy musieli wrócić tą samą drogą, czyli pod wodą. Pewnie nie będę mógł odnaleźć tunelu. Musi ich tu być więcej. Chyba że...

Wydawało mu się, że po drugiej stronie jeziora dostrzegł otwór. Podniósł się i wziął krasnoluda na ramiona.

- Alragan! - wykrzyknął magistel, ściskając dłoń krasnoluda.

Jeszcze nie odzyskał w pełni sił, ale zdawał sobie sprawę, że nie mają czasu do stracenia. Hydra z pewnością tu wróci prędzej czy później. Poprawił Mjollna uwieszzonego na ramionach i ruszył w stronę drugiego brzegu.

- Tyle bogactwa! - uskarżał się krasnolud. - Nie możemy tego tak zostawić! Hem. To by było idiotyczne z naszej strony. Za to można by wykupić cały kraj! Galiadzie, musimy zabrać tyle, ile możemy!

- Nie ma czasu - odpowiedział krótko magistel.

- To jakiś koszmar! Hem! Każdy krasnolud na świecie marzy, że pewnego dnia znajdzie taki skarb jak ten tutaj, a ja nie mogę wziąć nawet odrobiny?

Galiad nie odpowiedział. Nie chciał tracić sił. Krasnolud ciążył mu na ramionach.

Okrażył jezioro, a kiedy dotarł do otworu w ścianie jaskini, ujrzał nowy wąski tunel wydrążony w skale. W tej samej chwili usłyszał hałas za plecami. Hydra wracała do kryjówki.

Galiad schylił się w obawie, by krasnolud nie zranił się w głowę, i szedł wąskim korytarzem najszybciej jak mógł. Woda tu nie sięgała i miał nadzieję, że hydra nie zapaści się w te rejony. Lecz nie był to powód, by zwolnić kroku. W głowie kołatała mu tylko jedna myśl: obudzić się z tego koszmaru.

Szedł wciąż przed siebie. Z każdym krokiem krasnolud stawał się coraz cięższy. Galiad był jednak szczęśliwy, że odnalazł przyjaciela żywego, i nie tracił odwagi.

Światło stawało się coraz słabsze i wkrótce znowu pogrążyli się w całkowitej ciemności.

- Zostały ci jeszcze jakieś pochodnie? - zapytał krasnolud.

- Tak, ale zdziwiłbym się, gdyby się udało którakolwiek zapalić po tej przymusowej kąpieli.

Magistel zwolnił, ale nie zatrzymywał się. Szedł wzdłuż ścian. Nie mógł znieść już dłużej tej ciemności. Zdziwiło go własne rozdrażnienie.

Nagle Galiad usłyszał dobiegające z oddali głosy. Zatrzymał się i zdjął krasnoluda z ramion. Mjolln miał trudności z utrzymaniem się na nogach. Ból sprawiał, że gwałtownie wciągnął powietrze.

- Słyszysz? - wyszeptał magistel.

Krasnolud usiłował powstrzymać oddech. Dalekie echo wielu głosów łączyło się w trudny do rozpoznania dźwięk.

- Tak. Słyszę. Hem. Sądzisz, że to oni?

Galiad nabrał powietrza i krzyknął:

- Alea?

Głosy natychmiast ustały. Nastąpił krótki moment ciszy, a potem wysoki głos odpowiedział:

- Galiad?

Krasnolud krzyknął z radości.

- Jesteśmy tutaj! - krzyczał. - Jesteśmy tutaj! Hej! Miotaczko kamieni, słyszysz mnie?

- Tędy!

Galiad znowu wziął Mjollna na ramiona i podjął marsz. Po przejściu kilku kroków ujrzał poniżej światło dwóch pochodni. Ostrożnie podszedł bliżej i zatrzymał się w miejscu, w którym korytarz kończył się nagle pośrodku skalnej ściany. W dole stała trójka towarzyszy.

Uklęknął i pochylił się, by dać im znak.

- Jesteśmy na górze!

Felim, Alea i Faith zadarli jednocześnie głowy i wydali głośnie okrzyk ulgi.

- Na Mojre! Nawet nie zauważyłem, że tu jest tunel. Jesteście tak wysoko! - wykrzyknął Felim.

Jak się ma Mjolln? - dopytywała Alea ze ściśniętym gardłem.

- Mogłoby być lepiej-wyznał krasnolud -alc*.y)ę! Mmii mmii) nogę, lecz jestem pewien, że Felim będzie mógł mnie wyła ty(I

Galiad wyjął ze swej sakwy długą linę, szeroki szpic i mlołrk. Wbił kawałek metalu w skałę i przywiązał do niego linę. Dru^l jej koniec rzucił w dół.

- Mjollnie, czy masz tyle siły w ramionach, by opuścić się w dół bez mojej pomocy?

- Oczywiście, przyjacielu.

Krasnolud opuścił nogi i mocno ścisnął linę. Zanim się zsunął, uśmiechnął się do magistela.

- Dziękuję, Galiadzie. Jestem twoim dłużnikiem.
- No, Mjollnie, schodź. Twoja miotaczka kamieni czeka! Krasnolud wolno zsunął się w dół i ledwie stanął na ziemi, Alea rzuciła mu się w ramiona.
- Tam jest ogromny skarb! - pospieszył z opowieścią krasnolud. - Nigdy nie widziałem czegoś równie pięknego! Hem. O tak, wielki skarb. Musimy tam wrócić, Aleo, jak tylko będziemy mogli!
- Galiad również opuścił się na dół. Oddał Faith pożyczony sztylet.
- Ani zadrapania - zapewnił.

*

AynSulthor i trzech Herilimowie podjechali do wygasłego ogniska pozostawionego przez Aleę i jej towarzyszy na północy Lasu Weliańskiego.

Księżę Herilimów zsiadł z konia. Jego długi czarny płaszcz szeleścił przy każdym ruchu. Wetknął ostrze miecza w środek gałęzi. Spod miecza trysnęły iskry.

- Czego szukali w tym lesie? - zagrzmiął grobowym głosem. Trzech Herilimów siedziało na koniach bez ruchu. Czekali w milczeniu na rozkazy. Las zamilkł w chwili, gdy księżę Herilimów stanął na ziemi. Nic nie zakłócało ciszy oprócz lekkiego skrzypienia gałęzi kołysanych wiatrem.

Nawet słońce sprawiało wrażenie, jakby chciało się ukryć za grubą warstwą chmur. Światło dnia szybko gasło.

- Hassim! - wykrzyknął księżę, odwracając się w stronę trzech Herilimów. - Znajdź mi jednego z tych przeklętych chochlików! Chochliki wszystko widzą i słyszą. Będą wiedziały, dokąd poszli. Złap mi jednego i przynieś!

Jeździec ujął wodze i obrócił się na swym dużym wierzchowcu, a potem zagłębił się w ciemnościach lasu. Kilka chwil później wrócił, trzymając chochlika za nogi.

Biedne stworzonko wrzeszczało i wilo się w uścisku Herilima. Była to mała chuda postać, mniejsza niż dziecko, ubrana w kolorowe, czerwono-zielone wdzianko, o siwych włosach i rzadkiej brodzie. Rycerz zsiadł z konia i rzucił chochlika na ziemię u stóp Sulthora. Księżę Herilimów oparł czubek miecza na gardle chochlika. Jego oczy błyszczały niczym czarny kwarc.

- Dziewczynka i jej towarzysze, w którą stronę poszli? Chochlik nie śmiał się odezwać. Drżał na całym ciele. Sulthor uniósł miecz i z całej siły wbił go w ziemię tuż obok głowy biednego stworzenia.
- Odpowiadaj, albo posiekam cię na kawałki!
- Do Borcelii! - wymamrotał chochlik. - Poszli do Borcelii! Na twarzy ukrytej pod czarnym kapturem księcia Herilimów pojawił się uśmiech satysfakcji.

- Wiesz, po co tam poszli? - zapytał, unosząc wolno miecz nad chochlikiem.

- Szukają Drzewa Życia! - krzyknęło, nie czekając, przerażone stworzenie.

Miecz opadł ze świstem na ziemię, zmiatając po drodze głowę chochlika, która odturlała się kilka metrów dalej w strumieniu krwi.

Księżę Herilimów wznosił wolno swój miecz i się odwrócił. Drwiącym gestem potrząsnął ostrzem w stronę chochlików, które, jak podejrzewał, obserwowały tę scenę zza drzew. Potem wybuchnął śmiechem i wskoczył na siodło.

Jednym skinieniem rozkazał towarzyszom podcrwii' wici / chowce do galopu. Kiedy odjeżdżali, kopyto jego konia /min/

dżyło głowę chochlika leżącą w szkarłatnej kałuży.

*

Felim wyjął z sakwy kilka suchych owoców i rozdał towarzyszom.

- To wam pomoże odzyskać siły.

Zajął się Mjollnem, który mimo że w dalszym ciągu miał trudności z chodzeniem, nie wydawał się zbyt cierpieć. Galiad zabandażował mu ranę na czole.

Alea znowu chciała uściskać krasnoluda. Tak bardzo się bała, że z trudem panowała nad brzmieniem swego głosu. Lecz nagle znieruchomiała.

- Mjollnie! - wykrzyknęła. - Twoje włosy! Twoja broda!

- Co z nimi? - zapytał przestraszony krasnolud.

- One są białe! Całkiem białe!

Pozostała trójka podeszła do krasnoluda i przyjrzała mu się w półmroku korytarza. Faith wytrzeszczyła oczy i otworzyła usta ze zdumienia. Włosy krasnoluda były bielutkie.

- No? - naciskał Mjolln.

- Eee... - zawahała się kobieta bard. - Rzeczywiście. Na Mojre, Alea mówi prawdę.

Krasnolud opuścił głowę i wyciągnął przed siebie czubek brody.

- Na rodzinę Abbaców! - krzyknął z przestachem. - Jak to możliwe?

Druid podszedł do niego z uśmiechem.

- Nie sądzę, by było to coś poważnego - uspokoił go. - To z pewnością dlatego, że wiele przeszedłeś...

- Jak to nic poważnego? Chcesz powiedzieć, że nie odzyskam swoich rudych włosów?

Druid skrzywił się.

- Ehm... Nie, nie sądzę. Myślę że to nieodwracalne! Ale to nic takiego. Zwykła zmiana barwy, w pewnym sensie.

Faith nie mogła powstrzymać parsknięcia.

- To nie jest śmieszne! - fuknął krasnolud.

- Wybacz mi. Naprawdę mi przykro. A poza tym ten nowy kolor bardzo ci pasuje.

- To prawda - powiedziała Alea, która również zaczęła się śmiać. - I dodaje ci uroku. Uroku i mądrości...

- Uroku starca, ahum! - poskarżył się krasnolud.

- Nie, naprawdę, wyglądasz bardzo korzystnie - zapewnił go Galiad.

- Tak sądzisz? - mruknął krasnolud. - W porządku, przestańcie tak na mnie patrzeć. A teraz co robimy?

Faith i Alea wybuchnęły śmiechem. Oczywiście było im głupio ze względu na krasnoluda, ale dobrze było pofolgować sobie po tym wydarzeniu, które do tego stopnia je przeraziło...

- Nie możemy w każdym razie zbaczać z drogi - stwierdził magi- stel. - Musimy przejść przez tę rzekę. Tylko tym razem uważajmy.

Nikt nie okazał z tego powodu radości, ale wszyscy wiedzieli, że ma rację. Trzeba było ruszać dalej.

- Felimie, musisz nauczyć mnie panować nad moją mocą - oświadczyła nagle Alea.

To zaskoczyło wszystkich. Alea milczała od dłuższej chwili, a to żądanie wydało im się co najmniej nie na miejscu.

- Jak mam to zrobić? - zapytał Felim. - Nie jestem... Samildanachem.

- Nie, ale myślę, że mógłbyś wyjaśnić mi przynajmniej, w jaki sposób panujesz nad swoją własną mocą, a może zdołam pojąć działanie mojej.

- To znaczy... możliwe, ale jesteś... dziewczynką. Nie będę wiedział jak...

- To śmieszne, Felimie. Mojra dała dowód na to, że kobieta może otrzymać moc Samildanacha. A teraz wątpisz w to, że może otrzymać od ciebie nauki? Czy raczej się tego obawiasz?

- Zobaczymy. Zrobię, co będę mógł, by ci pomóc, Aleo. Lecz najpierw opuścmy to straszne miejsce.

Alea zgodziła się w milczeniu, ale nie wydawała się zadowolona. Chciała, by druid miał do niej większe zaufanie. Nie był to jednak odpowiedni moment na wszczynanie dyskusji.

- Tym razem ja chciałbym iść na przdzie - oznajmił druid. - Galiadzie, ty będziesz zamykał pochód. I uważaj, pierwsza hydra zaatakowała właśnie od tyłu.

Faith klepnęła krasnoluda w ramię.

- Idziemy, Białobrody! - wykrzyknęła z uśmiechem.

Szybko wyruszyli w dalszą drogę. Alea szła zaraz za Felimem.

Patrzyła na niego z uwagą, wydawał się bowiem czymś zaabsorbowany. Nagle dostrzegła fale energii wstrząsające ciałem starca. Były to czerwone warstwy, tak delikatne, że prawie niewidoczne, jednak Alea widziała je bez trudu. To był Saiman. Unosił się wokół Felima, a potem rozwiął się w wodzie kilka metrów dalej.

Alea usiłowała to pojąć. Felim wyświetlał Saimana przed sobą, jakby chciał zbadać okolicę. To nie wyglądało na zbyt skomplikowane. Udało jej się przecież zapanować nad energią na barce w Sai-Minie, więc mogłaby zrobić to jeszcze raz. Wystarczy spróbować.

Cały czas idąc, zaczęła szukać w sobie wewnętrznego światła. Odnalazła je prawie natychmiast. To stawało się coraz prostsze! Wiedziała już, jak ów tajemniczy płomień zapalić w jednej chwili. Czy raczej podtrzymać, bo przecież płonął nieprzerwanie, gotowy, by go podsycić.

Alea pozwoliła Saimanowi opanować swe ciało. Jednocześnie próbowała dostrzec na skórze te same fale energii, które otaczały Felima. Z trudem udawało jej się skupić uwagę na otoczeniu. Była zbyt zajęta Saimanem. O mało go nie straciła, ale skoncentrowała się bardziej i płomień odzyskał moc. Znowu spróbowała wolno oderwać wzrok. Stopniowo udało jej się podtrzymać Saimana we wnętrzu i widzieć wyraźnie rzeczy wokół siebie. Spostrzegła, że energia, która ją otacza, jest innego koloru niż energia Felima. Czy to by miało oznaczać, że energia rodzaju męskiego jest czerwona, a rodzaju żeńskiego niebieska? Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie?

Musiła naśladować Felima. Kontrolować swą moc i wyświetlać ją przed sobą. Odetchnęła głęboko i zgromadziła całą energię. Nie wiedziała, jak to zrobiła, ale prawie jej się udało. Saiman był tam, schowany w jej piersi i nagle wypchnęła go przed siebie. Mocą myśli rozkazała mu wyjść naprzód. Miała te same odczucia, które oładnęły nią u stóp Sai-Miny, kiedy instynktownie wysłała Saimana na poszukiwanie barki.

Nagle Felim wydał okrzyk. Alea podskoczyła i straciła kontrolę nad Saimanem. Płomień natychmiast zgasł.

- Ty to zrobiłaś? - krzyknął Felim, chwytając dziewczynkę za ramiona.

Alea nie wiedziała, co odpowiedzieć. Felim był wściekły.

- Co się dzieje? - zapytał zaniepokojony Galiad.

Felim popatrzył Alei w oczy, chwilę stał w milczeniu, a potem puścił ją, wzdychając.

- Przestraszyłaś mnie, Aleo. Sądziłem że... Mogłabyś uprzedzić, zanim zaczniesz...

- Ale o czym wy mówicie? - zaniepokoiła się Faith.
- O niczym, wybaczcie mi - odpowiedział Felim. - To moja wina... Chodźmy, jesteśmy prawie na miejscu, wydaje mi się, że widzę koniec tunelu.

Podjął marsz, a tuż za nim szła Alea. Pozostała trójka spoglądała na siebie ze zdziwieniem, ale Mjolln wzruszył ramionami i dał znak do dalszej drogi.

- Zapomnijcie o wszystkich czarodziejskich historiach - wyszeptał, zanim poszedł dalej.

Alea dogoniła Felima, zawahała się, a następnie zdecydowała się odezwać.

- Czułeś mojego Saimana? - zapytała cicho.

- Wydawało mi się, i tyle - odparł Felim, nie patrząc na nią.

- Nie! Czułeś mojego Saimana! Chciałam cię naśladować. Chciałam zrobić dokładnie to co ty. Spróbowałam wyświecić Saimana przed sobą.

Felim odwrócił się, unosząc brwi.

- Skąd wiesz, co robiłem?

- Widzę Saimana. Widzę go wokół ciebie, kiedy się nim posługujesz...

- Igrasz z mocą, nad którą nie panujesz!

Alea westchnęła.

- Jesteś najgorszym nauczycielem na świecie, Felimie!

- Nie jesteś moją uczennicą! Musisz zapomnieć o tym wszystkim...

- Przed chwilą powiedziałeś...

- To było wcześniej. Teraz wyjdźmy stąd wreszcie. I nie próbuj mi się sprzeciwiać.

Alea zwolniła kroku i szła za druidem. Nie mogła go zrozumieć. Czasami wydawało się, że jest gotów, by jej pomóc, lecz teraz niespodziewanie ją odpychał. Musi się bać, a ona chciałaby, żeby spróbował ją zrozumieć. Była bez wątpienia bardziej przerażona niż on tą mocą, o której nic nie wiedziała.

Tunel wznosił się lekko ku górze, a biała poświata księżyca przebijała się do wnętrza korytarza. A więc znaleźli wyjście, nareszcie! Z każdym krokiem szli szybciej, przepełnieni myślą, że wreszcie będą mogli odetchnąć świeżym powietrzem.

Niebo nad głowami miało barwę ciemnognatową. Zapach lasu nocą upajał. Stali pośrodku polany, identycznej z tą, z której przyszli, a kiedy ich wzrok przyzwyczaił się wreszcie do światła księżyca, spostrzegli, że otaczają ich elfy.

Popatrzyli na siebie zdumieni.

- Mam... mam nadzieję, że nie przeszkadzamy - wymamrotał Mjolln.

Elfy stały bez ruchu. Kolor ich skóry mieszał się z kolorem pni drzew. Można było dostrzec około pięćdziesięciu, ale z pewnością więcej skrywało się pomiędzy drzewami.

- Faith, czy to Las Borceliański?

- Bez wątpienia - odparła, uśmiechając się szeroko.

Alea zrobiła kilka kroków naprzód i powiedziała najpewniejszym głosem, na jaki było ją stać:

- Przyszliśmy zobaczyć się z Oberonem.

Jeden z elfów zbliżył się do niej. Inni wciąż stali bez ruchu.

- Znaleźliście przejście. Hmmm. Osobliwe.

- Jeden z was wskazał nam drogę - wyjaśniła Alea.

- A wy odnaleźliście wyjście. Hmmm. Jesteście odważni.

Nagle pomiędzy drzewami pojawił się elf, przed którym rozstąpiły się inne. Alea natychmiast poznała Oberona. Wszystkie elfy były piękne i pełne wdzięku, ale on w jeszcze większym stopniu. W jego krokach było coś majestatycznego. Podeszedł do Alei, mówiąc w elfickim języku do swych towarzyszy:

- *Eth a yan eln Alea. Shan wal emmana an bor alian.*

Zatrzymał się przed dziewczynką i pozdrowił ją. Wkrótce wszystkie elfy w lesie przyklęły na jedno kolano i wyszeptały słowo, którego Alea nie dosłyszała, ale rozumiała, że wyrażało szacunek. Poczula, że się rumieni. Nie była przyzwyczajona do tylu spojrzeń.

- Czekaliśmy na ciebie, Kailiano.

Faith położyła dłoń na ramieniu dziewczynki i wyszeptała jej do ucha:

- To imię, które dają swemu... powiedzmy, odpowiednikowi Samildanacha.

- A co to ma znaczyć?

- Nie wiem. Trzeba ich zapytać - powiedziała cicho kobieta.

Alea również pozdrowiła elfa, tak uniżenie, jak tylko mogła.

- Witaj, Oberonie. Oto moi przyjaciele.

Elf się uśmiechnął.

- Z pewnością jesteście bardzo głodni.

Oberon odwrócił się i uniósł ramiona. Wszystkie elfy wstały. Piątka przyjaciół uczestniczyła w cudownym spektaklu. Nagle cała polana zaczęła się ruszać. Pnącza, drzewa, liście, wszystko zaczęło się wić, wznosić, aż powoli w sercu lasu wyłonił się ogród, adzwyczajnie długi stół, ławki, kolumny, które wolno pięły się w górę, a następnie utworzyły zielone sklepienie nad stołem... Iły' to naturalny pałac, który wzniósł się z elegancją niczym balet gibkich i zwinnych gałęzi i pnączy.

- Na Mojrę! - wykrzyknął Mjolln, nie wierząc własnym oczom.

Na polanę, która kończyła się przeobrażać, weszły następne elfy, było ich chyba czterdzieści, przynosząc duże czarki napełnione owocami. W mgnieniu oka przygotowały prawdziwą ucztę, nie bacząc na zdumione spojrzenia przybyłych.

- Podano do stołu - rzekł z uśmiechem Oberon.

Towarzysze zasiedli przy ogromnym stole. Siedzieli pomiędzy elfami. Większość z nich nie władała gaeliańskim, ale porozumiewały się za pomocą delikatnych gestów.

Oberon dał znak dziewczynce, by usiadła obok niego.

- Ile was jest w tym lesie? - zapytała Alea oczarowana.

- Jesteśmy jednym - padła tajemnicza odpowiedź.

Dziewczynka wydawała się zdziwiona, ale nie nalegała. Elfy miały swój język, swój sposób wyrażania się i trzeba było przyjąć je takimi, jakimi są. Spojrzała na przyjaciół zajmujących miejsca na czterech krańcach stołu. Radośnie spożywali przygotowany przez gospodarzy posiłek.

Z zadowoleniem brali udział w tej wspaniałej leśnej wieczerzy ciesząc się z obecności elfów. Pomiedzy nimi czuli się tak swo' bodnie! Po wyczerpującej wędrówce, dramatycznych przeżyciach i strachu, jaki towarzyszył im w ciągu ostatnich dni, odczuwał prawdziwe wytchnienie.

Mjolln jadł bez umiaru, a jego żarłoczność najwyraźniej ba^y wiła elfy, które podsuwały mu coraz to nowe porcje. Faith został^{^*} otoczona przez gospodarzy, którzy poprosili ją, by coś zaśpiewała. Z radością się zgodziła i zaprezentowała zgromadzonemu najpiękniejsze pieśni.

Felim i Galiad cieszyli się z przyjaznego nastawienia elfów, którym opowiadali o przejściach kompanii i powodach jej obecności w Borcelii. Felim czasami mówił w języku elfów i czuło się szczególną zażyłość pomiędzy nim a mieszkańcami lasu.

Stopniowo elfy coraz łatwiej porozumiewały się w gaeliańskim. Miały wyjątkową łatwość w opanowywaniu nowego języka.

Alea milczała i z uwagą przysłuchiwała się rozmowom. Elfy, obdarzając ją ciepłymi uśmiechami, uszanowały jej milczenie. Dziewczynka zaczynała powoli pojmować, co chciał wyrazić Oberon, mówiąc: „Jesteśmy jednym”. Wydawało się, że dzieli swoje myśli i wiedzę: to by tłumaczyło, jakim

sposobem tak szybko opanowały gaeliański. Uczyły się wszystkie naraz, łącząc w ten sposób w jedno postępy wszystkich pięćdziesięciu. Alea pomyślała, że to nadzwyczajne.

Rozmowy stopniowo milkły jedna po drugiej i wkrótce jedynie muzyka Faith rozbrzmiewała w nocnej ciszy.

Po kilku piosenkach Oberon zwrócił się wreszcie do Alei.

- Możemy pokazać ci to, czego szukasz.
- Wiecie, czego szukam?
- Powiedział nam o tym twój sen.
- Nawet nie jestem pewna, czy sama go zrozumiałam!
- To, czego szukasz, ludzie nazywają Drzewem Życia. To dlatego wezwaliśmy cię tutaj. Lecz ty musisz dać nam coś w zamian, dziewczynko.

Faith skończyła śpiewać. Wszystkie spojrzenia skierowane były w stronę Alei i Oberona.

- Zatem słucham cię - odparła Alea.

Zwracając się do niego, kierowała swe słowa do wszystkich elfów. Zrobiła to w ten sposób, że wszystkie rozumiały, iż był to składany im hołd.

- Musisz nam dać życie.

Felim odwrócił się gwałtownie w stronę Oberona. Alea dojrzała niepokój w jego oczach, ale posłała mu uspokajający uśmiech. Potem znów zwróciła się do elfa.

- Jak to?

- Zrozumiesz na pewno, kiedy zobaczysz to, czego szukasz. A kiedyś, pewnego dnia, spotkamy się znów i wtedy będziesz miała okazję... dać nam życie. Obiecuj, że to zrobisz, a my pokażemy ci to, czego szukasz.

- Niechętnie obiecuję coś, czego nie rozumiem, elfie, ale ci ufam. Jeżeli przyrzeknę, że pewnego dnia dam ci życie, to czy pokażesz mi Drzewo, którego szukam?

Wśród elfów przebiegł szmer i Alea rozumiała, że wyrażały w ten sposób zadowolenie.

- Teraz twoi przyjaciele udadzą się na spoczynek.
- Wolałbym towarzyszyć Alei - powiedział Galiad, wstając.
- To niemożliwe - odparł elf.
- Nie bój się, Galiadzie, tu jesteśmy bezpieczni - zapewniła go Alea.

Galiad poszukał odpowiedzi we wzroku Felima. Druid przytaknął skinieniem głowy. Wiedział, że to zostało zapisane. Że nie należy przeciwstawiać się zamysłom Mojry. Posłał Alei uśmiech, w którym można było dostrzec delikatny niepokój.

Alea również wstała i pożegnała się z przyjaciółmi, którzy odeszli w towarzystwie elfów w stronę wielkiego szalasu zrobionego z drzew i pnączy. Ujrzała, jak znikają w jego wnętrzu, i poczuła delikatne ukłucie w sercu. W głębi duszy żałowała, że będzie musiała odkryć Drzewo Życia w samotności. Wiedziała jednak, że nie ma wyboru.

Polana wokół niej zaczęła powoli odzyskiwać pierwotny kształt. Stół zniknął, zamiast dachu dostrzegła rozgwieżdżone niebo, zaś gałęzie i pnącza powróciły na dawne miejsca.

Oberon podszedł do Alei, wziął ją za rękę i poprowadził na środek polany, gdzie gestem nakazał jej, by usiadła. Dziewczynka odczuwała lekki niepokój, ale darzyła go zaufaniem.

- Drzewo jest tutaj? - zapytała.
- Ciii... nic już nie mów, Kailiano.
- Oberonie, zaczekaj. Ostatnia rzecz. Nazywacie mnie Kailia- ną... Co to znaczy?

- Kailiana w języku elfów znaczy „Córka Ziemi”.

Alea siedziała z otwartymi ustami. Ta nazwa od dawna tkwiła w jej pamięci. Jeszcze zanim odnalazła pierścień na wrzosowisku... Jakże mogła mieć znaczenie?

Elfy jeden po drugim siadały wokół Alei. To była owa pięćdziesiątka, która towarzyszyła jej podczas posiłku, ale cały czas pojawiały się następne. Było ich tak wiele! Siadały w milczeniu wokół niej, tworząc gigantyczny okrąg, który wkrótce zajął całą polanę. Alea bała się coraz bardziej, ale nagle spostrzegła, że Saiman rośnie w jej wnętrzu. Był silniejszy niż kiedykolwiek. Jak gdyby obecność tych wszystkich elfów ożywiła płomień w jej umyśle. Wcale go nie szukała, a on stawał się coraz większy. Opanował ją całą.

Wkrótce ujrzała, jak elfy kolejno wtapiają się w siebie. Najpierw ramiona, nogi, a następnie całe ich ciała łączyły się w przedziwną płataninę. I stopniowo zgromadzenie elfów przekształciło się w gigantyczny jednolity kształt, który, tak jak niedawno las, stał się cudowną konstrukcją. Kolosalny kształt uniósł się, a Alea dojrzała, że było to olbrzymie drzewo, które wyrastało dookoła niej. Drzewo zrobione z elfów, które wznosiło się ku niebu i zaciskało się wokół jej ciała, w miarę jak się rozrastało.

Napełniona Saimanem, nie odczuwała strachu i pozwoliła, by drzewo, którego sercem się stała, opanowało ją całkowicie.

Nagle wpadła w pamięć elfów.

To było jak sen.

Wydawało jej się, że straciła przytomność, a jej umysł zagłębiał się w przeszłości elfów, odkrywał tysiące legend. I wtedy zrozumiała.

Saiman, Samildanach, elfy, Drzewo Życia - to wszystko stanowiło jedno, było sercem Ziemi, duszą świata, esencją siły vitalnej. Ujrzała elfy, które stanowiły jedno. Zrozumiała, że były Drzewem Życia. Jego liśćmi, jego gałęziami, jego pnem i korzeniami. Ujrzała elfa, który narodził się wiosną, umarł zimą, życie, które wciąż się odradza. Wciąż to samo życie, ten sam elf, ta sama pamięć, pamięć świata. Pamięć Ziemi. Ujrzała wieczność liści z drzewa, łychnię, które ofiarowywano królom, by dać im jeszcze jeden rok życia. Ujrzała Maolmórdhę w komnacie Rady. I innego druida, Samaela, który zniknął. Ujrzała, że stanowią oni dwie ciemne siły, które połączyły się przeciwko niej. Ujrzała to wszystko i zrozumiała legendę opowiadaną przez ludzi. To nie była legenda, to było życie. Po prostu. A na końcu tego życia, tej legendy, ujrzała siebie. Nie od razu to rozumiała. Potem spostrzegła, że trzyma dziecko. Była matką. Chwilę później była starą, pomarszczoną kobietą.

Nagle ujrzała, że wraz z nią umiera drzewo, umierają elfy i druidzi. Była to przerażająca wizja. Całkowita. Wszystko rozwiało się w jednej chwili. Okryła ją nicość. Nie pozostało nawet bicie serca.

A tego nie była w stanie zrozumieć.

W tej samej chwili zbudziła się wśród elfów.

Wydawało się, że śpią dookoła niej.

Czy śniła?

Elfy jeden po drugim wstawały i znikały w lesie, aż pozostał tylko jeden. Oberon.

Alea była wstrząśnięta. Zmieszana. Zagubiona. Sama. Wstała ze ściśniętym gardłem i zbliżyła się do elfa.

- Jestem... waszą śmiercią? - zapytała.

- Kailiano, będziesz mogła dać nam życie i wiele innych rzeczy. Nigdy o tym nie zapominaj i nie umieraj, dopóki nie wypełnisz swojej misji - odpowiedział elf, kładąc dłoń na policzku dziewczynki. - Obiecałaś.

- Ale... nie wiem, co mam zrobić. Jak się o tym dowiem? Kto mnie poprowadzi?

Elf uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Ucałował dziewczynkę i zostawił ją samą na środku polany. Gdy doszedł do granicy cienia, w którym był pogrążony las, odwrócił się ostatni raz i rzekł:

- Teraz śpij, a jutro czyn swoją powinność. Musisz wypełnić trzy proroctwa.

ALRAGAN!

Kiedy Felim i reszta wyszli z szałas, okazało się, że nie są już na polanie.

- Hem. Czy to był sen, czy wy także wczoraj przebywaliście ze mną w zgoła innym otoczeniu? - zapytał Mjolln, zdezorientowany.

Alea uśmiechnęła się do krasnoluda i czule go objęła.

- Nie, mój dobry Mjollnie. Nie śniłeś. Elfy odeszły, ale my w dalszym ciągu jesteśmy w Lesie Borceliańskim.

Mjolln wysunął szczękę i zezował na własną brodę.

- Ach! Ale wciąż jestem siwy!

Alea pogłaskała go po ramieniu. Elfy zostawiły dla nich owoce, mleko i miód na okrągłym kamieniu otoczonym trzema pniami. Zasedli dookoła kamienia, przeciągając się i przecierając oczy. Od bardzo dawna nie spało im się tak dobrze.

- Nic z tego nie rozumiem! - wykrzyknął krasnolud. - Ale ty wcale nie wyglądasz na zdziwioną. Ba. Zaczynasz mnie niepokoić, dziewczyno! Hem. A Drzewo Życia? Widziałaś je?

- Później wam opowiem. Teraz powinniśmy coś zjeść - zasugerowała Alea.

- Lecz zanim ktokolwiek skosztował elfich smakołyków, Galiad zerwał się z pnia.

Herilimowie na czarnych koniach stali po drugiej stronie po lany. Dobyli mieczy. Spod naciągniętych kapturów ledwo można było dostrzec ich ciemne oczy. Bez wątplenia wszyscy czterej wpatrywali się w Aleę.

- Obawiam się, że trzeba będzie przełożyć nasze śniadanie na później - powiedział Galiad, również sięgając po broń. Rozkazał: - Alea, Faith, kryć się. Mjolln, walcz wraz ze mną.

Jednak ani Alea, ani Faith nie posłuchały.

Czterech wojowników szybko podjechało pod szałas. Galiad wpadł między nich, obracając swym mieczem. Mjolln poszedł w jego ślady. Razem wydali bojowy okrzyk przodków krasnoluda:

- **Alragan!**

Faith wyciągnęła łuk i strzały, a Felim ujął dłoń Alei.

- Broń się, maleńka, nie przejmuj się nami. - Spojrzał jej prosto w oczy i dorzucił szeptem: - Tylko twoje życie się liczy, Aleo.

Chwilę później jego ciało zmieniło się w płomień, jak podczas walki z gorgunami. Dziewczynka cofnęła się, przestraszona. Musiała zacząć działać.

Upadła na kolana w poszukiwaniu Saimana. Musiała wejść w kontakt z ziemią i odnaleźć równowagę, by skorzystać ze swej mocy. Gdyby tylko Felim nauczył jej tego wcześniej!

Herilimowie zsiadli z koni i wszyscy poza Sulthorem rzucili się na Mjollna i Galiada. Po ostrzach mieczy czarnych jeźdźców przemykały błękitne błyski.

Galiad wykonał pchnięcie, a następnie szerokie cięcie mieczem. Rycerze cofnęli się. Strzała wypuszczona przez Faith utkwiała w drzewie za nimi. W zamieszaniu wywiązała się walka. Szczęk mieczy mieszał się z bojowymi okrzykami jednej i drugiej strony. Sulthor trwał w bezruchu. Czekał.

Felim nie tracił czasu i wyłonił się przed nim, ale Sulthor uniknął ataku i również przybrał kształt gigantycznego płomienia.

„Maolmórdha dał mu wielką moc”, pomyślał Felim, ponownie szykując się do ataku. Skoczył w stronę Sulthora, który znowu zrobił unik. Sulthor coraz bardziej zbliżał się do Alei.

„Muszę znaleźć Saimana - myślała dziewczynka, zaciskając pięści. - Jest tutaj, w ziemi. Jestem Kailiana. Jestem Córką Ziemi”.

Kolejna strzała Faith ugodziła jednego z rycerzy prosto w serce. Upadł na ziemię. Magistel wkładał całą swą siłę w każdy cios. Zdawał sobie sprawę, że jego przeciwnicy dysponują potężną bronią i że będzie musiał włożyć w walkę wiele wysiłku, by ich pokonać. Krasnolud z największym trudem odpierał ataki, gdyż ostrze jego miecza było o wiele krótsze od broni przeciwnika. Sytuacja szybko go przerosła pomimo lekcji udzielonych przez Erwana. Otrzymał potężny cios w szyję, który pozbawił go przytomności.

Aleę natychmiast przepełniło uczucie wściekłości i całkowicie straciła kontakt z Saimanem. Wstała, wzięła miecz, którym nauczył ją posługiwać się Erwan, i wrzeszcząc, rzuciła się w stronę rycerzy. Galiad skorzystał z jej przybycia i skoncentrował swe siły na jednym z rycerzy, którego zmusił do cofnięcia się. Alea, niesiona furją, biła się z całą mocą z drugim. Przypomniła sobie wszystkie triki Erwana i stosowała je, by urozmaicić atak i zaskoczyć przeciwnika. Kontra, finta, pchnięcie, odskok... Pozwalała furii prowadzić swój miecz i swoje ciało. Lecz rycerz był silniejszy i szybko zyskał przewagę. Wiedziała, że jeśli nie znajdzie sposobu, by odeprzeć jego atak, otrzyma śmiertelny cios. Wyrównała oddech i rzuciła się w bok, by spróbować sekretnego ciosu Erwana. Przypomniła sobie jego słowa. „Wygrywa ten nadgarstek, który jest bardziej giętki i silniejszy. Trzeba ugiąć rękę, samemu pozostając pewnym i nieugiętym”. Jej ostrze prześlizgnęło się po rękawicy z czarnej skóry i Alea jednym gwałtownym ruchem nadgarstka rozbroiła przeciwnika.

Jego miecz poszybował w powietrzu. Alea powinna była wykorzystać ten czas na zaatakowanie nieprzyjaciela, ale sama była tak zaskoczona sytuacją, że zareagowała o sekundę za późno. Herilim to wykorzystał i odskoczył w tył, by odzyskać wytracony miecz wbity w ziemię. Teraz biegł w stronę dziewczynki, wydając wściekły okrzyk pełen nienawiści. Alea stanęła pewnie na nogach, a kiedy już chciała wykonać pchnięcie, otrzymała cios prosto w biodro. Krzyknęła z bólu i upadła na ziemię.

Trochę dalej Felim usiłował powstrzymać Sulthora. Ich pin mienie ścierały się, eksplodując światłem i płonąc wokół nich. Tego, jak Alea pada ranna na ziemię, Felim nie dostrzegł.

Czarny rycerz zbliżył się do Alei, wznosząc miecz nad głową, ale w tej samej chwili ujrzał, jak Faith naciąga cięciwę. Przeszedł nad leżącą dziewczynką i pospieszył w stronę Faith. Uderzył mieczem, unikając strzały. Kobieta nie miała czasu, by odeprzeć atak, i otrzymała cios w ramię. Runęła bez czucia na ziemię, zaś rycerz odwrócił się wolno w stronę Alei.

Ostrze jego miecza wznosiło się nad piersią dziewczynki, gotowe, by opaść i zadać ostateczny cios. Lecz nagle ciało rycerza upadło ciężko niczym worek, a za nim ukazał się Erwan, syn Galiada, który krzyczał wściekle.

Podczas gdy Alea podnosiła się z trudem, z niedowierzaniem patrząc na swego wybawcę, Erwan pospieszył z pomocą ojcu.

- Co tu robisz, synu? - wykrzyknął Galiad.

Zamiast odpowiedzi Erwan zripostował kolejne uderzenie i zagłębił miecz w brzuchu Herilima, który upuścił broń i osunął się na kolana.

Galiad i Erwan nawet nie mieli czasu, by się odwrócić, gdyż potężna eksplozja za nimi powaliła ich na ziemię.

Kiedy wstali, zrozumieli, co się stało. Wszędzie dookoła snuły się kłęby dymu. Nagle wśród nich zobaczyli wylaniający się długi czarny płaszcz księcia

Herilimów. Kaptur opadł mu na ramiona, dzięki czemu można było zobaczyć twarz będącą połączeniem żywego mięsa i metalu koloru antracytu. W czarnych oczach czaił się szyderczy uśmiech.

U stóp Sulthora wolno ukazywał się nieruchomy i ciemny kształt. Galiad zacisnął pięści. Miał nadzieję, że się myli. To było niemożliwe! Kiedy dym opadł, nie było już wątpliwości. Przed księciem Herilimów leżało ciało Felima.

Płomień w umyśle Galiada zgasł niczym świeca zdmuchnięta powiewem wiatru.

Imała błąkała się po lesie przez cały poranek. Była wykończona, poraniona i wygłodniała. Umknęła jednak dwunożnym i tylko to się liczyło. Była to dla niej nowa lekcja dotycząca praw natury. Najpierw została wypędzona przez swoje stado, teraz przez dwunożnych. Jednych i drugich obdarzyła zaufaniem, co okazało się błędem. Teraz wiedziała już na pewno, że została sama. Była zrozpaczona, ale z własnego cierpienia czerpała nową siłę. Siłę nauki.

U schyłku dnia nagle weszła na teren jakiegoś stada. Zawahała się przez chwilę, okręciła wkoło, a potem poczuła znajomą woń ukrytą w zakamarkach pamięci. Powróciła na teren swojego stada. Czowała zapach Aheny.

Instynkt wilczycy pchał ją naprzód. Zaczęła biec w stronę watahy z wysoko uniesioną głową, gnana wewnętrznym impulsem, który nie zgasł, dopóki nie dotarła do celu.

Samce wyczuły jej zapach i stanęły przed nią. Warczały, obnażając kły.

Lecz Imała już nie czuła strachu.

Pokonała dwunożnego.

Bez wahania wkroczyła między wilki. Wyczuwając jej determinację, zrozumiały, że lepiej będzie ją przepuścić. Rozpoznały ją i rozstępowały się, szczerząc kły.

Imała wiedziała, dokąd zmierza. Warknęła, a Ahena natychmiast zerwała się na równe nogi.

Dwie wilczyce stały naprzeciw siebie i mierzyły się wzrokiem.

*

Mjolln powoli odzyskiwał świadomość, jednak wciąż nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył.

Czas jakby stanął w miejscu. Hałasy powoli się wyciszały. Początkowo sądził, że znów postradał zmysły, ale na jego oczach Galiad, Erwan i Alea zatrzymali się w biegu jak zaczarowani. Ich postaci były zastygłe, a jednak zbliżały się w stronę Herilima. Mjolln także nie mógł się poruszyć.

Powoli sylwetki trójki jego towarzyszy zniknęły wraz z sylwetką rycerza.

Kiedy czas wreszcie odzyskał dawny bieg, krasnolud zerwał się na równe nogi. Krew spływała obfitym strumieniem z rozciętej szyi, a głęboka rana pulsowała nieznośnym bólem. Nogi mu drżały, ale chciał się upewnić, że to, co przed chwilą zobaczył, nie było halucynacją.

Zrobił kilka kroków naprzód, przetarł oczy, a potem musiał się pogodzić z rzeczywistością. Alea, Galiad i Erwan zniknęli na dobre w tym samym czasie co Sulthor.

Ścisnął szyję dłonią, by zatamować krew. Potykając się, ruszył przed siebie. Kręciło mu się w głowie. Kilka metrów dalej leżała nieprzytomna Faith. Podeszedł do niej i ujął jej dłoń. Poczul bijący puls i odetchnął z ulgą.

Jego wzrok spoczął następnie na ciele Felima, a oczy napelniły się łzami.

Pograżyli się w nicości.

Sulthor posłużył się Mañithem Djarą, by przywieść ich aż tutaj. Sprawić, by strach, ciężar nicości świata Djar panującej wokół nich, całkiem pozbawił ich sił. Nie znają tego miejsca. Nie znają zasad. Zabije całą trójkę. Magistela, jego syna i dziewczynę. Martwą zanieśe swemu panu.

Alea zatrzymała się gwałtownie. Nie widziała wokół siebie niczego poza Galiadem, Erwanem i rycerzem. Sulthorem. To on ich tu ściągnął. Wiedziała to. Ale co to za miejsce? Niczego tu nie ma: ani materii, ani światła, ani odległości, ani mocy. A jednak jest pewna, że zna to miejsce. Jedyłą różnicę stanowi otoczenie. Tak, wie gdzie jest: w świecie snów, do którego wezwał ją Oberon. Teraz rozumie.

Sulthor się zbliża.

Musi go powstrzymać.

Saiman wciąż tli się w jej wnętrzu. Sulthor się zbliża. Jest tutaj. Będzie myślał o ich śmierci. W ten sposób się tutaj zabija. Myślą. Nie czynem. Po prostu myślą. Musi go powstrzymać. Ale Galiad i Erwan nie rozumieją. Nie są tacy jak ona. Nie doświadczyli obcowania z Drzewem Życia ani żadnego z jej snów.

Usiłują się bronić, ale ich ciała pozostają w bezruchu. Próbują krzyczeć, lecz z ich ust nie dobywają się żadne dźwięki. Ich umysły odrzucają istnienie tego miejsca i to ich więzi. Musi im pomóc. Przyciągnąć ich uwagę.

Kocham cię.

Erwan usłyszał jej myśl. Spojrzał na nią, porażony. Usłyszał, ale nie rozumie.

Kocham cię, Erwanie. Dziękuję, że przybyłeś z pomocą. Teraz nie ruszaj się i myśl. Myśl światem dookoła ciebie. Myśl twoim ojcem. Myśl razem z nim.

Erwan zamyka oczy. Próbuje zrozumieć.

Zasady już nie są takie same. Nie ma już słów. Myśli mieszają się ze sobą.

Jestem z tobą, Aleo.

Zatem myśl, bądź myślą twego ojca. Niech on myśli razem z tobą. I uciekajcie jak najdalej stąd. Zajmę się rycerzem.

Erwan koncentruje się. Galiad również zaczyna pojmować.

Naprawdę tu jesteśmy?

Alea uspokaja go, lecz czas nagli. Sulthor zaczyna zajmować przestrzeń swymi myślami.

Musisz uciekać ze swym synem, Galiadzie. Niczego tu nie możecie zrobić. Jedyńie ja jestem w stanie tu czegoś dokonać. Na litość, na miłość, jaką żywię do twego syna, na Mojrę, myślcie, że jesteście daleko stąd. Uciekajcie myślą. Odnajdę was.

Aleo, przybyłem, by cię ostrzec. Rada skazała Felima na banicję i wysłała waszym śladem trzech druidów i ich magisteli.

Przybyłem przed nimi, ale oni tam są. Po to przybyłem, Alen, Iły cię chronić...

Zegnaj, Erwanie, dziękuję ci. Odnajdę was. Uciekajcie!

Sulthor rzucił się na Aleę. Wtopił się w nią.

„Giń!”, krzyknął.

Ale dziewczynka znalazła Saimana. Nawet tutaj. Odepchnęła z całą mocą morderczą myśl swego przeciwnika.

Sulthor był zaskoczony Dziewczyzna chyba pojęła świat Djar. Musi przekształcić nicość. Przeciwno Alei. Wie, jak to zrobić.

Wznosi mury dookoła niej. Myśli o tkwiących w nich ostrzach. Następnie zamyka ją w tym morderczym więzieniu. Powoli. Pod więzieniem roznieca ogień.

Alea widzi otaczające ją mury.

On potrafi zmieniać nicość! Przekształca moją przestrzeń. Tu nie mogę przejść do kontrataku. Muszę zadać uderzenie w inny sposób. Muszę zaprzeczyć jego atakowi myślą. Nie. Podejmę wyzwanie. Wykreuję nicość wokół siebie od nowa.

Sulthor widzi, że przestrzeń się burzy. Jego atak się nie powiódł. Przerywa myśl, by nie zabiła jego samego.

Alea ponownie uwalnia umysł. Saiman tam jest. Opuszcza swoje ciało. Spogląda na siebie. Wie, że Sulthor stoi za nią, ale spogląda na siebie. Próbuje zrozumieć płonącego w niej Saimana. Muszę przestać myśleć o Saimanie jak o rzeczy, nad którą sprawuję kontrolę. Ja jestem Saimanem. On jest mną. To właśnie w ten sposób mogę się nim posłużyć, tak jak posługuję się sobą. On jest we mnie, jest mną!

Sulthor widzi, jak dziewczyna gaśnie. Jej dusza opuściła ciało. Co ona robi? Jest głupia! Teraz pokona ją bez trudu. Zbliża się do Alei.

Jestem Saimanem. Alea jest Saimanem. Muszę jedynie otworzyć oczy. Muszę jedynie dostrzec rzeczy. Rozumiem ten świat. Znam nicość. Wiem, kim jest ten rycerz. To AynSulthor, książę Herilimów, książę pożeraczy dusz, Rzucający Cień. Przybył, by mnie zabić i oddać me ciało swemu panu.

Jest dla mnie niczym. Jedynie przeszkodą. Zabiję go jego własną bronią. Sprawię, by do myśli Maolmórdhy dotarł krzyk bólu jego sługi, żeby zaczął się mnie bać. Żeby wiedział, że po Sulthorze będzie następnym, którego zabiję.

Jestem Sulthorem.

Alea wnika w ciało atakującego ją Sulthora.

Wchodzi w każdą jego żyłę. W jego umysł. W jego mózg. W jego wnętrzności. W jego myśli. Syci się nim. Jest Sulthorem. Itak jak przed chwilą odwróciła jego myśl, teraz z całej siły przebiega do przodu, by przez niego przejść. Wybuchnąc w każdej żyłce, w każdym zakątku ciała wroga, w którego się wcieliła.

Sulthor krzyczy. Jego czaszka zaraz eksploduje. Ta mała zaraza jest w nim.

Alea krzyczy. Daje upust całej swej nienawiści. Saiman eksploduje w jej żyłach. Wychodzi poza ciało Sulthora, które rozrywa jednym ruchem.

*

Ahena skoczyła pierwsza. Z szeroko rozwartym pyskiem górowała nad Imalą, która również się zerwała do skoku. Wilczyce zwarły się w uścisku, przepełnione furją, wściekłe, każda gotowa wbić kły w gardło przeciwniczki.

Jednym uderzeniem łapy Ahena pozbawiła Imalę równowagi. W mig wykorzystwała okazję, by skoczyć jej do gardła. Lecz Imalą skuliła się i tym sposobem uniknęła kłów Aheny. Ta przeskoczyła nad Imalą, by zaatakować z drugiej strony.

Pozostali członkowie sfory nie śmiali interweniować. Nawet Ehano, dominujący samiec. Patrzyli niespokojnie na toczący się pojedynek, podczas gdy wilczyce kłębiły się na ziemi w chmurze piasku i kurzu.

Imali udało się odeprzeć atak Aheny uderzeniem tylnych łap. Zerwała się. Starły się ponownie, pysk w pysk, stając na tylnych łapach i splatając swe ciała w łuk, który groził bolesnym upadkiem przy każdym ruchu głową.

Wciąż świeże rany Imali dały o sobie znać i wiedziała, że długo nie będzie w stanie opierać się przeciwnicze. Przez chwilę myślała, że przegra ten pojedynek i że Ahena znów ją przegna, a może nawet skończy z nią na oczach stada, by jeszcze bardziej podkreślić swą przewagę.

A potem nagle przed oczyma stanęło jej to wszystko, co przeżyła od chwili odejścia ze stada. Zwierzęta, które pokonała, dwunożni, którzy ją przyjęli, ci, którzy ją przegnali i ten, który padł w uścisku jej kłów. Nagła fala wspomnień pobudziła jej instynkt samozachowawczy. Nie mogła umrzeć. Nie chciała już ulegać. Chciała panować, przynajmniej nad swoim życiem.

Jednym ciosem przewróciła Ahenę na ziemię przy akompaniamencie wściekłych pomruków. Z całych sił zacisnęła kły na jej gardle. Dominująca samica ledwie zdążyła zaskuczyć z bólu. Imala nagle poczuła, że mięśnie Aheny się rozluźniają, a jej łapy gną się w poddańczym geście. Imala zacisnęła szczękę ostatni raz, a potem puściła Ahenę, która z trudnością łapała oddech. Obficie krwawiła.

Imala stała przez dłuższą chwilę, wodząc wzrokiem po członkach stada, a potem wycofała się i zniknęła w lesie. Mogłaby zająć miejsce Aheny w stadzie, miejsce dominujące, ale las ją wzywał, a ona sama czuła, że już tu nie pasuje. Od dnia odejścia czuła nawet, że nie mogłaby już dłużej żyć wśród swych braci i sióstr.

Pędziła przez las, upajając się wieczornym powietrzem. Potem zatrzymała się przy strumyku, by tam spędzić noc. Zanim się położyła, zawyla przeciągle i usłyszała echo wycia stada. W ten sposób ją żegnali. Zasnęła spokojnie.

Była sama. Była naprawdę wolna.

*

Alea runęła na ziemię.

Jej ciało było wyczerpane, ale Saiman wciąż się w nim tlił. W jednej chwili zrozumiała, że ten płomień nigdy nie zgaśnie.

Otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła.

Mjolln płakał obok bezwładnego ciała Faith.

„Ona nie umarła”.

Na trawie leżały ciała trzech rycerzy.

A przed szalasem Felim.

Dziewczynka wstała z trudem i podeszła do Mjollna. Krasnolud podniósł głowę i zerwał się na jej widok. O mało nie upadł. Otarł łzy wierzchem dłoni.

- Ty... żyjesz? - wykrzyknął z niedowierzaniem.

- Tak - odpowiedziała po prostu. - Czy ktoś dotykał ciała Felima?

Mjolln wydawał się zaskoczony, ale zaprzeczył ruchem głowy, niczego nie rozumiejąc. Alea podeszła do nieruchomego ciała druida. Upadła na kolana. Położyła dłoń na ciele Felima. Poczowała, że łzy podchodzą jej do oczu.

„Nikt nie zajmie twojego miejsca, Felimie. Nikt cię nie zastąpi”.

Instynktownie uwolniła moc Saimana. Ciało Felima wygięło się w łuk, a potem upadło bezgłośnie na ziemię. Fale energii uniosły się nad nim.

„Żegnaj i dziękuję”.

Krasnolud wymamrotał kilka niezrozumiałych słów. Alea go przerażała. Nie chciał tego rozumieć. Usiadł na ziemi i wolno zaczął się cofać.

- A... ry... rycerz? - zapytał, wytrzeszczając oczy. On... on was nie...?
 - On nie żyje.
 - Galiad i Erwan?
 - Nie wiem. Oni... Och, Mjollnie, co ja narobiłam?
- Upadła na kolana obok niego i wybuchła płaczem.

*

Pozostali przez dwa dni w szałasie elfów. Pierwszego wieczora Faith odzyskała wreszcie świadomość. Alea i Mjolln rozplakali się z radości, a potem kazali jej wypoczywać.

Następnego dnia opowiedzieli jej o wczorajszym ataku. Ze łzami w oczach Alea powiadomiła ją o śmierci Felima. O zniknięciu Galiada i Erwana. Wieczorem Faith odzyskała siły na tyle, by ukończyć płacz dziewczynki swym śpiewem.

Rankiem trzeciego dnia Mjolln wpadł do szałasów.

- Druidzi idą naszym tropem! - krzyknął. - Co mamy zrobić, Aleo? Poddać się?

- Nie, zanim nie odnajdziemy Galiada i Erwana. Potem zobaczymy. Chodźmy, czeka nas długa droga.

- Ale dokąd pójdziemy?

- Tam, gdzie ukrywa się Maolmórdha.

Krasnolud wytrzeszczył oczy.

- Oszalałaś?

- Nie musisz iść ze mną, ale ja tam pójdę, bo to jedyna szansa na odnalezienie Erwana i jego ojca. Nie mogę ciągle uciekać.

- A jednak uciekamy przed druidami.

- Zajmę się nimi później - odpowiedziała po prostu Alea, zbierając swoje rzeczy. - Faith, będziesz w stanie iść?

- Jeszcze nie pomściłam śmierci Tary i Kerryego. Idę z tobą.

- Mjolln?

- Idę, miotaczko kamieni. Nie sądzisz chyba, że wrócę ot tak sobie do kraju krasnoludów?

Wyruszyli czym prędzej, nie mogli pozwolić, by druidzi ich zastali w szałasie. Nad grobem Felima uronili łzę. Alea dotknęła broszki, którą ofiarował jej druid i którą zawsze miała przy sobie. Poprzysięgła sobie, że pomści jego śmierć.

Szli cały dzień i część wieczoru, a kiedy rozbili obóz, byli już niedaleko skraju lasu.

Alea zostawiła śpiących towarzyszy i zagłębiła się w lesie, szukając wytchnienia w tej nocnej przechadzce. W głębi duszy pragnęła po raz ostatni ujrzeć elfy i pożegnać się z nimi. Lecz żaden się nie pojawił. Szła między drzewami, pozwalając, by jej myśli krążyły wokół Lasu Borceliańskiego. Coś nowego pojawiło się w jej wnętrzu. Wież. Saiman stworzył tę wież. Most pomiędzy nią a światem. Nadał sens jej przydomkowi. Córka Ziemi.

Nagle, zaledwie kilka metrów przed sobą, dostrzegła wilczycę. Natychmiast zrozumiała. Ta sama biała sierść, te same oczy... To była wilczyca, którą widziała we śnie.

Zwierzę było tak samo zaskoczone jak Alea i stało na sztywnych nogach ze spojrzeniem utkwionym w oczach dziewczynki. Zastygły tak w bezruchu, mierząc się wzrokiem.

Alea przykucnęła, cały czas przypatrując się wilczycy. Saiman był w niej, a ona była Saimanem: była światem wokół niej, drzewami, wilczycą. Wyciągnęła rękę w stronę zwierzęcia.

W oczach wilczycy wyczytała całą jej historię.

- Chodź - powiedziała. - Jestem taka jak ty.

Wilczyca wydała cichy pomruk. Zrobiła krok w tył i przechyliła głowę. Potem, krok po kroku, zaczęła zbliżać się do dziewczynki.

Alea uśmiechnęła się.

- Jestem twoją siostrą.

Imała podeszła tak blisko, że dotknęła nosem jej ręki. Zawahała się chwilę, a potem polizała dłoń dziewczynki.

Wilczyca i Córka Ziemi. Odtąd już nigdy nie zaznają samotności.